

UNIwersytet Ignatianum w Krakowie
SZKOŁA DOKTORSKA

Dziedzina nauk: Nauki społeczne

Dyscyplina naukowa: Nauki o polityce i administracji

DAGMARA ANNA ŚNIEWSKA

Polityczność natury ludzkiej w kontekście sporu *nature versus nurture*
w antropologii Witolda Gombrowicza

Rozprawa doktorska napisana pod kierunkiem promotora
dra hab. Krzysztofa C. Matuszka, prof. UIK

podpis promotora:

podpis doktoranta:

Kraków 2025

Spis treści

Wykaz skrótów.....	3
Wstęp.....	4
1. Punkt wyjścia: pierwiastek kartezjańskiego <i>Cogito</i> w dziełach Witolda Gombrowicza.....	21
2. Kontekst: dyskusja <i>nature vs nurture</i>	52
2.1. Pozorny anachronizm pojęcia „natury ludzkiej”.....	54
2.2. Polemika Thomasa Hobbesa z Arystotelesem i jej konsekwencje.....	76
3. „Kościół międzyludzki”: dzieło natury czy kultury?.....	105
3.1. Perspektywa <i>nature</i>	123
3.2. Perspektywa <i>nurture</i>	138
4. Forma jako kategoria politologiczna.....	161
Zakończenie.....	198
Bibliografia.....	205

Wykaz skrótów

Iw. – W. Gombrowicz, *Iwona, księżniczka Burgunda* [w:] *Dramaty*, Kraków 2015.

Ferd. – W. Gombrowicz, *Ferdydurke*, Kraków 2017.

Op. – W. Gombrowicz, *Opętani*, Kraków 2014.

Ś. – W. Gombrowicz, *Ślub* [w:] *Dramaty*, Kraków 2015.

T.-A. – W. Gombrowicz, *Trans-Atlantyk*, Kraków 2017.

Dz. – W. Gombrowicz, *Dziennik*, Kraków 2018.

Bak. – W. *Bakakaj i inne opowiadania*, Kraków 2018.

Porn. – W. Gombrowicz, *Pornografia*, Kraków 2017.

Kosm. – W. Gombrowicz, *Kosmos*, Kraków 2018.

Test. – W. Gombrowicz, *Testament. Rozmowy z Dominikiem de Roux*, Kraków 2012.

Kurs – W. Gombrowicz, *Kurs filozofii w sześć godzin i kwadrans*, przekł. I. Kania, Kraków 2018.

W.p. – W. W. Gombrowicz, *Wspomnienia polskie. Wędrówki po Argentynie*, Warszawa 1991.

Wstęp

„R.: – Czy jednak pan rzeczywiście jest apolityczny?

G.: – Jako artysta? Jakżeby sztuka mogła być polityczna?”

W. Gombrowicz, *Testament*, s. 135.

Niniejsza dysertacja porusza problematykę polityczności natury ludzkiej w antropologii Witolda Gombrowicza. Autor *Ferdydurke* kreśli w swych dziełach w znacznej mierze nowatorską wizję świata; operując groteską, absurdem i specyficznym humorem, ukazuje dramatyzm ludzkiej egzystencji, a niejako skutkiem ubocznym jego zgoła pesymistycznych rozważań o wyraźnie uniwersalnym charakterze staje się awangardowa „myśl polityczna”. Bezwzględnie należy tu jednak zaznaczyć, że sam Gombrowicz nigdy nie tworzył gatunku *political fiction* ani też nigdy bezpośrednio nie pretendował do miana filozofa polityki, a – co więcej – niejednokrotnie akcentował artystyczny wymiar swych tekstów, dystansując się od wikłania w spory o politycznym charakterze¹. W konsekwencji, odczytywanie jego utworów w odniesieniu do polityczności może być postrzegane albo jako wynikająca z ignorancji nadinterpretacja, albo jako celowa manipulacja. Przewrotnie więc brzmi wyznanie, że celem tej rozprawy nie jest rozszyfrowanie intencji Witolda Gombrowicza. Co więcej – nie zamierzam nawet dociekać, jakie one były. To może niepokoić, zwłaszcza, że jako czytelnicy jesteśmy skażeni przeświadczeniem o możliwości i, co gorsza, konieczności czytania w myślach pisarzy. Powiedzieć, że to absurdalne, to nie powiedzieć nic, jednak nie o przykrych konsekwencjach edukacji polonistycznej będzie tutaj mowa.

W zamian proponuję rekonstrukcję myśli politycznej Gombrowicza przy jednoczesnym wzięciu w nawias tego, co autor miał na myśli. Jakie są szanse na powodzenie tej operacji? Sądzę, że niewątpliwie większe niż na samo wniknięcie do umysłu twórcy. Zwraca na to uwagę Umberto Eco, który w eseju o korzeniach współczesnej debaty dotyczącej znaczenia/wielości znaczeń tekstu, dokonuje istotnego rozróżnienia intencjonalności. Możemy bowiem mówić zarówno o *intentio operis*, *intentio auctoris*, jak i *intentio lectoris*. Badacz wyjaśnia, że „oprócz intencji autora (bardzo trudnej do odszukania i **często nieistotnej dla interpretacji tekstu** [podkr. D.Ś.]) i intencji interpretatora, który (by zacytować Richarda Rorty’ego) po prostu »nadaje tekstowi kształt, najodpowiedniejszy dla jego [interpretatora] celów«, jest też trzecia możliwość. Istnieje intencja

¹Problem ten omówiłam, między innymi, w artykule *Gombrowicz w starciu z „najgorszą z dzikich małp” – o granicach w interpretowaniu literatury z perspektywy nauk społecznych*, „Horyzonty Polityki” 2022, nr 13(42), s. 203-214.

tekstu”². W związku z tym, nie planuję wypowiadać się na temat intencji Gombrowicza. Moją intencją jest natomiast odczytanie jego dzieł przez pryzmat filozofii politycznej. Uważam też, że intencją analizowanych przeze mnie tekstów jest nakreślenie pewnych prawidłowości rządzących życiem społecznym – a te zaś wolno i warto przekładać na grunt nauk o polityce. I takie jest też zasadnicze założenie mojej pracy.

Zaryzykuję nawet stwierdzeniem, że twórczość Gombrowicza można z powodzeniem odczytywać jako swoisty *retelling* poszczególnych koncepcji z zakresu myśli politycznej. Pisarz bowiem, nonszalancko i wybiórczo chwytając za kluczowe filozoficzne idee i dekonstruując je, tworzy z nich *Easter eggs* we własnej literackiej fikcji. Jest to – co jeszcze wielokrotnie będę podkreślać – nad wyraz twórcza polemika z autorytetami, która efektywnie odświeża i aktualizuje refleksję nad egzystencją jednostki we wspólnocie. Najprościej rzecz ujmując: Gombrowicz opowiada filozofię (również – jeśli nie zwłaszcza – polityczną) na nowo.

Co warte podkreślenia, zbyt wąskie i/lub potoczne rozumienie terminu „polityka” sprawia, że pomysł zastosowania politologicznej perspektywy do analizy twórczości Gombrowicza uchodzić może za wysoce kontrowersyjny. Kiedy jednak prześledzimy poszczególne wypowiedzi pisarza, bez trudu zauważymy, że Gombrowicz krytycznie odnosi się wyłącznie do określonej „polityki” – a mianowicie, do wikłania jego sztuki w politykę rozumianą po weberowsku, czyli jako działań dążących do zdobycia i/bądź utrzymania władzy. Inaczej rzecz ujmując: wielokrotnie deklarowana przez pisarza apolityczność wyraża się w niechęci do: 1) zajmowania określonego stanowiska we współczesnych mu politycznych/ideologicznych sporach oraz 2) do tworzenia literatury bezpośrednio zaangażowanej w politykę. Nie jest to jednak równoznaczne z całkowitym dystansowaniem się od refleksji nad politycznością szeroko rozumianą, czyli zdecydowanie wykraczającą poza problematykę wyborczych preferencji³. Dla przykładu, Gombrowicz wiele swej uwagi poświęca bankructwu ideologii politycznych, specyfice polskiej kultury politycznej, relacjom pomiędzy obywatelami a rządzącymi, czy samej naturze wspólnoty politycznej. Jako zdystansowany (i nierzadko zde gustowany) obserwator społeczno-politycznej rzeczywistości, wyłuskuje z niej wszelkie kurioza, by następnie zbudować z nich własny świat, stanowiący nad wyraz złośliwą karykaturę tego, co nam zdążyło już spowszednieć. Powstały konstrukt można więc uznać za bezcenny punkt odniesienia dla politologów – a ich zadaniem byłoby w tym przypadku z a l e d w i e rozszyfrowanie artystycznego przekazu Gombrowicza. Reasumując, autor *Ferdydurke* na kartach swej publicystyki, diarystyki, jak również fikcji literackiej – nie nazywając

²U. Eco, *Interpretacja i historia* [w:] *Interpretacja i nadinterpretacja*, red. S. Collini, przekł. T. Bieroń, Kraków 1996, s. 27.

³O szerokim spektrum rozumienia polityczności pisał m.in. Marcin Król. Zob. tegoż, *Filozofia polityczna*, Kraków 2008, s. 129-164.

tego politologią – faktycznie oddaje się refleksji politologicznej na marginesie *quasi*-filozoficznych rozważań o znacznie wyższym poziomie ogólności.

Moim zasadniczym celem jest rekonstrukcja „myśli politycznej” Gombrowicza. Prowadzone przeze mnie badania dotyczą polityczności natury człowieka w odniesieniu do sporu *nature vs nurture*, a główny problem niniejszej rozprawy daje się sprowadzić do pytania o następującym brzmieniu: czy gombrowiczowski „kościół międzyludzki” i stanowiąca bezpośrednią konsekwencję tego konstruktów koncepcja wspólnoty politycznej, są dziełem natury, czy też może kultury (rozumianej jako wychowanie)? Nieco inaczej rzecz ujmując, analiza i interpretacja poszczególnych dzieł literackich ma prowadzić do rozstrzygnięcia, czy wyłaniająca się z utworów Gombrowicza jednostka jest ze swej natury polityczna, czy jednak sprawa przedstawia się wręcz odwrotnie. Przyjąć możemy co najmniej dwa możliwe rozwiązania: albo 1) często akcentowana przez artystę *sztuczność* międzyludzkiego kościoła jest realnym problemem i przyczyną cierpień bohaterów zmuszonych do działania wbrew ich aspołecznej/apolitycznej i egoistycznej naturze, albo 2) owa sztuczność jest jedynie złudzeniem zbuntowanych przedstawicieli gatunku *zoon politikon*, dążących do ucieczki przed stadem i – w efekcie – własnej zagłady. Pierwszy ze scenariuszy zbliża nieco Gombrowicza do intelektualnego dziedzictwa Thomasa Hobbesa, drugi zaś – do tego, co pozostawił po sobie Stagiryta.

Myśl autora *Ferdydurke* wolno więc traktować jako kolejny głos w dyskusji na temat polityczności ludzkiej natury – i to głos szczególnie interesujący, choćby ze względu na jego niejednoznaczność i sposób, w jaki wybrzmiewa. Charakterystyczny gombrowiczowski biologizm łączy się bowiem w pewnym momencie z przeświadczeniem o nienaturalności międzyludzkich relacji. Ta wewnętrzna sprzeczność sprawia, że decyzja o precyzyjnym umieszczeniu poglądów Gombrowicza na osi pomiędzy wartościami *nature* i *nurture* nie należy ani do prostych, ani – tym bardziej – oczywistych. Pisarz konfrontuje bowiem ze sobą argumenty słyszalne po obu stronach barykady i zachęca do poszukiwania dalszych, mniej szablonowych rozwiązań, a czyni to w zdecydowanie niekonwencjonalny sposób.

Jak proponowane ujęcie problemu prezentuje się na tle innych badań? Trzeba mieć na względzie, że twórczość pisarza, na przestrzeni ostatnich dziesięcioleci poddawana szerokiej literaturoznawczej i filozoficznej recepcji, współcześnie stanowi obszar badawczy będący niemałym wyzwaniem dla interpretatorów. Analizując literaturę przedmiotu można wręcz ulec wrażeniu, że gombrowiczologia to już zbyt wyeksplorowana nisza, by istniała szansa wniesienia do niej kolejnego wartościowego wkładu. Jak obrazowo nakreślił problem Łukasz Tischner: „Dzieło Witolda Gombrowicza zostało już wszechstronnie opisane w wielu bardziej lub mniej opasłych tomach, a biedny gombrowiczolog dzieli dziś los chudzielców w bibliotece Gonzala, którzy na

górach książek siedzą, ale wyczytać ich nie mogą, »choć i bez przerwy dzień cały czytają«⁴. W mojej ocenie, początkowe zachłyśnięcie się twórczością Gombrowicza, owocujące przytłaczającą wręcz ilością komentarzy, z biegiem czasu – i siłą rzeczy – nieco wytraciło swą moc. O ile przeczesywanie sieci w poszukiwaniu starszych (liczących, powiedzmy, dwie dekady i więcej) publikacji jest pracą syzyfową, o tyle dziś bycie (możliwie) na bieżąco z najnowszymi i najważniejszymi badaniami nie sprawia szczególnych trudności. Nie zmienia to jednak faktu, że przedstawienie stanu wiedzy gombrowiczologicznej⁵ nadal wymaga zdecydowanej selekcji. Ostatecznie, szkicując stan badań, zdecydowałam się przytaczać jedynie teksty, które najsilniej korespondują z tematyką niniejszej dysertacji i są z perspektywy politologa najbardziej interesujące, a także te, które już niejako wskutek umowy społecznej zostały uznane za ważne. Ponadto, moim zamierzeniem jest naszkicowanie tematycznej rozpiętości badań nad twórczością Gombrowicza. By zaś uniknąć chaosu, zdecydowałam się na ich pewne zblokowanie zarówno pod kątem formy, jak i tematyki.

Przegląd literatury przedmiotu zacznijmy od tomów wieloautorskich poruszających mniej lub bardziej rozległe zakresy zagadnień. Jedną z bardziej znanych publikacji poświęconych pisarzowi jest antologia z lat osiemdziesiątych opracowana przez Zdzisława Łapińskiego o wiele sugerującym tytule *Gombrowicz i krytycy*⁶. Opasłe tomisko zawiera zarówno teksty krytycznoliterackie, jak i *stricte* naukowe analizy poszczególnych utworów. Wśród autorów się zarówno twórcy⁷ tacy jak Bruno Schulz, Czesław Miłosz, Juliusz Kaden-Bandrowski, Tadeusz Dołęga-Mostowicz czy Antoni Libera, jak i badacze literatury, na przykład: Michał Głowiński, Aleksandra Okopień-Sławińska, Maria Janion i Jerzy Jarzębski. Docenić trzeba również część publikacji autorstwa Zofii Biłek-Dąbrowskiej, która w jednym miejscu zebrała *Materiały do bibliografii Witolda Gombrowicza*. Jak wyjaśnia badaczka we *Wstępie*: „Ogromne zainteresowanie twórczością Gombrowicza, zarówno w Polsce, jak i za granicą – liczne prace omawiające jego twórczość prozatorską, stała obecność jego sztuk w repertuarze polskim i światowym, wymagały usystematyzowania bogatej wiedzy o autorze i jego dorobku w podstawowy zestaw bibliograficzny, który stanowiłby bazę dla dalszych badań nad autorem. W celu maksymalnie pełnego zarejestrowania utworów autorstwa Gombrowicza i recepcji jego twórczości w Polsce wykorzystano materiały znajdujące się w bibliotekach krajowych. Pełne zestawienie twórczości autora, a zwłaszcza kompletny wykaz światowej recepcji jego twórczości, byłoby możliwe po przebadaniu podstawowych czasopism obcojęzycznych

⁴Ł. Tischner, *Gombrowicza milczenie o Bogu*, Kraków 2013, s. 12.

⁵Znacznie więcej ode mnie czyni to Józef Olejniczak. Odsyłam do artykułu *Anarchie Gombrowicza. Gombrowicz na niewiele się przydał...*, „Rana. Literatura – Doświadczenie – Tożsamość” 2021, nr 1(3), s. 2-3.

⁶*Gombrowicz i krytycy*, wyb. i oprac. Z. Łapiński, Kraków 1984.

⁷Którzy – by być możliwie precyzyjną – czasem pełnili również rolę badaczy, czego przykładem jest, oczywiście, Miłosz.

literackich i teatralnych, przede wszystkim południowoamerykańskich, skandynawskich, holenderskich, gdzie recepcja twórczości scenicznej była szeroka”⁸. Przypomnijmy tylko, że Biłek-Dąbrowska mówi wyłącznie o publikacjach zebranych zaledwie do 1980 roku. Dlatego też współcześnie opis stanu badań mógłby być nawet nie tyle tematem dla oddzielnej dysertacji, co raczej materiałem do skonstruowania wielotomowych encyklopedii gombrowiczologii.

Drugim pokaznym zbiorem mocno zróżnicowanych pod względem tematyki tekstów jest bliższa nam czasowo monografia wieloautorska zredagowana przez wspomnianego wcześniej Jerzego Jarzębskiego i opatrzona tytułem *Witold Gombrowicz nasz współczesny*⁹. Składają się na nią materiały z międzynarodowej konferencji zorganizowanej przez Instytut Polonistyki Uniwersytetu Jagiellońskiego z okazji stulecia urodzin literata. We wstępie redaktor zwraca uwagę na interesującą kwestię związaną z wczesną recepcją dzieł Gombrowicza. Mianowicie: „Gombrowicz był dotąd opisywany na wiele różnych sposobów, a »gombrowiczologia« istniała w Polsce i rosła na kształt lawiny nawet wtedy, kiedy książek autora *Ferdydurke* nie można było jeszcze kupić w księgarniach. Zwracano jednak wielokrotnie uwagę, że pisarz narzucił interpretatorom swych dzieł własne kategorie opisu i problematyzacji, dbał też wciąż o dostarczenie czytelnikom kanonicznych wykładni własnych tekstów, pozostając przez wiele lat »głównym gombrowiczologiem«. Zresztą taktyka jego była całkiem jasna: póki jako inspiracja dla literatury królował egzystencjalizm, pisarz podkreślał, że na tym polu był prekursorem, kiedy modny stał się strukturalizm, opublikował natychmiast w prasie francuskiej tekst zatytułowany *J'étais structuraliste avant tout le monde* (*Byłem pierwszym strukturalistą*). W ten sposób Gombrowicz zapewniał sobie zawsze miejsce w pierwszym szeregu intelektualnej awangardy, a interpretatorów skazywał najwyżej na komentowanie i poszerzanie własnych ujęć”¹⁰. Uwrażliwię tylko, że nie należy tekstów literaturoznawczych zrównywać z krytyką literacką, która za życia Gombrowicza toczyła z nim zaciekle boje, z niewątpliwym wyczuciem interpretując jego twórczość dokładnie tak, jak sam autor nie chciałby zostać odczytanym. To zresztą prowokowało pisarza do namnażania wspomnianych przez Jarzębskiego autokomentarzy. W każdym razie, *Gombrowicz nasz współczesny*, to udana próba odważniejszego spojrzenia na twórczość autora *Ferdydurke*, w której wyraźne jest jednak poszanowanie dla tekstu i samego pisarza.

Przed i po. Witold Gombrowicz pod redakcją Józefa Olejniczaka¹¹, to z kolei jedna z nowszych wieloautorskich monografii poświęconych autorowi *Ferdydurke*. Pozostając w temacie bardziej brawurowych ujęć, odnieśmy się do zawartego w nim artykułu Jarzębskiego, w którym

⁸Tamże, s. 745.

⁹*Witold Gombrowicz nasz współczesny*, red. J. Jarzębski, Kraków 2012.

¹⁰J. Jarzębski, *Słowo wstępne* [w:] *Witold Gombrowicz nasz współczesny*, dz. cyt., s. 5.

¹¹*Przed i po. Witold Gombrowicz*, red. J. Olejniczak, Kraków 2019, t 1 i 2.

literaturoznawca porusza temat śmiałych acz nie do końca niewinnych prób odczytania twórczości Gombrowicza. Badacz zamieszcza w swym tekście pewną anegdotę: „W siedzibie krakowskiego Klubu Jagiellońskiego odbyło się spotkanie, na które, wraz z Łukaszem Tischnerem, zostałem zaproszony (zapewne jako autor artykułu *Bóg ateistów. Schulz, Gombrowicz, Lem* z roku 1997), a ton dyskusji prowadzonej przez młodych działaczy klubu był dla pisarza wysoce przychylny. Owa przychylność warunkowana była jednak założeniem wstępnym – że Gombrowicz całkiem fałszywie był dotąd (przez lewicę) czytany, najwyższy więc czas, aby go przeciągnąć na właściwą stronę, odnajdując w jego książkach dotychczas nierozpoznane treści, ba, nawet zestawiając jego *Dziennik* z zapiskami kardynała Stefana Wyszyńskiego z czasów internowania¹². Łukasz Tischner ostrzegął wprawdzie młodych badaczy przed zbyt łatwym anektowaniem pisarza i przypisywaniem mu poglądów, których zapewne nie żywił, ale ideologiczna machina ruszyła już z kopyta”¹³. Oczywiście, by być sprawiedliwym, lewica uznając Gombrowicza za bezsprzecznie swojego krajana, również czyni o kilka kroków zbyt wiele – lecz, jak konstatuje znawca dzieł Gombrowicza, mimo wszystko pisarzowi bliżej byłoby do lewej, niż prawej strony sceny politycznej¹⁴. Tak wygląda pułapka zastawiona na interpretatorów dzieł twórców, którzy czytani byli już wielokrotnie: granica między innowacją i nadinterpretacją bywa czasem niedostatecznie wyraźna, zwłaszcza gdy do gry wkracza polityka. Dodać też należy, że monografia redagowana przez Olejniczaka nie samym Jarzębskim stoi, zawarty jest w niej bowiem szereg wartościowych (zwłaszcza dla mnie, bo poruszających tematykę polskości i polskiej kultury) tekstów, zarówno *stricte* literaturoznawczych jak i interdyscyplinarnych.

Kolejna publikacja, o której muszę wspomnieć, to książka pod redakcją Ewy Kobyłeckiej-Piwońskiej pod tytułem *Witold Gombrowicz pisarz argentyński. Antologia*¹⁵. Tu zakres tematyczny jest mocniej ograniczony, gdyż jak wyjaśnia redaktorka we wstępie: „Niniejsza antologia przedstawia Witolda Gombrowicza jako pisarza argentyńskiego – którego osobowość twórcza została jeśli nie ukształtowana, to przynajmniej rozwinięta w kontakcie z rzeczywistością Argentyny, i którego teksty czyta się jako twory tamtejszej kultury”¹⁶. Moją uwagę przykuły szczególnie dwa rozdziały: *Gombrowicz, wymykający się emigrant* – przedrukowany fragment doktoratu Nicolása Hochmana oraz *Dwa sposoby myślenia o zbrodni. Zbrodnia z premedytacją Gombrowicza (1933) i Emma Zunz Borgesa (1948)*, którego autorką jest Sylvia G. Dapía. A pozostając w tematyce, ujmijmy to dość niezgrabnie, zagranicznej, przytoczyć powinienam jeszcze

¹²Zainteresowanych ową paralełą odsyłam np. do artykułu Pawła Rojka, *Wyszyński i Gombrowicz*, „Pressje” 2013, teka 34, s. 8-14.

¹³J. Jarzębski, *Śmiech Gombrowicza dzisiaj* [w:] Witold Gombrowicz. *Przed i po*, dz. cyt., s. 34-35.

¹⁴Por. tamże, s. 36.

¹⁵*Witold Gombrowicz pisarz argentyński. Antologia*, red. Ewa Kobyłecka-Piwońska, Łódź-Kraków 2018.

¹⁶E. Kobyłecka-Piwońska, *Odmiany szumu* [w:] *Witold Gombrowicz pisarz argentyński...*, dz. cyt. s. 5.

monografię poświęconą powstałym (nierzadko w bólach) przekładom twórczości Gombrowicza. W 2022 roku pod redakcją Anny Spólnej wydano tom *Gombrowicz na językach. Lekcje tłumaczy*¹⁷. Oprócz tego, że prezentuje interesujące dzieje zmagania ze stylem pisarza, który tak udatnie bawił się polszczyzną, publikacja ponownie wskazuje na żywe zainteresowanie twórczością Gombrowicza rozwijającym się poza jego ojczyznę. I nie mówimy tu wyłącznie o państwach bezpośrednio związanych z biografią literata.

Rozgraniczenie stanu badań na zróżnicowane pod względem tematycznym tomy wieloautorskie i całą resztę, nie stanowiło oczywiście większego problemu. Niedogodności pojawiły się jednak przy próbie uporządkowania całej reszty. Rozważałam, między innymi, podział na publikacje *stricto* literaturoznawcze oraz te mniej lub bardziej wykraczające poza dyscyplinę. Wtedy mogłabym płynnie przejść do ujęcia literaturoznawczo-politologicznego i wykazać, jak niepopularna wciąż jest to ścieżka. I tu pojawił się problem: w przypadku twórcy tak mocno zainteresowanego filozofią, trudno poloniście byłoby omawiać jego dzieła z całkowitym pominięciem tego kontekstu¹⁸. Co więcej, Gombrowicz pisywał też często o mechanizmach sterujących społeczeństwem – jak zatem analizować jego dzieła bez odniesień do kategorii z zakresu nauk społecznych? Efekt jest taki, że większość literaturoznawczych opracowań przynajmniej lekko nawiązuje do innych dyscyplin. Zatem, dla precyzji, postanowiłam stan wiedzy podzielić na teksty z wyraźnie dominującym podejściem literaturoznawczym (w którym inne nauki traktowane są dość powierzchownie¹⁹) oraz te, w których występują inne proporcje. Ostatnie uwagi: przedstawione poniżej zestawienie należy traktować jako zbiór rekomendacji lektur, możliwie ułatwiających zapoznanie się z twórczością Gombrowicza, ale niewyczerpującą jakkolwiek temat listę w stylu tej przygotowanej przez Biłek-Dąbrowską. Starłam się jednak należycie wyeksponować rozstrzał tematyczny omówień dzieł pisarza.

A zatem, dość intensywnie polonistyczną publikacją, która jako pierwsza przychodzi mi na myśl, jest artykuł Doroty Korwin-Piotrowskiej pod tytułem *Pęta „Opętanych”*²⁰. Badaczka omawia w nim specyficzną mieszankę kiczowatego romansu i równie kiczowatego horroru, którą to młody Gombrowicz popełnił jeszcze przed wybuchem drugiej wojny światowej²¹. Warto też zwrócić

¹⁷*Gombrowicz na językach. Lekcje tłumaczy*, red. A. Spólna, Kraków 2022.

¹⁸Pomińmy już fakt, że literaturoznawstwo jest, wbrew pozorom, w filozofii mocno zanurzone. Czasem lektura podręcznika do metodologii tej dyscypliny niewiele różni się od podręczników poświęconych historii filozofii. Zob. np. Z. Mitosek, *Teorie badań literackich*, Warszawa 2012.

¹⁹I czego bynajmniej nie uznaję za wadę, takie podejście bywa zdecydowanie bardziej uczciwe, niż uzurpowanie sobie prawa do bycia znawcą wszystkich dyscyplin humanistycznych przy realnej wiedzy na temat zaledwie jednej z nich.

²⁰D. Korwin-Piotrowska, *Pęta „Opętanych”*, „Teksty Drugie” 1996, nr 4(40), s. 135-153.

²¹Na marginesie: *Opętani* nie są najchętniej analizowanym dziełem Gombrowicza, być może dlatego, że stanowią przykład tak zwanej literatury gatunkowej, która cieszy się złą sławą twórczości niższych lotów, przeznaczonej dla mniej wyrafinowanego czytelnika. O anachronizmie podziału sztuki ze względu na jej wysokość, przy jednoczesnym

uwagę na artykuł Łukasza Tischnera poświęcony temu samemu utworowi: „Czy warto być czystym sceptykiem, bez domieszki?” *Tajemnice Opętanych Witolda Gombrowicza*²². Kolejny tekst o wyraźnie literaturoznawczym nacechowaniu, który chciałabym w tym miejscu przywołać, to publikacja Janusza Margańskiego zatytułowana *Co robić z cytatami u Gombrowicza?*²³. Pożyteczna jest też, chociażby, lektura artykułu *Kicz jest w nas: Gombrowicza romans z kiczem* Jerzego Jarzębskiego²⁴. Małgorzata Kacik analizuje z kolei *Mit faustyczny w "Pornografii" Witolda Gombrowicza*²⁵, a żeby w naszym zestawieniu było jeszcze różnorodniej: Marcin Cieński opublikował swego czasu tekst *Grzeczność (staropolska) Gombrowicza*²⁶, Włodzimierz Bolecki skonfrontował autora *Ferdydurke* z tradycją romantyczną w artykule *Słowacki Gombrowicza*²⁷, a Robert Boyers przeanalizował *Formy perwersji w „Pornografii” Gombrowicza*²⁸. Wyliczając dalej: Mieczysław Inglot opisał *Romantyczne aspekty "Operetki" Witolda Gombrowicza*²⁹, Małgorzata Szpakowska określiła Gombrowicza mianem „teoretyka sztuki”³⁰, a Zbigniew Fiszbak omówił postawę pisarza wobec „wielkości”³¹. Odsyłam również do lektury zbioru artykułów Jerzego Jarzębskiego opatrzonego tytułem *Powieść jako autokreacja*³². Co prawda, badacz nieco miejsca poświęca tam również twórczości innych pisarzy, jak chociażby Brunona Schulza, czy Marka Hłaski – teksty na temat Gombrowicza wciąż zajmują jednak lwią część tomu. Bezwzględnie polecam również zapoznanie się z *Grą w Gombrowicza* tego samego autora³³. Sądzę też, że do kategorii publikacji o wyraźnie polonistycznym zacięciu włączyć można książkę Jana Błońskiego pod tytułem *Forma, śmiech i rzeczy ostateczne. Studia o Gombrowiczu*, zawierającą skorygowane i

krzywdzącym podziale odbiorców na tych z gustem i bez gustu, mowa będzie w tej pracy jeszcze niejednokrotnie. Gombrowicz swoją twórczością toczył bowiem walkę ze snobizmem szerzącym się wśród (nie)kulturalnych elit, a tymczasem sam wpadł w sidła kategoryzowania jego tekstów na wyższe i niższe. Dodajmy, że niektórzy dopatrywali się w *Opętanych* pewnego bardziej (ujmijmy to z przekąsem) ambitnego podtekstu – w końcu ich autorem był sam Gombrowicz! – jednak sądzę, iż spojrzenie na tę powieść jako na niezobowiązującą lekturę o humorystycznym zabarwieniu z motywami, które – owszem – zostaną później z powodzeniem powielone w bardziej wymagających dziełach pisarza, jest absolutnie wystarczająca i nie umniejsza ani autorowi, ani tym bardziej jego czytelnikom.

²²Ł. Tischner, „Czy warto być czystym sceptykiem, bez domieszki?” *Tajemnice Opętanych Witolda Gombrowicza*, „WIELOGŁOS” 2017, nr 4(34), s. 63-81.

²³J. Margański, *Co robić z cytatami u Gombrowicza?*, „Pamiętnik Literacki” 1995, nr 86/1, s. 85-109.

²⁴J. Jarzębski, *Kicz jest w nas: Gombrowicza romans z kiczem*, „Teksty Drugie” 1996, nr 4(40), s. 52-70.

²⁵M. Kacik, *Mit faustyczny w „Pornografii” Witolda Gombrowicza*, „Pamiętnik Literacki” 2003, nr 94/4, s. 99-115.

²⁶M. Cieński, *Grzeczność (staropolska) Gombrowicza*, „Napis. Pismo poświęcone literaturze okolicznościowej i użytkowej” 2004, nr 10, s. 223-233.

²⁷W. Bolecki, *Słowacki Gombrowicza*, „Teksty Drugie” 2010, nr 1/2 (121-122), s. 171-192.

²⁸R. Boyers, *Formy perwersji w „Pornografii” Gombrowicza*, przekł. I. Sieradzki, „Pamiętnik Literacki” 1973, nr 64/4, s. 285-310.

²⁹M. Inglot, *Romantyczne aspekty "Operetki" Witolda Gombrowicza*, „Pamiętnik Literacki” 1999, nr 90/3, s. 47-58.

³⁰M. Szpakowska, *Gombrowicz – teoretyk sztuki*, „Teksty” 1972, nr 2, s. 75-96.

³¹Z. Fiszbak, *Gombrowicz wobec „wielkości”*, „Acta Universitatis Lodziensis. Folia Litteraria Polonica” 2001, nr 4, s. 111-120.

³²J. Jarzębski, *Powieść jako autokreacja*, Kraków-Wrocław 1984.

³³Tenże, *Gra w Gombrowicza*, Warszawa 1982.

uzupełnione wersje opublikowanych już przez badacza artykułów³⁴. Kolejnym ciekawym i wyraźnie literaturoznawczym tekstem, który mogłabym przytoczyć w tym miejscu, jest również artykuł Tomasza Kunza *Witold Gombrowicz: autobiografizm w trzech odsłonach*³⁵.

A skoro już do biografistyki nawiązujemy, sądzę że warto wyodrębnić w tym miejscu kilka publikacji. Nie sposób nie wspomnieć szerzej o dwutomowym dziele Klementyny Suchanow *Gombrowicz. Ja, geniusz*³⁶. To wnikliwa opowieść o życiu pisarza, uwzględniająca również jego korzenie, czyli dzieje rodów Gombrowiczów i Kotkowskich, relacjonująca wnikliwie jego polskie, argentyńskie, niemieckie i francuskie przygody, przesycona anegdotami i – co najważniejsze – konstruowana nie z za biurka, lecz w konsekwencji realnej wędrówki śladami autora *Ferdydurke*. Sądzę, że trudno byłoby teraz stworzyć cokolwiek bardziej wyczerpującego temat. Suchanow dotarła bowiem do ważnych informatorów, korzystała z imponującej literatury przedmiotu i stworzyła z jednej strony tekst bardzo przydatny dla badaczy twórczości Gombrowicza (w przypadku tego autora znajomość pewnych faktów z jego biografii zdecydowanie ułatwia interpretację poszczególnych dzieł³⁷), z drugiej zaś – popularyzatorski, w najlepszym tego słowa znaczeniu. Każdorazowo nawiązując do pracy Suchanow nie ukrywam entuzjazmu, ponieważ uważam jej publikację za jedną z najcenniejszych dla współczesnej (nie tylko) polskiej gombrowiczologii.

Dodajmy, że biografka owocnie współpracowała z Ritą Gombrowicz³⁸, która – jako literaturoznawczyni – od dziesięcioleci pełni rolę kuratorki twórczości zmarłego męża. Warto zwrócić szczególną uwagę na dwie publikacje spadkobierczyni dzieł pisarza: *Gombrowicz w Argentynie 1939-1963* i *Gombrowicz w Europie 1962-1969*³⁹. Na oba tomy składają się zebrane przez nią świadectwa i dokumenty dotyczące autora *Ferdydurke*. W przedmowie do pierwszego z nich, Rita Gombrowicz wyznaje, że wyruszając po raz pierwszy do Argentyny w poszukiwaniu wspomnień po mężu, nie była nastrojona szczególnie optymistycznie. Szybko jednak okazało się,

³⁴J. Błoński, *Forma, śmiech i rzeczy ostateczne. Studia o Gombrowiczu*, Kraków 1994.

³⁵T. Kunz, *Witold Gombrowicz: autobiografizm w trzech odsłonach*, „Autobiografia. Literatura. Kultura. Media” 2014, nr 2(3), s. 15-32.

³⁶K. Suchanow, *Gombrowicz. Ja, geniusz*, t. 1 i 2, Wołowiec 2017.

³⁷Kwestia (nie)możliwości oddzielenia osoby autora od jego dzieła to jeden z poważniejszych problemów, z jakim w pewnym momencie przychodzi się zmierzyć – być może zaryzykuję nieco tym stwierdzeniem – niemal każdemu interpretującemu. Czy dany utwór warto rozpatrywać jako byt niezależny od biografii jego kreatora? Oto jest pytanie, które stoi u podstaw wielu dyskusji na gruncie metodologicznym. Moje stanowisko wygląda następująco: jeżeli autor w swoim dziele ewidentnie usiłuje przekazać coś (poglądy, informacje biograficzne, etc.) bardzo osobistego – grzechem byłoby negowanie tego faktu i bezrefleksyjne odrzucenie pokusy sięgania do prywatnego życia twórcy. Oczywiście, tu pojawia się dość niewygodne pytanie, jak zdefiniować ową ewidentność? Niestety (?), również w tym przypadku obiektywny osąd to mrzonka.

³⁸Odsyłam również do interesującej rozmowy z wdową po Gombrowiczu: *Rita Gombrowicz: I tak poświęciłabym się pisarzom [wywiad]*, <https://culture.pl/pl/artykul/rita-gombrowicz-i-tak-poswiecilabym-sie-pisarzom-wywiad>, dostęp: 26.09.2022.

³⁹R. Gombrowicz, *Gombrowicz w Argentynie 1939-1963*, przekł. Z. Chądzyńska, A. Husarska, Kraków 2005, tejsze, *Gombrowicz w Europie 1962-1969*, przekł. Oskar Hedemann i in., Kraków 2008.

że jej obawy były mocno przesadzone, a rozsupływanie sieci znajomości Gombrowicza i kolejne przeprowadzane rozmowy okazały się doświadczeniem bardzo satysfakcjonującym: „Tego rodzaju spotkania mogły stać się przygnębiającą paradą upiorów, a jednak nikt nie wpadł w sidła, jakie zazwyczaj zastawiają takie imprezy: nostalgia, żale nad sobą, komunały na temat mijającego czasu. Przeciwnie, podczas całego mojego miesięcznego pobytu miałam wrażenie, że biorę udział w radosnym święcie, regulowanym ścisłymi wytycznymi samego Gombrowicza. Ciągłe natykałam się na silniejsze lub słabsze ślady jego stylu, jego »formy«, którą narzucał »z całą żarliwością duszy« podczas swego dwudziestoczteroletniego wygnania. Jeszcze jedna rzecz mnie uderzyła: jego przyjaciele nie wykorzystywali go dla dodania sobie znaczenia – ani nie wywyższali siebie, ani też nie usiłowali jego pomniejszyć. Po prostu wskrzeszali go, wspominając jego zabawy, manie, dziwactwa, pozostawiając mu przy tym cały wymiar ludzki”⁴⁰. Ostatnie zdanie z cytatu znakomicie streszcza zawartość obu publikacji.

Wspomnijmy jeszcze o trzech wartych zainteresowania książkach zogniskowanych na postaci Gombrowicza. Zaczniemy od popularnonaukowej (jak sam autor określił) publikacji Józefa Olejniczaka *Gombrowicz. Ja!*⁴¹. Badacz interpretuje poszczególne dzieła pisarza w odniesieniu do kategorii podmiotowości, a biografia Gombrowicza stanowi w tym przypadku czynnik porządkujący owe rozważania.

Joanna Siedlecka popęła z kolei książkę o wyraźnie dziennikarskim zacięciu⁴². Jak wyjaśnia w przedmowie do *Jaśnie Panicza...: „Biografię pisarza zostawiam jednak historykom literatury. Jako reporterce chodziło mi natomiast o utrwalenie najdrobniejszych nawet śladów pamięci o nim, jakakolwiek by była, choć nie zawsze uważam ją za zgodną z rzeczywistością. Ale taki, a nie inny jej kształt to przecież świadectwo wciąż żywej legendy Gombrowicza, fascynującej coraz to nowe pokolenia czytelników. Legendy, która ma swoje źródło nie tylko w wyjątkowej twórczości, ale i losie pisarza – emigracji, samotności, sławie – a przede wszystkim w bezkompromisowej walce o swoje pisarstwo, w długiej, paradoksalnej obecności i jednocześnie nieobecności w naszym życiu literackim oraz kulturalnym”*⁴³.

Trzecią z publikacji, tym razem skoncentrowaną wyłącznie na wczesnych latach życia Gombrowicza, napisała Agnieszka Stawierska⁴⁴. *Gombrowicz w przedwojennej Polsce*, jak zapewnia biografka, to książka, która „zrodziła się z fascynacji, albo i miłości do autora *Ferdydurke*: właśnie tego młodego, nieopierzonego, mówiącego na wszystko »nie«; udręczonego

⁴⁰R. Gombrowicz, *Gombrowicz w Argentynie 1939-1963*, dz. cyt., s. 5-6.

⁴¹J. Olejniczak, *Gombrowicz. Ja!*, Łódź 2021.

⁴²J. Siedlecka, *Jaśnie Panicz. O Witoldzie Gombrowiczu*, Warszawa 2003.

⁴³Tamże, s. 7.

⁴⁴A. Stawierska, *Gombrowicz w przedwojennej Polsce*, Kraków 2001.

poczuciem obcości wobec własnego środowiska i nie mogącego zaspokoić swych ambicji – również tych, które dziś wydają się śmieszne, jak kompleks ziemianina wobec »karmazynów« z arystokracji»⁴⁵. To dość emocjonalne podejście do Gombrowicza nie jest zresztą osobliwością Stawierskiej: analizując literaturę przedmiotu niejednokrotnie odnotowałam, że wielu badaczy zdradza niemałe przywiązanie do postaci tego literata.

Wśród materiałów literaturoznawczych jako osobną kategorię zdecydowałam się wyszczególnić teksty o zabarwieniu *queer/gender studies*. Przytoczyć w tym miejscu można artykuł Knuta Andreasa Grimstada pod tytułem *Co zdarzyło się na brygu Banbury?: Gombrowicz, erotyka i prowokacja kultury*⁴⁶. Jarosław Błochowiak zainteresował się z kolei kwestią homoerotyzmu w *Ferdydurke*⁴⁷. Ciekawe spostrzeżenie pojawia się już na samym początku jego pracy: „Wielokrotnie w twórczości Gombrowicza pojawia się następujący schemat czy raczej wzorzec (trudno bowiem w przypadku tej twórczości mówić o schematach) zdarzeń: rzeczywistość zastana przez bohatera-narratora ulega rozbiciu lub zostaje doprowadzona do absurdu i nierzeczywistości; gdy wydaje się już, że procesu destrukcji lub odrealniania się świata nic nie może zahamować, pojawia się młody chłopiec. To nagle, cudowne zjawienie się wprowadza do świata zmierzającego ku pustce lub absurdowi kategorie takie, jak cielesność, zmysłowość, piękno, a nawet: naturalność, prostota - i dzięki temu nie tyle ocala rozpadająca się rzeczywistość (gdyż proces jej rozpadu jest nieodwracalny, ma się wrażenie, że musi ona ulec zniszczeniu), co otwiera rzeczywistość nową, daje szansę wyzwolenia się z mechanizmów absurdalnego i odrealniającego się świata. Ciało budzące zachwyty, konkret cielesny odsuwa i unieważnia niepokój rodzący się w narratorze wskutek zetknięcia się z pustką wszechświata lub z mroczną groteską i z deformującym działaniem rzeczywistości międzyludzkiej»⁴⁸.

Zainteresowanych nieco bardziej kompleksowym ujęciem queerowych aspektów twórczości polskiego pisarza odsyłam natomiast to publikacji Błażeja Warkockiego *Pamiętnik afektów z okresu dojrzewania. Gombrowicz – queer – Sedgwick*⁴⁹. Jak wyjaśnia autor: „Niniejsza praca jest interpretacją i monografią jednej książki Witolda Gombrowicza z punktu widzenia teorii queer, a szczególnie myśli Eve Kosofsky Sedgwick. Jest to też próba połączenia »bliskiego czytania« i »gęstego opisu«. Motywami przewodnimi są tu paranoja (w rozumieniu Sedgwick) oraz masochizm (w rozumieniu Deleuze’a), który jednak należy widzieć jako przypis do koncepcji paranoi»⁵⁰.

⁴⁵Tamże, s. 5.

⁴⁶K.A. Grimstad, *Co zdarzyło się na brygu Banbury?: Gombrowicz, erotyka i prowokacja kultury*, przekł. O. Kubińska, „Teksty Drugie” 2002, nr 3(75), s. 57-69.

⁴⁷J. Błochowiak, *Między ekstazą a zakazem: homoerotyzm w „Ferdydurke” Gombrowicza*, „Pamiętnik Literacki” 2008, nr 99/4, s. 79-95.

⁴⁸Tamże, s. 79.

⁴⁹B. Warkocki, *Pamiętnik afektów z okresu dojrzewania. Gombrowicz – queer – Sedgwick*, Warszawa 2018.

⁵⁰Tamże, s. 34.

Można wspomnieć jeszcze o książce Moniki Bolach zatytułowanej *Płeć jako agrafka. O twórczości Witolda Gombrowicza*, której zasadniczym celem jest ukazanie emancypacyjnego aspektu twórczości pisarza⁵¹.

W ten oto sposób płynnie przechodzimy do segmentu bardziej interdyscyplinarnych recepcji dzieł Gombrowicza. Jak już wspomniałam, filozofia była jednym z hobby autora *Ferdydurke*. Nie dziwi więc fakt, że badacze literatury szybko sięgnęli również po aparat pojęciowy i metodologię typową tej dyscypliny. Co ważne, zadziało to również w przeciwnym kierunku, bowiem twórczością literacką Gombrowicza zainteresowali się także systematyczni badacze filozofii. Ponownie podkreślam, że wyliczone przeze mnie publikacje to zaledwie wyimki z całych bibliotek gombrowiczoologii. W tym momencie zdecydowałam się też złamać przyjętą wcześniej zasadę rozdzielania analiz na te wieloautorskie i napisane w pojedynkę. Trudno bowiem nie wspomnieć w tej części zestawienia o zbiorze tekstów *Gombrowicz filozof*, wybranych i opracowanych przez Francesca Cataluccia i Jerzego Illga⁵². Publikacją, na temat której należy tu bezwzględnie nadmienić, jest także książka Tadeusza Kępińskiego opatrzona tytułem *Witold Gombrowicz studium portretowe drugie*⁵³. Przyjaciel autora *Ferdydurke* podejmuje w niej próbę pewnej korekty dotychczasowej recepcji, wskazując – z perspektywy filozofa – na pewne nieścisłości w odczytywaniu Gombrowicza przez pryzmat poszczególnych myślicieli. W publikacji nie brakuje więc polemik z poszczególnymi gombrowiczoologami. Z nowszych tekstów: Hanna Buczyńska-Garewicz z powodzeniem opisuje *Gombrowiczowskie żarty z Heideggera*⁵⁴, a Tul'si Kamila Bhambry – powiązania pisarza z Deleuze'em⁵⁵. Cofając się zaś do lat osiemdziesiątych, odnaleźć można artykuł Anieli Kowalskiej pod tytułem *Gombrowiczowskie „Wydzie się z Montaigne'a”*⁵⁶. Wyraźnie filozoficzne zabarwienie mają również artykuły Kazimierza Bartoszyńskiego *Antynomie Gombrowicza a problemy interpretacji literackiej*⁵⁷, Łukasza Tischnera *Gombrowicz poprawia Nietzschego. Kilka uwag o „Szczurze”*⁵⁸ oraz Edwarda Fiały – *Wokół zła ontycznego w prozie Gombrowicza*⁵⁹. Do listy dodajmy jeszcze *Gombrowicza wiecznego debiutanta* pióra Janusza

⁵¹M. Bolach, *Płeć jako agrafka. O twórczości Witolda Gombrowicza*, Toruń 2009.

⁵²*Gombrowicz filozof*, wybór i oprac. F. M. Cataluccio, J. Illg, Kraków 1991.

⁵³T. Kępiński, *Witold Gombrowicz studium portretowe drugie*, Warszawa 1992.

⁵⁴H. Buczyńska-Garewicz, *Gombrowiczowskie żarty z Heideggera*, „Teksty Drugie” 2011, nr 1/2 (127-128), s. 345-353.

⁵⁵T.K. Bhambry, *Czytając Gombrowicza z Deleuze'em*, przekł. A. Klubka, „Teksty Drugie” 2011, nr 3 (129), s. 118-121.

⁵⁶A. Kowalska, *Gombrowiczowskie „Wydzie się z Montaigne'a”*, „Prace Polonistyczne” 1982, nr 38, s. 201-209.

⁵⁷K. Bartoszyński, *Antynomie Gombrowicza a problemy interpretacji literackiej*, „Pamiętnik Literacki” 1978, nr 69/2, s. 57-67.

⁵⁸Ł. Tischner, *Gombrowicz poprawia Nietzschego. Kilka uwag o „Szczurze”*, „Teksty Drugie” 2013, nr 1-2, s. 201-206.

⁵⁹E. Fiała, *Wokół zła ontycznego w prozie Gombrowicza*, „Pamiętnik Literacki” 2012, nr 103/2, s. 41-58.

Margańskiego⁶⁰, w której to książce podjęta zostaje (między innymi) kwestia szczególnie mnie nurtująca – mianowicie, kartezyjańskie *Cogito*. Ten temat pojawia się również w *Czarnym nurcie...* Michała Pawła Markowskiego⁶¹. Mateusz Werner podjął się z kolei próby omówienia filozoficznej kategorii nihilizmu w dziełach Gombrowicza i Stanisława Ignacego Witkiewicza⁶². Alfred Gall dopełnił zaś monografię *Humanizm performatywny. Polemika z filozofią w praktyce literackiej Witolda Gombrowicza*⁶³.

Filozofię traktuję jako swoisty pomost pomiędzy literaturoznawstwem a perspektywą nauk politycznych. Od filozofii do filozofii politycznej (a więc jednej ze składowych politologii) droga już przecież niedaleka. Okazuje się jednak, że bardzo wyboista, ponieważ perspektywa politologiczna (co już zasygnalizowałam) nie jest popularnym kierunkiem. Przyjrzyjmy się zatem tekstom nie tylko literaturoznawczo-politologicznym (gdyż takich, co za moment udowodnię, dotychczas powstały śladowe ilości), ale też takim o typowo polonistycznej metodologii, w których polityka odgrywa jednak całkiem istotną rolę. Ponownie przywołajmy więc twórczość naukową Jerzego Jarzębskiego. Jego artykuł *Gombrowicz i Szekspir* zawiera bowiem szereg cennych odniesień do kategorii władzy politycznej⁶⁴. Z zupełnie innej strony temat polityki uchwycił Marian Bielecki, dość ryzykownie podejmując kwestię lewicowości Gombrowicza w interesującej publikacji *Lewackie dyskursje: o trzeciej części „Ferdydurki” Gombrowicza*⁶⁵. Jeszcze bardziej odmienną perspektywę patrzenia na politykę przyjmuje, na przykład, Maria Delaperrière w tekście *Kościół międzyludzki i absurd totalitarny w teatrze Gombrowicza*⁶⁶. Wątek polityczności zostaje podjęty także w *Gombrowicza grach z Kulturą...* Marcina Kępińskiego⁶⁷, przede wszystkim w rozdziale poświęconym *Trans-Atlantykowi*, a także w artykule Edwarda Polanowskiego *Polska i Polacy w "Dzienniku" Witolda Gombrowicza*⁶⁸. Ponownie, w tym momencie zaburzymy nieco porządek i przytoczymy dwie monografie wieloautorskie. Pierwszą z nich jest publikacja pod

⁶⁰J. Margański, *Gombrowicz wieczny debiutant*, Kraków 2001.

⁶¹M.P. Markowski, *Czarny nurt. Gombrowicz, świat, literatura*, Kraków 2004.

⁶²M. Werner, *Wobec nihilizmu. Gombrowicz. Witkacy*, Warszawa 2009.

⁶³A. Gall, *Humanizm performatywny. Polemika z filozofią w praktyce literackiej Witolda Gombrowicza*, Kraków 2011.

⁶⁴J. Jarzębski, *Gombrowicz i Szekspir*, „Pamiętnik Literacki” 2014, 105/3, s. 79-91.

⁶⁵M. Bielecki, *Lewackie dyskursje: o trzeciej części „Ferdydurki” Gombrowicza*, „Literaturoznawstwo: historia, teoria, metodologia, krytyka” 2012-2013, nr 1(6)-2(7), 95-110, s. 95-111.

⁶⁶M. Delaperrière, *Kościół międzyludzki i absurd totalitarny w teatrze Gombrowicza*, „Teksty Drugie” 2002, nr 3 (75), s. 22-34.

⁶⁷M. Kępiński, *Gombrowicza gry z Kulturą. Mit, symbol, historia, tradycja*, Warszawa 2006.

⁶⁸E. Polanowski, *Polska i Polacy w "Dzienniku" Witolda Gombrowicza*, „Prace Naukowe. Filologia Polska. Historia i Teoria Literatury” 1994, nr 4, s. 7-14.

redakcją Sylvii G. Dapii pod tytułem *Gombrowicz in Transnational Context: Translation, Affect, and Politics*⁶⁹. Drugą zaś: *Grymasy Gombrowicza...* pod redakcją Ewy Płonowskiej-Ziarek⁷⁰.

Przechodząc zaś do tekstów mniej literaturoznawczych, a zdecydowanie mocniej osadzonych w naukach społecznych, klasykiem w tej kategorii jest *Gombrowicz. Człowiek wobec ludzi* Leszka Nowaka⁷¹. Jest to bodaj pierwsza tak śmiała próba wyabstrahowania Gombrowicza z polonistyki i przyjrzenia się jego twórczości jako artystycznej próbie opisanie społecznej rzeczywistości. Jak zaznacza autor we wstępie, jego esej ma realizować trzy zadania: 1) nakreślenie „głównych zrębów filozofii społecznej” Gombrowicza, 2) przedstawienie modelu Gombrowiczowskiej jednostki oraz 3) wskazanie pewnego ograniczenia społecznej myśli Gombrowicza⁷². Oczywiście, na pierwszy rzut oka książka Nowaka jest raczej rodem ze styku filozofii z socjologią, jednakże liczne odwołania do politycznych ideologii sprawiają, iż politolog również mógłby być lekturą całkiem ukontentowany.

Tekstem (niestety) mniej popularnym, ale niewątpliwie wartym odnotowania jest artykuł Piotra Kulasa *Gombrowicz i problem teologiczno-polityczny*⁷³. Badacz, co dla mnie szczególnie cenne, zestawia w nim świat Gombrowiczowski z koncepcją Thomasa Hobbesa. Stwierdza bowiem w pewnym momencie, iż: „[Ślub Gombrowicza – D.Ś.] Z jednej strony dostarcza analizy ładu społecznego, z drugiej – podnosi problem istnienia Boga jako najlepszej gwarancji tego ładu. Podobieństwo do *Lewiatana* Hobbesa, którego Gombrowicz nie znał, uderza od samego początku. Zwłaszcza od momentu, gdy Henryk chce, by jego najbliższy przyjaciel, Władzio, popełnił samobójstwo. Samobójstwo Władzia, zgodnie z intencją Henryka, ma uzasadnić jego władzę i panowanie, odsuwając przy okazji wszelkie podejrzenia od jego związku z narzeczoną Henryka. Przede wszystkim jednak Henryk chce uzyskać legitymizację swojej władzy w świecie, w którym zabrakło Boga będącego rękojmią panowania. Żądanie Henryka jest też szczególnym wyrazem hobbesowskiego przekonania, iż władca dysponuje prawem do wszystkiego, także do ciała i życia swoich poddanych”⁷⁴.

Nie sposób też nie wspomnieć w tym miejscu o publikacjach Wojciecha Kautego. Pierwsza z nich – *Polska i Polacy a „duch” nowożytności w Dzienniku Witolda Gombrowicza*⁷⁵ – dotyczy

⁶⁹*Gombrowicz in Transnational Context: Translation, Affect, and Politics*, red. Sylvia G. Dapia, New York 2019.

⁷⁰*Grymasy Gombrowicza. W kręgu problemów modernizmu, społeczno-kulturowej roli płci i tożsamości narodowej*, red. E. Płonowska-Ziarek, przekł. J. Margański, Kraków 2001.

⁷¹L. Nowak, *Gombrowicz. Człowiek wobec ludzi*, Warszawa 2000.

⁷²Tamże, s. 15.

⁷³P. Kulas, *Gombrowicz i problem teologiczno-polityczny*, „Przegląd Polityczny” 2012, nr 114, s. 147-152.

⁷⁴Tamże, s. 148-149.

⁷⁵W. Kaute, *Polska i Polacy a „duch” nowożytności w Dzienniku Witolda Gombrowicza*, „Studia humanistyczno-społeczne”, nr 12, s. 53–90.

twórczości pisarza bezpośrednio, druga zaś – *Europa, kultura, Polska w świecie „śmierci Boga”*⁷⁶ – o Gombrowiczu zaledwie wzmiankuje, lecz stanowi doskonały dowód, że dzieła literackie można z powodzeniem stosować jako ilustrację do politologicznych rozważań.

Na sam koniec pozostawiam zaś zdecydowanie najbliższe mojemu podejściu publikacje Piotra Świercza. Zasadniczym celem pierwszego z artykułów, o którym chciałabym wspomnieć – czyli tekstu pod tytułem *Between Realism and Nominalism. Gombrowicz and the Debate on Polish and European Archetypes of Political Culture*⁷⁷ – jest omówienie najważniejszych nacechowanych społeczno-politycznie wątków twórczości pisarza, ze szczególnym uwzględnieniem kategorii polskości. Politolog koncentruje się w tym przypadku na zapiskach z Gombrowiczowskiego *Dziennika*. Świercz podejmuje się również analizy *Ślubu* z punktu widzenia własnej dyscypliny i w szkicu *The Marriage from the Perspective of Political Philosophy*⁷⁸ wskazuje na Kartezjański trop odczytywania Gombrowicza w kontekście polityczności, który zresztą w niniejszej rozprawie zdecydowałam się podjąć.

Interdyscyplinarny charakter niniejszej dysertacji wymaga zastosowania specyficznej metodologii. Jak już wielokrotnie sygnalizowałam, Gombrowicz nie pisywał politologicznych traktatów, co jednak nie oznacza, że mechaniki rządzące jego uniwersum są całkowicie oderwane od rzeczywistości. Trudno nawet dopatrywać się w jego dziełach przesłanek do eskapizmu. W przypadku twórczości Gombrowicza, fikcja literacka jest narzędziem do opisu jego spostrzeżeń dotyczących świata, w którym dane było mu funkcjonować. Co najistotniejsze: tyczy się to również świata polityki. By zrekonstruować myśl polityczną pisarza, zdecydowałam się poddać analizie jego mniej lub bardziej osobiste zapiski, okraszone anegdotami próby filozofowania, przemyślenia o politycznym zabarwieniu na marginesie rozważań dotyczących sztuki, czy wreszcie przesyczone groteską formy prozatorskie. Ze świadomością utrudnień związanych z wyjątkową formą tekstów Gombrowicza, podjęłam decyzję o ograniczeniu literaturoznawczych narzędzi do niezbędnego minimum oraz zaakcentowania perspektywy politologicznej. W praktyce oznacza to, że podstawową metodą wykorzystywaną do rekonstrukcji Gombrowiczowskiej myśli politycznej jest jakościowa analiza treści, uzupełniona o podejście komparatystyczne – porównywane są tu zarówno poszczególne teksty Gombrowicza między sobą, jak i z twórczością wybranych myślicieli politycznych – przy jednoczesnym pominięciu szczegółowego omówienia m.in. zastosowanych środków artystycznego wyrazu, charakterystyki epoki literackiej, czy też wnikliwej rekonstrukcji

⁷⁶W. Kaute, *Europa, kultura, Polska w świecie „śmierci Boga”*, „Polonia Journal” 2020, nr 11, s. 123-149.

⁷⁷P. Świercz, *Between Realism and Nominalism. Gombrowicz and the Debate on Polish and European Archetypes of Political Culture*, „Horyzonty Polityki” 2019, nr 10(33), s. 61-79.

⁷⁸Tenże, *The Marriage from the Perspective of Political Philosophy*, „Horyzonty Polityki” 2019, nr 10(30), s. 39-64,

biografii pisarza⁷⁹. Z racji, że tematyka dysertacji należy raczej do mniej typowych, zdecydowałam się również samodzielnie utworzyć metodę operacjonalizacji używanych pojęć. Mianowicie: w niniejszej pracy wielokrotnie padać będą dość monumentalne słowa, takie jak polityczność, wolność, świadomość, czy natura ludzka. Nie wyobrażam sobie spłykania ich za pomocą słownikowych definicji, podobnie jak nie wyobrażam sobie braku doprecyzowania ich znaczeń. Sama zaś próba wyczerpującego omówienia, uwzględniającego historyczne zawilości ich stosowania, to materiał na kilka oddzielnych rozpraw. A gdzie w tym wszystkim miałyby się znaleźć miejsce dla samego Gombrowicza? W związku z tym, postanowiłam dookreślać i formułować znaczenie wskazanych wyżej pojęć niejako w zderzeniu z twórczością pisarza. Z wybranych utworów czynię więc matrycę do politologicznych rozważań i omawiam poszczególne dzieła niemal jednocześnie kreśląc tło historii myśli politycznej. W ten sposób mogę na bieżąco tłumaczyć literaturę piękną na język nauk politycznych. Służyć temu mają obszernie cytaty z Gombrowicza, w których padają owe dyskusyjne pojęcia. Ważnym argumentem za przytaczaniem rozległych partii tekstu jest groteskowy wydźwięk dzieł pisarza. W konsekwencji, próby streszczania poszczególnych fabuł i akcji niemal każdorazowo skazują interpretatora na śmieszność. W mojej ocenie, zdecydowanie sensowniej oddać głos samemu autorowi i nie stosować zbędnych cięć, które sugerowałyby manipulację; zdecydowanie korzystniej jest opatrywać przytaczane fragmenty wnikliwym komentarzem. Mówiąc inaczej, wszelkie parafrazy są w tym przypadku zbędne.

Uznałam, że najlepszym punktem wyjścia do rozważań na temat polityczności ludzkiej natury w antropologii Gombrowicza jest skonfrontowanie jego dzieł z koncepcją *Cogito*. Do najśłynniejszej (i wyraźnie oddziałującej na kształt nowożytnej myśli politycznej) idei Kartezjusza polski pisarz odnosi się bezpośrednio na kartach swego *Kursu filozofii...*, zaś uproszczona przez Gombrowicza myśl Kartezjańska przenika koncepcję „międzyludzkiego kościoła”, której kwintesencję odnajdziemy w *Ślubie*. W pierwszym rozdziale rozprawy Kartezjański pierwiastek twórczości Gombrowicza zdecydowałam się omówić w odniesieniu do *Bankietu* syntetyzującego kluczowe elementy stylu pisarza. Dopiero bowiem swoista imersja (oraz emersja) w literackiej fikcji pozwala na niespływającą tematu politologiczną interpretację. Drugi etap moich badań dotyczy kontekstu, który w praktyce znakomicie porządkuje refleksję nad „myślą polityczną” Gombrowicza. Mowa o dyskusji *nature vs nurture*. Z omówieniem sporu, który ewoluował na przestrzeni dziejów i wkroczył również na teren nauk przyrodniczych, bezwzględnie wiąże się konieczność doprecyzowania rozumienia pojęcia „ludzkiej natury”. Okazuje się, że uproszczone a

⁷⁹Choć ta ostatnia, jak już wspomniałam, bywa czasem nad wyraz pomocna przy analizie dzieł Gombrowicza, więc całkowicie negować jej nie zamierzam.

zarazem powszechne utożsamianie jej z „istotą” nierzadko prowadzi do stłumienia dyskusji oraz uznania wciąż istotnego i aktualnego problemu za całkowicie anachroniczny. Uważam, że postrzeganie natury jako s t r u k t u r y oraz zniuansowanie kwestii wpisujących się w nią przypadłości całkowicie odmienia pozornie patową sytuację. W tym przypadku, tekstami wymagającymi szczególnej uwagi będą: 1) polemizujący z kategorią natury, a zarazem nawiązujący do nietzscheanizmu *Szczur* oraz 2) *Filidor dzieckiem podszyty*, bezlitośnie wyszydający naukowe spory. Trzeci rozdział rozprawy rozgrywa się już na *stricte* politologicznym polu i dotyczy kwestii kluczowej: rozstrzygnięcia problemu polityczności ludzkiej natury. Dla przejrzystości, dokonałam wyraźnego podziału na przesłanki świadczące o pierwiastku *nature* i *nurture*. Zasadniczym celem tej części dysertacji jest wydanie werdyktu, który z poglądów dominuje w „myśli politycznej” Gombrowicza. Ostatnim etapem moich badań jest zaś omówienie koncepcji Gombrowiczowskiej Formy w bezpośrednim odniesieniu do politologii. Zdecydowałam się szczególnie zaakcentować kwestię polskiego bez-Formia. W rozdziale czwartym pragnę udowodnić, że Forma może być kategorią politologiczną oraz że jej znajomość i zrozumienie pozwala na efektywną analizę mechanik rządzących światem polityki.

1. Punkt wyjścia: pierwiastek kartezjańskiego *Cogito* w dziełach Witolda Gombrowicza

„Poniedziałek

Ja.

Wtorek

Ja.

Środa

Ja.

Czwartek

Ja.

Piątek”

W. Gombrowicz, *Dziennik*, s. 9.

Zacznijmy od paradoksu: choć określanie René Descartesa mianem myśliciela politycznego to zdecydowanie zbyt daleko idące nadużycie, refleksja nad nowożytną myślą polityczną całkowicie negująca spuściznę Kartezjańską również by nim była. Mówiąc inaczej, Kartezjusz – nadając nowy tor myśleniu o człowieku i otaczającym go świecie⁸⁰ – siłą rzeczy wpływa również na kształt zachodniej refleksji, którą dziś możemy określić mianem politologicznej. Takie ujęcie może być bliskie, między innymi, Wojciechowi Kautemu, który w publikacji poświęconej filozoficznym fundamentom namysłu nad polityką, sporo miejsca poświęca właśnie poglądom Francuza. Badacz diagnozuje: „Tym, co zdecydowało o przełomowym znaczeniu wystąpienia Kartezjusza, jest jego odpowiedź na pytanie o to, co »pierwsze« w myśleniu o świecie; od czego w ludzkim poznaniu wszystko się zaczyna. Ta odpowiedź brzmi: tym kimś (czymś) jest Ja. [...] U podstaw kultury i cywilizacji czasów nowożytnych Kartezjusz dokonuje odkrycia, które określi oblicze kultury europejskiej na wieki”⁸¹. Innymi słowy: chodzi w tym wszystkim o bezprecedensową skalę intensywności wyeksponowania roli podmiotu.

Richard Watson, jeden z biografów francuskiego myśliciela, z emfazą pisze o Kartezjańskim rdzeniu rzeczywistości, w której przychodzi nam dziś funkcjonować. W opinii badacza, to właśnie

⁸⁰Nie widzę większego sensu w referowaniu myśli francuskiego filozofa i udawaniu, że nikt tego wcześniej dobrze nie zrobił, dlatego też odsyłam m.in. do skondensowanej wykładni kartezjańskiej epistemologii: L. Newman, *Descartes' Epistemology* [w:] *The Stanford Encyclopedia of Philosophy* (Spring 2019 Edition), red. E. N. Zalta, <https://plato.stanford.edu/archives/spr2019/entries/descartes-epistemology>, dostęp: 24.07.2022. Oczywiście, poszukiwania u źródeł należałoby rozpocząć od Kartezjuszowej *Rozprawy o metodzie*, przekł. T. Boy-Żeleński [online:] <https://wolnelektury.pl/media/book/pdf/rozprawa-o-metodzie.pdf>, dostęp 26.10.2022, oraz obu tomów *Medytacji o pierwszej filozofii*, przekł. M. i K. Ajdukiewiczowie, Warszawa 2010.

⁸¹W. Kaute, *W poszukiwaniu dobrego życia. U filozoficznych podstaw głównych orientacji politycznego myślenia*, Katowice 2012, s. 51.

ten filozof pośrednio odpowiada za współczesne osiągnięcia biologii molekularnej i inżynierii genetycznej, rozwój sektora *high-tech*, ale także wynalezienie bomby atomowej; kartezyjizmem podszyta jest zarówno współczesna demokracja, dziewiętnastowieczna rewolucja przemysłowa, jak i Oświecenie⁸². Brzmi to skądinąd efektownie, czy jednak w alternatywnej rzeczywistości, w której nigdy nie dochodzi do publikacji *Rozprawy o metodzie*, niniejsza dysertacja zapisywana byłaby (w najlepszym przypadku) gęsim piórem na pergaminie? Wbrew pozorom, to całkiem poważne pytanie o realną innowacyjność i przełomowy charakter filozofii Kartezjusza.

Nowoczesność Kartezjusza wyraża się bowiem nie tyle w treści jego poglądów, co w umiejętności ich wyartykułowania oraz zdolności do syntezy idei, które wybrzmiały już wcześniej i przeszły przez historię filozofii bez większego echa. Biorąc zatem pod uwagę doniosłą rolę odgrywaną przez francuskiego myśliciela w historii (nie tylko) idei, wynikającą w znacznej mierze z jego stylu, dziwić nie powinno, że Witold Gombrowicz prędzej czy później zapragnie się z nim pokłócić. Polemika, którą przeprowadza, rozgrywa się na kartach jego dzieł literackich wielowymiarowo, chaotycznie, czasem wprost, a czasem między wierszami. Z jednej strony, pisarz wyraźnie inspirowany ideą *Cogito*, z drugiej zaś – beztróska posądza jej autora o intelektualne tchórzostwo, czego dowód zamieszczam poniżej:

„Co jest wielkim błędem, »odchyleniem« Kartezjusza (jak powiada Husserl)? *Kartezjusz zląkł się przerażających konsekwencji* swoich idei. Próbuje on dowieść obiektywnej rzeczywistości Boga – a więc świata (jako stworzonego przez Boga).

Lęk Kartezjusza podobny jest do lęku Sartre'a. Z tego powodu cała jego późniejsza filozofia uległa zafałszowaniu”⁸³.

W tej części rozprawy przyjrzymy więc się dość skomplikowanej relacji Gombrowicza z dziedzictwem kartezyjizmu, by móc wyraźnie nakreślić punkt wyjścia do politologicznego namysłu. Dodać muszę, że niniejszy rozdział powstawał w cieniu poważnych dylematów natury metodologicznej, a jego finalna struktura jest konsekwencją wielokrotnych i drastycznych przekształceń. Mnie samą to zaskoczyło, ponieważ zamysł nie należy do wybitnie skomplikowanych. Chodzi bowiem zaledwie o naświetlenie Kartezjańskiego podtekstu dzieł

⁸²„René Descartes, the Father of Modern Philosophy, one of the greatest mathematical geniuses who ever lived, laid the foundations for the dominance of reason in science and human affairs. He desacralized nature and set the individual human being above church and state. Without Cartesian individualism, we would have no democracy. Without the Cartesian method of analyzing material things into their primary elements, we would never have developed the atom bomb. The seventeenth-century rise of Modern Science, the eighteenth-century Enlightenment, the nineteenth-century Industrial Revolution, your twentieth-century personal computer, and the twenty-first-century deciphering of the brain – all Cartesian. The modern world is Cartesian to the core – this world of high technology, mathematical physics, calculators and robots, molecular biology and genetic engineering – a world in which deductive reason guides and controls not only our science, technology, and practical action, but most of our moral decisions as well”. R. Watson, *Cogito, Ergo Sum. The Life Of René Descartes*, Boston 2007, s. 3.

⁸³Kurs, s. 16.

Gombrowicza. Powstało już kilka wartościowych publikacji na ten temat (odsylam do tekstów Janusza Margańskiego, Michała Pawła Markowskiego i Piotra Świercza⁸⁴), a i sam pisarz niejednokrotnie nawiązywał *expressis verbis* do twórczości Kartezjusza. Oba te czynniki minimalizują ryzyko nadinterpretacji i torują drogę do dalszych analiz. Postanowiłam zatem rozwinąć to zagadnienie, czyniąc z niego preludeum do refleksji politologicznej. Mój początkowy plan zakładał: 1) wyizolowanie z materiału badawczego bezpośrednich nawiązań do *Cogito*, 2) opatrzenie ich stosownym komentarzem, by później móc 3) odnieść je do opowiadań, powieści i dramatów, w których kartezjańskie echa podprogowo wybrzmiewają. Byłoby to efektywne rozwiązanie – porządkujące treść i stopniujące poziom abstrakcyjności zarazem – gdyby nie literacko-filozoficzna strategia autora. Z jej powodu, moja każdorazowa próba maksymalnie usystematyzowanej prezentacji wyników badań, kończyła się niezadowolającym efektem. Zdradzam te kulisy, ponieważ nawarstwiające się trudności dotyczące, *nomen omen*, formy redagowanego tekstu, prowadzą do wniosku cenniejszego od konstatacji o kartezjańskim fundamencie międzyludzkiego kościoła.

W mojej ocenie, kluczem do zrozumienia *quasi*-filozofii autora *Ferdynand* jest imersja oraz, co może być zaskakujące, emersja. O ile pierwsze z pojęć zdążyło się już zakorzenić w naukowym dyskursie⁸⁵ (zwłaszcza nad grami wideo, pamiętajmy jednak, że imersywność jest również cechą dzieł literackich), o tyle to drugie wciąż może stanowić niemałą zagadkę. Zatem, najprościej rzecz ujmując, imersja jest swoistym zanurzeniem się w fikcyjnym świecie i zachodzi dokładnie wtedy, gdy dana książka/serial/film/gra zaczyna absorbować odbiorcę do tego stopnia, że on sam czuje się niejako częścią fabuły utworu: bliskim obserwatorem a może wręcz uczestnikiem opisywanych/przedstawianych wydarzeń. W artykule *Czas światoodczucia. Imersja jako nowa poetyka odbioru* Krzysztof M. Maj pisze wręcz o „zatrąceniu się w świecie narracji”⁸⁶. Dzięki imersji możemy zatem, niczym sieroty Baudelaire z *Serii niefortunnych zdarzeń*, uciec w świat fikcji przed batożącym nas Hrabią Olafem – i poczuć pewną ulgę, mimo że będzie to ucieczka zaledwie metaforyczna⁸⁷. Emersja to z kolei zjawisko odwrotne. Termin ten do uzusu wprowadził polski badacz nowych mediów cyfrowych, Piotr Kubiński. Emersję można zdefiniować jako

⁸⁴Por. J. Margański, *Gombrowicz wieczny debiutant*, dz. cyt., s. 161-184, M.P. Markowski, *Czarny nurt*, dz. cyt. s. 318-323 oraz P. Świercz, *The Marriage from the Perspective of Political Philosophy*, dz. cyt.

⁸⁵Jak zauważa specjalizujący się w temacie Krzysztof M. Maj: „Na Zachodzie imersja przetrwała już bodaj wszystkie fazy ewolucji terminu naukowego: od wstępnego braku rozpoznania przez stadium ekstatycznego nadużycia przez wąskie grono ekspertów aż po okres dynamicznej ekspansji poza kontekst specjalistyczny i postępujący w jej wyniku zanik precyzyjności”. K.M. Maj, *Czas światoodczucia. Imersja jako nowa poetyka odbioru*, „Teksty Drugie” 2015, nr 3, s. 372. Pragnę dodać, że Autorowi artykułu zawdzięczam spostrzeżenie o emersywności dzieł Gombrowicza.

⁸⁶Tamże.

⁸⁷Nawiązuję tu do *Przykrego początku* Lemony’ego Snicketa (przekł. J. Kozak, Warszawa 2022, s. 74-76). Rzeczony fragment doskonale obrazuje zjawisko imersji oraz eskapizmu.

swoiste wynurzenie (ale!) zanurzające. Jak Kubiński zauważa: „Chociaż twórcy gier wideo – zgodnie z modelem opartym na absolutyzacji immersji – dążą do osiągnięcia jak największego potencjału immersyjnego, to jednak w ich utworach często znajdują się liczne elementy charakteryzujące się przeciwnym działaniem, czyli **osłabiające odbiorcze wrażenie bezpośredniej obecności w świecie diegetycznym** [podkr D.Ś.]”⁸⁸. Zjawisko to może być zarówno dziełem przypadku, jak i osiągniętym z premedytacją efektem estetycznym⁸⁹. W przypadku dzieł Gombrowicza następuje ono wręcz notorycznie. Literat bowiem niejednokrotnie przypomina o fikcyjności tworzonych przez niego fikcji, na co wskazują wszystkie zakłócenia w strukturze utworów (wystarczy spojrzeć na konstrukcyjne poszatkowanie *Ferdydurke*), a także pewne wypowiedzi Gombrowiczowskich bohaterów. Dobrym przykładem umyślnego – kolokwialnie rzecz ujmując – wybicia czytelnika z rytmu, jest monolog Henryka, kluczowej postaci *Ślubu*:

A może

To nie sen, a tylko rzeczywistość – ja zwariowałem

I może wcale tu nie stoję i nie mówię, a tylko w rzeczywistości leżę w jakimś szpitalu i tam, gestykulując, majacząc, że tu stoję... [podkr. D.Ś.] Któż wie, co mogło mi się przytrafić?

Może kula uszkodziła mi mózg?

Albo wybuch?

Albo złapano mnie i męczono, a może

Rzuciłem się na coś – albo coś rzuciło się na mnie

A może z nudów... i już nie mogłem więcej...

A może kazali mi – posłali mnie – zmusili mnie – do czegoś, czego już nie wytrzymałem. Nie, nie ma rzeczy, która by nie mogła mi się przytrafić – wszystko i więcej niż wszystko jest możliwe⁹⁰.

Nie dość zatem, że fabuła dramatu jest snem, to jeszcze w pewnym momencie czytelnik dowiaduje się, iż nawet akt snienia może być złudzeniem, wytworem poturbowanego acz nieśniącego umysłu. Konstatując wreszcie: pojęcia immersji i emersji zdają się najlepiej określać stany, w jaki winniśmy się wprawić, chcąc w ogóle dyskutować o myśli Gombrowicza, również tej politycznej. Dopiero bowiem całkowite zanurzenie się w jego absurdalnym uniwersum oraz taktyczne wynurzanie pozwalają na nie-spływanie sensu wypowiedzi odnoszących się do kartezyjanizmu.

Bezpośrednio spostrzeżenie to przekłada się to na proces wywodu. Omawiając w pierwszej kolejności wyimki z *Dziennika* i *Kursu filozofii...* (bo to główne źródła interesujących mnie wypowiedzi) mogłabym niejako w didaskaliach akcentować ich ironiczny wydźwięk, objaśniać

⁸⁸P. Kubiński, *Gry wideo. Zarys poetyki*, Kraków 2016, s. 69.

⁸⁹Tamże.

⁹⁰Ś., s. 169.

tajniki Gombrowiczowskiej złośliwości albo tłumaczyć, dlaczego styl pisarza stanowi praktyczną realizację buntu przeciw Formie (nie twierdę nawet, że tego nie robiłam!). Problem polega na tym, że takie podejście już na starcie częściowo trywializuje myśl Gombrowicza. Pewne jego idee nie są bowiem (w moim przekonaniu) w pełni wyrażalne za pomocą eseistycznej formuły. Natomiast absurdalne historie, groteska i ogólnie tragicomiczny wydźwięk poszczególnych utworów paradoksalnie nadają odpowiedni ciężar przemyśleniom autora. Imersja, w przypadku fikcji literackiej Gombrowicza osobliwie nie-ekscytywna, prowadzi więc czytelnika do brutalnego zderzenia z rzeczywistością, a emersja ma nam o tym regularnie przypominać. Krótko mówiąc: moje próby rozwikłania metodologicznych dylematów nie są nawet kwestią odwrócenia kolejności wykonywania działań. Tu należy wszystko zsumować, niczym Filidor dokonać obszernej syntezy.

Punktem wyjścia do zgoła politologicznej interpretacji niech będzie zatem fikcyjny świat wykreowany przez Gombrowicza. Celowo używam liczby pojedynczej, ponieważ mimo widocznego zróżnicowania na poziomie gatunkowym i fabularnym, wszystkie utwory opowiadają tę samą historię. Jak kiedyś zwrócił uwagę Czesław Miłosz: „Dzieło jego [Gombrowicza – D.Ś.] stanowi całość, poszczególne jego części wspierają się i uzupełniają się wzajemnie”⁹¹. Najbardziej oczywistym przykładem owego wspierania są, rzecz jasna, wytyczne do lektury ujęte przez pisarza w *Dzienniku* i *Testamencie*. Jednak sam podział na utwory *stricte* wyjaśniające i te wyjaśniane – w mojej ocenie – nie wystarcza. To znaczy: *Kosmos* wolno (i warto) odczytywać również przez pryzmat *Ślubu*, *Bankiet* – z perspektywy *Iwony*, *księżniczki Burgunda*, a *Pornografię* w zestawieniu z, chociażby, *Trans-Atlantykiem*. Lista możliwych konfiguracji jest znacznie dłuższa, zaryzykuję nawet stwierdzeniem, że każdy dowolny utwór Gombrowicza możemy z powodzeniem odczytywać w odniesieniu do każdego innego, co świadczy tylko o spójności i nieprzypadkowości tekstów⁹². W skali mikro podobną integralność możemy odnotować choćby w *Grobowej ciszy*, *żałobnym zgiełku* Yōko Ogawy⁹³. Współczesna japońska pisarka opublikowała swego czasu zbiór opowiadań grozy, które – pozornie zdecydowanie różniąc się między sobą na poziomie fabularnym – za pomocą powtarzalności motywów, gestów, zachowań, czy postaci, tworzą jeden, groteskowy i brutalny świat. Swoją drogą, Ogawa podobnie do Gombrowicza opakuje niepokojące treści w lekką, niezobowiązującą formę. Kiedy czytamy *Grobową ciszę...*, z każdym kolejnym rozdziałem

⁹¹C. Miłosz, *O Witoldzie Gombrowiczu odpowiedź na ankietę* [w:] *Witold Gombrowicz / Czesław Miłosz, Konfrontacje*, wyb. i red. M. Szumański, B. Toruńczyk, Warszawa 2015. s. 160.

⁹²Czy stoi za tym wielce skomplikowana filozofia? Sam Gombrowicz już na kartach *Ferdydurke* całkiem beztrudnie zdradza sekret swej artystycznej spójności: „I polecam wam moją metodę nasilania przez powtarzanie, dzięki której powtarzając systematycznie niektóre słowa, zwroty, sytuacje oraz części nasilam je potęgując zarazem wrażenie jednolitości stylu do granic niemal maniackich. Przez powtarzanie, przez powtarzanie najsmadniej tworzy się wszelka mitologia!”. **Ferd. s. 69.**

⁹³Zob. Y. Ogawa, *Grobowa cisza, żałobny zgiełk*, przekł. A. Karpiuk, Warszawa 2020.

odkrywamy znaczenie poprzednich opowieści, a zarazem zyskujemy narzędzia do interpretacji dalszych tekstów. Oczywiście, u Gombrowicza wykracza to poza jego *Bakakaj*.

Za kwintesencję twórczości Gombrowicza już zwyczajowo uznaje się albo *Ferdydurke*, albo *Ślub*⁹⁴. Sam autor niejednokrotnie wskazywał z resztą, że te dzieła zajmują szczególne miejsce w jego dorobku. Przekornie proponuję jednak, by rozważania na temat Kartezjańskich naleciałości w utworach Gombrowicza rozpocząć od niepozornego *Bankietu*, czyli prawdopodobnie jednego z najmniej znanych i docenianych⁹⁵ tekstów pisarza. W mojej opinii, ta nowelka stanowi doskonale streszczenie całej twórczości Gombrowicza – i tego, co już zostało opublikowane, i tego, co dopiero miało ujrzeć światło dzienne. Kumuluje się w niej bowiem wszystko, co typowe dla stylu pisarza. Przede wszystkim jednak, ten utwór odczytuję jako skondensowaną wykładnię jego literacko-filozoficznej strategii. Uczyńmy więc z *Bankietu* swoistą interpretacyjną matrycę i śledząc jego fabułę, powoli zanurzajmy się w Gombrowiczowską dyskusję z kartezjanizmem stanowiącym fundament „myśli politycznej” Gombrowicza.

Utwór rozpoczyna się sceną tajnego posiedzenia rady ministrów na dworze królewskim. Trwają przygotowania do ślubu króla Gnula i arcyksiężniczki Renaty Adelajdy Krystyny. Z tej okazji odbędzie się tytułowy bankiet, na którym nieznający się dotychczas oblubieńcy będą mieli okazję po raz pierwszy się ze sobą spotkać. Dodajmy, że motyw zaślubin występuje w dziełach Gombrowicza bardzo często i, co ciekawe, każdorazowo akt zawierania małżeństwa podszyty jest grozą. Zasadniczo, znając pozostałą twórczość autora *Bankietu*, możemy mieć pewność, iż za moment ktoś zginie w kuriozalnych okolicznościach. Nie sposób nie wspomnieć w tym miejscu, chociażby, o *Ślubie* i mocno zainspirowanym przez protagonistę utworu samobójstwie jednego z bohaterów. Wracając do samego opowiadania: z perspektywy racji stanu, małżeństwo to ma odgrywać szczególnie ważną rolę – pomnoży bowiem potęgę Korony. W jaki sposób, nie do końca

⁹⁴Jednak – dla uzupełnienia – pozwolę sobie w tym miejscu obszernie przywołać fragment komentarza Margańskiego na temat kartezjańskiego podtekstu w *Ślubie*: „Odwołania do tekstu *Medytacji* Kartezjusza funkcjonują w *Ślubie* w dwóch wzajemnie zmediatyzowanych szeregach. Szereg pierwszy to parafrazy i stylistyczne »zapożyczenia«, często drobne, uobecnione na poziomie mikrostylizacyjnym. [...] Owe cytaty i parafrazy nie pojawiają się w *Ślubie* przypadkowo. Przeciwnie, stanowią fragmenty wypowiedzi, które dość łatwo można odczytać jako literacką transpozycję kartezjańskiej problematyki projektowanej w *Medytacjach o pierwszej filozofii* i w *Rozprawie o metodzie*. W ich tkance bowiem, oprócz parafraz i cytatów, pojawiają się »kartezjańskie« motywy słowne usytuowane w identycznych jak w *Medytacjach* i w *Rozprawie* kontekstach: motyw szaleństwa, motyw przypadkowości doznań cielesnych czy złudności wrażeń zmysłowych. Całą sferę zewnętrznego świata przedstawia bowiem Gombrowicz, tak jak Kartezjusz, jako sferę związków przypadkowych, nie zaś koniecznych, nade wszystko jednak niedowodliwych czy też niedostępnych z pozycji *ego*. Radykalne przeciwstawienie ja—świat przyjmuje postać opozycji pewność—możliwość (prawdopodobieństwo). Przekładkowe i niedowodliwe jest więc zarówno samo usytuowanie niedostępnego ciała w świecie, jak wrażenia zmysłowe, które choć dotkliwie odczuwalne, nie dają pewności i nie mogą stanowić podstawy pewnego sądu”. J. Margański, *Gombrowicz wieczny debiutant*, dz. cyt., s. 164-165. W mojej interpretacji dzieł Gombrowicza – jako politolog – koncentruję się przede wszystkim na tym, jak to wyraźne rozgraniczenie między Ja a światem oddziałuje na Gombrowiczowskie postrzeganie jednostki we wspólnocie politycznej.

⁹⁵W przypadku Gombrowicza to, co najmniej znane, jest i tak bardzo znane. Przyznajmy jednak, że *Bankiet* w obliczu *Ferdydurke* prezentuje się wręcz niszowo.

wiadomo – zapewne chodzi tu o wysoce intratny sojusz polityczny – ale to nie powinno zaprzętać naszej uwagi; na tym poziomie interpretacji polityka jest jedynie prymitywnym elementem scenografii, pretekstem do refleksji na wyższym poziomie ogólności.

Tymczasem, coś sprawia, że uczestników narady ogarnia strach:

„Wszelako dotkliwy niepokój, dojmująca troska, nawet trwoga, żłobiły doświadczone, wytrawne lica ministrów i podsekretarzy stanu, i coś niedopowiedzianego, coś dramatycznego czało się na zwiędłych i wiekowych wargach”⁹⁶.

W takiej oto nerwowej atmosferze rozpoczyna się osobliwa dyskusja, w której nikt się nie wypowiada:

„Pierwszy poprosił o głos minister spraw wewnętrznych, ale gdy głosu mu udzielono, zaczął milczeć i milczał przez cały czas swojej mowy – po czym usiadł. Następnie zabrał głos minister dworu, ale i on także powstawszy zmilczał wszystko, co miał powiedzieć, po czym usiadł. W dalszej kolejności głosów coraz to któryś z ministrów prosił o głos, wstawał, milczał, po czym siadał, a milczenie, uparte milczenie rady, pomnożone milczeniem portretów oraz milczeniem murów, coraz potężniało. Świece mdlały. Kanclerz niezłomnie przewodził milczeniu. Godziny mijały”⁹⁷.

By lepiej zrozumieć tę absurdalną sytuację, odnieśmy się do *Iwony, księżniczki Burgunda*. Pierwszy dramat Gombrowicza rozgrywa się w łudząco podobnej do *Bankietu* scenerii, jego akcja także krąży wokół ślubnych przygotowań, a sami narzeczeni sprawiają wrażenie zdecydowanie niedobranej pary. Protagonistka („nieapetyczna Iwona”, cytując komentarz Gombrowicza) w niedorzecznych okolicznościach dołącza do rodziny królewskiej i – niczym oficjele z *Bankietu* – również się nie odzywa, a jej milczenie oddziałuje na otoczenie z niewyobrażalną mocą. W tym jednak przypadku, każda z postaci, która konfrontuje się z tytułową bohaterką, zaczyna dostrzegać własne słabości i przypomina sobie o swoich największych grzechach i kompromitujących sytuacjach, w których brała udział. Jak to ujmuje sam autor:

„obecność Iwony na dworze królewskim wywołuje dziwne komplikacje. Sam fakt zaręczyn księcia jest przyczyną śmieszków i komentarzy. **Milczenie** [podkr. D.Ś.], dzikość, nieśmiałość, nieporadność Iwony stawia rodzinę królewską w trudnym położeniu. Jej biologiczna dekompozycja rodzi niebezpieczne skojarzenia, nasuwa każdemu na myśl własne lub cudze braki i defekty. Strachliwość jej prowokuje do gwałtu”⁹⁸.

⁹⁶*Bankiet* [w:] Bak., s. 282.

⁹⁷Tamże.

⁹⁸*Iw.*, s. 7.

Ta demaskująca wszelkie przywary cisza sprawia, że dwór królewski pogrąża się w chaosie, a bohaterowie, pozornie tylko dobrotliwi, snują plany unicestwienia Iwony⁹⁹. Milczenie wyrażone w *Bankiecie* zdaje się działać odwrotnie: chroni dwór przed destrukcją. Tuszuje bowiem mierność samego króla:

„Cóż stanowiło przyczynę milczenia? Żaden z owych mężów nie mógł ani wyznać, ani nawet pomyśleć myśli, która z jednej strony była nieunikniona i nasuwała się z nieprzepartą siłą, ale z drugiej stanowiła ni mniej ni więcej tylko zbrodnię obrazy Majestatu. Dlatego milczeli. Jak wyznać, jak powiedzieć, że król... że król był... o nie, nigdy, przenigdy, lepiej śmierć... że król... o nie, ach, nie, o nie... ha... że król sprzedajny! Sprzedawczykiem był król! Król się sprzedawał! W bezczelnej, podłej, nienasyconej chciwości swojej król był sprzedawczykiem tak przekupnym, jakiego jeszcze nie znała historia. Łapownikiem i sprzedawczykiem był król! Król na łuty i fanty sprzedawał własny swój majestat”¹⁰⁰.

To w znacznym stopniu usprawiedliwia zaniepokojenie oficjeli – sprzedajny charakter Gnula niewątpliwie nie służy majestatowi Korony. A majestat, prestiż, czy potęga, to naczelne wartości, jakie przyświecają uczestnikom pseudo-dyskusji. Nieistotne, jak fasadowy charakter by one miały. Wracając do wydarzeń rozgrywających się w opowiadaniu: nagle do sali portretowej wkracza Gnulo we własnej osobie:

„Ministrowie skłonili się nisko władcy, który rzucił szpadę na stół a siebie na fotel i założył nogę na nogę, chytrze świdrując oczkami”¹⁰¹.

Król, ze swoją nonszalancją i niewzbudzającą respektu aparycją, zostaje powitany z (nie)należnymi mu honorami. Albo to, jaki jest w rzeczywistości, nie odgrywa żadnego znaczenia, albo dworscy dostojnicy projektują na niego swoje marzenie posiadania majestatycznego władcy. Wreszcie: zastanówmy się, dlaczego właściwie rada ministrów tak bardzo pragnie służyć komuś wystarczająco królewskiemu? Czy, gdyby otwarcie powiedziano, że ich władca jest politowania godny, ich ranga również nie uległaby drastycznemu obniżeniu? W tym momencie pozostawmy to pytanie bez odpowiedzi, uważam jednak, że „potęga Korony” jest pojęciem zdecydowanie niejednoznacznym. Gnulo zaś, co ważne, również ma świadomość tego, jak ważną rolę pełni wywoływanie określonego wrażenia na drugiej osobie. Wydawać by się mogło, że podejmuje grę

⁹⁹Upraszczaając: w akcie mowy, czyli aktywnym posługiwaniu się językiem, w uniwersum Gombrowicza realizuje się pewna gra społeczna. Rezygnując z mówienia, Iwona izoluje się od systemu, w którym tkwi (albo do którego została przypadkiem – a może siłą? – wtłoczona). Stają się wtedy poniekąd nie-wystarczająco-ludzka, niegodna humanitarnego traktowania. Spójrzmy więc na ten dramat jak na historię hipotetycznej próby wyemancypowania się z kulturowych więzów. Przy okazji, zainteresowanych interdyscyplinarnymi badaniami nad zjawiskiem języka odsyłam do interesującej publikacji Daniela L. Everetta, *Język. Narzędzie kultury*, przekł. Z. Wąchocka, P. Paszkowski, Kraków 2021.

¹⁰⁰**Bankiet, dz. cyt., s. 282-283.**

¹⁰¹**Tamże, s. 283.**

prowadzoną przez jego ministrów, a wręcz chce im pomóc w budowaniu fasady. Stwierdza bowiem:

„– Nie możemy ukryć – zaznaczył król – że udział w jutrzejszym bankiecie oznacza dla nas ciężką pracę... będziemy musieli przecież bardzo się wysilić, aby arcyksiężniczka odniosła korzystne wrażenie...”¹⁰².

Pewną rysą jest tu – co prawda – przyznanie wprost, że zbudowanie atmosfery majestatu i przepychu będzie wymagało dużego wysiłku, jednak nie to powinno zmrozić krew w żyłach uczestników spotkania. Chwilę później Gnulo sugeruje bowiem, że domaga się łapówki, by zrealizować ten cel. Co gorsza, postanawia również bezczelnie usprawiedliwić swoje żądanie:

„I naraz król zaczął się skarżyć, że ciężkie czasy, że już nie wiadomo jak związać koniec z końcem... po czym zachichotał... zachichotał i poufale mrugnął na kanclerza sekretarza stanu... mrugnął i znów zachichotał... zachichotał i stuknął go palcem pod żebro”¹⁰³.

Postawa króla wygląda na niepokojącą mieszankę zachowania Józia i Pijaka. Pożyteczna jest zatem konfrontacja zachowania Gnula z pamiętnym fragmentem *Ferdydurke*:

„Zbudziłem się w śmiechu i w strachu, bo mi się zdawało, że taki, jak jestem dzisiaj, po trzydziestce, przedrzeźniam i wyśmiewam sobą niewypierzonego chłystka, jakim byłem, a on znowu przedrzeźnia mnie – i równym prawem – że obaj jesteśmy sobą przedrzeźniani. Nieszczęsna pamięci, która każesz wiedzieć, jakimi drogami doszliśmy do obecnego stanu posiadania? A dalej, wydało mi się w półśnie, ale już po obudzeniu, że ciało moje nie jest jednolite, że niektóre części są jeszcze chłopiące i że moja głowa wykpiwa i wyszydza łydkę, łydka zasię głowę, że palec nabija się z serca, serce z mózgu, nos z oka, oko z nosa rechocze i ryczy – i wszystkie te części gwałciły się dziko w atmosferze wszechobejmującego i przejmującego panszyderstwa. A kiedy na dobre odzyskał świadomość i jąłem przemyśliwać nad swym życiem, lęk nie zmniejszył się ani na jotę, ale stał się jeszcze potężniejszy, choć chwilami przerywał go (czy wzmagał) śmieszek, od którego usta niezdolne były się powstrzymać. W połowie drogi mojego żywota pośród ciemnego znalazłem się lasu. Las ten, co gorsza, był zielony”¹⁰⁴.

Śmiech Józia podszyty niepokojem stanowi reakcję na absurdalną sytuację, w której się znalazł – na przymus bycia dojrzałym i Formę, która odziera go z jego własnej tożsamości. Tak też odczytuję zachowanie Gnula – władca nerwowo chichocze, ponieważ dwór wymaga od niego sztucznego, niezgodnego z jego naturą, królewskiego majestatu. Protagonista idzie nawet wiele kroków dalej, sugerując – na złość poddanym? – coś tak małostkowego, jak wręczenie mu łapówki

¹⁰²Tamże.

¹⁰³Tamże, s. 284.

¹⁰⁴Ferd., s. 6

za przykłady udział w bankiecie. Gnulo celowo rzuca się zatem w zieloność i próbuje zdekonstruować zasady panujące na jego dworze. Pod tym względem przypomina właśnie Pijaka ze *Ślubu*, który sugeruje obalenie króla poprzez „trącenie go palcem”¹⁰⁵. Tak poufały gest względem tego, który uchodzi za niedostępnego, musi doprowadzić do spektakularnych konsekwencji. Na kartach *Bankietu* niedojrzały śmieszek i korupcja nie wystarczają jednak ani do przełamania skostniałej, dworskiej Formy, ani nawet do przejścia w inną Formę:

„W najgłębszym i zda się stężałym milczeniu spoglądał starzec na monarchę, który chichotał, mrugał i stukał pod żebro... a milczenie starca nabrzmiewało milczeniem portretów i milczeniem murów. Chichot króla skonał...”¹⁰⁶.

Nie jest to decydujący cios wobec Gnula, ponieważ:

„Wtem żelazny starzec złożył królowi pokłon, a w ślad za nim pochyliły się głowy ministrów i zgięły kolana podsekretarzy stanu. Potęga pokłonu rady, oddanego znieścacka w tej ustronnej sali, była straszna. Pokłon uderzył króla w samą pierś, usztywnił mu ręce i nogi, przywrócił go królewskości – aż biedny Gnulo jęknął okropnie pośród murów i jeszcze raz spróbował chichotać... ale chichot zgasł mu na ustach... W ciszy nieustępliwego milczenia król począł bać się... i dłuższy czas bał się... aż wreszcie jął uchodzić przed radą i przed samym sobą, a plecy jego, odziane w mundur generalski, zniknęły w mroku korytarza”¹⁰⁷.

Owa „potęga pokłonu” to kolejny z lejtmotywów twórczości Gombrowicza. Oczywistym tego dowodem jest finałowa scena *Iwony...*, kiedy to Książę Filip w dramatycznych okolicznościach zaprzestaje buntu przeciw dworskim konwenansom, a nieco mniej oczywistym – fragment *Zbrodni z premedytacją*, który pozwolę sobie w tym miejscu nieco obszerniej zacytować. Dla kontekstu: protagonista opowiadania, sędzia śledczy imieniem H, ma odwiedzić Ignacego K. Jego przyjazd jest pozbawiony kryminalnego podłoża – chodzi tu bowiem zaledwie o załatwienie spraw majątkowych. Kiedy jednak H dociera na miejsce, okazuje się, że pan domu zmarł, a jego ciało wciąż spoczywa w sypialni. Sędzia zostaje zaprowadzony przez wdowę przed oblicze nieboszczyka i relacjonuje przebieg wydarzeń:

„Otworzyła jakieś drzwi – **i musiałem klęknąć** [podkr. D.Ś.] z pochyloną głową, ze skupieniem w twarzy, podczas gdy ona stała z boku, uroczyta, nieruchoma, jakby okazując Przenajświętszy Sakrament.

¹⁰⁵Ś., s. 180-182.

¹⁰⁶*Bankiet*, dz. cyt., s. 284.

¹⁰⁷Tamże.

Zmarły leżał na łóżku – tak, jak umarł – tyle tylko, że ułożono go na wznak. Twarz sina, obrzękła, świadczyła o śmierci wskutek uduszenia, jak zwykle przy atakach sercowych.

– Uduszony – szepnąłem, choć wiedziałem dobrze, że atak sercowy.

– To serce, serce, panie... Umarł na serce...

– O, serce umie czasem zadusić... umie... – rzekłem ponuro. Wciąż stała, czekając – więc przeżegnawszy się, zmówiłem modlitwę, a potem (wciąż stała) powiedziałem cicho:

– Szlachetne rysy!

Ręce tak jej zadygotały, że wypadło chyba znów je ucałować. Nie zareagowała najlżejszym poruszeniem, stojąc w dalszym ciągu, jak cyprys, zapatrzona gdzieś w ścianę boleśnie – a im dłużej tak stała, tym trudniej było uniknąć ukazania choć cokolwiek serca. Wymagała tego zwykła przyzwoitość, nie można było się wymówić. Podnoszę się z kolan, strącam niepotrzebnie jakiś pyłek z ubrania, pokaszuję cicho – ona zaś wciąż stoi. Stoi w zapamiętaniu, **milcząca** [podkr. D.Ś.], z oczami w słupek, jak Niobe, ze wzrokiem przykutym do wspomnień, zmięta, rozmamłana, a u nosa pojawia się maleńka kapka i dynda, dynda... jak miecz Damoklesa – a świece kopcą. Po paru minutach spróbowałem się odezwać z cicha – poderwała się, jakby ją coś ugryzło, postąpiła parę kroków i znowu stanęła. **Ukląknęłam** [podkr. D.Ś.]. Cóż za nieznośna sytuacja! Cóż za dylemat dla człowieka tak wrażliwego, a przede wszystkim tak drażliwego jak ja! Nie posądzam ją o świadomą złośliwość, niemniej jednak, nikt nie zaprzeczy, była w tym złośliwość. Nikt mię nie przekona! Nie ona sama – to jej złośliwość napawała się bezczelnie tym, że ja tu kryguję się przed nią i przed trupem”¹⁰⁸.

Odnotujmy tylko wysublimowanie tej przemocy¹⁰⁹. Wdowa przekracza jednak niepisaną granicę i jej biernie agresywne przymuszanie protagonisty do oddawania czci, obcemu właściwie, nieboszczykowi, w pewnym momencie doprowadza H do buntu i – w konsekwencji – do jego przejścia z Formy unizonego żałobnika do Formy sędziego śledczego tropiącego mordercę. Mniejsza o to, że nikt nie popełnił żadnej zbrodni. Presja staje się jednak zbyt dotkliwa, i jak skonstatuje bohater:

¹⁰⁸**Zbrodnia z premedytacją [w:] Bak., s. 48-49.**

¹⁰⁹W niniejszej rozprawie trudno uniknąć wieloznacznych pojęć, zakorzenionych zarazem w potocznym dyskursie. Przemoc jest jednym z nich. Bardzo jednak doceniam próbę zdefiniowania przemocy podjętą przez Mikołaja Marcelę, który w jednej ze swych książek pisze, co następuje: „**Przemoc ostatecznie nie jest bowiem niczym innym jak narzuceniem swojej woli przez jednych ludzi drugim** [podkr. D.Ś.]. Już samo słowo »przemoc« sugeruje, że jest ona odebraniem komuś mocy, a więc warunków do tego, by mógł działać w zgodzie ze sobą i z własnymi potrzebami. »Móc« coś zrobić to mieć warunki do działania wpływające z własnych sił, zdrowia, zdolności oraz korzystnych okoliczności zewnętrznych. W jeszcze szerszym znaczeniu pojęcie to wyraża pewne prawdopodobieństwo wykonywania czynności – stwierdzenie, że coś jest prawdopodobne lub możliwe. W takim rozumieniu przemoc oznacza, że jedna grupa osób może »przemoc« inną – wykorzystać swoją siłę i władzę, ustanowić przymus, a więc pozbawić innych ludzi alternatyw i możliwości”. M. Marcela, *Patoposłuszeństwo. Jak szkoła, rodzina i państwo uczą nas bezradności i co z tym zrobić*, Kraków 2022, s. 9.

„Wszystko wyglądało, jakby wyreżyserowane – tam trup, dumny, nietykalny, spoglądający zamkniętymi oczami obojętnie w sufit, obok – bolejąca wdowa, tu – ja, sędzia śledczy, **na klęczkach** [podkr. D.Ś.], jak zły pies, któremu założono kaganiec”¹¹⁰.

W tym momencie dobrze już widać pokrętną aluzję do kartezjańskiego *Cogito*. Chodzi bowiem o świadomość podmiotu; Ja odgrywa tu nadrzędną rolę. Gombrowicz wprowadza nas do świata, w którym poszczególne podmioty uprzedmiotawiają inne podmioty i formują je w odpowiadające im kształty. Wdowa brutalnie czyni swego gościa poddanym trupa, przy okazji (a kto wie, może przede wszystkim?) nadaje swemu wdowieństwu pełnię majestatu. Pokłon ma poniżyć i odczłowieczać, stanowić namacalny znak uległości względem czyjegoś władczego Ja, wznosić na wyżyny czyjś ego. Jak już zasygnalizowałam, H udaje się jednak wyrwać spod wdowiego reżimu. Protagonista przywraca samemu sobie godność sędziego śledczego, aranżując sytuację, w której jako sędzia śledczy może odegrać istotną rolę. Do tego potrzeba jednak morderstwa. Z tej przyczyny, trup staje się ofiarą uduszenia, a wszyscy domownicy – podejrzanymi o dokonanie zbrodni. Role ulegają więc odwróceniu i teraz to H pociąga za sznurki, uprzedmiotowiając otaczających go ludzi i dopasowując ich do własnych wyobrażeń.

Podobnie jest w *Bankiecie*: w świadomości królewskich dygnitarzy, król to postać pełna majestatu i dostojenstwa. Wzbudzający podziw władca nie występuje w realnym świecie, ale istnieje w świadomości. Zauważmy, że uczestnicy obrad nie mają nawet odwagi sformułować jasno myśli, że król jest niewystarczająco stereotypowo królewski. W konsekwencji, zachowują się tak, jak gdyby Gnulo spełniał ich oczekiwania. Analogicznie do sytuacji ze *Zbrodni...*, oni są podmiotem, a króla zamieniają w przedmiot. Pokłon pełni tu pozornie odwrotną rolę. Jego złożenie ma legitymizować królewską potęgę Gnula. Problem polega na tym, że to właśnie oddanie mu hołdu jest dla protagonisty najbardziej uwłaczającym aktem. A zatem, w obu opowiadaniach padnięcie na kolana rymuje się z dotkliwym poniżeniem. By dopełnić obrazu, przyjrzyjmy się jeszcze fragmentowi *Trans-Atlantyku*:

„Aż tu Czesław do kajuty naszej (bo wciąż na statku mieszkaliśmy) z gazetą wpada: »Wojna dziś, jutro wybuchnąć musi, nie ma rady! Owoż kapitan rozkaz wydał, aby jutro statek nasz wypłynął, bo choć do Polski już się nie przedostaniemy, to pewnie gdzieś do Anglii, Szkocji brzegów dobijemy«. Gdy to wyrzekł, ze łzami w objęcia sobie wpadliśmy i **zaraz na kolana padliśmy** [podkr. D.Ś.], pomocy Bożej wzywając i Panu Bogu się ofiarowując, A tak **klęcząc** [podkr. D.Ś.], powiadam do Czesława: – Płynicież, płynicież z Bogiem!”¹¹¹.

¹¹⁰Tamże, s. 50.

¹¹¹T-A., s. 11.

Ten cytat bezpośrednio poprzedza moment dezercji głównego bohatera powieści. Pokłon w tym przypadku zostaje złożony Bogu, choć tu warto mieć na uwadze, że u Gombrowicza Bóg jest raczej synonimem starego porządku, tradycji, tego co anachroniczne. Chrześcijaństwo silnie zakorzeniło się w polskiej kulturze (również politycznej), więc pojawienie się odwołania do Boga jest w *Trans-Atlantyku* jak najbardziej na miejscu. Sama idea „kościółki międzyludzkiego” (najdosadniej wyrażonego w *Ślubie*) jako kontry do „kościółki Boskiego” nie stanowi przecież zaledwie ateistycznego manifestu, lecz przede wszystkim przenosi ciężar filozoficznego namysłu na konkretnego człowieka: na Ja, w którego świadomości rozgrywa się jego świat. Trudno o wyraźniejsze nawiązanie do kartezjanizmu. Tymczasem, protagonista powieści, któremu autor udzielił nawet własnego nazwiska, rozpaczliwie toczy walkę z Formą Polaka-patrioty, gotowego oddać życie za ojczyznę:

„Czesław do mnie: – Jakże to, przecie z nami płyniesz! Powiadam więc (**a umyślnie z kolan nie wstawiałem** [podkr. D.Ś.]): – Płynicież i obyście szczęśliwie dopłynęli. Mówi – Co tyż ty mówisz? To ty nie popłyniesz? Powiadam: – Ja bym do Polski popłynął; ale po co mnie do Anglii? Po co mnie do Anglii lub do Szkocji? Tu zostanę. Tak jemu półgębkiem mówię (bo całej prawdy powiedzieć nie mogłem), a on patrzy się na mnie i patrzy. Ozwał się, a już bardzo zafrasowany: – Nie chcesz z nami? Tu wolisz zostać? Ale ty do Poselstwa naszego pójdz, tam się zamelduj, żeby cię za dezercera albo i co gorszego nie ogłoszono. Pójdziesz do Poselstwa, pójdziesz? Odpowiedziałem: – Co sobie myślisz, pewnie że pójde, przecie wiem co jako obywatel powinienem, już się o mnie nie bój. Ale lepiej nikomu nie mów, może jeszcze zamiar swój odmienię i z wami odpłynę. **Dopiero wtenczas z klęczek powstałem** [podkr. D.Ś.], bo już najgorsze przeszło, a Czesław pocziwy, ale i zafrasowany, nadal serdeczną darzył mnie przyjaźnią (choć jakby tajemnica jakaś między nami była)”¹¹².

Pokłon – widzialny znak uniżenia i poddania się Formie – jest tu cynicznie wykorzystany przez bohatera usiłującego jej umknąć. Zwróćmy uwagę na strach towarzyszący tej próbie:

„Ja człowiekowi temu, Rodakowi, prawdy całej nie chciałem wyjawić, ani tyż innym Rodakom i Swojakom moim... bo chybaby mnie za nią żywcem na stosie palono, koźmi albo kleszczami rozrywano, a od czci i wiary odsądzano”¹¹³.

Gombrowicz-protagonista dezerceruje zatem stwarzając wszelkie pozory pragnienia poświęcenia życia ojczyźnie. Dopiero gdy statek wypełniony jego rodakami odbija od argentyńskiego portu, bohater decyduje się wyznać na głos (choć nadal tylko przed samym sobą) prawdę dotyczącą motywów jego decyzji:

¹¹²Tamże, s. 11-12.

¹¹³Tamże, s. 12.

„**Wtenczas na kolana paść chciałem! Jednakowoż wcale nie padłem** [podkr. D.Ś.], a tylko tak z cicha Bluźnić, Wyklinać silnie, ale do siebie samego, zacząłem: – A płyńcież wy, płyńcież Rodacy do Narodu swego! Płyńcież wy do Narodu waszego świętego chyba Przekłętego! Płyńcież do Stwora tego św. Ciemnego, co od wieków zdycha, a zdechnąć nie może! Płyńcież do Cudaka waszego św., od Natury całej przekłętego, co wciąż się rodzi, a przecież wciąż Nieurodzony! Płyńcież, płyńcież, żeby on wam ani Żyć, ani Zdechnąć nie pozwalał, a na zawsze was między Bytem a Niebytem trzymał. Płyńcież do Ślamazary waszy św. żeby was ona dali Ślimaczyła! Okręt już skosem się zwrócił i odpływał, więc jeszcze to mówię: – Płyńcież do Szaleńca, Wariata waszego św. ach chyba Przekłętego, żeby on was skokami, szalami swoimi Męczył, Dręczył, was krwią zalewał, was Rykiem swym ryczał, wyrykiwał, was Męką zamęczał, Dzieci wasze, żony, na Śmierć, na Skonanie sam konając w konaniu swoim Szału swojego was Szalał, Rozszalał! Z takim więc Przekleństwem od okrętu się odwróciwszy, do miasta wstąpiłem”¹¹⁴.

Czy to oznacza zwycięskie (podszyte strachem) wymknięcie się spod jarzma Formy? Bynajmniej. Jak zwykle w dziełach Gombrowicza bywa, nie ma ucieczki przed Formą jako taką, możliwe jest tylko przemykanie pomiędzy różnymi formami Formy. W ten sposób bohater trafia do środowiska polskiej emigracji i ponownie zatracą własną autonomię. Towarzyszy temu kolejny pokłon, tym razem złożony ministrowi:

„Minister Kosiubidzki Feliks jednym z najdziwniejszych był ludzi, na jakich ja w życiu mojem natrafiłem. Cienki grubawy, cokolwiek tłustawy, nos tyż miał dość Cienki Grubawy, oko niewyraźne, palce wąskie grubawe i takąż nogę wąską i grubawą, lub tłustawą, a łysinka jemu jak mosiężna, na którą włoski czarne ryże zaczesywał; lubił zaś okiem łypać i coraz to łypnie. Zachowaniem i układem swoim niezwykle względ na wysoką godność swoją wykazywał i każdym swem poruszeniem honor sobie świadczył, a tyż i tego z kim mówił sobą silnie bez przerwy zaszczyczał, że **już to prawie na kolanach z nim się rozmawiało. Zaraz więc, płaczem wybuchnąwszy, jemu do nóg padłem i dłoń całowałem** [podkr. D.Ś.]; a służby moje, krew, mienie ofiarowując, o to upraszałem, aby mnie w takiej chwili św., wedle woli św., rozumienia swego, użył i moją rozporządzał osobą”¹¹⁵.

Kolokwialnie rzecz ujmując, bohater trafia z deszczu pod rynnę. Wciąż pozostaje na klęczkach, a zmieniają się jedynie jego bogowie. Minister tymczasem usiłuje uwolnić się od Gombrowicza-protagonisty, proponując mu niewielkie wsparcie finansowe:

„Widzę więc, że on mnie pieniędzmi zbywa; a już nie tylko pieniędzmi, ale Drobniakami! Na tak ciężką obrazę moją mnie krew do głowy uderza, ale nic nie mówię. Dopieroż mówię: – Widzę, że JW. Panu bardzo drobnym być muszę, bo mnie Drobniakami podobnie JW. Pan zbywasz, a

¹¹⁴Tamże, s. 12-13.

¹¹⁵Tamże, s. 18.

pewnie mnie między Dziesięć Tysięcy literatów zaliczasz; ale ja nie tylko literat, ale i Gombrowicz!”¹¹⁶.

Podkreślmy motyw drobniaaków. W tym przypadku to one mają poniżyć bohatera, na tej samej zasadzie, na jakiej poniżają Gnula dworskie pokłony. Widzimy tu jednak przede wszystkim nieporadną próbę podkreślenia własnej podmiotowości, zaakcentowania istnienia Ja wolnego od gęby żebraka-literata upominającego się o jałmużnę. Zwróćmy uwagę, że minister już na starcie dostrzega w Gombrowiczu-protagoniście natarczywego podrzędnego pisarzynę, co natychmiast wymusza na bohaterze zachowanie adekwatne do przyjętej roli. Naruszenie tego hermetycznego konstruktów z każdą chwilą staje się trudniejsze. Co gorsze, konieczność składania hołdu przed ministrem jest zaledwie przedsmakiem do oddawania czci udrczonej Ojczyźnie Gombrowicza. Tej samej, przed którą, ryzykując tak wiele, uciekał. Kiedy bowiem rozmowa z Kosiubidzkim schodzi na temat wojny, pokłon ponownie staje się nieuchronny:

„Zapytał: – A jaki Gombrowicz? Powiadam: – Gombrowicz, Gombrowicz. Łypnął i powiada: Ano, jak Gombrowicz to maszże tu 80 pezów i więcej nie przychodź, bo Wojna i Pan Minister zajęty. Ja powiadam: – Wojna. On mówi: – Wojna. Ja mówię: – Wojna. On mnie na to: – Wojna. To ja jemu: – Wojna, wojna. Przestraszył się nie na żarty, aż mu jagody zbieleły, łypnął na mnie okiem: – A co? Maszże wiadomość jaką? Mówiono ci co? Nowiny jakie?... – ale się pomiarkował, chrząka, kaszle, za uchem się drapie i mnie klepnął: – Nic to, nic, nie bój się, już my wroga pokonamy! A zaraz głośniej krzyknął: – Już my wroga pokonamy! Wtedy więc jeszcze głośniej krzyknął: – Już my wroga pokonamy! Pokonamy! Powstał i krzyczy: – Pokonamy! Pokonamy!

Słyszac te wykrzyki jego, a widzac, że z fotela wstał i Celebruje, a nawet Zaklina, **ja na kolana padłem** [podkr. D.Ś.] i, w tej Celebracji św. się stowarzyszając, krzyczę: – Pokonamy, pokonamy, pokonamy!”¹¹⁷.

Widzimy tu dowód na siłę oddziaływania nowej Formy: Gombrowicz-protagonista w jednej chwili walczy o dostrzeżenie własnego Ja, by zaledwie kilkanaście linijek tekstu później paść na kolana pod ciężarem wrzaskliwego emigracyjnego patriotyzmu. Oczywiście, mogłabym ten fragment zestawic z szeregiem zapisków z *Dziennika*, w których pisarz krytykuje słabość środowiska emigracyjnego obserwującego z bezpiecznych pozycji dramat rozgrywający się w Polsce. Sądzę jednak, że warto zagospodarować na to oddzielną przestrzeń w dalszej części rozprawy.

Wróćmy wreszcie do fabuły *Bankietu*. Kiedy Gnulo postanawia zademonstrować swoją autonomię, jego poddani nie reagują. Sytuacja jest więc dość podobna do tej z *Trans-Atlantyku*.

¹¹⁶T-A., s. 19.

¹¹⁷Tamże.

Każdy widzi to, co chce zobaczyć. Kiedy zgromiony przez obojętność król ewakuuje się z sali obrad, ministrowie wznawiają pseudo-dyskusję:

„Niezlomnie przewodniczył kanclerz milczeniu. Ministrowie wstawali i siadali. Mijały godziny. Jak sprawić, aby król, rozwścieczony odmową łapówki, nie dopuścił się jakiegoś skandalu na bankiecie, jak bronić króla przed Gnulem, i wreszcie jakież wrażenie wyrzuci ów nieszczęsny, haniebny i zawstydzający król na cudzoziemskiej arcyksiężniczce i córce cesarzów, choćby nawet cudem jakimś zdołano uniknąć skandalu – oto pytania, których rada nie mogła przyjąć do wiadomości, które odrzucała, które wymiotowała w milczących konwulsjach pośród murów”¹¹⁸.

Filozoficzny *plot twist* cytowanego fragmentu polega na tym, że umotywowanie pasywnej agresji rady ministrów pozostaje w znacznym stopniu nieuświadomione. To prawdopodobnie ten moment, w którym dana myśl wydaje się człowiekowi tak straszną lub przytłaczającą, że nie ma on odwagi sformułować jej w klarowny sposób, bo gdy wybrzmi, stanie się bardziej realna. Tu znowu dopatruję się subtelного echa kartezjanizmu: nasz zbiorowy, ministerialny podmiot zdaje się sabotować całkowite ukształtowanie w swej świadomości pewnego obrazu, który jednak w jakimś stopniu narzuca się z zewnątrz. Tak, jakby hermetyczne¹¹⁹ *Cogito* w pewnym momencie zaczęło minimalnie wytracać swoją nieprzepustowość. I w tym właśnie momencie zauważam interesującą dekonstrukcję głównego założenia kartezjanizmu: Gombrowicz zdaje się sugerować powątpiewanie w ową nieprzenikliwość.

Co się dzieje dalej?

„Gdy jednakowoż o czwartej nad ranem rada jednogłośnie podała się do dymisji, sternik nawy państwowej nie przyjął tego do wiadomości, natomiast wyrzekł znamienne słowa:

– Panowie, trzeba zmusić króla do króla, króla trzeba uwięzić w królu, trzeba nam zamknąć króla w królu...”¹²⁰.

Po raz pierwszy ktoś mówi wprost, że król jest – z perspektywy potęgi Korony – problematyczny i dlatego należy go spacyfikować. Atak zostaje zaś przeprowadzony konwencjonalnymi dla dworu metodami:

¹¹⁸Tamże, s. 285.

¹¹⁹Ważny cytat o nieprzepuszczalności *Cogito*: „The Cartesian *dubito* closes *Cogito* in the impenetrable world of *Cogito*'s own consciousness. This is a double impenetrability: on the one hand, *Cogito* is not able to go beyond itself; on the other, nothing external to *Cogito* is able to enter into *Cogito*, into its world. In consequence, *Cogito* is a completely closed off, inaccessible world in itself and for itself. Everything seemingly distinct from *Cogito* is in fact only a product of the latter, of the same type and to the same degree that the dream world is a creation of *Cogito*”. P. Świercz, *The Marriage from the Perspective of Political Philosophy*, dz. cyt., s. 45. Odsyłam również do interpretacji Wojciecha Kautego, który to – idąc po śladach Leszka Kołakowskiego – wyraźnie akcentuje swoiste wyizolowanie Ja: tegoż, *W poszukiwaniu dobrego życia...*, dz. cyt., s. 52-55.

¹²⁰*Bankiet*, dz. cyt., s. 285.

„Jakoż tyle **sterroryzowanie** [podkr. D.Ś.] króla zwiększonym do ostateczności ciśnieniem świetności, historii, blasku i ceremoniału mogło jeszcze uratować Koronę przed kompromitacją. W tym też duchu kanclerz wydał polecenia i dlatego bankiet, którego dnia odbył się w sali zwierciadlanej, mienił się wszystkimi świetnościami, ze świetności przetaczał się w świetność, z blasku w blask, z glorii w glorię, uderzając jak w dzwony w najwyższe i zda się nieziemskie kręgi i rejony blasku”¹²¹.

Innymi słowy, podmiot postanawia ze zwielokrotnioną siłą dostosować przedmiot do swoich oczekiwań, a czyni to poprzez ignorowanie jego zachowania i kontynuowanie rozgrywki według własnych – absurdalnych lecz skutecznych – reguł. W konsekwencji:

„Arcyksiężniczka Renata, wprowadzona na salę przez wielkiego mistrza ceremonii i marszałka dworu, zmrużyła oczy porażone dostojnym i zamierzchłym lśnieniem tego arcybankietu. Z dyskretną potęgą historycznie pradawne nazwiska przetaczały się w hieratyczny nimb kleru, ten zaś przetaczał się jak pijany w biel szanownych, więdnących dekoltów, które omdlewając tonęły w szlifach generałów i szarfach ambasadorów – a zwierciadła powtarzały świetność w nieskończoność”¹²².

Przypomina to wspaniałe przyjęcie ze *Ślubu* lub wystawną ucztę wyprawioną w *Iwonie*. Mamy więc pewność, że za fasadą przepychu kryje się niemała doza sadyzmu organizatorów bankietu. Tymczasem:

„Gdy król Gnulo wkroczył na salę i zamrugał, oślepiiony blaskiem, natychmiast gromki okrzyk powitania chwycił go jak w kleszcze, a pokłon zebranych nie pozwolił umknąć okrzykowi... a szpaler, który się wytworzył, zmusił go do posuwania się ku arcyksiężniczce... która, drąc na strzępy koronki swej szaty, nie chciała wierzyć własnym oczom”¹²³.

Zauważmy, że blichtr roztańczający się po zwierciadlanej sali nie od razu oddziałuje na samą arcyksiężniczkę. Renata przez moment widzi prawdę:

„Byłże to król i jej przyszły małżonek ten ordynarny kupczyk o gębie subiekta i chytrym spojrzeniu drobnego sprzedawcy owoców i pokątnego szantażysty? Lecz – o dziwo – byłże kupczyk ten wspaniałym królem, który się zbliżał w szpalerze pokłonów?”¹²⁴.

Jednak już po chwili, dojmujący zawód, którego doświadcza, zostaje skutecznie zagłuszony przed otoczenie:

¹²¹Tamże, s. 285-286.

¹²²Tamże, s. 286.

¹²³Tamże.

¹²⁴Tamże.

„Gdy król ujął ją za rękę, zadrżała ze wstrętu, ale w tejże chwili grzmot dział i bicie dzwonów wydarły z jej łona westchnienie zachwytu”¹²⁵.

Nadmiemy tylko, że poczucie wstrętu to jedna z kluczowych emocji, jakich doświadczają bohaterowie Gombrowiczowskich utworów. Dla ilustracji, w szkatułowej *Zbrodni...* zawarta jest opowiadka o następującej treści:

„Pewna kobieta, najzacniejsza w świecie, zakochana po uszy w swym mężu, w pełni miodowych miesięcy, spostrzega w malinach, na talerzu małżonka, białego, podługowatego robaczka – a trzeba wam wiedzieć, że mąż nienawidził nade wszystko tych ohydnych liszek. Zamiast go ostrzec, patrzy z filuternym uśmieszkiem, a potem mówi – zjadłeś robaka. – Nie! – krzyczy przerażony mąż. – Ależ tak – odpowiada żona i opisuje go – był taki a taki, tłusty, biały. Dużo śmiechu, przekomarzenia się, mąż niby zagniewany wznosi ręce do nieba, biadając nad złośliwością żony. Zapomniano o tym. A po tygodniu lub dwóch, żona wielce zdziwiona, gdy mąż chudnie, schnie, zrzuca wszystkie pokarmy, brzydzi się własną ręką, nogą i (wybaczcie państwo określenie) już nie jeździ do Rygi, ale rzec można – stale przebywa w Rydze. Wzrastający wstręt do siebie samego, okropna choroba! I pewnego dnia wielki płacz, straszny jęk, umarł nagle, zwymiotował siebie, pozostała tylko głowa i gardło, resztę zaś zrzucił do kubelka”¹²⁶.

To jeden z wielu przykładów Gombrowiczowskiego wyniesienia ohydy na piedestał. Wstręt bywa tak potężny, że może zabić, a co najmniej zrujnować czyjś dotychczasowy światopogląd, czy system wartości. W *Biesiadzie u hrabiny Kotlubaj*, chociażby, protagonista – mieszczanin zafascynowany wyższymi sferami – przeżywa załamanie nerwowe, kiedy obserwuje scenę zachłannego pożerania posiłku przez arystokratów. Grupa społeczna, dotychczas wzbudzająca podziw i jednocześnie wpędzająca go w poczucie niższości, zachowując się w sposób daleki od wyrafinowania, obraca wewnętrzny świat bohatera w gruzy. A temu wszystkiemu wyraźnie towarzyszy poczucie dojmującego obrzydzenia, co ciekawe, doświadczane przez obie strony. Warto jednak podkreślić, że o ile wstręt żywiony wobec gminu nie był dla arystokratów żadnym *novum*, o tyle nieoczekiwanie wzniecona odraza względem elity szokuje głównego bohatera. Zwróćmy uwagę, że zarówno w historii z liszką, jak i *Biesiadzie...*, istotną rolę odgrywa – ponownie – świadomość. Uświadomienie sobie jakiejś obrzydliwości prowadzi do gwałtownych przemian. W pierwszym przypadku – do śmierci bohatera, w drugim zaś – do upadku systemu przekonań. Mamy więc prawo również tutaj dopatrywać się (mniej lub bardziej, *nomen omen*, uświadomionych) kartezyjskich inspiracji. Coś zaczyna istnieć dopiero wtedy, gdy dostrzega to Ja. Jednostka posiada więc niebywałą sprawczość w świecie, w którym – co ciekawe – jej wolna wola jest, delikatnie

¹²⁵Tamże.

¹²⁶*Zbrodnia z premedytacją*, dz. cyt., s. 69.

rzecz ujmując, dyskusyjna. W dalszej części rozprawy przełożę to spostrzeżenie bezpośrednio na grunt polityki.

Tymczasem, zasadzka zastawiona na Gnulo działa w najlepsze, bowiem:

„Opierając swą królewską, świętą i metafizyczną rękę na głowni szpady, król drugą swą rękę, wszechwładną i uświęcającą, podał arcyksiężniczce Renacie i wiódł ją do stołu bankietowego. Za nim goście z szastaniem nóg i połyskiwaniem szlif i akselbantów wiedli swe damy”¹²⁷.

Ewidentnie: Gnulo staje się marionetką kanclerza. Zastanawia jednak zachowanie pozostałych gości bankietu. Czy ich jednomyślność wyrażająca się poprzez idealnie zsynchronizowane zachowania, to również efekt manipulacji starca? Każdy zgromadzony na przyjęciu, przestrzegając dworskich konwenansów, współuczestniczy w wywieraniu presji na monarsze. Na ile jest to świadoma decyzja, a na ile konsekwencja bezrefleksyjnego podporządkowania się otoczeniu? Czy dwór istotnie chce wymusić na Gnulo majestatyczne zachowanie ku chwale Korony, czy może jest wręcz przeciwnie i nikt nawet nie zastanawia się, czemu miałoby to służyć? Tymczasem, w doskonałym planie kanclerza pojawia się niepozorny uszczerbek:

„Lecz co to? Jakiż to dźwięk cichy, drobny, mały, ledwie dosłyszalny a przecież zdradziecki, dobiegł uszu kanclerza oraz uszu rady? Czy słuch ich mylił, czy też w rzeczy samej doszedł ich dźwięk taki, jakby ktoś z boku... jakby ktoś na boku... brzęczał... brzęczał monetami... miedziakami pobrzękiwał w kieszeni?... Cóż to było?”¹²⁸.

Powraca motyw drobników. Niewinne dźwięczenie monet może doprowadzić do katastrofalnych, zwłaszcza z perspektywy kanclerza, konsekwencji. Gdyby Gnulo usłyszał ten wodzący go na pokuszenie dźwięk, miałby szanse uwolnić się z zasadzki zastawionej przez cały bankiet. Pierwiastek niższości niechybnie zakłóciłby klaustrofobiczną atmosferę pełną blichtru, przepychu i majestatu. Niewykluczone zatem, że to uderzenie w potęgę Korony jest zawołowanym atakiem ze strony wrogiego mocarstwa:

„[...] i przecucie zdrady, nikczemnej, podłej zdrady, przecucie czającego się i pokątnego spisku wtargnęło do dramatycznej i historycznej duszy wielkiego ministra. Czyżby – spisek? Czyżby – zdrada?”¹²⁹.

Gnulo, otępiały przez narzucony mu majestat, na razie pozostaje głuchy na kojarzące się z gminem pobrzękiwanie drobnych monet. Wciąż jest ordynarnym człowiekiem, tyle tylko, że w

¹²⁷ *Bankiet*, dz. cyt., s. 287.

¹²⁸ *Tamże*.

¹²⁹ *Tamże*.

oczach, w świadomości (by rzecz ująć bardziej po kartezjańsku) wytwornych poddanych, jawi się zupełnie odwrotnie, jako wzór do naśladowania, któremu należy się podporządkować:

„Ponowne uderzenie trąb zwiastowało rozpoczęcie uczty. Z ich przemożnego rozkazu umieścił Gnulo swój ordynarny zadek na samym brzeżku zydła królewskiego i ledwie usiadł, usiadło całe zgromadzenie. Siadali, siadali, siadali ministrowie, generałowie, kler i dwór. Król zbliżył dłoń swą do widelca, ujął za widelec, podniósł do ust kęs pieczeni, i w tej samej chwili rząd, dwór, generalicja i kler podnieśli kaski do ust, a zwierciadła powtórzyły ten akt w nieskończoność”¹³⁰.

Strategię uczestników bankietu określiłabym jako zdominowanie ofiary poprzez poddanie się jej. Działa to dlatego, że Gnulo nie interesuje prestiż jego funkcji ani władza, którą ma prawo sprawować nad drugim człowiekiem. Król nie jest i nie chce być majestatyczny, bo to wbrew jego małostkowej, chytrej i przekupnej naturze. Sytuacja, w jaką wpędzają go poddani, sprawia mu więc dojmujący dyskomfort:

„Gnulo, w strachu, przestał jeść – ale wtedy całe zgromadzenie przestało jeść, i akt niejedzenia potężniejszy jeszcze stał się niżli akt jedzenia... Gnulo tedy, aby co prędzej przerwać niejedzenie, czarę przystawił do gęby – i zaraz wszyscy przystawili czary w gromkim, tysiąckrotnym, toaście, który wybuchł, zawisł w powietrzu... aż Gnulo co szybciej odstawił czarę. Lecz wtedy odstawili czary. Król więc znowu przyssał się do czary. Znowu wybuchł toast”¹³¹.

Gnulo – wbrew swojej woli – zamienia się w dyrygenta. Pełni realną władzę nad towarzystwem, które z pietyzmem odtwarza każdy jego gest:

„Gnulo odstawił czarę, lecz widząc, że wszyscy odstawiają czarę, znów przystawił czarę – i znów zgromadzenie, przystawiając czary, podniosło łyknięcie króla do wyżyn w rozgrzmocie trąb, w blasku świeczników, w powtórzeniu zamierzchłych zwierciadeł”¹³².

Subtelne próby przełamania niedorzecznego stanu, w jaki wpędzili się goście bankietu, nie przynoszą żadnych rezultatów, a kreatywność króla utrzymuje się na dość umiarkowanym poziomie. Sytuacja ulega zmianie dopiero, gdy znów rozlega się odgłos pobrzękiwania miedziaków; to impuls:

„Zdradziecki dźwięk – ciche, ledwie dosłyszalne dźwięczenie, charakterystyczny dźwięk drobnych w kieszeni – jeszcze raz doszedł uszu kanclerza i rady. Dostojny starzec ponownie utkwiał uważne i martwe spojrzenie w konwencjonalnej twarzy wrogiego ambasadora... i

¹³⁰Tamże, s. 287-288.

¹³¹Tamże, s. 288.

¹³²Tamże.

znowuż, bardziej wyraziście, rozległ się dźwięk zdradziecki. Stało się już oczywiste, że ktoś, komu zależało na skompromitowaniu króla i bankietu, w ten oto podziemny sposób pragnie skusić chorobliwą chciwość monarchy. Zdradzieckie brzęczenie rozległo się jeszcze raz i tak wyraźnie, że Gnulo je usłyszał – i wąż pożądliwości wypełził na jego ordynarną gębę handlarza starzyzną”¹³³.

Dystygowana Forma ulega wówczas skutecznemu przełamaniu, gdyż:

„O, najistotniejsza potworność tej sprawy na tym polegała, że nawet łapówki nie przyciągały w tym stopniu króla co napiwki – napiwki były dla niego czym dla psa kiełbasa!”¹³⁴.

Fascynacja Gnula tym, co drobne i niewiele warte, jest odzwierciedleniem fascynacji Gombrowicza tym co niskie i niedojrzałe. Poniekąd wynika to z wypowiedzi krytyków literackich, z którymi właściwie od momentu debiutu pisarz musiał toczyć ciężkie boje. Zarzut niedojrzałości, wręcz błazenady, był szczególnie dotkliwy dla młodego twórcy. Zamiast jednak polemizować z krytykami (co, nie oszukujmy się, raczej nie miało prawa zakończyć się jego tryumfem; kimże był początkujący pisarz w starciu z którymkolwiek szanowanym ekspertem od smaku i stylu?), Gombrowicz postanawia zmienić reguły gry. Skoro grono znamienitych (?) czytelników doszukiwało się w jego opowiadaniach, a później dramatach i powieściach, przejawów artystycznej (a może i życiowej?) niedojrzałości, cóż stoi na przeszkodzie, by uczynić z tej pretensji swój znak rozpoznawczy, a zarazem jeden z kluczowych motywów wszystkich utworów? Tak wyglądały narodziny pojęcia upupienia. Sam autor na kartach *Testamentu*... wspomina gorzko:

„Te utwory [chodzi o *Pamiętnik z okresu dojrzewania* – D.Ś.] dałem już do czytania w maszynopisie kilku przyjaciółom [...]. Przyjęli je jak najlepiej, miałem więc od pierwszej chwili ludzi co we mnie wierzyli – i do nich przyłączyli się inni. Ale to były opinie prywatne. Poczęły się sypać recenzje w gazetach. »Młody pisarz nie umie jeszcze się wypowiedzieć«. »Gombrowicz słusznie w tytule podkreślił swoją niedojrzałość«. »Autor hołduje pretensjonalnej niezrozumiałości«. »Miejmy nadzieję że pan Gombrowicz spoważnieje z wiekiem«.

Jakby mi zatańczono na twarzy. Cofnąłem się, ogłupiał, w trwodze. Jakaś niejasność... Po raz pierwszy doznałem na własnej skórze krytyki literackiej, która, niestety, w znakomitym procencie jest i pozostanie oślim rykiem, *nota bene* oślim rykiem przez megafon (prasy). Nagle najgorsza hołota intelektualno-artystyczna Warszawy – jakieś zacne ciotki kulturalne, jakieś belfry, jacyś koneserzy, jacyś mędrkowie i »strażnicy wartości«, wszystko płatne od wiersza – zaczęli mnie obkładać swoimi pośpiesznymi, powierzchownymi, łaskawymi i głupowatymi osądami. **Byłem obiektem** [podkr. D.Ś.], nie mogłem się bronić”¹³⁵.

¹³³Tamże, s. 288-289.

¹³⁴Tamże, s. 289.

¹³⁵Test., s. 23-24.

W świetle tego wyznania, groteskowa scena oddawania nabożnej czci żalosnemu ministrowi z *Trans-Atlantyku* nabiera szczególnego tragizmu. Również rdzeń *Ferdydurke*, czyli wątek wymuszonego powrotu Józia do szkoły, dowodzi że lekka forma utworów potrafi skrywać zdecydowanie niewesołe treści. Wyróżniony fragment powyższego cytatu dobrze współgra zaś z Gombrowiczowskim kartezyjzmem; rozróżnienie na podmioty i przedmioty/obiekty zdaje się nieustannie przenikać wypowiedzi pisarza. Dodajmy jeszcze, że traumatyczne doświadczenia bycia poniżanym nie są jedynym czynnikiem kształtującym osobliwą formę dzieł Gombrowicza. Jak sam literat przyznaje, niższość – tak po prostu – go fascynowała i była dla niego znacznie ciekawsza od snobistycznych wyższych sfer:

„Tak, nienawidziłem salonu, uwielbiałem po cichu kredens, kuchnię, stajnię, parobków i dziewczki – jakimż marksistą byłem wtedy – i mój wcześniej zbudzony erotyzm, sycony wojną, gwałtem, żołnierskim śpiewem i potem, przykuwał mnie do tych ciał od twardej roboty i brudnych. Niższość na zawsze stała się moim ideałem. Jeśli kogo uwielbiałem, to niewolnika. Ale nie wiedziałem, że uwielbiając niewolnika staję się arystokratą”¹³⁶.

Relacja Gombrowicza z salonem to kolejna warta poruszenia kwestia. Wynika z niej bowiem cała filozoficzno-literacka strategia pisarza, której znajomość uważam za niezbędną do (również) politologicznej interpretacji jego dzieł. Gombrowicz nie kryje swej pogardy dla kulturalnego światka, w którym z początku nie ma dla niego miejsca (niedojrzałość pokutuje bowiem latami), a który to w pewnym momencie nieoczekiwanie uznaje go za godnego. Snobizm i klasizm śmietanki intelektualno-kulturalnej, czcze dysputy warte mniej więcej tyle, co te rozgrywające się na kartach *Bankietu*, fasadowość blichtru roztaczającego się wokół samozwańczych artystów i myślicieli oraz bezmyślne oddanie tak zwanej sztuce wysokiej, nie może umknąć uwadze pisarza. W obliczu tego zakłamania, Gombrowiczowi niejednokrotnie zdarza się zachowywać nieprzyzwoicie, czego przykładem jest poniższy fragment *Dziennika*:

„Spotkawszy się z młodym malarzem Eichlerem u Grodzickich, oświadczyłem: nie wierzę w malarstwo! (Muzykom mówię: nie wierzę w muzykę!) Potem dowiedziałem się od Zygmunta Grocholskiego, że Eichler go pytał, czy ja dla hecy uprawiam takie paradoksy. Oni nie domyślają się, ile w tej hecy jest prawdy... prawdy chyba prawdziwszej od prawd, którymi się karmi ich niewolnicze »przywiązanie« do sztuki”¹³⁷.

Pisarz prawdopodobnie czerpał niemałą satysfakcję z obserwowania reakcji zdeorientowanych słuchaczy jego niepopularnych opinii. Celowo posługiwał się językiem nieprzystającym osobie z

¹³⁶Tamże, s. 11.

¹³⁷Dz. s. 39.

towarzystwa i z premedytacją wypowiadał osądy, których nikt nie miał odwagi wypowiadać na salonach. Kiedy pewnego razu wyraził swe znudzenie i obrzydzenie ideą podziwiania dzieł sztuki w muzeach, jego współtowarzysz (dla odmiany zachwycony eksponatami) był oszołomiony. Bo jakże można tak nieelegancko mówić o Sztuce? Pisarz skomentował to później następującymi słowami:

„Wywody moje brzmiały mu prostacko nie dlatego że, w jego pojęciu, nie miałem racji, lecz przede wszystkim dlatego, że to nie był język osoby z »towarzystwa« artystycznego i ani Malraux, ani Cocteau, ani żaden inny z ludzi których on považał, nie wypowiedziałby się w ten sposób. Była to sfera pojęć, z której oni już dawno wyrosli, tak, była to »niższa sfera«, coś naprawdę poniżej poziomu, nie, w tym tonie nie można mówić o sztuce! I wiedziałem, co przyszło mu do głowy: że jestem Polakiem, czyli istotą bardziej prymitywną. Lecz jednocześnie byłem autorem książek, które on uważał za »europejskie«... więc chyba nie był to w moich ustach prymitywizm słowiański ale raczej zgrywa, robienie z siebie wariata? Rzekł: – Pan to mówi żeby się drażnić”¹³⁸.

I tak, i nie. Zapewne, z wypowiedzi Gombrowicza wybrzmiewała szczerłość, lecz jednocześnie, owe nieprzystające słowa padły po to właśnie, by zdenerwować przeciwnika:

„Drażnić! Jeżeli drażni się ze mną wasza tępotą, pozwólcie że i ja podrażnię się z wami! Dlaczego nie chce się wam przyjąć do wiadomości, iż wyrafinowania nie tylko nie wykluczają prostoty, lecz właśnie powinny i muszą iść z nią w parze?”¹³⁹.

Między innymi stąd bierze się obraz złośliwego, wyniosłego Gombrowicza, szydzącego z czytelnika między wierszami utworów, nieustannie testującego zdolności interpretacyjne odbiorcy i drażniącego się z dyskutantami. Czy jednak w istocie pisarz wymagał od swych czytelników i rozmówców specjalnych – by z przekąsem użyć określenia, które nagle mocno wybrzmiało we współczesnym polskim dyskursie o ekskluzywności określonego typu literatury – kompetencji, umożliwiających udźwignięcie bezmiaru jego erudycji? Sądzę, że wręcz przeciwnie: pisarz, owszem, atakuje – ale przede wszystkim tych, którzy przyjmując protekcyjny ton i wygłaszając swe poglądy *ex cathedra*, stawiają siebie w roli ministra z *Trans-Atlantyku*. Do tej grupy należy, choćby, szerokie gremium krytyków literackich, którym w pewnym momencie Gombrowicz poświęca emocjonalny wpis do *Dziennika*:

„Wolę bawić się mymi wrogami, niż ich niszczyć. Zawsze dodawałem starań aby bawić się wrogami, nawet gdy najbardziej nie dawali mi żyć. Dzisiaj zdumiewa mnie delikatność tych hipopotamów – teraz, gdy ja jestem na wierzchu i mogę od czasu do czasu dla zabawy zaleźć im za skórę. Jakaż cieniutka, ta skórka! Zdarza się bowiem, że taki matoł nie połapawszy się

¹³⁸Tamże, s. 41.

¹³⁹Tamże, s. 42.

jeszcze we właściwym, że tak się wyrażę, stosunku sił, z przyzwyczajenia po prostu skrobnie sobie pod moim adresem parę epitetów – no, przypuśćmy, pozer, błazen, zero, kanciarz – ale, gdy ja mu się odwzajemnię pięknym za nadobne, podnosi wrzask wniebogłosy. Jemu wolno napisać, że jestem pajac, ale mnie nie wolno, że tępy. Gdy on mnie majestatycznie obrabia z wyżyn swego nadętego pustogłowa, wszystko w porządku! Ale ja powinienem siedzieć cicho! Mnie nie wolno pisać, bo przecie on »krytyk«¹⁴⁰.

Owa idea zabawy wrogami przybiera różnorakie formy realizacji: od wzniecania sztucznych konfliktów, przez epatowanie drażniącą niedojrzałością, po parodiowanie swych ofiar/oprawców. Powinam w tym momencie podkreślić, że kategoria wroga jest w przypadku Gombrowicza nad wyraz pojemna. Jak już uzgodniliśmy, miano to bezdyskusyjnie przypada krytykom literackim o profilu „kulturalnych ciotek”. Wrogami są także przedstawiciele salonu, którzy snobistycznymi dysputami maskują swe intelektualne braki. Pisarz pewien czas spędził mieszkając w podparyskim opactwie Royaumont, czyli – jak sam to ujął – w ważnym ośrodku naukowo-kulturalnym. Jego początkowy umiarkowany entuzjazm związany z pobytem szybko przerodził w dalekie od umiaru poirytowanie. Jedną z niewielu ówczesnych rozrywek Gombrowicza – oprócz spotkań z zapoznaną tam Ritą Labrosse – było więc wprawianie w zdumienie i obrażanie rozmówców¹⁴¹:

„Pamiętam, zagadnęła mnie wyintelektualizowana dama, czy podzielam poglądy Simone de Beauvoir na swoistą problematykę współczesnej kobiety. Odpowiedziałem, że przychyliam się bardziej do zdania cesarza Wilhelma »K.K.K«, czyli »Kinder, Küche, Kirche«, czyli dzieci, kuchnia, kościół. Co, co, konsternacja, zapytano, czy ja na serio, odpowiedziałem, że na serio, ale...”¹⁴².

W *Dzienniku* roi się od wspomnień tego typu przekomarzanek udatnie wytrącających z równowagi dyskutantów, sądzę jednak, że jeszcze ciekawsze są fragmenty w których pisarz imituje styl denerwujących go osobników. Dla ilustracji, przykład z Kartezjuszem w tle:

„Do Marksa, jak i do Kierkegaarda, potrzebny jest Hegel. A Hegla nie ugryziesz bez *Krytyki Czystego Rozumu*. Ta zaś wywodzi się po trosze z Hume’a, Berkeleya, konieczny byłby na dalszym planie przynajmniej Arystoteles i choć trochę Platona, ale i Descartes, ojciec nowoczesnego myślenia, też by się przydał i to także jako prolegomena do fenomenologii, bez której to fenomenologii (Husserl) nie można czytać ani *L’être et le néant*, ani *Sein und Zeit*. Nie chcę straszyć tytułami, nazwiskami. **Nie robię z siebie filozofa, gdyż jestem poetą i mam wrodzony abschmack do abstrakcyjnego myślenia** [podkr. D.Ś.]. Ale te nazwiska i tytuły

¹⁴⁰Tamże, s. 525.

¹⁴¹Po szczegóły pobytu Gombrowicza w opactwie odsyłam do publikacji Klementyny Suchanow: *Gombrowicz. Ja, geniusz*, t. 2, dz. cyt. s. 328-338.

¹⁴²Dz. s. 836.

wyznaczają horyzont studenta na drugim roku filozofii – i pytam, wielu z naszych myślicieli sprostałoby takiemu egzaminowi? Z czym tedy do gościa?”¹⁴³.

Czy rzeczywiście nie chce straszyć? Pisarz dystansuje się od filozofii¹⁴⁴, jednocześnie dając odwrotny przekaz: on, Gombrowicz, nie-filozof, posiada znacznie większą wiedzę filozoficzną, niż osoby (adresatem tego ataku jest polskie artystyczne środowisko emigracyjne nieudolnie usiłujące przeprowadzić krytykę marksizmu), które do bycia filozofami aspirują. Widzimy tu wyraźnie jego manierę strzelania nazwiskami¹⁴⁵, której pozornym celem jest przytłoczenie odbiorcy własną erudycją, a bardziej – w mojej ocenie – realnym: sparodiowanie zarozumiałych (pseudo)intelektualistów. Znamienne jest, że Gombrowicz – (zapewne) prześmiewczo narzucając swym kolegom-artystom wymóg porządnego zorientowania się w podstawach historii idei – sam podchodzi do tej dziedziny wiedzy w bardzo swobodny sposób¹⁴⁶. Poniżej przytaczam najlepszy tego przykład:

„Czytając mój dziennik, jakiego doznajecie wrażenia? Czyż nie takiego, że wieśniak z Sandomierskiego wszedł do fabryki roztrzęsionej, wibrującej i spaceruje po niej jakby chodził po własnym ogrodzie? Oto piec rozżarzony, w którym fabrykują się egzystencjalizmy, tu Sartre z rozpalonego ołowiu przyrządza swoją wolność-odpowiedzialność. Tam warsztat poezji, gdzie tysiąc ociekających siódmym potem robotników w pędzie zawrotnych taśm, trybów, operuje coraz ostrzejszym nożem superelektromagnetycznym w coraz twardszym materiale, tam zasię kotły bezdenne, w których warzą się ideologie, światopoglądy i wiary. Oto czeluść katolicyzmu. Tam dalej huta marksizmu, tu młot psychoanalizy, oto studnie artezyjskie Hegla i obrabiarki fenomenologiczne, tam dalej stopy galwaniczne i hydrauliczne surrealizmu, lub też pragmatyzmu. I fabryka pędząc i pędząc w łoskocie i wirze produkuje i produkuje coraz to

¹⁴³Tamże, s. 567.

¹⁴⁴Choć bynajmniej nie oznacza to pogardy względem tej dyscypliny. Wnioskuje, że Gombrowicz miał po prostu świadomość, że jego filozofowanie ma czysto hobbystyczny charakter. W liście do Jerzego Giedroycia, autor *Ferdurke* pisał, co następuje: „Przesyłam notatkę biograficzną, o którą Pan się dopomina, choć w zasadzie wolałbym nie rozgłaszać faktu, że jestem już starym koniem i że zamiast dumnych fakultetów filozoficznych ukończyłem jedynie nędzny wydział prawny warszawskiego uniwersytetu”. *Jerzy Giedroyc Witold Gombrowicz. Listy 1950-1969*, wybór i oprac.: A. Kowalczyk, Warszawa 1993, s. 23.

¹⁴⁵Pisał na ten temat Margański w artykule *Filozof Gombrowicz*, „Teksty Drugie” 1991, nr 5(11), s. 106-118.

¹⁴⁶Podoba mi się uchwycenie przez problemu Gombrowiczowskiej dwoistości przez Józefa Olejniczaka. Badacz zwraca bowiem uwagę, że: „Gombrowicz to surowy krytyk strukturalizmu wykrzykujący, że był »pierwszym strukturalistą«, równie surowy krytyk marksizmu, którego bohater (chodzi o Stefana Czarnieckiego z opowiadania *Pamiętnik Stefana Czarnieckiego*), zrozpaczony niemożnością osiągnięcia dojrzałości, w akcie rezygnacji, rozważa możliwość zostania marksistą, kontestator katolicyzmu, doświadczający metafizycznych lęków i wcielający się w rolę Boga, decydującego o życiu i śmierci (chodzi, rzecz jasna, o dziennikowy epizod z żuczkami), pisarz niechętny psychoanalizie, sięgający po arsenał środków wykorzystywanych przez psychoanalizę, charakterystyczne zresztą, iż zwykle we fragmentach *Dziennika* »programowych« i autotematycznych (jak wówczas, gdy dziennikowy podmiot ogłasza program naprawy polskiej kultury czy podaje przepis na stworzenie arcydziełnej powieści). Ponadto Gombrowicz to egotyk, najzarliwszy bodaj w literaturze modernistycznej obrońca »ja« oraz prawa do niezależności, wolności i samostanowienia, rozpisujący owo »ja« na niepoliczalną niemal ilość ról, stylów, masek, póz itd. Listę tego »wymykania się« Gombrowicza, tych jego i bohaterów jego utworów, symbolicznych albo realnych ucieczek i metamorfoz można wydłużać, a zawsze pozostanie niepewność, czy można ją zamknąć, czy można na jej końcu postawić kropkę...”. J. Olejniczak, *Anarchie Gombrowicza...*, dz. cyt. s. 4-5.

doskonalsze instrumenty, te zaś instrumenty służą do ulepszenia i przyśpieszenia produkcji, więc coraz to wszystko staje się potężniejsze, gwałtowniejsze, bardziej precyzyjne. Ale ja przechadzam się pośród tych maszyn i wytworów z miną zamyśloną i zresztą bez większego zainteresowania, zupełnie jak gdybym chodził po sadzie tam u siebie, na wsi. I co pewien czas, próbując tego lub owego wyrobu (jak gruszkę lub śliwkę) mówię: – Hm... hm... to jakieś dla mnie za twarde. Albo: – To, na moją miarę, zbyt obfite. Albo: – Do diabła z tym, to niewygodne, za sztywne. Lub też: – Ha, nie byłoby to złe, gdyby nie było takie rozpalone!”¹⁴⁷.

Z tej wypowiedzi wypływa ciekawy wniosek. Mianowicie: Gombrowicz stawia siebie w kontrze nie tylko do poszczególnych jednostek, czy grup społecznych ale również do całej tradycji filozoficznej. Nie oznacza to jednak, że żywi pogardę do wszystkich myślicieli. Wręcz przeciwnie, autor *Ferdydurke* po prostu w specyficzny sposób wyraża swoje uczucia. Jeżeli czyjaś koncepcja przypadnie mu do gustu – prędzej podejmie z nią pozbawiony czołobitności a wręcz zaczepny dialog, niż wyrazi nic nie wnoszący do dyskursu zachwyt. Dzięki temu, myśl nietzscheańska, na przykład, ożywa na kartach *Szczura*, czy *Ślubu*. Podobnie jest z koncepcją *Cogito*.

Celowo nie cytuję w tym rozdziale zbyt obszernie *Kursu filozofii...*, w którym Gombrowicz przecież poświęca sporo miejsca francuskiemu myślicielowi, wyłuszczając najważniejsze punkty koncepcji Kartezjusza. Czas na wyjaśnienie tej decyzji. *Kurs...*, jak wiadomo, to pastisz, w którym błyskotliwe spostrzeżenia pisarza przeplatają się z truizmami¹⁴⁸, typu:

„Początek myśli nowoczesnej.

Można by też powiedzieć, że jest nim Kartezjusz (początek XVII w.)”¹⁴⁹.

A także:

„Mam pewność, że jest to w mojej świadomości, ale nie odpowiada rzeczywistości. Przykład – centaur”¹⁵⁰.

Czytelniej o *Cogito* mówi Gombrowicz w *Dzienniku*, zresztą również posiłkując się przykładem centaury:

„Czy pamiętacie Descartes’a? Gdy myślę o centaurze, nie mogę mieć żadnej pewności, że centaur istnieje – jedyne co wiem na pewno, to iż istnieje moja myśl o centaurze... Choć Hamlet, królewicz duński, jest marzeniem, jest pewne, że to szekspirowskie marzenie o Hamlecie istniało i to jest ten fakt konkretny, którego na gwałt nam potrzeba”¹⁵¹

¹⁴⁷Dz. s. 145-146.

¹⁴⁸Ponownie odsyłam do tekstu Janusza Margańskiego *Filozof Gombrowicz*, dz. cyt., s. 109.

¹⁴⁹Kurs, s. 15.

¹⁵⁰Tamże.

¹⁵¹Dz., s. 538.

W *Kursie*... wcale nie chodzi o przekazanie filozoficznej wiedzy czytelnikowi. To raczej kolejny eksperyment pisarza ze stylem. Gombrowicz u kresu swego życia ma okazję zmierzyć się z nową rolą belfra, a zarazem z tym, co nieuchronnie się do niego zbliża. Jak rzecz ujął Michał Paweł Markowski: „kiedy czytamy teraz te zapiski, ni wiedząc nic o ich genezie, w najlepszym wypadku możemy je traktować jako glosy do *Dziennika* albo jako fiszki do rekonstrukcji filozoficznego światopoglądu Gombrowicza. [...] Musimy jednak pamiętać, że mówi to wszystko człowiek, który umiera i który – jak wspomina Rita Gombrowicz – »w tym okresie rzadko mówił o śmierci«¹⁵². I owszem, łabędzi śpiew Gombrowicza doskonale uzupełnienia lekturę pozostałych jego dzieł (nie tylko *Dziennika*, w mojej ocenie), wskazując na istotne tropy interpretacyjne, które łatwo przeoczyć w bezmiarze groteski i absurdu, a zarazem stanowi jednak pewną formę rozrachunku autora z życiem. Namysł nad Gombrowiczowską *quasi*-filozofią powinien jednak zdecydowanie wykroczyć poza to dzieło. Mówiąc inaczej: bez *Kursu*... moglibyśmy nie dostrzec ważnych filozoficznych aspektów twórczości pisarza, jednak to w fikcji literackiej kryje się największa głębia.

W związku z tym, pora wrócić do wydarzeń rozgrywających się w *Bankiecie*. Dla przypomnienia, do uszu Gnula dobiega pobrzękiwanie drobniaków, które rujnuje plan kanclerza:

„Usłyszawszy znajomy a tak słodki dźwięk, król Gnulo odstawił czarę i zapominając o Bożym świecie w bezkresnej głupocie swojej... obliział się nieznacznie... Nieznacznie! Tak mu się zdawało. Oblizanie się króla pękło jak bomba, wobec całego, czerwonego ze wstydu, bankietu”¹⁵³.

W tym momencie mechaniki kierujące światem *Bankietu* ulegają awarii, a sytuacja gwałtownie wymyka się spod kontroli. Ludzki, a więc niegodny królewskiego majestatu gest, również musi się zwielokrotnić:

„A wtedy ujrzano, jak z pobladłych warg historycznego męża heroicznie, powoli wysuwa się wąski, starczy język. Kanclerz się oblizął! Oblizął się kanclerz państwa!”¹⁵⁴.

Szokujące zachowanie kanclerza wywołuje zaś efekt domina:

„Przez chwilę jeszcze rada walczyła z osłupieniem, lecz na koniec wysunęły się języki ministrów, a w ślad za nimi języki biskupów... języki hrabin i margrabin... i wszyscy oblizali się z krańca po kraniec stołu w tajemniczym lśnieniu kryształów, a zwierciadła powtórzyły ten akt w nieskończoność, nurzając go w lustrzanych perspektywach”¹⁵⁵.

¹⁵²M. P. Markowski, *Ze szkoły Montaigne'a* [w:] *Kurs*, s. 9-10.

¹⁵³*Bankiet*, dz. cyt., s. 289.

¹⁵⁴Tamże.

¹⁵⁵Tamże, s. 289-290.

Już na marginesie: zwielokrotnienie to kolejny częsty motyw utworów Gombrowicza. Wiąże się to poniekąd z wymuszoną symetrycznością działań bohaterów. Gombrowiczowska logika działa według schematu: jeżeli X zachowa się w określony sposób, to Y będzie musiał na to adekwatnie odpowiedzieć. Odpowiedź to albo powtórzenie działania, albo kontr-działanie. Najbardziej oczywistym tego przykładem jest słynny pojedynek na miny z *Ferdydurke*, ale również zawarte w powieści historie Filidora i Filiberta, którym przyjrzymy się bliżej w dalszej części rozprawy. Zwróćmy uwagę, jak bardzo ogranicza to wolność bohaterów. Są oni zmuszani do podejmowania działań w odpowiedzi na działania innych, a każdy przejaw bez-działania odbierany jest bardzo negatywnie. Ponownie, przypomnijmy sobie historię biernej, milczącej Iwony. Nie reagując we właściwy sposób na zachowania innych, nieomal sama na siebie wydaje wyrok śmierci, tak bardzo jest irytująca. Wracając zaś do Bankietowego zwielokrotnienia:

„Wtenczas król, rozwścieczony, widząc że na nic nie może sobie pozwolić, ponieważ mu wszystko naśladują, odepchnął gwałtownie stół i powstał. Ale powstał i kanclerz. A za nim wszyscy powstałi”¹⁵⁶.

Emocje narastają, a zachowanie Gnula zdaje się wymykać spod kontroli. W konsekwencji – panowanie nad sytuacją tracą też pozostali uczestnicy uczyty. Tu jednak zaznaczmy, że kanclerz zdaje sobie sprawę z powagi sytuacji i jej możliwych następstw. Być może on jako jedyny obecny na przyjęciu posiada w tym momencie pełną świadomość popełnianych czynów:

„Jakoż kanclerz już się nie wahał, już powziął decyzję, której niesłychana śmiałość rozbijała w puch konwenanse!”¹⁵⁷.

Paradoks sytuacji polega więc na tym, że skutkiem heroicznej walki w obronie dworskich konwenansów i pozorów świetności jest drastyczne złamanie owych konwenansów:

„Zdając sobie sprawę, że już nic nie zdoła ukryć przed Renatą prawdziwej natury króla, kanclerz postanowił jawnie rzucić bankiet do walki o godność Korony. Tak, nie było innego wyjścia – bankiet musiał z całą bezwzględnością powtarzać nie tylko te akty króla, które nadawały się do powtórzenia, ale *właśnie i przede wszystkim te, które do powtórzenia się nie nadawały* – gdyż tylko w ten sposób można było przetworzyć te postęпки w arcypostęпки – i gwałt ten na osobie króla stał się konieczny i nieunikniony”¹⁵⁸.

Potęga Korony – z potęgi dotychczas złudnej, ugrzecznionej i kontrolowanej przez kanclerza-demiurga – przekształca się w potęgę nieokiełznaną. Dzieje się to kosztem Gnula, który

¹⁵⁶Tamże, s. 290.

¹⁵⁷Tamże.

¹⁵⁸Tamże.

doprowadzony do skrajności w tej ekstremalnie absurdalnej sytuacji, całkowicie traci panowanie nad sobą:

„Król zerwał się ze swego miejsca u szczytu stołu! Bankiet również się zerwał! Król postąpił kilka kroków. Biesiadnicy również. Król zaczął krążyć po sali bez celu. Biesiadnicy także jęli krążyć. I krążenie, w swym monotonnym i nieskończonym krążeniu, osiągało tak zawrotnych szczytów arcykrążenia, że Gnulo, zdjęty nagłym zawrotem głowy, zaryczał – i z oczami krwią nabiegłymi rzucił się na arcyksiężniczkę – i, nie wiedząc co robić, przystąpił do stopniowego duszenia jej w obliczu całego dworu!”¹⁵⁹.

Jak nietrudno się domyślić, okrucieństwo również się pomnaża i rozlewa na cały bankiet:

„Bez chwili wahania sternik nawy państwowej rzucił się na pierwszą z brzegu damę i dusił – i pozostali goście poszli za jego przykładem – podczas gdy arcydusicielstwo, powtórzone bezlikiem zwierciadeł, ziało ze wszystkich nieskończoności i rosło, i rosło, i rosło – póki rżężenia dam nie przydusiło... Tak tedy bankiet już zerwał ostatnie nici łączące go ze zwykłym światem, już wziął na kiel!”¹⁶⁰.

Oczywiście, powyższy fragment łudząco przypomina kulminacyjny punkt fabuły *Filiberta dzieckiem podszytego*. Po chwili, wszystko jednak zamiera:

„I bezruch, ohydny bezruch wzmożony zwierciadłami, oniemiały, jął rosnąć i rosnąć...”¹⁶¹.

Kolejna scena stanowi zaś kalkę finału *Ferdydurke*. Królowi nie pozostaje nic innego, jak podjęcie próby ucieczki skazanej na porażkę:

„Machnąwszy rękami, Gnulo gestem najwyższej paniki złapał się za tyłek i niewiele mówiąc jął uchodzić... biegł ku drzwiom, byle dalej od tego Arcykrólestwa. Zebrani ujrzeni, że król im ucieka... jeszcze chwila, a król ucieknie! I patrzyli na to w osłupieniu, albowiem nie można było zatrzymać króla... Któż śmiałby się zatrzymać króla?
– Za nim – zaryczał starzec. – Za nim!”¹⁶².

Nie chodzi tu bynajmniej o to, że Gnula pochwyć jego poddani i siłą doprowadzą do zamku. Sytuacja jest bardziej tragiczna, ponieważ nawet poza królewskim dworem, protagonistę wciąż zniewala majestatyczna Forma i gęba wielkiego przywódcy:

„Król uciekał środkiem ulicy a w odległości kilkunastu kroków pędził kanclerz, pędził bankiet i bal. I oto arcygeniusz tego arcystatysty znów ujawnia się w całej arcsyle swojej – albowiem

¹⁵⁹Tamże, s. 290-291.

¹⁶⁰Tamże, s. 291.

¹⁶¹Tamże.

¹⁶²Tamże, s. 291-292.

SROMOTNA UCIECZKA KRÓLA STAJE SIĘ ATAKIEM JAKIMŚ i już nie wiadomo, czy to KRÓL UCIEKA, czy też KRÓL PĘDZI W PRZESTRZEŃ NA CZELE BANKIETU!”¹⁶³.

To, co groteskowe i wzbudzające zażenowanie, ponownie więc znika za fasadą potęgi:

„I arcyszarżując na czele arcyhufca swego arcykról przetoczył się w pomroce nocy!”¹⁶⁴.

Gombrowicz wykorzystuje tak upiornie-bajkowy obraz polityki do artystycznego zilustrowania przemyśleń na tematy znacznie bardziej uniwersalne. Absurdalne relacje zachodzące między królem a jego poddanymi są dla czytelnika bodźcem do namysłu nad relacjami międzyludzkimi w ogóle – zarówno na poziomie wertykalnym, jak i horyzontalnym. Co więcej, motyw władzy politycznej prowokuje do refleksji nad zjawiskiem władzy jako takiej. Pisarzowi udaje się też uchwycić płynność granicy między rządzącymi a rządzonymi oraz niejednoznaczność relacji, w które wikła się każda jednostka funkcjonująca we wspólnocie. Interesujący jest również wątek zdominowania jednostki przez tłum, odzierania jej z indywidualizmu przez zaślepioną zbiorowość. Wreszcie, *Bankiet* odczytuję jako swoistą przypowieść o pozorności władzy: któż (i czy ktokolwiek) sprawuje realną władzę na dworze Gnula?

Wskazane kwestie mogłyby zainteresować niejednego filozofa, a dopiero w dalszej kolejności, filozofa polityki. Jestem przekonana, że *Bankietu* – ani żadnego innego dzieła Gombrowicza – nie warto bezpośrednio przykładać do politologii. Absurd ma doprowadzić do pewnych uniwersaliów, a dopiero owe uniwersalia – do refleksji (na przykład) nad polityką (ale równie dobrze nad kulturą, sztuką, literaturą, religią, etc.). Pomińcie etapu odczytania uogólnionej refleksji nad światem nadmiernie upraszcza interpretacje, a w krańcowych momentach, prowadzi nawet do rażących nadinterpretacji spod znaku Luciena Goldmanna.

Subtelne kartezjańskie odniesienia zawarte w *Bankiecie*, które usiłowałam zaakcentować i skonfrontować z innymi tekstami Gombrowicza, z jednej strony pozwalają na większe zrozumienie idei „kościółka międzyludzkiego”, z drugiej zaś – otwierają drogę do politologicznego namysłu. Co warte podkreślenia, pisarz pożyczka od Kartezjusza pewną aparaturę pojęciową, by później inspirując się ideą *Cogito*, móc podjąć kreatywną polemikę z francuskim myślicielem.

„Filozofia zaczyna się zajmować świadomością jako czymś podstawowym. Wyobraźcie sobie absolutną noc i tylko jeden przedmiot. Jeśli ten przedmiot nie znajdzie świadomości zdolnej poczuć jego istnienie, to nie będzie on istniał”¹⁶⁵.

¹⁶³Tamże, s. 292.

¹⁶⁴Tamże.

¹⁶⁵Kurs, s. 17.

W świecie Gombrowicza świat składa się z miliardów Ja, przeświadczonych o swej podmiotowości i traktujących wszystko wokół jak przedmioty, których kształty i właściwości można dostosować do własnych wymagań. Problem polega na tym, że żyjąc w społeczeństwie i wspólnocie politycznej skazani jesteśmy na dzielenie przestrzeni z innymi Ja i również na nie projektujemy swoje wyobrażenia. Każdy z nas zatem – w swej świadomości – buduje własny świat, a to musi być sprzężone z krzywdą innego, uprzedmiotowionego brutalnie Ja. Gombrowiczowski kartezyjizm podszyty jest zatem niewyobrażalną przemocą i prowadzi do wojny każdego z każdym, którą powstrzymać może jedynie Forma (paradoksalnie uwłaczająca godności Ja).

„WYELIMINOWAĆ PRZEDMIOT – oto wielka idea Kartezjusza”¹⁶⁶.

Patrząc na losy poszczególnych bohaterów literackich, można przyznać że Gombrowicz czyni to całkiem dosłownie.

¹⁶⁶Tamże, s. 16.

2. Kontekst: dyskusja *nature vs nurture*

„Jeśli naród, do którego należę, poczuł kiedyś że jednak w esencji swojej różni się od konia, to tylko dlatego, że nauka Kościoła prawda mu o ludzkiej duszy nieśmiertelnej. Ale któż stworzył tę duszę? Bóg. A konia któż stworzył? Bóg. Tak tedy koń z człowiekiem zlewają się w harmonii tego prapoczątku. Kontrast między nimi jest uleczały.
[...]

Pytanie: czy ja, będąc pozbawiony Boga, jestem wskutek tego bliższy, czy dalszy natury? Odpowiedź: jestem dalszy”.

W. Gombrowicz, Dziennik, s. 369.

Sądzę, że jeszcze jedno łączy Gombrowicza z Kartezjuszem: obaj swoją awangardowością częściowo związują ręce interpretatorom. Albo inaczej: interpretatorzy obu twórców mogą¹⁶⁷ łatwo wpaść w pułapkę dogmatu awangardowości¹⁶⁸. Oczywiście, generalizuję tutaj mocno, jednak konsensualnie okrzyknięte prekursorstwo może oneśmielić i – w konsekwencji – znacząco ograniczyć pole manewru w odczytywaniu tekstów. Co jasne, w żadnym razie nie usiłuję podważać ani oryginalności Gombrowicza, ani Kartezjusza; uważam jednak że powinniśmy sprawę nieco sprobematyzować. Jak zasygnalizowałam w poprzednim rozdziale, geniusz francuskiego myśliciela wyraża się w umiejętności niebanalnej syntezy koncepcji głoszonych przez jego

¹⁶⁷Choć, rzecz jasna, nie ma się o co. W tym miejscu sygnalizuję jedynie potencjalne niebezpieczeństwo.

¹⁶⁸Czego najlepszym dowodem mógłby być fragment „*Ciemnej*” *młodości Gombrowicza* Marii Janion. Przy czym samo pojmowanie awangardy przez badaczkę jest w – mojej opinii – dość nietypowe (czy wręcz niespójne lub po prostu nie do końca dla mnie zrozumiałe). Dla kontekstu, historyczka literatury analizuje w swym artykule *Opętanych*. I, przy okazji wstępnych zastrzeżeń natury metodologicznej, w pewnym momencie stwierdza: „zauważyć muszę jednak najogólniej, że ani nie przedstawiałam Gombrowicza jako »spadkobiercy romantycznego demonizmu« (gdyż klóciłoby się to drastycznie z moim przeświadczeniem o tym, że **Gombrowicz – jako tzw. pisarz awangardowy – nie był niczym spadkobiercą i nawet być nim nie mógł** [podkr. D.Ś.]; niezmiennie arbitralnie postępował z tym, na co chciało mu się zwrócić uwagę, »pożerał«, przekształcał radykalnie dla własnych celów”. M. Janion, „*Ciemna*” *młodość Gombrowicza* [w:] *Gombrowicz i krytycy*, dz. cyt. s. 492. O ile pełna moja zgoda z drugą częścią wypowiedzi, o tyle zastanawia mnie jej logiczny związek w wyłuszczonego fragmentem. Myślę, że kluczem do definiowania awangardowości przez Janion jest jej rozumienie samego „bycia spadkobiercą”. Wygląda na to, że badaczka uznaje przyjęcie owego spadku wyłącznie z całym dobrodziejstwem inwentarza. Nie ma mowy o wyłuskiwaniu z kultury wyłącznie interesujących dla Gombrowicza treści, a i beztrudnie interpretowanie tychże zdobyczy również spadkobiercy nie przystoi. Zasadniczo, przyjmując taką perspektywę, pod wątpliwość moglibyśmy wziąć nawet kwestię dziedziczenia filozofii przez Arystotelesa po Platonie. Janion jest więc nad wyraz zasadnicza w swym osądzie. Co jednak najciekawsze, radykalizm wobec samego dziedziczenia prowadzi do mało radykalnej i nieostrej definicji awangardy. Skoro ten, kto jest wybiórczy i dokonuje pewnej dekonstrukcji tego, co powstało wcześniej, tworzy już coś zupełnie nowego i nie-dziedziczonego (czyli awangardowego), to znaczy, że grono twórców awangardowych może być zaskakująco szerokie... Mówiąc najkrócej, nieszczególnie przekonuje mnie ani przeświadczenie autorki, że awangardowość i dziedziczenie muszą wzajemnie się wykluczać, ani też podprogowe stwierdzenie, że kreatywna praca z materiałem wyklucza bycie spadkobiercą. Powiem więcej: uważam że Gombrowicz czerpał pełnymi garściami z przytłaczającej wręcz ilości intelektualnych i duchowych testamentów. A to zdecydowanie poszerza interpretacyjne horyzonty.

poprzedników¹⁶⁹. Kartezjusz czerpie z tego, co nie-nowoczesne¹⁷⁰; jego poglądy nie zrodziły się przecież w intelektualnej próżni, ale raczej jako twórcze przekształcenie¹⁷¹ bądź kontra do tego, co powiedziano wcześniej. Z tej perspektywy, nowatorstwo Gombrowicza jest analogiczne do nowatorstwa Kartezjusza. W obu przypadkach nie ma mowy o *creatio ex nihilo*¹⁷². Tymczasem, gombrowiczolodzy (nie wszyscy, lecz znakomite grono niewątpliwie¹⁷³), niczym Młodziakowie z *Ferdydurke*, skrzętnie unikają nawiązań do tego, co miałyby choćby pozór anachroniczności¹⁷⁴. Jeżeli już porównywać Gombrowicza – to do jemu współczesnych, równie niepokornych myślicieli. W ostateczności – do tych autorów i pojęć, do których sam pisarz nawiązywał bardzo wprost. Wykroczenie poza te ramy uchodzić może już za mocno ryzykowne, czy wręcz wzbudzające poważne wątpliwości. Dlatego też – na co również zwróciłam uwagę we wstępie do rozprawy – stan badań nad jego twórczością jest z jednej strony bardzo bogaty ale z drugiej – wciąż mocno

¹⁶⁹Podkreślę już na marginesie, że awangardowość w żadnym razie nie łączy się z ponadczasowością, czy to w przypadku Kartezjusza, czy Gombrowicza. W przypadku tego pierwszego, wystarczy przywołać wizję zwierzęcia-automatu, by odczuć jak miejscami źle zestarzała się myśl francuskiego filozofa. Odsyłam również do bardzo przystępnej w odbiorze próby skonfrontowania filozoficznych koncepcji dotyczących świadomości (w tym poglądów Kartezjusza) z aktualnym stanem wiedzy: M.S. Gazzaniga, *Instynkt świadomości. Jak z mózgu wylania się umysł?*, przekł. A. Nowak-Młynikowska, Sopot 2020. Zachęcam również do lektury *Błędu Kartezjusza* A. Damasio, przekł. M. Karpiński, Kraków 2022. O tym zaś, jak na próbę czasu reaguje dzieło Gombrowicza, opowiem w dalszej części pracy.

¹⁷⁰Na przykład, z przemyśleń Augustyna z Hippony. Zwraca na to uwagę m.in. Anna Tomaszewska w artykule *Kartezjusza koncepcja natury ludzkiej. Uwagi o Medytacji czwartej* [w:] *Natura ludzka w filozofii nowożytnej i współczesnej*, red. J. Miklaszewska, P. Spryszak, Kraków 2010, s. 116.

¹⁷¹Z którym warto powiązać pojęcie kultury remiksu. Zarówno w przypadku refleksji filozoficznej/politologicznej/socjologicznej, etc., jak i w tworzeniu literatury (ale również muzyki, filmów, seriali, gier wideo, etc.), mamy bowiem do czynienia z kreowaniem nowego na bazie tego, co już w szeroko pojętej kulturze funkcjonuje. Jak wskazałam w tekście, wiąże się to z jednej strony z niemnością tworzenia w całkowitym oderwaniu od jakiegokolwiek kontekstu, z drugiej zaś – z możliwością wykorzystania tego faktu niejako z premedytacją. Literackimi przykładami celowego i w pełni świadomego remiksowania mogą być wszystkie dzieła Terry'ego Pratchetta z cyklu *Świata Dysku*, gdzie autor złośliwie pogrywa z konwencją fantasy, tworząc jednocześnie własne fantastyczne uniwersum (zob. np. T. Pratchett, *Kolor magii*, Warszawa 2012, tegoż, *Blask fantastyczny*, Warszawa 2013, tegoż, *Równoumagicznienie*, Warszawa 2012, tegoż, *Mort*, Warszawa 2012 – wszystkie w przekładzie Piotra W. Cholewy), ale również odwołująca się bezpośrednio do biografii i twórczości Virginii Woolf powieść Michaela Cunninghama *Godziny* (przekł. M. Charkiewicz, B. Gontar, Poznań 2018), ewidentnie nawiązująca do *Dziwnych losów Jane Eyre* Charlotte Brontë *Trzynasta opowieść* pióra Diane Setterfield (przekł. M. Słysz, Warszawa 2021), czy minimalistyczne *Gdy nastał koniec* Neila Gaimana, zbudowane na fundamencie starotestamentowego opisu stworzenia świata. Zob. N. Gaiman, *Gdy nastał koniec* [w:] tegoż, *Rzeczy ulotne*, przekł. P. Braiter, Warszawa 2018.

¹⁷²Jak rzecz celnie ujął Tadeusz Kępiński: „Gombrowicz – wszystko na to wskazuje – mając pewną orientację we fragmentach historii myśli filozoficznej, szukał w niej oparcia dla swego myślicielstwa a zarazem zgody z własnymi predyspozycjami i preopiniami. Wczesny rozwój jego myślenia i nabywanych orientacji opierał się na realizmie materialistycznym, w monistycznym wydaniu Ernesta Haeckla. Jego krytyczny stosunek do idealizmu utwierdzał się pod wpływem literatury francuskiej od Voltaire'a do Renana, którego co śmielsze myśli w rozmowach z przyjaciółmi lubił eksponować. Głęboko tkwiące w kulturze francuskiej i ostro akcentujące się w literaturze poczucie stylu robiło na nim silne wrażenie, zwłaszcza w zestawieniu z bezformiem i rozlazłością, jak utrzymywał, rodzimej kultury. Natomiast metodyczne studia i źródłowe zaznajamianie się z nielicznymi choćby dziełami leżało poza kręgiem jego zainteresowań”. T. Kępiński, *Witold Gombrowicz studium portretowe drugie*, dz. cyt., s. 36-37.

¹⁷³Wróćmy tylko myślami do cytowanej już wypowiedzi Jerzego Jarzębskiego na temat podążania części interpretatorów szlakiem narzuconym przez pisarza (zob. J. Jarzębski, *Słowo wstępne* [w:] *Witold Gombrowicz nasz współczesny*, dz. cyt., s. 5.). Gombrowicz zaś troszczył się o swój wizerunek artysty ze wszech miar oryginalnego. Jakże więc nie ulegać jego sugestiom?

¹⁷⁴Co udowodnić mogę jedynie ponownie odsyłając do mojego przeglądu stanu badań. Nie jest problemem to, co się w nim zawiera, lecz to, czego próżno szukać.

zogniskowany na – do pewnego stopnia – okrojonej puli zagadnień. Przekornie proponuję zatem analizę dzieł Gombrowicza w kontekście kwestii, która zwłaszcza w kręgach nauk humanistycznych i społecznych uchodzić może już za mocno *passé*¹⁷⁵. Mowa o naturze ludzkiej. Niniejszy rozdział ma na celu demitologizację jej przestarzałości, a także nakreślenie głównych zrębów dyskusji na temat (a)polityczności tudzież (a)społeczności natury człowieka.

2.1. Pozorny anachronizm pojęcia „natury ludzkiej”

Tak się składa, że pojęcie natury człowieka leży u podstaw ważniejszych¹⁷⁶ prób uchwycenia specyfiki relacji o politycznym charakterze¹⁷⁷ – a mowa tu zarówno o interakcjach przebiegających wertykalnie, jak i horyzontalnie. Nie zawsze termin ten używany jest przez badaczy i myślicieli wprost, niemniej jednak coś, co moglibyśmy uznać za synonim natury, w pewnym momencie najprawdopodobniej będzie musiało wypłynąć na powierzchnię. Dlaczego? Wyobraźmy sobie intelektualną podbudowę dowolnej koncepcji zanurzonej w liberalizmie, w której nie byłoby mowy o indywidualizmie lub równości tkwiącej w naturze ludzi. Wówczas zarówno cały opis obserwowanej politycznej rzeczywistości, jak i wszelkie uwagi o charakterze *stricte* normatywnym, byłby głosem niejako wyrwanym z kontekstu. Z czego miałyby wówczas wynikać, chociażby, postulaty państwa minimum?

Warto jednak pamiętać, że sama idea ludzkiej natury nierzadko bywa mieczem obosiecznym. Z jednej strony, znacząco pomaga w konstruowaniu jakiegokolwiek refleksji (bo daje nam punkt odniesienia) na temat politycznej rzeczywistości, z drugiej zaś – może ją nie tylko objaśniać ale też kreować. Obrazowo wyjaśnia to Mikołaj Marcela: „W filmie *Matrix* świat stworzony dla ludzkości nie istnieje naprawdę – jest wirtualną rzeczywistością uznawaną przez zniewolonych ludzi za realny świat. Podobnie jest z naszą rzeczywistością: założenia i modele, które ją ufundowały, zostały w większości wyobrażone przez ich twórców i nie mają pokrycia w tym, co nas otacza. »Chcemy uciec od wyobrażonych światów« – tak już w 2000 roku pisali studenci i studentki ekonomii w

¹⁷⁵Dla ilustracji, Janusz Reykowski już na początku lat siedemdziesiątych ubiegłego stulecia zwrócił uwagę, że: „Rozważania nad naturą ludzką nie cieszą się popularnością wśród psychologów. Dążąc zapamiętałe do tego, aby zdobyć dla swej dyscypliny należyte miejsce wśród »prawdziwych« nauk – nauk empirycznych – psychologowie z gorliwością neofitów starają się zatrzeć ślady jej związków z filozofią i wstydliwie unikają wszystkiego, co mogłoby przypominać, że nie minęło jeszcze pełne 100 lat od momentu, który uważa się za datę narodzin nowoczesnej psychologii. Psychologia – niewdzięczne dziecko filozofii – od pierwszych chwil samodzielnej egzystencji skupiła się na badaniu faktów empirycznych – zjawisk psychicznych, zachowania się, bodźców i reakcji, mechanizmów regulacyjnych, unikając gorliwie tzw. spekulacji”. J. Reykowski, *Natura ludzka a potrzeby*, „Etyka” 1970, nr 6, 31-49.

¹⁷⁶Czyli (w moim rozumieniu) takich, które pozostawiły sobie realny ślad w historii myśli społecznej czy politycznej.

¹⁷⁷Zob. np. opracowania poświęcone myśli Johna Rawlsa: L. Wenar, *John Rawls* [w:] *The Stanford Encyclopedia of Philosophy* (Summer 2021 Edition), red. E. N. Zalta, <https://plato.stanford.edu/archives/sum2021/entries/rawls/>, dostęp: 13.11.2022, Karla Marxa: J. Wolff, D. Leopold, *Karl Marx* [w:] *The Stanford Encyclopedia of Philosophy* (Summer 2021 Edition), red. E. N. Zalta, <https://plato.stanford.edu/archives/spr2021/entries/marx/>, dostęp: 13.11.2022 czy Edmunda Burke’a: I. Harris, *Edmund Burke* [w:] *The Stanford Encyclopedia of Philosophy* (Summer 2020 Edition), red. E. N. Zalta, <https://plato.stanford.edu/archives/sum2020/entries/burke/>, dostęp: 13.11.2022.

Paryżu w liście otwartym do swoich profesorów. Co mieli na myśli? Na przykład koncepcję »człowieka ekonomicznego« (*homo oeconomicus*), a więc arbitralną definicję człowieka, którą od połowy XIX wieku rozwija ekonomia. Najkrócej rzecz ujmując, jest to koncepcja, zgodnie z którą zakładamy, że człowiek racjonalnie działający zawsze dąży do maksymalizacji osiąganych zysków, a w konsekwencji dokonuje wyborów przede wszystkim ze względu na związaną z nimi wartość ekonomiczną. Definicja ta wpływa na to, jak funkcjonują – na przykład – dzisiejsze gospodarki krajowe i rynek światowy»¹⁷⁸.

Dodajmy koniecznie, że natura jest pojęciem mocno dyskusyjnym. Łamiąc zasady, w pełni świadomie rozpocznę moje rozważania na temat jego definicji od dowodu anegdotycznego, który stanowi jednak dobre wprowadzenie do naukowego spojrzenia na problem. A mianowicie: bezmiar kontrowersyjności natury ludzkiej dotarł do mnie już na samym początku badań nad twórczością Gombrowicza. Ku memu zdumieniu, pomysł rekonstrukcji myśli politycznej autora *Ferdydurke* w odniesieniu do tej kategorii uchodził – zwłaszcza w polonistycznym środowisku – za dalece ryzykowny. Pytano z troską, gdzież podziwia się owo twarde jądro, skoro bohaterowie Gombrowicza są tak zmienni? Może właśnie w tej zmienności? – odpowiadałam niepewnie i, co szybko odnotowałam, nad wyraz nieprzekonująco. I owszem, kiedy zdefiniujemy ludzką naturę w tak zdroworozsądkowy (?), by rzecz ująć możliwie subtelnie, sposób, trudno dyskutować o naturze jako o czymś aktualnym i jakkolwiek ważnym w czasach Gombrowicza (o dwudziestym pierwszym wieku nawet nie wspominając)¹⁷⁹.

Truizmem byłoby jednak skwitowanie tego wyłącznie stwierdzeniem, że natura jest pojęciem wieloznacznym. Sprawa jest bardzo złożona, a większość nieporozumień na tym polu dotyczy baniek informacyjnych, w jakich funkcjonujemy z powodu zanurzenia w języku i metodologii własnych dyscyplin naukowych. I, tak jak literaturoznawstwo potrafi (z reguły nieświadomie, jak sądzę) doszczętnie deformować dorobek politologii czy filozofii, tak też – by oddać literaturoznawcom sprawiedliwość – nauki o polityce mogą skutecznie sptycać wyniki polonistycznych dociekań. Ponownie, nie oskarżam nikogo, lecz wskazuję potencjalne zagrożenia dla obu dyscyplin. Aby zaś nie być gołosłowną, proponuję – chociażby – lekturę tomu *Literatura i*

¹⁷⁸M. Marcela, *Patoposłuszeństwo...*, dz. cyt., s. 15.

¹⁷⁹Tymczasem zacytujmy, na przykład, stanfordzką encyklopedię filozofii: „Alongside such varying and frequently conflicting normative uses of the expression »human nature«, there are serious disagreements concerning the concept’s content and explanatory significance — the starkest being whether the expression »human nature« refers to anything at all. Some reasons given for saying there is no human nature are anthropological, grounded in views concerning the relationship between natural and cultural features of human life. Other reasons given are biological, deriving from the character of the human species as, like other species, an essentially historical product of evolution. Whether these reasons justify the claim that there is no human nature depends, at least in part, on what it is exactly that the expression is supposed to be picking out. Many contemporary proposals differ significantly in their answers to this question. N. Roughley, *Human Nature* [w:] *The Stanford Encyclopedia of Philosophy* (Spring 2021 Edition), red. E. N. Zalta, <https://plato.stanford.edu/archives/spr2021/entries/human-nature>, dostęp: 06.09.2022.

władza wydanego pod skrzydłami Instytutu Badań Literackich Polskiej Akademii Nauk¹⁸⁰. Na wieloautorską publikację składa się szereg interesujących, w znacznej mierze *stricte* literaturoznawczych głosów – jednak problematyka władzy (i co ważne, przede wszystkim władzy politycznej) poruszona zostaje przez autorów w mocno zawężonym zakresie. To znaczy: władza jest tu ściśle konotowana z ideologiami politycznymi, cenzurą, wpływem polityki na sytuację literatów i kształt ich utworów. Co ciekawe, artykułem najmocniej chyba wymykającym się tym ramom jest tekst Rolfa Fiegutha poświęcony Gombrowiczowi właśnie. Choć tu należy uczciwie wskazać, że z kolei wiele wysiłku kosztowałoby doszukanie się w niniejszej publikacji pierwiastka polityczności¹⁸¹. Konstatując, kiedy kategoria władzy spotyka się z kategorią polityczności, istnieje spora szansa na spłylenie ich obu w nie-politologicznym dyskursie.

Sądzę, że problem jest tak wyraźny, ponieważ zarówno politologia, jak i polonistyka operują pojęciami swobodnie funkcjonującymi w potocznym dyskursie. Każdy wie przecież, intuicyjne, czym jest polityka i na czym polega czytanie książek. Dlatego też, mimo wzrastającej popularności interdyscyplinarności badań naukowych, udana synergia między literaturoznawstwem a politologią zachodzi bardzo rzadko. Choć i tu znajdziemy wyjątki: chociażby artykuł Wojciecha Kautego, „*Uśmiezek cudny*”, czyli *Polak a władza w publicystyce Witkacego*¹⁸² czy monografię Andrzeja Waśki pt. *Literatura i polityczność*¹⁸³. Cenię również podejście zaprezentowane przez Jerzego Jarzębskiego w artykule *Science fiction a polityka – wersja Stanisława Lema*¹⁸⁴. We wstępie do publikacji literaturoznawca celnie zaznacza, że politykę można definiować szeroko, „jako całą sferę działalności związanej z organizacją społeczeństwa, kierowaniem jego wysiłkami, wytyczaniem celów, prawodawstwem i egzekucją praw”¹⁸⁵.

Spróbujmy zatem dostroić do siebie obie te dyscypliny i kwestię polityczności natury ludzkiej objaśnić przy wykorzystaniu fikcji literackiej. Zacznijmy od tego, że sam Gombrowicz niejednokrotnie posługiwał się pojęciem natury. Ponownie: w tym momencie swój sprzeciw mogłoby zgłosić niemałe grono humanistów: wiadomo (skąd?) przecież, że pisarz nie robił tego poważnie; jego natura ludzka, to nie ta filozoficzna lub – co gorsza – politologiczna natura ludzka. To tak, jakby Gombrowiczowskie prawo natury wyrażone choćby w *Iwonie...* rozpatrywać całkiem serio w odniesieniu do myśli Tomasza z Akwinu... Pełna zgoda w tej hipotetycznej, nigdy nie

¹⁸⁰Zob. *Literatura i władza*, red. B. Wojnowska, Warszawa 1996.

¹⁸¹Zob. R. Fieguth, *Słowo, sacrum i władza. Komentarze do „Ślubu” Gombrowicza i jego tradycji romantycznych* [w:] *Literatura i władza*, dz. cyt.

¹⁸²W. Kaute, „*Uśmiezek cudny*”, czyli *Polak a władza w publicystyce Witkacego*, „*Horyzonty Polityki*” 2019, nr 10(30), s. 65-82.

¹⁸³A. Waśko, *Literatura i polityczność*, Kraków 2020.

¹⁸⁴J. Jarzębski, *Science fiction a polityka – wersja Stanisława Lema*, „*Pamiętnik Literacki*” 1983, nr 74/2, s. 83-113.

¹⁸⁵Tamże, s. 83.

przeprowadzonej dyskusji, z jednym tylko zastrzeżeniem: skoro autor *Ferdydurke* w większości przypadków z nieskrywanym rozmysłem wykorzystuje pewne – ujmijmy to – specjalistyczne pojęcia, to może jednak warto zastanowić się, na jakich zasadach przebiega ich znaczeniowa dekonstrukcja? Tym właśnie w niniejszym rozdziale się zajmiemy. Proponuję zatem zanurzenie się w fabule *Szczura*¹⁸⁶, opowiadania z lat trzydziestych, podobnie jak *Bankiet* wydanego najpierw na łamach prasy, a później włączonego do *Bakakaju*. Co szczególnie z politologicznej perspektywy ważne: pojęcie natury ludzkiej powtarza się w nim niczym refren¹⁸⁷. Trudno zatem o lepsze ramy interpretacyjne.

Opowiadanie otwiera charakterystyka pierwszego z protagonistów:

„Postrachem całej okolicy tak zasiedziały i dostatniej był zbir, hulaka i zbójca, sławny pod nazwą Huligana. Urodził się on w szczerym polu i na rozległej równinie – wychowywał się po lasach, górach, dolinach i rozłogach – nigdy nie sypiał w zamkniętym pomieszczeniu – i to mu dało specyficzną masywność i szerokość **natury** [podkr. D.Ś.] – rozległość duszy – kolebiącą rozlewność usposobienia”¹⁸⁸.

Zwróćmy uwagę: natura jest dla Gombrowicza (w tym przypadku) synonimem duszy i usposobienia. I stanowi, jeżeli dobrze rozumiem, bezpośrednią pochodną środowiska, w jakim bohater utworu się urodził i wychował. Chciałoby się rzec, że trudno o większe przemieszanie pojęć na tak niewielkim obszarze tekstu. Z tym, że niekoniecznie, bowiem: „Przez stulecia, a nawet tysiąclecia, dominowała perspektywa spojrzenia na człowieka oraz na zagadnienia etyczne i polityczne, która kładła akcent na specyfikę człowieka oraz poza-zwierzęcy charakter zachowań etyczno-politycznych. Oczywiście dostrzegano podobieństwo między człowiekiem i innymi zwierzętami, człowiek był nawet określany jako specyficzne *zoon*, czy *animal*. **Uzasadnienia dla polityczności i etyczności poszukiwano wyłącznie w ludzkiej cesze rozumności, którą wiązano nie z cielesnością, a z duchowością, niezależnie od tego, czy owa »duchowość« była substancjalnie odróżniona od materii, czy też nie. »Zwierzęcość« człowieka tłumaczyła wszystkie aspekty »cielesno-fizjologiczne«, z których jednak wykluczone było życie psychiczne, postrzegane jako funkcja duszy** [podkr. D.Ś.]”¹⁸⁹. W skrócie: niejednokrotnie w filozofii stawiano znak równości pomiędzy różnie definiowanymi umysłem, psychiką i duszą.

¹⁸⁶O tym opowiadaniu pisałam już w artykule: „*Szczur*” *Witolda Gombrowicza jako przypowieść o władzy politycznej*, „*Koło Historii*” 2020, nr 25, s. 247-258. Zwróciłam w nim uwagę przede wszystkim na pewne (mimowolne?) zbieżności utworu z myślą polityczną Niccolò Machiavellego.

¹⁸⁷Podkreślenie, że konkretnie o ludzką naturę chodzi, jest w tym przypadku kluczowe. Samo pojęcie natury pojawia się bowiem u Gombrowicza wielokrotnie i w różnych kontekstach. Odsyłam więc do artykułu Jarzębskiego: *Gombrowicz i natura*, „*Teksty Drugie*” 2005, nr 3, s. 17-26. Literaturoznawca utożsamia naturę głównie z przyrodą, w interesujący sposób omawia tam jednak skomplikowane związki natury z kulturą.

¹⁸⁸*Szczur* [w:] *Bak.*, s. 263.

¹⁸⁹P. Świercz, *Podstawy społecznych zachowań człowieka* [w:] *Etyka polityczna*, red. tegoż, Kraków 2021, s. 33.

Oczywiście, dzisiaj jesteśmy mądrzejsi, ponieważ „Rozwój nauk biologicznych doprowadził do sytuacji, w której nie sposób kwestionować »cielesności« i »fizjologiczności« życia psychicznego. Cała ludzka sfera życia psychicznego musi zostać ujęta w kontekście zjawiska biologicznego i naczelnej teorii porządkującej naszą wiedzę biologiczną – Darwinowskiej teorii ewolucji wskazującej na dobór naturalny jako główny, nielosowy instrument regulacji losowej zmienności genetycznej”¹⁹⁰. Co już zasygnalizowałam i co dopełnia słowa Piotra Świercza: Kartezjański (dopowiedzmy: interakcyjny) dualizm ciała i umysłu w świetle dzisiejszego stanu wiedzy uchodzi za relikwyt przeszłości¹⁹¹. Gombrowicz zaś słusznie nie idzie w ślady francuskiego myśliciela i nie rozgranicza substancji umysłowej od cielesnej, lecz swobodnie dokonuje przemieszania w refleksji nad obiema sferami – czego w tym konkretnym przypadku nie traktowałabym jednak jako w pełni przemyślanego zabiegu. Być może pisarz działał tu mocno odruchowo, być może miał godną podziwu intuicję, być może oba warianty odpowiedzi są prawdziwe.

Wracając do fabuły: co jeszcze wiadomo o naturze Huligana?

„[...] była to **natura** [podkr. D.Ś.] szeroka, nie uznająca żadnych ciasnych zakamarków i lubiąca popić, a szeroki gest był jedynym właściwym jego gestem. Zbójca Huligan nienawidził wszystkiego, co ciasne, wąskie, drobnostkowe, na przykład złodziei kieszonkowych, i jeśli miał do wyboru albo szczytnąć kogoś, albo walnąć, to walił – i kroczył ciężko, szeroko na polach, śpiewając co sił w piersiach [...]”¹⁹².

Ciekawe podejście: Gombrowiczowska natura (czyli dusza, czyli usposobienie) może być w jakimś stopniu mierzalna, ma swój kształt bądź zakres. Oto kolejna rozbieżność autora *Ferdydurke* z kartezjanizmem. Skoro zaś da się naturę określić jako szeroką, i skoro pisarz – co już uzgodniliśmy – lubował się w antynomiach, konfrontacja z naturą wąską jest, zasadniczo, nieunikniona. A temu starciu niewątpliwie sprzyja skłonność Huligana do bardzo bliskich interakcji z innymi ludźmi:

„Ustępowano mu z drogi. A jeśli kto nie zdążył ustąpić, zbój Huligan walił go łapą w sam środek, albo unosił do góry i miażdżył – albo masakrował wprost – po czym odrzucał na stronę i szedł dalej. Ale nigdy nie dopuścił się żadnego skrytego i małostkowego mordy, wszystkie morderstwa jego były huczne, śmiałe, rozległe i rozgłosne, dokonane w wielkim pochodzie ze śpiewami: »Hej, Maryś moja, Maryś!«... Albo: »Oj dana! Oj Maryś!«... Bo kochał tę swoją Maryśkę nade wszystko na świecie, kochał hucznie, szumnie i szeroko, z tańcami, z prysiadami, z wódką!”¹⁹³.

¹⁹⁰Tamże.

¹⁹¹Choć sama dyskusja na temat relacji pomiędzy ciałem i umysłem trwa w nauce w najlepsze. Odsyłam do publikacji Józefa Bremera: *Problem umysł-ciało. Wprowadzenie*, Kraków 2001.

¹⁹²*Szczur*, dz. cyt., s. 263.

¹⁹³Tamże, s. 263-264.

Postać Maryśki w pewnym momencie odegra znaczącą rolę, nie uprzedzając jednak faktów:

„Tak, **natura** [podkr. D.Ś.] jego była najszersza, jak tylko być mogła. Nie rozumiał w ogóle ciszy – a zwłaszcza ściszenia – tego ściszenia, które, rzecz można, jest główną złodziejską cechą ludzi naszych czasów – i nawet spał donośnie z otwartymi ustami, chrapiąc i wypełniając doliny chrapaniem. Nie znosił kotów i gdy zobaczył kota pędził za nim dziesięć albo dwadzieścia kilometrów, kobiety zaś zwykł był łapać pełną garścią i wrzeszczał przy tym: »Psiachmać! Psiachmać!« Albo pokrzykiwał: »Ech-hej, ho, hooo! Hooo! Hetta! Wio!«. I tak właśnie łapał tę swoją Maryśkę jedyną!”¹⁹⁴.

Dodajmy, że natura Huligana jest całkiem złożona, bowiem – oprócz nieustannej potrzeby wyładowywania agresji – głosu się domaga pewien (prymitywny, ale jednak) romantyzm:

„Czasem jednak przywalała go tęsknota, i wówczas cała kraina wypełniała się jego szumnymi, rozlewnymi dumkami, lśniącymi ponuro melancholią, i słychać było o księżycu modlitewne, mołojackie, kozacze, sobacze, lub też naskie, polne zawodzenie, kumkanie bandyty: »Hej, hej – śpiewał – hej, dola! Hej, dola! Hej, Maryś! Maryśka!«. A psy zrozpaczone odzywały się po opłotkach, wyjąc głucho i ciemno. A to wycie zarażało w końcu i ludzi. I cała okolica była tęsknie, głucho i czarno, prosto w księżyc, który świecił blado: »Hej, dola! Hej, dola!«”¹⁹⁵.

Motyw zwielokrotnienia¹⁹⁶, jak widać, wyraźnie wybrzmiewa również w *Szczurze*. Epidemia tęsknego wycia roztacza się po okolicy, co – o dziwo – zdaje się prawie nikomu nie przeszkadzać, a wręcz przeciwnie:

„Coraz więcej śpiewów mnożyło się i przelewało wokół zbója. Przechodził z wolna do legendy, więc i o nim także układano pieśni, bądź polne, szerokie, bądź huczne, zabijackie, zawsze jednak z tym monotonnym refrenem »Hej, ha! Hej, ha! Ech, ech, haj, hajzha!«... I coraz więcej było śpiewów, przewalania się i zabijania”¹⁹⁷.

Ktoś jednak postanawia zepsuć tę patologiczną sielankę:

„Lecz w pobliskim zmurszałym i osamotnionym dworze mieszkał od lat wielu pewien stary kawaler, były sędzia, Skorabkowski, którego niepomiernie denerwowała rozlewna bujność okolicy. Nieustannie chodził on chyłkiem do władz ze skargami – zresztą w największym sekrecie”¹⁹⁸.

¹⁹⁴Tamże, s. 264.

¹⁹⁵Tamże, s. 264-265.

¹⁹⁶Odsyłam również do artykułu Anny Czabanowskiej-Wróbel pt. *Kosmos powtórzeń Witolda Gombrowicza*, „Teksty Drugie” 2005, nr 3, s. 79-90.

¹⁹⁷*Szczur*, dz. cyt., s. 265.

¹⁹⁸Tamże.

Skorabkowski, poirytowany szeroką naturą Huligana, rozlewającą się – co gorsza – na całe otoczenie, postanawia zgłosić sprawę wymiarowi sprawiedliwości. Jego donos zostaje jednak całkowicie zbagatelizowany:

„– Jakże może sprzyjać?! – zachnął się były sędzia, wypuszczając spod przymkniętych powiek wzrok swój po równinie na odległość kilkunastu kilometrów aż hen, po piaszczyste wydmy Małej Woli, i natychmiast cofając z powrotem pod powieki. – Przecie boją się wychodzić z domu! Zabija...”¹⁹⁹.

Odnotujmy tylko, że Wydmy Małej Woli to Nietzscheański *Easter egg*²⁰⁰, a przy okazji cenna wskazówka interpretacyjna. Zwracałam już na to uwagę w moim wcześniej wzmiankowanym artykule poświęconym *Szczurowi*: Huligana wolno (i warto) traktować jako Gombrowiczowskiego *Übermenscha*, a cały utwór – jako dekonstrukcję myśli Friedricha Nietzschego²⁰¹. Obserwujemy zatem kolejną odsłonę twórczej polemiki pisarza z filozofią. A filozofia najciekawiej prezentuje się w zderzeniu z czarnym humorem i absurdem, czego próbkę zamieszczam poniżej:

„– Zabija, ale tylko niektórych – odmruknął komendant na tle bezkresów równinnych – reszta się przygląda... Czyż pan nie rozumie? Dla nich to frajda – zobaczyć dobre morderstwo... Oho – mruknął i udał, że nie widzi, z pobliskiej bowiem kępy drzew wyleciał nagle w górę trup, i zaraz potem ryk wspaniały dał się słyszeć, jak gdyby tysiące bawołów tratowało zasiewy i ziola”²⁰².

Słowa komendanta prowokują Skorabkowskiego do całkowitego przejęcia inicjatywy. Czy zatem starzec jest nieustraszonym superbohaterem gotowym walczyć ze złoczyńcą? Bynajmniej. By lepiej zrozumieć brak szlachetności jego intencji, wróćmy do Gombrowiczowskiego *Cogito*. Przyjmując taką perspektywę, widzimy tu kolejną próbę uprzedmiotowienia podmiotu, dostosowania natury Huligana do preferencji Ja Skorabkowskiego. Czego, zresztą, protagonista nawet nie stara się ukrywać:

„– Jeżeli wy go nie chcecie złapać, to ja go złapię – rzekł nieomal do siebie sędzia. – Już ja go złapię i przymknę go. Przymknę go i **zwezę mu tę jego szeroką naturę** [podkr. D.Ś.]. Zwezę mu ją i nieco uskąpię”²⁰³.

¹⁹⁹Tamże, s. 265-266.

²⁰⁰Zob. F. Nietzsche, *Wola mocy*, przekł. K. Drzewiecki, S. Frycz, <https://wolnelektury.pl/media/book/pdf/nietzsche-wola-mocy.pdf>, dostęp: 13.11.2022.

²⁰¹Por. D. Śniowska, „*Szczur*” Witolda Gombrowicza jako przypowieść o władzy politycznej, dz. cyt., s. 249. Zainteresowanych nietzscheańsko-freudowskimi tropami odsyłam zaś (ponownie) do artykułu Łukasza Tischnera *Gombrowicz poprawia Nietzschego. Kilka uwag o „Szczyrze”*, dz. cyt.

²⁰²*Szczur*, dz. cyt., s. 266.

²⁰³Tamże, s. 266.

Tak oto wyłania się kolejna cecha Gombrowiczowskiej natury ludzkiej: potencjalna możliwość jej modyfikacji (czy może zaledwie złudzenie modyfikowalności?). Jak to się ma do przedstawionego na początku rozdziału zdroworozsądkowego rozumienia tego pojęcia? Na pierwszy rzut oka widoczny jest wyraźny dysonans. Nieszczęsne twarde jądro można bowiem bardziej elegancko opisać jako pewną cechę (lub zespół cech) właściwą dla wszystkich przedstawicieli gatunku *homo sapiens*: niezmienną, nienaruszalną i niejako narzuconą z góry. Z jednej strony, tak skonstruowana definicja zdaje się nie najgorzej syntetyzować tysiąclecia refleksji nad zagadnieniem. Z drugiej zaś, uproszczenie to prowadzić może do zbyt daleko idących wniosków.

Sprawa jest bowiem bardzo złożona: jedni owej „góry” upatrywać się będą w nauczaniu wybranych systemów religijnych (opisane w starotestamentowej Księdze Rodzaju historii Adama i Ewy czy Kaina i Abla stanowią jedną z wielu prób wyjaśnienia, dlaczego ludziom, niezależnie od okoliczności, często zdarza się postępować całkiem parszywie), inni zaś – w kodzie genetycznym (dla ilustracji, Richard Dawkins, samolubnością genów tłumaczy przyrodzoną samolubność organizmów wszelakich²⁰⁴, choć nie jest to jedyna słuszna tendencja we współczesnej interpretacji pojęcia natury ludzkiej, zwłaszcza na interdyscyplinarnym gruncie; na przykład lingwista Daniel L. Everett powątpiewa w uzależnienie ludzkiej natury od genetyki²⁰⁵). Co więcej, w zależności od wyznawanego²⁰⁶ paradygmatu, jedni uznać mogą kategorię natury za mocno zdezaktualizowaną, zwłaszcza przez myśl drugiej połowy dwudziestego stulecia (jak bowiem jeszcze można dziś poważnie dywagować na temat jakiegokolwiek niezmienności, skoro dominującym trendem jest postrzeganie człowieka jako plastycznej masy, którą dowolnie można kształtować?), inni zaś – za wciąż ważny przyczynek do badań, również empirycznych. Odnoszę zresztą wrażenie, że współcześnie pojęcie ludzkiej natury bywa znacznie odważniej używane przez przedstawicieli nauk przyrodniczych.

²⁰⁴Jak czytamy w jednej z jego najśłynniejszych popularyzatorskich publikacji: „Myślą przewodnią tej książki jest pogląd, że zarówno my, jak i inne zwierzęta, jesteśmy maszynami stworzonymi przez geny. Podobnie jak dobrze prosperujący chicagowscy gangsterzy, nasze geny przetrwały w świecie wielkiej konkurencji, w niektórych przypadkach przez miliony lat. I to upoważnia nas do przypisania naszym genom określonych cech. Będę się starał wykazać, że najważniejszą cechą, jakiej można oczekiwać u dobrze prosperującego genu, jest bezwzględny egoizm. Egoizm genu prowadzi na ogół do egoizmu w zachowaniach osobniczych. Tym niemniej, jak się przekonamy, w pewnych sytuacjach najlepszą drogą do osiągnięcia własnych egoistycznych celów jest praktykowanie ograniczonej formy altruizmu na poziomie osobniczym”. R. Dawkins, *Samolubny gen*, przekł. M. Skoneczny, Warszawa 2012. W dalszej części mojej rozprawy, słowa te odgrywać będą szczególne znaczenie.

²⁰⁵Badacz stwierdza iż „Nie ma [...] dowodów na wyraźne korelacje między poszczególnymi genami a złożonymi cechami natury ludzkiej. Wręcz przeciwnie – istnieją dowody na to, że to kultura może wpływać na geny i wzbogacać proces selekcji naturalnej. Antropolodzy Peter Richardson i Robert Boyd zaproponowali koncepcję, zgodnie z którą proces ewolucji kultury odgrywał i odgrywa znaczącą rolę w ewolucji genów. Jeśli mają rację, to kultura ma wpływ na naszą biologiczną ewolucję i geny, a geny są alfabetem, z którego powstaje składnia naszego życia”. Daniel L. Everett, *Język. Narzędzie kultury*, dz. cyt., s. 31.

²⁰⁶Określenie nieprzypadkowe.

W mojej ocenie, zachodzi tu niewątpliwa konieczność szerszego przywołania działalności naukowej Edwarda O. Wilsona. Entomolog specjalizujący się w zagadnieniu życia społecznego już na początku lat siedemdziesiątych ubiegłego wieku prognozował pewien popularny dziś w nauce trend. W ostatnim rozdziale jego *Społeczeństwa owadów*²⁰⁷ padają bowiem znamienne słowa: „Kiedy jednakowe parametry i teorie ilościowe zaczną być wykorzystywane zarówno do analizy kolonii termitów, jak i gromad reżusów, będziemy mogli mówić o jednolitej socjobiologii. Czy istotnie będzie to kiedykolwiek możliwe? W miarę postępu mych badań byłem pod coraz silniejszym wrażeniem funkcjonalnych podobieństw między społeczeństwami owadów i kręgowców, natomiast coraz mniejszą wagę przykładałem do różnic strukturalnych, jakie na pierwszy rzut oka zdawały się stwarzać taką olbrzymią przepaść między tymi dwoma grupami”²⁰⁸. Cóż autor nam sugeruje? Być może to, że dywagacje Arystotelesa i Hobbesa zestawiające człowieka z wybranymi owadami błonkoskrzydłymi nie do końca jest najgorszym tropem, na jaki można byłoby (nawet) dziś wpaść. Jak Wilson uzasadnia swoje stanowisko?

Czas na obszerny cytat: „Zajmijmy się teraz przez chwilę termitami i reżusami. W obydwu przypadkach tworzą one współdziałające grupy, zajmujące określone terytoria. Członkowie grupy wymieniają wzajemne informacje dotyczące głodu, zaniepokojenia, wrogości, statusu kastowego lub rangi i statusu reprodukcyjnego, wykorzystując do tego od 10 do 100 niesyntaktycznych sygnałów. Osobniki wyraźnie odróżniają współtowarzyszy grupy od obcych. Pokrewieństwo odgrywa ważną rolę w strukturze grupy, przede wszystkim stanowiąc prawdopodobnie główną siłę generatywną uspołecznienia. W tych dwóch rodzajach społeczności istnieje wyraźny podział pracy, chociaż w przypadku owadów z dużo silniej wyrażonym składnikiem reprodukcyjnym. Szczegóły organizacji rozwinęły się w trakcie niezwykle precyzyjnego procesu optymalizacji ewolucyjnej, podczas którego osobniki, wykazujące skłonności do współdziałania, przynajmniej z formami spokrewnionymi, w pewnym stopniu zaczynały charakteryzować się większym przystosowaniem. Owoce tego współdziałania zależą od określonych warunków środowiska, a w toku ewolucji korzystać z nich mogą tylko nieliczne gatunki zwierząt”²⁰⁹. Co ważne, Wilson zdaje sobie sprawę, że stosuje mocne uproszczenie, jednak jak wyjaśnia: „Z punktu widzenia widzenia specjalisty porównanie to na pierwszy rzut oka może wydawać się zbyt łatwe, jednakże takie właśnie celowe uproszczenie daje początek bardziej ogólnej teorii. Moim zdaniem sformułowanie teorii socjobiologii stanowi jeden z wielkich problemów biologicznych, możliwych do rozwiązania w ciągu najbliższych dziesięciu czy dwudziestu lat”²¹⁰. W tym miejscu ucinam cytat, zachęcając

²⁰⁷Zob. E.O. Wilson, *Społeczeństwa owadów*, przekł. D.H. Tymowska, Warszawa 1979.

²⁰⁸Tamże, s. 583.

²⁰⁹Tamże.

²¹⁰Tamże.

jednocześnie do dalszej lektury rozdziału, ponieważ tekst ten może skutecznie wyprowadzić czytelnika z humanistycznej strefy komfortu.

Rodzi się w tym miejscu palące pytanie: cóż *Spoleczeństwa owadów* mają wspólnego z zagadnieniem natury ludzkiej? Okazuje się, że bardzo wiele, gdyż badania Wilsona nad społecznym życiem owadów doprowadzają do mocno interdyscyplinarnych konkluzji oraz, w konsekwencji, refleksji nad człowieczeństwem. Kilka lat później ukazuje się jego bardziej eseistyczna w swej formie publikacja opatrzona tytułem *O naturze ludzkiej*²¹¹. Entomolog, kreśląc główne zręby swych rozważań, dobitnie zwraca uwagę na wartościowość takiego analizowania problematyki „natury ludzkiej przez nauki przyrodnicze, które jednocześnie zmierza do integracji nauk przyrodniczych, społecznych oraz humanistycznych”²¹². Po tym stwierdzeniu, mocno wybrzmiewają słowa podszyte poważnym zarzutem: „[...] filozofia etyczna nie może pozostawać w gestii ludzi, których jedyną kwalifikacją jest to, że są mędrkami. I chociaż postęp ludzkości może być osiągnięty dzięki intuicji i sile woli, jedynie z trudem zdobyta empiryczna wiedza o naszej biologicznej naturze zapewniać może optymalny wybór spośród konkurencyjnych kryteriów postępu”²¹³. Ta uszczypliwość²¹⁴ skierowana w stronę rzeszy badaczy, którzy – formułując swe osądy na temat natury człowieka – zatrzymują się na etapie teoretycznych dywagacji i mglistych przeczuć wynikających z (nierzadko skomplikowanych przecież) procesów myślowych, nie oznacza pogardy dla dorobku humanistyki, lecz sugeruje konieczność synergii pozornie wykluczających się dyscyplin. Nauki społeczne/humanistyczne mogą udatnie inspirować te matematyczno-przyrodnicze i *vice versa*. Skoro na przestrzeni dziejów na obu polach doszło do szeregu wartościowych odkryć – co stoi na przeszkodzie, by czerpać z całego dorobku? Poczyńmy w tym miejscu kolejne zastrzeżenie: nie chodzi tu bynajmniej o nakładanie na historyka obowiązku biegłości w posługiwaniu się metodologią wykorzystywanej przez chemika, lecz raczej o zaprzestanie wzajemnego ignorowania się przedstawicieli obu nauk²¹⁵.

W tym też miejscu, choćby wzorem Gombrowicza i parodiowanych przez niego intelektualistów, mogłabym zamieścić długą litanię nazwisk i definicji, by wyraźniej zarysować

²¹¹Tenże, *O naturze ludzkiej*, przekł. B. Szacka, Poznań 1998.

²¹²Tamże, s. 18.

²¹³Tamże.

²¹⁴Bardziej wprost – czyli zasadniczo swoim zwyczajem – wypowiedział się na ten temat Dawkins: „Filozofię i tak zwane nauki humanistyczne wciąż wykląda się tak, jakby Darwin nigdy nie istniał”. Tegoż, *Samolubny gen*, dz. cyt., s. 36.

²¹⁵Dopowiedzieć powinienam, iż w żadnym wypadku nie roszczę sobie prawa do wnikliwej analizy cytowanych do tej pory i przytaczanych w dalszej części rozprawy publikacji z zakresu nauk przyrodniczych i wypowiedzania się na ich temat jakkolwiek *ex cathedra*. Moje kompetencje kończą się na refleksji z zakresu historii myśli politycznej oraz na naukowej analizie tekstu literackiego, sądzę jednak że wzmiankowanie o stanie wiedzy z zakresu – chociażby – neurobiologii czy etologii, stanowi pewną wartość dodaną, swoisty wentyl bezpieczeństwa dla rozważań pozostających na wysokim poziomie abstrakcji.

spektrum rozumienia ludzkiej natury, zarówno w najbardziej nas interesującym kontekście przyrodzonej bądź narzuconej polityczności, jak i szerszym ujęciu. Sądzę jednak, że wywarzenie otwartych już dawna drzwi niekoniecznie jest w tym momencie potrzebne. Zamiast tego, warto poszukać rozwiązania problemu. W moim odczuciu, wyjścia z sytuacji są – co najmniej – dwa. Albo można poszukać nowego pojęcia możliwie efektywnie zastępującego ludzką naturę, a refleksję nad tym reliktem pozostawić historykom myśli politycznej bądź filozofii w ogóle, albo zaktualizować jego rozumienie, opierając się choćby na badaniach znacznie wykraczających poza humanistykę. Biorąc pod uwagę upartość, z jaką powtarzam ten kontrowersyjny termin, nietrudno się domyślić, która z alternatyw jest mi bliższa. Oczywiście, nie jest to szczególne (a nawet może nawet jakiegokolwiek) odkrycie, zależy mi jednak na tym, aby w niniejszym rozdziale odpowiednio mocno to wybrzmiało. W innym przypadku, cała moja interpretacja dzieł Gombrowicza utraciłaby solidne fundamenty. Dlatego też – choćby wzorem cytowanego już niejednokrotnie Piotra Świercza²¹⁶ – pojmuję ludzką naturę bardzo elastycznie i nie utożsamiam jej twardo z istotą²¹⁷, lecz raczej pewną strukturą, zespołem przypadłości, czy też skłonności, które pod wpływem szeregu czynników, również zewnętrznych, mogą zaistnieć, choć wcale nie muszą. I dopiero tak ujęty problem możemy dalej zestawiać z fabułą *Szczura*:

„Skorabkowski powrócił do swego opustoszałego dworu i snując się w tabaczkowym szlafroku po pustych komnatach, snuł plany pojmania zbira. Nienawiść skąpca do włóczęgi przybierała na sile z każdą chwilą. Złapanie, pojmanie, uwięzienie i jakieś ściszenie stało się nieodzowną potrzebą jego przyciasnej psychiki. Postanowił na koniec wyzyskać piekielną prostolinijność zbira, który zwykł był zawsze dopadać ofiar w linii prostej, i – co więcej – zapragnął też wyzyskać jego wzrastające, niepomierne już rozpanoszenie”²¹⁸.

Wciąż w tle wybrzmiewać może pytanie: czy psychikę należałoby w tym kontekście odczytywać jako synonim natury ludzkiej²¹⁹, czy może przyciasna psychika to raczej konsekwencja przyciasnej natury²²⁰? Trudno to jakkolwiek rozstrzygnąć: brak precyzji Gombrowicza zadania nie ułatwia. W każdym razie, Skorabkowski postanawia wykorzystać naturę/psychikę Huligana przeciw jemu samemu:

„W istocie bandyta tak się rozpanoszył, tak przywykł do ogólnej przed sobą ucieczki, iż widok człowieka nie uciekającego, ale stojącego, poczytywał za osobistą prowokację. Przeto

²¹⁶Por. P. Świercz., *Znaczenie pojęcia „natura” w doktrynie politycznej Thomasa Hobbesa na tle koncepcji zoon politikon*, „Horyzonty Polityki 2010, nr 1(1), s. 113-114.

²¹⁷Z takim rozumieniem natury najbardziej kompatybilne jest, oczywiście, greckie φύσις.

²¹⁸*Szczur*, dz. cyt., s. 266.

²¹⁹Co, ponownie, wskazywałoby na mocno potoczne postrzeganie natury przez Gombrowicza.

²²⁰A to, z kolei, znów świadczyłoby raczej o dobrej intuicji pisarza.

Skorabkowski kazał swojemu lokajowi, Ksaweremu, pójść pod drzewo na pobliski wzgórek – a gdy stary sługa wypełnił rozkaz swego pana, ten nagle chwycił go w potrzask łańcucha – i przykuł łańcuchem do pnia drzewnego. Po czym własnoręcznie wykopał przed sługą duży dół, w dole założył żelaza i prędko schronił się do domu”²²¹.

Ryzykując zdrowie i bezpieczeństwo swego wiernego sługi, a nie naruszając własnego dobra – co, prawdopodobnie jest jedną z najbardziej odstręczających cech wpływających z wąskiej natury bohatera – Skorabkowskiemu bez większego trudu udaje się ująć Huligana:

„Więc Huligan był w jego mocy! Więc zbój Huligańczyk wciągnięty był do lochu, przymknięty w ciasnym pomieszczeniu, zakneblowany, przykuty do haka, zdany na łaskę i niełaskę!”²²².

Oczywiście, samo uwięzienie zbrojcy nie wystarcza. Chodzi tu bowiem nie o spacyfikowanie niebezpiecznego mordercy, a o narzucenie mu swojej woli. To władza, a nie śmierć, jest dla Skorabkowskiego pociągająca:

„Sędzia w apelacji zatarł drobne rączki i uśmiechnął się ścichapęk, po czym przez całą noc obmyślał stosowne męki. Nie uśmiechało mu się bynajmniej stracenie hulaki – ciasny, wąski i formalistyczny, zapragnął nieco przyciąsnąć i zwęzić ofiarę, śmierć nie była dlań żadnym kąskiem, tylko zwężenie mu się uśmiechało”²²³.

Z jednej strony, sama możliwość więzienia i perspektywa rychłego modyfikowania natury Huligana jest dla sędziego niepokojąco ekscytująca. Z drugiej zaś, Skorabkowski wciąż się boi swojej ofiary. A w tym czasie cisza, która w zamysle miała być równie małostkowa jak sam Skorabkowski, nabiera huligańskich cech:

„Emeryt nie śpieszył się wcale, lecz przez pierwsze dni rozkoszował się jedynie myślą, że ma Huligana u siebie w piwnicy – że zbójca nie może ryczeć i robić hałasu, albowiem jest *zakneblowany*. I dopiero gdy dobrze sobie uprzytomnił, że huczny zbir nie zdoła huknąć, że jest *cichy* – dopiero wówczas sędzia Skorabkowski zdobył się na odwagę zejścia do piwnicy i rozpoczął w zupełnym milczeniu swe praktyki, mające na celu zwężenie oraz uszczuplenie. O, jak cicho! Jak silna była ta cisza, która powstawała z piwnic domu i urastała w słup. Nastąpiły teraz tygodnie i miesiące wielkiej ciszy, ciszy niewyryczanego ryku...”²²⁴.

Proces rozszerzania się ciszy należy więc czym prędzej powstrzymać, metodami skądinąd kuriozalnymi, jak na prozę Gombrowicza przystało:

²²¹ *Szczur*, dz. cyt. s. 266-267.

²²² *Tamże*, s. 268.

²²³ *Tamże*.

²²⁴ *Tamże*, s. 269.

„I co noc od siódmej ciasny sędzia w apelacji pracował nad bezgłośnym łotrem w pocie czoła, milczkiem, milczkiem... Milczkiem podchodził doń i naprzód łechtął go w piętę długo, długo, iżby pobudzić do kurczowego drobnego chichotu, a potem zakładał mu małostkowe szykany z patyczków i zwęzał mu pole widzenia za pomocą desek, wsadzał mu szpileczki i ukazywał mu groszek, fasolkę, buraczki...”²²⁵.

I tu powraca pytanie o nienaruszalność i niezmiennność ludzkiej natury. W tym momencie wygląda na to, że jednak możliwość jej modyfikacji stanowi raczej mrzonkę Skorabkowskiego, a wszystkie praktyki docelowo ingerujące w jej kształt są dokładnie tak śmieszne, na jakie wyglądają, bowiem:

„Ale zbój nie przyjmował tego milczkiem, tylko *milcząc*. I milczenie jego rosło, przewalało się i rozpierało w mrokach, stając się równe najwspanialszym rykom – a sędzia daremnie milczkiem swoim chciał przewyciężyć szerokie milczenie bandyty – i nienawiść wypełniała lochy!”²²⁶.

Owszem, zbój zostaje odcięty od rozległego środowiska, nie może już realizować swoich morderczych hobby, jego ruchy są znacznie ograniczone, jednak cała jego postawa, wbrew okolicznościom, wciąż epatuje dawną rozległością. Gdybyśmy więc naturę pojmowali twardo, czyli jako istotę, moglibyśmy się dopatrywać w tym cytacie potwierdzenia dla tego ujęcia. Ale: kilka stron lektury później dokonilibyśmy odkrycia, że to poważny błąd, bo u Gombrowicza nie ma żadnej natury lub też, co bardziej w mojej ocenie niebezpieczne, że koncepcja natury zostaje przez pisarza mocno skrytykowana. Nie uprzedzajmy jednak wydarzeń. W tym momencie starzec pozostaje niepokieszony:

„Czegóż właściwie pragnął Skorabkowski? Chciał on **odmienić naturę** [podkr. D.Ś.] bandycie, przerobić mu głos, śmiech szeroki zmienić w wąskie chichotanie, ryk doprowadzić do szeptu, skurczyć go i skulić w całej jego postaci, słowem, upodobnić chciał go do siebie, do Skorabkowskiego”²²⁷.

Kolejny ciekawy trop: Skorabkowski pragnie, aby Huligan zaczął go przypominać. Tu nawet nie chodzi o tak silne osłabienie zbója, aby stał się całkowicie podległy sędziemu. Starzec pragnie raczej uczynić z Huligana własne alter ego, kogoś na wzór Władzia ze *Ślubu*, działającego w pełnej koordynacji z Henrykiem. Sadystyczne praktyki trwają więc w najlepsze:

„Wielokroć zdawało się staremu panu, że na drodze usilnych zabiegów osiągnąć zdołał niejaki zwężenie – lecz co tydzień nadchodził moment próby, i była to dla oprawcy straszna chwila,

²²⁵Tamże.

²²⁶Tamże.

²²⁷Tamże, s. 269-270.

której nędzny milczek bał się ponad wszystko w świecie. Gdyż co tydzień musiał wyjmować z ust bandyty knebel, aby nakarmić zbójcę – o, z jakimż śmiertelnym ścierpieniem zgrozy, nakładłszy sobie pełno waty w uszy, stawiał przed powalonym zabijaką miskę jadła i jednym kurczowym ruchem wyciągał mu korek z ust. I za każdym razem łudził się nadzieją, że może jednak udało się nieco ściszyć łotra, że a nuż tym razem nie buchnie...”²²⁸.

Płonne to były nadzieje:

„I za każdym razem odkorkowany hulaka wybuchał piekielną orgią wrzasków, przekleństw, ryków!”²²⁹.

Szczur to bowiem kolejny utwór Gombrowicza doskonale ilustrujący pozorność władzy; tę cienką granicę między rządzeniem i byciem rządzonym. Huligan, unieruchomiony i (niby) nieszkodliwy, wciąż napawa sędziego lękiem i w znacznym stopniu organizuje jego czas:

„Były sędzia w apelacji po takim seansie wracał struchlały do siebie i szukał, wciąż szukał punktu »minoris resistentiae«”²³⁰.

Sytuacja odmienia się jednak nieoczekiwanie:

„Gdy pewnego razu spory szczur nawiedził przypadkowo kaźnię i przemknął wzdłuż ściany, niezłomny dotychczas hulaka skurczył się”²³¹.

Jak to wytłumaczyć? Albo natura ludzka to mrzonka, albo zaistniały wspomniane wcześniej okoliczności, które skutecznie dezaktywowały konsekwencje rozległości natury Huligana. Wskutek dobrania odpowiedniej tortury, bohater zostaje stłamszony i spacyfikowany. Czy zatracił swoją naturę? W mojej ocenie nie – jeżeli tylko użyjemy jej bardziej swobodnego rozumienia, nieutożsamiającego jej zaledwie z istotą. Zachowanie Huligana udaje się więc zmodyfikować, co widzimy wyraźnie we fragmencie poniżej:

„Skorabkowski wyrwał mu z ust knebel. Lecz odkorkowany nie buchnął wrzaskiem, tylko śledząc szczura, zmilczał. Piekielny wstręt i strach silniejsze były od niego. I jedynie, gdy szczur przesunął się tuż obok jego nogi w dybach, zbójca kurczowo zaśmiał się, o oktawę wyżej...”²³².

Skorabkowski ma więc powody do świętowania:

²²⁸Tamże, s. 270.

²²⁹Tamże.

²³⁰Tamże, s. 271.

²³¹Tamże.

²³²Tamże.

„Nareszcie! Nareszcie! Jakże dziękować Bogu! Na kolana za tę niepojętą łaskę! Nareszcie znalazł się środek! Sędzia w apelacji nie mógł powstrzymać łez! Gdyż niepojętym zrzędzeniem **Natury** [podkr. D.Ś.] każdy nawet najmocniejszy człowiek ma na tym świecie przeznaczoną sobie jedną jedyną rzecz, która jest mocniejsza od niego, która jest nad niego i której nie może znieść! I jedni nie znoszą prymulek, inni wątróbki, inni zasię od poziomek dostają nerwowej wysypki, lecz rzecz zadziwiająca, morderca, którego nie nadwąłiły ani męczarnie patyczkowe, ani szpileczkowe, ani też żadne inne z tysiąca kombinacyj bardziej wymyślnych, który, zda się, mocniejszy był od wszystkiego, bał się szczura”²³³.

Zauważmy, że w *Szczurze* dobrze widoczny jest problem przemieszania różnych znaczeń pojęcia natury. Punktem wyjścia niech będzie banał: naturę można postrzegać jako synonim przyrody ale też jako istotę kogoś lub czegoś (albo – co już uzgodniliśmy – pewien zespół przypadłości, które mogą się ujawnić pod wpływem czynników środowiskowych). Jest też trzecia Natura, pisana wielką literą i sądzę, że można ją utożsamiać z czymś, co jedni nazwać mogą bogami właściwymi różnym systemom religijnym, inni z Wszechświatem pojmowanym dość ezoterycznie, czy też z bliżej nieokreśloną zasadą (logiką?), która miałaby sterować życiem na ziemi. W uniwersum Gombrowicza Natura to coś nieuchwytnego, co porządkuje naszą egzystencję i w jakiś sposób determinuje pomniejsze ludzkie natury. Nie wykluczałabym też opcji, że Natura jest całkowicie ludzką ideą, pozwalającą zminimalizować dyskomfort związany z ograniczoną wiedzą o świecie i trudnościami z wyjaśnieniem niektórych jego mechanik.

Wróćmy jednak do pytania: dlaczego szczur zadziałał?

„Bóg raczy wiedzieć dlaczego. Czy dlatego może, iż zbójca, który mordował ludzi jak owady, bał się zamordować szczura – ach, przecież nie jego samego bał się, nie szczura – **lecz tylko śmierci szczurzej się bał** [podkr. D.Ś.], brzydził się jej nade wszystko, śmierć szczurza była dlań niezmierną ohydą, i nie mógł jej zadać, i żadna inna śmierć, ani wieprzowa, ani cielęca, ani człowiecza, ani glistowata, ani kurza, ani żabia, nie była dlań w tysięcznej części tak straszna, odrażająca, kurczowa, śliska, obła i fałszywa, jak właśnie szczurza śmierć! I dlatego straszny zabijaka bezbronny był wobec gryzonia – była to jedna jedyna śmierć dlań niedostępna, niemożliwa”²³⁴.

Na szczególną uwagę zasługuje zastosowany w tym fragmencie zabieg stylistyczny. Otóż, narrator niejako wspólnie z czytelnikiem dywaguje o możliwych powodach reakcji Huligana. To zaś daje zdecydowanie większą przestrzeń do refleksji, niż przedstawienie gotowego rozwiązania. Co więcej, fakt że sam narrator nie wie do końca, co właściwie dzieje się w fabule, dodatkowo uwypukla niezrozumiałość Natury. W tym miejscu możemy zatem uczynić pewną paralelę między narratorem a autorem dzieła. Sądzę bowiem, że Gombrowicz nigdy – mimo skrupulatnie

²³³Tamże, s. 271-272.

²³⁴Tamże, s. 272.

pielęgowanej przez niego samego pozy najmądrzejszego w towarzystwie – nie kreował się na tego, który posiadał prawdę. Literat artykułuje na kartach swych dzieł raczej szereg wątpliwości, z którymi się mierzy jako wnikliwy obserwator życia społecznego.

Zwróćmy też uwagę, że tak skonstruowana narracja jest mocno stronnicza. Narrator w różnych momentach rozgrywających się wydarzeń opowiada się po różnych stronach konfliktu. Poniżej zamieszczam dowód na chwilowe sympatyzowanie opowiadacza ze Skorabkowskim:

„Nareszcie stary sędzia Skorabkowski stał się panem Huligana!”²³⁵.

Jest to zarazem potwierdzenie, że sędziemu chodziło nie o spokój, a o sprawowanie realnej władzy nad człowiekiem. W ten oto sposób rozpoczyna się proces drastycznego przesuwania granic:

„Ze szczurem na smyczy zbliżał się i podchodził, skurczał łotra i zwęzał go, albo na momencik wpuszczał mu szczura w nogawkę i ścieniał mu głos do pisku, albo przyprawiał zbója o stężenie, trzymając szczura nad nim, albo wreszcie szurał, kicał i hyczał szczurem wokół coraz bardziej kurczącego się hulaki. Knebel już był niepotrzebny!”²³⁶.

Zatrzymajmy się jeszcze na moment przy kwestii szcurzej śmierci. Odnoszę wrażenie, że już na tym etapie opowiadanie całkiem wyraźnie zdradza nam prawdopodobną niemożność modyfikowania natury. Zastanowić się bowiem należy: cóż jest sednem samego sedna? Na tym etapie brzmi to dość enigmatycznie, sądzę jednak że mamy do rozpatrzenia co najmniej kilka możliwych scenariuszy. Pierwszy z nich zakładać może, iż kluczową cechą Huligańskiej natury jest jej rozległość. Drugi: że nie o kształt natury chodzi, lecz o konkretne zachowania wpisane w *Ja Huligana*, a kształt to raczej próba syntezy i ubrania w słowa zespołu skłonności do tych zachowań. Trzeci wreszcie: że rozległość natury i wszystkie tego konsekwencje, to zaledwie efekty oddziaływania środowiska na jednostkę, a jej właściwą naturą jest coś zgoła innego.

Pierwsza ze wskazanych opcji prowadzić by musiała do konkluzji, że przedstawiciele gatunku *homo sapiens* nie posiadają jednej natury. W ten sposób cała refleksja nad społeczeństwem czy wspólnotą polityczną, staje się jeszcze bardziej skomplikowana. Bo: 1) skoro naturę daje się stopniować i jedni mogą mieć ją bardzo szeroką, a drudzy nad wyraz wąską, to możemy spodziewać się też natur trochę tylko szerszych, nieszczególnie wąskich czy też umiarkowanie poszerzonych; trudno więc w tym przypadku o znalezienie wspólnego mianownika, który realnie pomógłby w usystematyzowaniu analizy świata oraz 2) przyjmując, że zakres natury daje się

²³⁵Tamże.

²³⁶Tamże, s. 272-273.

modyfikować, trzeba wziąć pod uwagę również to, że w konsekwencji sytuacja staje się jeszcze bardziej dynamiczna. Współgrałoby to z nieprzeniknionością Natury, jednak – co zaraz wykażę – niekoniecznie z samym tekstem Gombrowicza. Drugi ze scenariuszy jest nieco mniej abstrakcyjny: szerokość i wąskość traktuje traktować tu należałoby jako kategorie opisu. W tym ujęciu na samą naturę składają się różnorakie komponenty. Ponownie: doprowadziłyby do sytuacji, w której każda jednostka dysponowałaby odmiennym zestawem predyspozycji do określonych czynów. Wspólnego mianownika ponownie brak, a i sam sens używania w tym przypadku pojęcia natury jest wątpliwy. Czas na trzecią z opcji: szerokość natury wciąż pozostaje pewną kategorią ułatwiającą opis, skłonności do pewnych zachowań też wykluczać nie musimy, jednak warto sobie zadać pytanie o przyczynę owej skłonności.

W ten sposób powoli docieramy do sedna-sedna. Podkreślmy raz jeszcze, że Huligan nie boi się szczura, lecz szczurzej śmierci. Może mieć to związki z jego awersją do kotów, a może być podszyte czymś jeszcze. W każdym razie, śmierć szczurza budzi w nim dojmujące uczucie wstrętu, czyli jedną z najsilniejszych emocji, jakich można tylko doświadczyć w uniwersum Gombrowicza. Nie to jest jednak najważniejsze. Skoro bohater boi się szczurzej śmierci, a w stanie natury (czyli nieskrępowania przez nadgorliwego Skorabkowskiego) mordował często i zawzięcie, wolno nam zakładać, że jego bliskie spotkanie z gryzoniem również mogłoby się zakończyć śmiercią zwierzęcia. Mimo, że jest to dla protagonisty czymś skrajnie odrażającym. Dlaczego przyjmując takie założenie? Ponieważ, gdyby nie czuł wewnętrznego przymusu zamordowania szczura, nie bałby się też jego śmierci. Zatem, gdyby nie więzy, którymi jest skrepowany, gdyby nie kontrola sadystycznego sędziego, Huligan musiałby dokonać tego obrzydliwego zabójstwa. Pytanie brzmi: czy zatem rdzeniem natury bohatera nie jest żądza mordu? Myślę, że również na tym etapie moglibyśmy pójść o krok dalej i ową chęć zabijania zdiagnozować jako kolejny przejaw. Huligan morduje, kiedy spotyka na swej drodze coś lub kogoś, co/kto nie spełnia jego wymagań. Biorąc pod uwagę analizy wybranych utworów zawarte w poprzednim rozdziale, widzimy tu wyraźne powtórzenie schematu. Kolejne Ja w zderzeniu z innymi Ja czyni z nich przedmioty. A Huligan lubuje się w ich eliminacji. Co więcej, Skorabkowski działa na tej samej zasadzie, tyle że decyduje się na modyfikowanie przedmiotów, bo sama destrukcja najwidoczniej go nie pociąga. W tym zdekonstruowanym kartezyjnym dopatruję się sedna natury. Wszystkie zaś jej konsekwencje, kształty i wymiary uznaję zaś za możliwe do przekształcania i modyfikowania przez czynniki zewnętrzne.

Tymczasem:

„I mijały w ten sposób tygodnie, i nawet miesiące, a stary lokaj Ksawery, którego zadaniem było oświecanie niemiłosiernego szczura za pomocą świecy, jęczał i modlił się w duchu – i ze zjeżonym włosem, z lodem w sercu, stary lokaj błagał szczura o zmiłowanie, przeklinał absolutną niemiłsierność szczura, przeklinał te straszne i jakby bezapelacyjne związki w **naturze** [podkr. D.Ś.], przeklinał bezgraniczność niemiłsierności. »Przeklęty niech będzie szczur i panicz i dom i **natura** [podkr. D.Ś.] zbója i **natura** [podkr. D.Ś.] sędziego i **natura** [podkr. D.Ś.] szczura, o, przekłete niech będą **natury** [podkr. D.Ś.] i przekłeta niech będzie **Natura!** [podkr. D.Ś.]”²³⁷.

Doskonały to fragment dla sceptyków nieprzekonanych o zasadności używania pojęcia natury w odniesieniu do dzieł Gombrowicza. Ponadto, cytat zawiera odwołania do wszystkich trzech rozumień natury i co ciekawe, niejako zrównuje naturę szczurzą z ludzką. Ciekawy to, bo zupełnie nieantropocentryczny, trop.

W tym też momencie czara niemiłsierności zostaje przelana:

„Aż Ksawery na samej krawędzi natężeń schylił głowę i popędził za szczurem, który z piskiem wyrwał się ze smyczy i uciekł, zaszurał w głąb, w szczelinę, w jamę. Wówczas rozpedzony sługa zwichnął się i uderzył na sędziego z pochyloną głową...

Skorabkowski, natężony do ostatnich granic, zwichnął się i pochylił głowę...

I popędził na Ksawerego z pochylonym łbem. Trzask nastąpił w piwnicy, rozpryskiwanie mózgów – ach! oto wolny był zbójca Huligan po jedenastu latach i czterech miesiącach, oprawcy jego leżeli bez ducha. A szczura nie było!”²³⁸.

Chciałoby się rzec, że ta scena jest niczym rodem z filmów Quentina Tarantino. Jeżeli zaś chodzi o samo jej znaczenie: zwielokrotnienie, pomnożenie – w tym przypadku jakiegoś wewnętrznego napięcia wywołanego niemiłsiernością natury, Natury i, oczywiście, szczura – musiało osiągnąć swój punkt kulminacyjny i doprowadzić do katastrofy. Widzimy tu kolejne widowiskowe zderzenie antynomii: pana i sługi ale także kolizję dobroduszości i naiwności uosabianych przez Ksawerego, z lisią przebiegłością i wyrachowaniem Skorabkowskiego. Dodajmy, że to typowo Gombrowiczowskie zagranie, fabuły kreowane przez pisarza hołdują bowiem z jednej strony – zasadzie symetrii, z drugiej zaś – eskalacji. W ten sposób, mimo całego absurdu, przy znajomości choćby części utworów pisarza, można bez większego trudu przewidywać rozwój kolejnych wydarzeń.

Kontrą zaś do bezpośredniej i krwawej konfrontacji jest tchórzliwa ucieczka:

„Bandyta przełknął ślinę, pomyślał, że trzeba wyjść – i drobnymi poruszeniami ciała jął zmierzać do uwolnienia. O świcie zbir wy dobył się z dybów, uchylił drzwi wiodące na mały

²³⁷Tamże, s. 273.

²³⁸Tamże, s. 273-274.

ganek, obrośnięty winem, i wymknął się na wolność – drab ongi wielki, teraz mocno podkurczony. Od razu z werandy dał nura w krzaki i krzakami jął się posuwać wzdłuż grobli – a tymczasem słońce wzbijało się ponad horyzont. Wtem pastuch z oddali zawołał – Krowa, krowaaa!

I Huligan co szybciej przycupnął pod krzakiem. O, chętnie wtuliłby się w coś, wlaźłby w jamę, w szczelinę, w otwór, w dziurę, zaszyłby się w gąszcz, ukrył grzbiet i resztę powierzchni ciała. Zbir patrzył pod nogi. Lekki powiew owionął go, lecz nie napawał się nim wcale, nie wzdychał i nie wchłaniał – a tylko bacznie i ostrożnie wodził okiem pod nogami. Jedna absorbowała go myśl: co się stało ze szczurem? Gdzie się podziewa szczur, którego Ksawery wypłoszył w piwniczną szczelinę?”²³⁹.

Zauważmy: nie dość, że Huligan nawet na wolności przejawia zachowania typowe dla osobników o wąskiej naturze, to jeszcze wskutek wieloletnich tortur nabiera pewnej szczurowatości. Innymi słowy: uosabia to, czego w poprzednim życiu otwarcie nienawidził i – to chyba najbardziej tragiczne – co wciąż wzbudza w nim odrazę. Przypomnijmy sobie tylko losy nieszczęśnika z innego opowiadania, który po omyłkowym zjedzeniu lizki, ogarnięty obrzydzeniem wymiotuje samego siebie. Huligan jednak znosi nową sytuację minimalnie lepiej:

„Huligan wszelako nie odrywał wzroku od ziemi. Zbyt dobrze poznał przeraźliwość szczura, nazbyt wyczerpał całą bezdenność zgrozy szczurzej, iżby sam brak szczura nie był ważniejszy dlań od wszystkich najśłodszych odgłosów i powiewów świata – nie, reszta była tylko ornamentem, szczur lub brak szczura był ważny! I uszy bandyty nastawione były wyłącznie na drobne szelesty pokrewne szuraniu, a oczy łowiły tylko kształty pokrewne szczurzemu, i co chwila zdawało się, że już, już rozróżnia... że już, już zgaduje... nieomal słyszy i dostrzega owo myk, myk, kic, kic, szur, szur...

Lecz szczura nie było”²⁴⁰.

Wstręt i zgroza determinują wszystkie działania bohatera. Od tej pory liczy się tylko uniknięcie konfrontacji ze szczurem. Trwa więc trwożliwe oczekiwanie na najgorsze:

„Gdy wtem coś podługowatego przemknęło chyżo nieopodal dużej słonecznej plamy i skryło się...

Czyżby szczur?

Hulaka błdził spojrzeniem, myszkował – niezupełnie pewny – ale znów coś zaszurało w suchym listowiu.

I znów – czyżby szczur?

Na pewno prawie – był szczur”²⁴¹.

²³⁹Tamże, s. 274.

²⁴⁰Tamże, s. 274-275.

²⁴¹Tamże, s. 275.

Wciąż warto mieć na uwadze, że problemem nie jest samo zwierzę lecz nieuchronność jego śmierci: Huligan będzie musiał je zabić. To jeden z wielu przypadków wskazujących na bezmiar determinizmu leżącego u podstaw uniwersum Gombrowicza²⁴². Dlatego właśnie protagonista tak bardzo obawia się możliwej bliskości gryzonia:

„Huligan rzucił się do drzewa, przywarował w dziupli, a szczur rzucił się w chrust, przywarował w chruscie. Lecz dziupla nie była dostateczną osłoną, nieobliczalny gryzoń, oślepiiony światłem dnia, wydobyty z piwnicznych mroków, mógł smyrgnąć pod nogi, wleźć w nogawkę. Czyliż nie było to tak, że wydobyty z mroków szczur, przerażony, ujawniony, poszukiwał na gwałt jakiegoś schronienia, czegoś znajomego, a cóż dlań mogło być bardziej znajome od nogawki Huligana?”²⁴³.

Jak zwykle w przypadku Gombrowiczowskich fabuł bywa, rozeznanie bohatera iż popełnił błąd wymagający bezzwłocznej naprawy, musi prowadzić do pasma podejmowania jeszcze gorszych dla niego decyzji:

„I zbójca uprzytomnił sobie, że te szczeliny i jamy, które stwarza, te dziury i zakamarki, które chcąc nie chcąc ma w ciele i pomiędzy ciałem a ubraniem – są upragnione przez szczura, są miejscem schronienia. Więc wypadł z dziupli i gnany przestachem rzucił się do ucieczki w przestrzeń, gdzie oczy poniosą, a za nim (prawie na pewno) smyrgnął tuż przy ziemi szczur. O, znaleźć jamę, dziurę, szczelinę, szparę, okryć grzbiet, uchronić nogi, osłonić się ze wszystkich stron, uniedostępnić te dziury, jamy i szczeliny swoje, tak nęcące – i zbójca, wydobyty spod ziemi, pędził, pędził, pędził poprzez łąki, gaje, doliny, wzgórza, pola i kotliny, uciekając z jamami swymi, a za nim (prawdopodobnie) pędził szczur. Bandyta ostatkiem sił dopadł jakiejś jamy, która akurat mu się nastęczyła, półprzytomny wczołgał się do dziury, chroniąc szczeliny swoje, i zaszył się w słomę”²⁴⁴.

Czytelnik już się może domyślać, jak fatalny w skutkach będzie to pomysł. Ucieczka do jamy przed stworzeniem, które również ma zwyczaj w jamach szukać schronienia, brzmi jak recepta na katastrofę. Huligan pozostaje tymczasem w błogiej nieświadomości:

„Ha, znajoma to szopa! Któż tu leży na klepisku, na pościółce ze słomy pod przeciwległą ścianą? Hej, Maryś to, Maryś! Hej, Maryś tu leży, Maryś wypoczywa, Maryś śpi, oddychając, ach, hej, hej, Maryś, Maryśka! Oj dana, dana, Maryś! Skurczony, szczurem przeniknięty do trzewiów, przywarł do niej wzrokiem, i wierzyć się nie chciało, że to ona... Dziewczyna leżała w uśpieniu, z otwartymi usty [...]”²⁴⁵.

²⁴²O znaczącej roli determinizmu (czy też wszechmocny natury) pisał m.in. Łukasz Tischner. Zob. Tegoż, *Gombrowicz – sceptyk z domieszką* [w:] *Literatura a religia – wyzwania epoki świeckiej. Tom 2. Literatura polska po 1945 r. – kierunki, idiomy, paradygmaty*, red. Ł. Tischner, A. Bielak, Kraków 2020, s. 167.

²⁴³*Szczur*, dz. cyt., s. 276.

²⁴⁴Tamże.

²⁴⁵Tamże, s. 277.

I nagle, któż by się spodziewał:

„Sporych rozmiarów szczur wychynął spod beli, ostrożnie wylazł na klepisko i z lekka pokicał nieopodal Marysinej kiecki”²⁴⁶.

To kolejny dowód na fascynację Gombrowicza wszelakimi sprzecznościami. W tej odsłonie, miłość/pożądanie spotyka się z dojmującym wstrętem. Taka antynomia nie jest z resztą w twórczości Gombrowicza incydentalna. Knut A. Grimstad, interpretując *Zdarzenia na brygu Banbury*, zwraca w pewnym momencie uwagę, iż „Świadomość Zantmana [jednego z bohaterów opowiadania – D.Ś.] postrzega obcą materię – to znaczy coś, co postrzega się jako nie-»ja« – w ten sposób dochodzi do zainicjowania dramatu wewnętrznego; rozpoczyna się trudna walka-gra między własnym »ja« i nie-»ja«, skomplikowana, **spowolniona interakcja: między odrazą a pożądaniem, samoobroną a poddaniem** [podkr. D.Ś.]”²⁴⁷. Patrząc na wykorzystany aparat pojęciowy, nietrudno też dostrzec, iż przytoczony fragment artykułu może być też szczególnie cenny z perspektywy gombrowiczowskiego *Cogito*. Zauważmy również: spójność Gombrowicza (paradoksalnie, najlepiej widoczna w sprzecznościach) sięga tak daleko, że nawet oderwane od siebie tematycznie publikacje na temat zupełnie różnych jego utworów potrafią się wzajemnie uzupełniać.

Tymczasem Huligan wpada w coraz większe tarapaty:

„Tym razem nie był to zwid, ale niewątpliwy, namacalny szczur, kicał o cztery kroki przed nim na klepisku. Zbójca zamarł. Prawdopodobnie był to inny gryzoń – nie ten, którym go torturowano, inny – lecz szczury są tak podobne do siebie, iż torturowany nie mógł mieć absolutnej pewności”²⁴⁸.

A to nie jest jedyny problem bohatera:

„Co więcej, nie był też pewny, czy długoletnie i jakże bolesne obcowanie z jednym z tych gryzoni nie pozostawiło w nim czegoś pociągającego dla szczurów w ogóle”²⁴⁹.

Taki układ relacji zasługuje więc na miano dalece niepokojącego. O ile jednak protagonista przeżywa niewyobrażalny stres, a szczur za moment pozna dopiero, co oznacza panika, to Maryśka pozostaje całkowicie nieświadoma i bierna. Na domiar złego, Huligan wyjątkowo dotkliwie doświadcza w tym momencie niemilosierności Gombrowiczowskiego prawa symetrii:

²⁴⁶Tamże.

²⁴⁷K.A. Grimstad, *Co zdarzyło się na brygu Banbury?*, dz. cyt., s. 65.

²⁴⁸*Szczur*, dz. cyt., s. 277.

²⁴⁹Tamże, s. 278.

„Ale najpotworniej bał się, ażeby ze strachu nie kicnąć na szczura, gdyż wtedy szczur ze strachu gotów na niego kicnąć – nie, nie, należało działać ostrożnie, jak najdelikatniej objawić swoją obecność, odrobinę tylko przepłoszyć szczura, aby z powrotem schronił się do dziury. Na Boga! – uniknąć wszelkiej gwałtowności, nie dać się panice, nie popaść w ową dziką, podziemną nieobliczalność hycowato-kicającą, właściwą tym strasznym szurającym piszczącym, ogoniastym bywalcom podziemi!”²⁵⁰.

To zaś, co wydarzy się za moment, rymuje się w oczywisty sposób ze znanym ze *Ślubu* dotknięciem:

„Zbójca odnalazł miejsce, gdzie prawdopodobnie znajdowała się jama szczura, i jął się gotować do delikatnego cichego przepłoszenia – w zupełnej niemal ciszy, lekkim tylko szmerkiem lub co najwyżej chrząknięciem – gdy naraz... coś znęciło szczura pod prawe kolano dziewczki. Włazł tam – i Huligan zamarł – oto szczur dotknął jej, istność szczura ocierała się o jego dziewczynę, o jego Maryskę – o Maryskę!”²⁵¹.

W ten sposób ohyda szczurzej śmierci przelewa się na oblubienicę Huligana, a wstrząs jakiego bohater doświadcza, prowadzi do ponownego i nieoczekiwanego rozszerzenia jego natury:

I naraz to dotknięcie, to otarcie szczura o Maryskę wyższe nad wszelką grozę sprawiło, iż bandyta... zaryczał! Zaryczał, jak dawniej, pełną piersią na cały świat, zaryczał rykiem dawnym, nieodpartym i rzucił się na szczura, rycząc – skoczył! Już się nie bał, z rykiem skoczył, z rykiem rzucił się na szczura, z tak szalonym rykiem, tak opancerzony wrzaskiem, iż szczur przenigdy nie przebiłby się przez ten ryk jego do jego nogawki! Nie zastanawiał się już nad tym, że odcina szczura od jego nory, z rykiem rzucił się nań z frontu”²⁵².

W ten sposób fabuła osiąga swój (drugi?) punkt kulminacyjny:

„I nie wiem, czy mówić dalej? Czy wypowiedzą usta to najstraszliwsze? Oj, wypowiedzą chyba, gdyż nie ma granicy grozie, owszem, jest pewna bezgraniczność niemiłosierności, jest to, iż jeżeli pocznie się piętrzyć groza, to już piętrząc się, piętrzy się – piętrzy się, piętrząc się – bez końca, bez kresu wciąż i wciąż, wyrastając, wyrasta ponad siebie samą – mechanicznie. Oj, wypowiedzą chyba to usta moje, że szczur... że półoślepiiony gryzoń przerażony i ścigany, oszalały ślepą i absolutną koniecznością jamy... Maryśce włazł w usta, szurgnął, kicnął w półotwartą jamę ustną śpiącej z otwartymi usty”²⁵³.

Gombrowicz, absolutnie niemiłosiernie dla czytelnika, podąża w tym opisie o krok dalej:

²⁵⁰Tamże.

²⁵¹Tamże.

²⁵²Tamże, s. 279.

²⁵³Tamże.

„I zanim Huligan zdążył złapać się kurczowo, już ujrzał to: szczura pakującego się w usta, panicznie dążącego do skrycia się w ukochanej jamie ustnej! O, mechaniko! A Maryśka półprzytomna, obudzona, zgoła mechanicznie, błyskawicznie zawarła umiłowane szczęki – i skończyła się mechanika grozy, szczur skończył ze łbem odciętym i odgryzionym od tułowia, nastąpiła śmierć szczura”²⁵⁴.

Mówiąc inaczej, w taki oto brutalny sposób realizuje się najczarniejszy możliwy scenariusz. Przez moment mogliśmy dywagować: czy Huligan bardziej obawia się odrażającej szczurzej śmierci, czy jednak ważniejsze jest dla niego ocalenie ukochanej od zbezczeszczenia szczurzą ohydą? Okazuje się, że protagonista dokonuje heroicznego wyboru: postanawia ocalić Maryskę (a może tylko swoje wyobrażenie o Maryśce?). Jednak w konsekwencji nie dość, że prowokuje pośrednio (czyli, na domiar złego, w stylu Skorabkowskiego!) śmierć zwierzęcia, to jeszcze przyczynia się do ostatecznego zbrukania kochanki w jego własnych oczach. Ponownie, widać tu wyraźnie, jak ekspansywne jest Ja bohatera. Huligańska wizja świata wyklucza jakiegokolwiek powiązania zachodzące pomiędzy Maryską i gryzoniem. A kiedy tylko protagonista dostrzega jakiegokolwiek zgrzyt w skonstruowanej przez niego rzeczywistości, jego natura przewycięża wszelkie środowiskowe ograniczenia i zaistniałe modyfikacje, domaga się mordu. Szczur i tak musiał zginąć.

Jak bohater reaguje na tą podwójną, spektakularną przegraną?

„[...] Huligan stał wobec odgryzionej śmierci szczurzej i w umiłowanej jamie ustnej Maryski-kochanki. I z tym poszedł”²⁵⁵.

Podstawowy wniosek wypływający z niniejszej analizy jest zatem taki: *Szczur* nie kompromituje idei natury człowieka. Wręcz przeciwnie: opowiadanie wręcz prowokuje do dalszej refleksji nad tym zagadnieniem, wskazując na pewne obszary, które wymagają pewnego dookreślenia bądź zweryfikowania. Inaczej ma się jednak sprawa z koncepcją wolnej woli. Bo chociaż Gombrowiczowscy protagoniści zapamiętali toczą swe walki z różnymi schematami (zarówno tymi o biologicznym, jak i środowiskowym podłożu), w ostateczności i każdorazowo z własnej winy doświadczają dotkliwych porażek. I z tym idą dalej.

2.2. Polemika Thomasa Hobbesa z Arystotelesem i jej konsekwencje

Jak już wspomniałam, kwestia różnie rozumianej natury ludzkiej to kamień węgielny znacznej części sztandarowych politologicznych koncepcji. Z tej też przyczyny, pragnąc zrekonstruować polityczną myśl wyłaniającą się z twórczości Gombrowicza, za niezbędne uznaję maksymalne

²⁵⁴ *Szczur*, dz. cyt., s. 279.

²⁵⁵ *Tamże*, s. 280.

doprecyzowanie tego zagadnienia. Poprzedni podrozdział niejako usprawiedliwia używanie przeze mnie tej problematycznej w przypadku awangardowego pisarza kategorii oraz definiuje, co się w jego tekstach za ową naturą kryje. W dalszej – i absolutnie kluczowej – części pracy będę natomiast rozstrzygać, co Gombrowicz miał do powiedzenia na temat polityczności natury ludzkiej. Chcąc jednak zadowalająco wnikliwie i niechaotycznie przeprowadzić tego rodzaju analizę, potrzebuję solidnych interpretacyjnych ram. I właśnie w tej części rozprawy zamierzam je nakreślić²⁵⁶.

Do ich stworzenia konieczne okazało się pytanie: czy człowiek jest z natury polityczny, czy może wręcz przeciwnie? Nie zaskoczę nikogo stwierdzeniem, iż w dziejach myśli politycznej przedstawiono już całe spektrum możliwych odpowiedzi. Początkowo na gruncie filozoficznym, a później także socjologicznym, psychologicznym i – wreszcie – politologicznym, przez stulecia krystalizowały się różnorakie stanowiska odnośnie tej kwestii. Aby całość nieco uporządkować, wzorem Gombrowicza postanowiłam zderzyć ze sobą dwa możliwie silnie kolidujące ze sobą poglądy. Proponuję, by spojrzeć na nie jak na skrajne wartości, pomiędzy którymi da się rozlokować mniej radykalne rozwiązania. I tu, ponownie, zaskoczenia być nie powinno, ponieważ mój wybór padł na Arystotelesowską koncepcję *zoon politikon*²⁵⁷ oraz polemiczne względem niej przeświadczenie Thomasa Hobbesa²⁵⁸ o egoistycznej, aspołecznej naturze człowieka. Trudno o spór jeszcze bardziej dla politologów oczywisty, proponuję jednak omówienie go z mniej typowej, bo Gombrowiczowskiej perspektywy²⁵⁹.

W jednym ze swych opowiadań pisarz, szydząc z pewnego naukowego sporu, wyśmiewa zarazem wszystkie możliwe dysputy, jakie z minami mędrców mamy zwyczaj toczyć. *Filidor dzieckiem podszyty* jest – jak to zwykle w prozie Gombrowicza bywa – śmiechem przez łzy. Całą

²⁵⁶Co zrobiłam już – b a r d z o pobieźnie, lecz z pełną tego świadomością – na łamach artykułu *Gombrowicz Hobbesem podszyty*. Iwona, księżniczka Burgunda w *świecie filozofii politycznej*, „Horyzonty Polityki” 2019, 10(32), s. 76-77. Niniejszy rozdział daje mi zaś znacznie więcej przestrzeni na zniuansowanie sprawy.

²⁵⁷Cytując Piotra Świerca: „Pierwsze próby stworzenia koncepcji natury człowieka możemy dostrzec już w najstarszym znanym nam dziele literackim w dziejach ludzkości – w *Eposie o Gilgameszu*. Człowiek zdefiniowany jest w nim jako byt znajdujący się pomiędzy zwierzętami i bogami. Status ten związany jest z procesem samoudomowienia, w wyniku którego człowiek wyzbył się charakterystycznych dla świata zwierzęcego tendencji do walki i dominacji na rzecz współpracy w ramach wspólnoty. W pełni dojrzałą, racjonalną koncepcję relacji między ludzką naturą a życiem społeczno-politycznym sformułowano na gruncie filozofii greckiej. **W tym kontekście najczęściej przywołuje się Arystotelesa i jego koncepcję *zoon politikon*** [podkr. D.Ś.], ale zbliżone ujęcie znajdziemy u wielu wcześniejszych greckich myślicieli, np. pitagorejczyków czy Platona”. P. Świerc, *Podstawy społecznych zachowań człowieka*, dz. cyt., s. 34.

²⁵⁸Hobbes, mimo że nie bywa przez Gombrowicza przywoływany wprost, szczególnie dobrze wkomponowuje się w analizę okółofilozoficznych rozważań pisarza ze względu na silne powiązania z kartezjanizmem. Kwestię wpływu dziedzictwa Kartezjusza na myśl polityczną Hobbesa uwypukla, między innymi, Wojciech Kaute. Zob. tegoż, *W poszukiwaniu dobrego życia*, dz. cyt., s. 55-56.

²⁵⁹Asekuracyjnie dopowiem tylko, że celem niniejszego podrozdziału z d e c y d o w a n i e n i e j e s t szczegółowe omówienie myśli politycznej Hobbesa czy Arystotelesa. Zależy mi raczej na zarysowaniu kluczowych punktów w dyskusji, która mimo upływu lat, w zaktualizowanej formie wciąż jest żywa w nauce. W związku z powyższym, świadomie ograniczam przytaczanie literatury sekundarnej i wykorzystuję polskie przekłady zarówno *Polityki*, jak i *Lewiatana*.

fabułę bowiem, ponownie, da się sprowadzić do problemu Ja niemiłosiernie uprzedmiotawiającego inne podmioty. Proponuję, by śledząc fabułę opowiadania, tym razem szczególnie skoncentrować się na kwestii ścierania się poszczególnych teoretycznych konstruktów – a więc zjawisku obecnemu zarówno w fikcji Gombrowicza, jak i politologicznym dyskursie.

Dokładnie tak, jak w poprzednich częściach rozprawy, przychodzi czas na mikro-imersję:

„Księciem najchlubniej znanych wszystkimi czasy syntetyków był bez wątpienia dr prof. Syntetologii uniwersytetu w Leydzie, wyższy synteta Filidor, rodem z południowych okolic Annamu. Działał on w patetycznym duchu Wyższej Syntezy głównie za pomocą dodawania + nieskończoność, w wypadkach nagłych także za pomocą mnożenia przez + nieskończoność”²⁶⁰.

Utwór rozpoczyna się zatem od ekspozycji pierwszego z bohaterów. Profesor Filidor²⁶¹ jest przede wszystkim autorytetem. Stanowisko Gombrowicza w kwestii autorytetów dobrze już znamy, więc na tym etapie lektury podejrzewać można, jak dotkliwe poniżenie spotka tego wybitnego naukowca.

Z której strony przyjdzie ten cios?

„Lecz zjawisko duchowe tej miary nie mogło nie wywołać w **naturze** [podkr. D.Ś.] swego kontr-zjawiska, w myśl Newtonowskiej zasady akcji i reakcji, dlatego też równie znakomity Analityk rychło urodził się w Colombo i na uniwersytecie Columbia uzyskawszy doktorat tudzież profesurę Wyższej Analizy, szybko wspiał się na najwyższe szczeble kariery naukowej. Był to mężczyzna [...] z jedyną misją wewnętrzną ścigania i pogńębiana znakomitego Filidora”²⁶².

Nie sposób przeoczyć faktu, że również w tym opowiadaniu pojawia się pojęcie natury. Choć pisane jest małą literą, najprawdopodobniej należy je utożsamić z tą najbardziej tajemniczą i wszechogarniającą Naturą. Ponadto, dowiadujemy się w tym momencie, że Gombrowiczowska symetria zbudowana jest na kanwie mechaniki Isaaca Newtona. Czy należy traktować takie wyjaśnienie całkiem poważnie? I tak, i nie – zależy jaką przyjmujemy perspektywę. Biorąc pod uwagę, że Gombrowicz żywo interesował się filozofią Kartezjusza, a Kartezjusz inspirował się mechanicyzmem – taką informację mamy prawo uznać za istotny trop. Z drugiej zaś strony, pisarz po raz kolejny przybiera tu pozę „wieśniaka z Sandomierskiego”, który dokonuje inwentaryzacji europejskiej myśli i wybiera z niej jedynie to, co w danym momencie uznaje za interesujące i nadające do wtłoczenia w fabułę. Czy symetria faktycznie zainspirowana jest zasadą akcji i reakcji,

²⁶⁰ *Filidor dzieckiem podszyty* [w:] Bak., s. 214.

²⁶¹ Zastanawiający jest dobór nazwiska dla protagonisty. Przywołać może ono na myśl postać wybitnego szachisty, François Philidora i, jak wykażę w dalszej części rozdziału, fabuła opowiadania osobiście przypomina szachową rozgrywkę. Zbieg okoliczności, czy celowy zabieg Gombrowicza?

²⁶² *Filidor...*, dz. cyt., s. 214.

czy może literat, chcąc jedynie intelektualnie podbudować fabułę opowiadania o zmaganiach dwóch intelektualistów, nonszalancko i bez głębszej refleksji zamieszcza w nim nazwisko angielskiego uczonego? Oczywiście, nie sposób orzec intencji autora, możemy jednak uznać, że niezależnie od wybranej opcji, w tekście pióra Gombrowicza sarkazm wybrzmiewa wręcz ewidentnie.

Warto też zwrócić uwagę na samą ekspozycję antagonisty. Mimo, iż nikt wprost nie umniejsza wybitności Analityka, czytelnik automatycznie zaczyna go postrzegać jako tego złego, który zbudował swoją karierę w kontrze do dorobku Profesora Syntetologii:

„Działał on rozkładowo, a specjalnością jego był rozkład osoby na części za pomocą rachowania, w szczególności za pomocą **prztyczków** [podkr. D.Ś.]”²⁶³.

Czas na kolejne pytanie dotyczące inspiracji Gombrowicza: co sprowokowało go do takiego właśnie skonstruowania postaci Analityka? Gdyby sięgnąć do biografii pisarza, można się pokusić o odczytanie sporu Filidora z anty-Filidorem jako metafory walki twórcy z krytyką literacką. Sama kwestia prztyczka jest ważnym argumentem dla takiej interpretacji. Złośliwy Analitik-teoretyk, poświęcający życie agresywnej polemice z Syntetykiem, mógłby równie dobrze w praktyce analizować dzieła poszczególnych pisarzy i budować własną karierę na krytykowaniu ich trudu. Nie nam oceniać, czy przykre doświadczenia debiutującego twórcy z recenzentami tak bezpośrednio zainspirowały go do stworzenia fabuły *Filidora...*, ale nie wykluczałabym takiej opcji jako jednej z całkiem prawdopodobnych.

A może nie o literackie traumy Gombrowicza tu chodzi, a raczej o przeniesienie idei ekspansywnego Ja na grunt bardziej wzniosły i abstrakcyjny? Innymi słowy: w *Szczurze* Gombrowicz analizuje świat, pisząc o brutalnej, fizycznej przemocy, pociągającej za sobą przemoc nieco tylko bardziej wyrafinowaną. *Filidor...* z kolei dotyka problemu nauki, abstrakcyjnych pojęć i akademickiej dyskusji. To już nie o terroryzowanie lokalnej społeczności chodzi, a o spór dwóch wybitnych, światowej sławy naukowców. Gombrowiczowi jednak nie przeszkadza to w kreśleniu skrajnie absurdałnych wizji:

„I tak za pomocą prztyczka w nos pobudzał nos do samoistnego bytu, przy czym nos ruszał się spontanicznie na wszystkie strony ku przerażeniu właściciela. Sztuczkę tę często stosował w tramwaju, jeżeli było nudno”²⁶⁴.

²⁶³Tamże, s. 215.

²⁶⁴Tamże.

Moja kolejna propozycja odczytania tego tekstu przedstawia się następująco: co by było, gdyby za postacią Analityka ukrywał się nie krytyk literacki bądź jakikolwiek inny małosłowny antagonist, a... Gombrowicz we własnej osobie? Czyż „pobudzanie do samoistnego bytu” nie jest jedną z literacko-filozoficznych strategii autora? Pisarz wykrada przecież z całych monumentalnych koncepcji pewne hasła i niuanse i na ich kanwie buduje nowe fabuły. Wydawać by się mogło, że Gombrowicz w sporze syntezy z analizą, opowiedziałby się raczej po pierwszej ze stron. Jego twórczość jest eklektyczna, łącząca niskie z wysokim, Szekspira z wiejską gwarą, filozofię z wulgarnością. By jednak owej spektakularnej syntezy dokonać, pisarz przyjąć musiał także postawę Analityka. Gombrowiczowska dekonstrukcja jest zatem syntezą syntezy z analizą. Czy *Filidor...* nie byłby więc doskonałą ilustracją procesu twórczego, z jakim zmagał się jego autor?

I teraz z takiej perspektywy spójrzmy na kolejny fragment historii:

„Idąc za głosem swego najgłębszego powołania, [Analitik – D.Ś.] puścił się w pogoń za Filidorem, a nawet w małym miasteczku w Hiszpanii udało mu się uzyskać szlachecki przydomek anty-Filidora, z którego był szalenie dumny”²⁶⁵.

Anty-Filidor jest zatem tym, który obsesyjnie dąży do obalenia autorytetu. Z jednej strony to tylko kolejny przejaw Gombrowiczowskiego *Cogito*, z drugiej zaś – wielka misja do wypełnienia.

„Filidor – dowiedziawszy się, że tamten go ściga – ma się rozumieć, również puścił się w pogoń i dłuższy czas obaj uczeni ścigali się bez rezultatu, duma bowiem nie pozwalała żadnemu z nich przyjąć, iż jest nie tylko ścigającym, lecz także ściganym. A przeto gdy, na przykład, Filidor był w Bremie, anty-Filidor pędził z Hagi do Bremy, nie chcąc czy też nie mogąc, uwzględnić, iż Filidor w tym samym czasie i w tym samym celu pośpiesznym pociągiem wyrusza z Bremy do Hagi”²⁶⁶.

Jak to się ma do dyskusji na temat polityczności natury ludzkiej? Zarówno wielcy historyczni myśliciele, jak i całkiem współcześni naukowcy, w pewnym momencie zdecydowali się na podobną pogoń. Z wiadomych względów Arystoteles oczywiście nie mógł się zrewanżować Hobbesowi, ale jego intelektualni spadkobiercy – już owszem. Na pytanie „czy człowiek jest z natury polityczny?” Stagiryta z przekonaniem odpowiedziałby, że jak najbardziej. „**Że człowiek jest istotą stworzoną do życia w państwie** [podkr. D.Ś.]” – powiada Grek – „**więcej niż pszczoła lub jakiegokolwiek zwierzę żyjące w stadzie, to jasną jest rzeczą** [podkr. D.Ś.]. Natura bowiem, jak powiadamy, nic nie czyni bez celu. Otóż człowiek jedyny z istot żyjących obdarzony jest mową. Głos jest oznaką radości i bólu, dlatego posiadają go i inne istoty (rozwój ich posunął się bowiem tak daleko, że mają

²⁶⁵Tamże.

²⁶⁶Tamże.

zdolność odczuwania bólu i radości, tudzież wyrażania tego między sobą). Ale mowa służy do określania tego, co pożyteczne czy szkodliwe, jak również i tego, co sprawiedliwe czy też niesprawiedliwe²⁶⁷. Arystoteles polityczność natury ludzkiej przyjmuje zatem jako pewnik. Skoro mniej skomplikowane w ocenie Stagiryty zwierzęta organizują się w stada, to cóż dopiero obdarzony zdolnością mówienia, rozumny człowiek? Wieki później Thomas Hobbes stwierdzi (całkiem przytomnie zresztą), że sytuacja ludzi i pszczoł w kluczowych kwestiach się jednak nieco różni, więc pod wątpliwość należałoby wziąć tak beztrioskie zestawianie ze sobą życia społecznego obu populacji²⁶⁸. Tak w najprostszy możliwy sposób można naszkicować stanowiska wyznawane po obu stronach barykady. Zanim jednak przyjrzymy się bardziej wnikliwie ich argumentacji, pozwólmy by fabuła *Filidora...*, rzuciła nam jeszcze nieco światła na dyskusję:

„Zderzenie dwóch rozpędzonych uczonych – katastrofa, rzędu największych kolejowych katastrof – nastąpiła zupełnie przypadkowo w lokalu pierwszorzędnej restauracji hotelu »Bristol« w Warszawie²⁶⁹.

Jak już historia niejednokrotnie pokazała, Polska jest kapitalnym wręcz miejscem do wszelkich możliwych starć. Pozostajemy jednak w tym momencie przy groteskowej konfrontacji wymyślonej przez Gombrowicza:

„Filidor w towarzystwie profesorowej Filidor z rozkładem jazdy w rękę właśnie badał najlepsze połączenia, gdy prosto z pociągu wpadł zdyszany anty-Filidor pod rękę ze swoją analityczną towarzyszką podróży, Florą Gente z Mesyny²⁷⁰.

Aby więc symetrii stało się zadość, każdy z uczonych przybywa do Polski z partnerką u boku. Co się dzieje dalej?

„Anty-Filidor podszedł do stolika i w milczeniu zaatakował wzrokiem profesora, który wstał. Usiłowali przeprzeć się duchowo. Analityk parł chłodno, z dołu, Syntetyk odpowiadał z góry, wejrzeniem pełnym odpornej godności. Gdy pojedynek na spojrzenia nie dał stanowczych wyników, dwaj wrogowie z ducha rozpoczęli pojedynek na słowa²⁷¹.

A skoro dysputę toczyć mają najbardziej przenikliwe umysły, spodziewać się możemy skrzęcej inteligencją wymiany zdań...

„Doktor i mistrz Analizy rzekł:

²⁶⁷ Arystoteles, *Polityka*, przekł. L. Piotrowicz, Warszawa 2012, s. 27.

²⁶⁸ T. Hobbes, *Lewiatan*, przekł. Cz. Znamierowski, Warszawa 2009, s. 255-257.

²⁶⁹ *Filidor...*, dz. cyt., s. 215.

²⁷⁰ *Tamże*.

²⁷¹ *Tamże*, s. 216.

- Kluski!
- Syntetolog odpowiedział:
- Klusek!
- Anty-Filidor zaryczał:
- Kluski, kluski, czyli kombinacja mąki, jaj i wody!
- Filidor zaś odparował monumentalnie:
- Klusek, czyli wyższa istota Kluska, sam najwyższy Klusek!²⁷².

Gdyby tak zignorować cały absurd przytoczonego dialogu, można zauważyć, że punkt wyjścia do dyskusji między bohaterami jest ten sam. Następnie jednak stanowiska uczonych drastycznie się rozmiągają. Można się pokusić o sparafrazowanie w ten sposób dyskusji zwolenników koncepcji Hobbesa z entuzjastami myśli Arystotelesa:

- Natura ludzka!
- Natura ludzka!
- Natura polityczna, bo państwo jest dziełem natury!
- Natura egoistyczna, bo państwo jest sztuczne!

Społeczny charakter człowieka jest dla Stagiryty równie oczywisty, jak naturalność samej instytucji państwa. Proces myślowy Greka sprawnie rekonstruuje Frederick Copleston: „Państwo (przez państwo Arystoteles rozumie greckie miasto-państwo) istnieje jak każda inna wspólnota dla jakiegoś celu. W przypadku państwa celem jest najwyższe dobro człowieka, jego moralne i intelektualne życie. Rodzina jest pierwszą wspólnotą, która istnieje dla życia, dla zaspokojenia codziennych potrzeb ludzi, a kiedy kilka rodzin łączy się razem i celem staje się coś więcej niż tylko zaspokajanie codziennych potrzeb, zaczyna istnieć wieś. Kiedy natomiast kilka wsi łączy się, by stworzyć szerszą wspólnotę, »która już niejako osiągnęła kres wszechstronnej samowystarczalności«, rodzi się państwo”²⁷³. Jeszcze w pewnym domyśle, ale już z tej perspektywy wygląda państwo na naturalną kolej rzeczy. Dalsze słowa Coplestona mogą jedynie utwierdzić czytelnika w tym spostrzeżeniu: „Jeszcze dalsze jego [państwa – D.Ś.] istnienie ma na celu dobre życie, i Arystoteles podkreśla, że państwo różni się od rodziny i wsi nie tylko ilościowo, ale także jakościowo oraz przez swą specyfikę. To jedynie w państwie człowiek może wieść w pełni dobre życie, a ponieważ dobre życie jest naturalnym celem człowieka, państwo należy nazywać społeczeństwem naturalnym”²⁷⁴. Daje się więc w wyżej przedstawionym rozumowaniu dostrzec pewien optymizm filozofa. Na pierwszy rzut oka – taka wizja świata zdaje się nie współgrać w żadnej mierze z mechanikami, wedle których funkcjonuje świat obserwowany i artystycznie

²⁷² *Filidor...*, dz. cyt., s. 216.

²⁷³ F. Copleston, *Historia filozofii*, t. 1, Warszawa 2010, s. 318.

²⁷⁴ Tamże.

udokumentowany przez Gombrowicza. Kiedy jednak sięgniemy nieco głębiej, sprawa okazuje się mniej jednoznaczna.

Thomas Hobbes twierdzi coś zgoła odmiennego: społeczeństwo i wspólnota polityczna to sztuczne twory, wynikające z przewyższenia egoistycznej natury człowieka. Ów egoizm łączy się zaś z całym spektrum nikczemnych zachowań i godnych potępienia postaw. Anglik wylicza: skłonność do współzawodnictwa, przekładanie własnych korzyści nad korzyści wspólnotowe, niezbite przeświadczenie jednostek o własnych predyspozycjach intelektualnych uprawniających je do władania innymi, tendencje do kłamstwa i manipulowania i wichrzycielstwo²⁷⁵. Co ciekawe, wszystkie te przykre diagnozy są pewnymi wyznacznikami człowieczeństwa, czymś co odróżnia *homo sapiens* od innych zwierząt. To spostrzeżenie na przestrzeni lat prowokowało licznych interpretatorów do przyjmowania biologicznej wręcz perspektywy przy interpretowaniu traktatu o Lewiatanie. Co więcej, taka optyka sprawia, że w XXI wieku przedstawiciele całego spektrum dyscyplin naukowych wciąż chętnie się na Hobbesa powołują.

Jako przykład przywołać mogę twórczość Fransa de Waala, profesora psychologii zajmującego się problematyką źródeł ludzkiej moralności. Jego publikacja *Małpy i filozofowie* (czyli *de facto* zapis wykładu wygłoszonego w 2004 roku na Uniwersytecie w Princeton) poświęcona w znacznej mierze instynktowi społecznemu naczelnych oraz tzw. teorii fasady, rozpoczyna się bowiem niczym publikacja z zakresu myśli politycznej: „*Homo homini lupus est*, »człowiek człowiekowi wilkiem«, to starorzymskie powiedzenie spopularyzowane przez Thomasa Hobbesa. I choć związane z nim przesłanie stanowi dziś przewodnią myśl znacznej części dysput prawniczych, ekonomicznych i politologicznych, stwierdzenie to zawiera dwa poważne błędy. Po pierwsze, nie oddaje sprawiedliwości psowatym, które należą do najbardziej towarzyskich i kooperatywnie nastawionych zwierząt na naszej planecie (Schleidt, Shalter 2003). A co gorsze, podaje w wątpliwość społeczną naturę naszego gatunku²⁷⁶. Jak wyraźnie widać, myśl Hobbesowska jest tu niemałą inspiracją, niemniej jednak psycholog decyduje się na zdecydowaną polemikę z Anglikiem. W sporze między antyczną a nowożytną wizją natury ludzkiej, de Waal opowiedziałby się za tą pierwszą. Następnie, badacz kreśli główne zręby zainicjowanej przez Hobbesa dyskusji: „Teoria umowy społecznej – i szerzej, cała myśl zachodnia – przyjmuje założenie, że jesteśmy aspołecznymi, może wręcz złośliwymi stworzeniami, a nie owym *zoon politikon*, którego widział w nas Arystoteles. Hobbes jednoznacznie odrzuca pogląd Arystotelesa, twierdząc, że nasi przodkowie byli autonomiczni i wojowniczy, a na życie w społeczeństwie zdecydowali się dopiero wtedy, kiedy

²⁷⁵T. Hobbes, *Lewiatan*, dz. cyt., s. 265-257.

²⁷⁶F. de Waal, *Małpy i filozofowie. Skąd pochodzi moralność?*, Kraków 2019, s. 25.

koszty ciągłej walki stały się nie do zniesienia. Zdaniem Hobbesa życie we wspólnocie nigdy nie było dla nas naturalne²⁷⁷.

Jedna moja uwaga: z wyżej przytoczonej wypowiedzi wynika poniekąd, że stan wojny każdego z każdym jest (wyłącznie?) faktem historycznym. De Waal najprawdopodobniej²⁷⁸ stosuje tu jedynie skrót myślowy, który może jednak wprowadzać czytelnika/słuchacza w błąd. Trzeba bowiem mieć na uwadze, że stan natury nie był (dla Hobbesa, rzecz jasna) zjawiskiem powszechnie występującym na całym świecie. Można nawet przyjąć, że wojna każdego z każdym – pojmowana jako pewne wydarzenie i występująca punktowo – odgrywa w koncepcji Anglika drugorzędną rolę. Ponownie zacytujmy w tym miejscu Coplestone’a: „Czy Hobbes uważa, że stan wojny jest faktem historycznym, czymś, co zawsze poprzedza powstanie społeczeństwa? Czy też uważa, że stan ten poprzedza powstanie społeczeństwa jedynie logicznie, w tym sensie, że gdy pominiemy to, co człowiek zawdzięcza Rzeczypospolitej czy państwu, dojdziemy przez abstrakcję do, by tak rzec, poziomu atomistycznego indywidualizmu, który ma swe korzenie w ludzkich namiętnościach i który, gdyby nie inne czynniki zmuszające człowieka do tworzenia społeczeństw i poddania się wspólnej władzy, stałby się faktem? Hobbes ma na myśli, oczywiście, co najmniej tę drugą możliwość. Jego zdaniem stan wojny nie panował nigdy powszechnie »na całym świecie«; lecz idea tego stanu byłaby zrealizowana gdyby nie było Rzeczypospolitej²⁷⁹. Co nie oznacza, że de Waal interpretując Hobbesa był w błędzie, bowiem – jak wyjaśnia Copleston – „Zarazem jednak naturalny stan wojny w wielu miejscach świata jest, zdaniem Hobbesa, faktem historycznym. Można się o tym przekonać w Ameryce, gdzie dzikie ludy »dzisiaj żyją jak zwierzęta«, nie mając żadnego rządu poza władzą w małych rodzinach, gdzie zgoda zależy od »przyrodzonych pożądań«²⁸⁰. Pomijając fakt, jak źle współcześnie brzmi (nie oszukując się – pogardliwe) spostrzeżenie siedemnastowiecznego myśliciela, możemy na tej podstawie wywnioskować, że stan natury rozumiany jako fakt historyczny nie był najważniejszym aspektem omawianej koncepcji.

Pora jednak wrócić do samego sedna publikacji prymatologa. De Waal (jak najbardziej słusznie) dopatruje się Hobbesowskich wpływów w znacznie bardziej nam współczesnej – bo

²⁷⁷Tamże, s. 25-26.

²⁷⁸A wnioskuje o tym, chociażby, na podstawie fragmentu wypowiedzi de Waala na temat koncepcji sytuacji pierwotnej stworzonej przez Johna Rawlsa: „Nie chcę przez to podważać heurystycznej wagi Rawlsowskiego »sytuacji pierwotnej« jako sposobu, który pozwala nam rozważyć, w jakim społeczeństwie **chcielibyśmy** [podkr. oryg.] żyć. [...] Ale nawet jeśli nie będziemy odczytywać »położenia pierwotnego« dosłownie – przyjmując je wyłącznie za przesłankę rozumowania – odwraca ono naszą uwagę od problemu, który **powinniśmy** [podkr. oryg.] rozważyć, a który streszcza się w pytaniu, jak w rzeczywistości staliśmy się tym, czym jesteśmy dzisiaj. Które aspekty natury ludzkiej skierowały nas na tę ścieżkę i jak zostały ukształtowane przez ewolucję? Pytania te – zwracając się ku naszej faktycznej, a nie hipotetycznej historii – zbliżają nas do prawdy, która brzmi: jesteśmy z natury zwierzętami stadnymi”. Tamże, s. 27. Jak widać, de Waal w żadnym razie nie traktuje filozofii/myśli politycznej po macoszem, jest świadomy pewnych zawiłości w interpretacji i jego odwołania do poszczególnych autorów nie są jedynie retorycznym zagranem.

²⁷⁹F. Copleston, *Historia filozofii*, t. 5, Warszawa 2009, s. 34-35.

²⁸⁰Tamże, s. 35.

dwudziestowiecznej – myśli politycznej Johna Rawlsa. Zauważa, że jest to wizja znacznie łagodniejsza, niemniej zakładająca, iż: „krok ludzkości ku życiu społecznemu zależał od uwzględnienia wymogów bezstronności, podyktowanych perspektywą wzajemnych korzyści ze współpracy równych sobie ludzi”²⁸¹. Tymczasem – tu stanowisko de Waala jest radykalne – „Te idee dotyczące źródeł uporządkowanego życia społecznego pozostają popularne do dziś, mimo że stojące za nimi założenie o ludziach jako racjonalnie działających, aspołecznych zwierzętach **jest nie do utrzymania** [podkr. D.Ś.] w świetle tego, co wiemy o ewolucji naszego gatunku. Hobbes i Rawls tworzą iluzję społeczeństwa jako dobrowolnie przyjętego porządku, opartego na narzuconych sobie przez wolne i równe jednostki regułach”²⁸². Tu znowu powinniśmy uwrażliwić się na fakt, że de Waal brnie w stronę historycznie rozumianego stanu natury: „Tymczasem nie można wyznaczyć momentu w historii, kiedy staliśmy się zwierzętami społecznymi”²⁸³. Domyślam się jednak, co mogłoby być dla psychologa największym zgrzytem w toku rozumowania krytykowanego przez niego filozofów, nawet przy założeniu pełnej świadomości, iż stan natury to przede wszystkim zaledwie eksperyment myślowy. Mianowicie: skoro nie ma żadnych przesłanek świadczących o realnie przeprowadzonej wojnie każdego z każdym, cóż daje nam prawo do opierania na niej całej koncepcji uporządkowanego społeczeństwa? Faktycznie, jeżeli punktem wyjścia do analizowania myśli Hobbesa uczynimy stan natury, a nie naturę jednostek, całość staje się mocno abstrakcyjna, oderwana od rzeczywistości i aktualnego stanu nauki a zarazem prowokująca do dywagacji podszytych prywatnymi upodobaniami oraz szczególnie niebezpiecznym dla merytorycznej dyskusji zdrowym rozsądkiem.

Dokładnie ten problem, z szerszej perspektywy, bo uwzględniającej samą dyskusję między ujęciem Hobbesowskim i Arystotelesowskim, omawia zresztą Piotr Świercz. Podkreślmy, że badacz wypowiada się tu przede wszystkim na temat recepcji *Lewiatana* i *Polityki* i dywagacji spod znaku kto miał rację: „Niezależnie od tego, czy komuś bliższa jest teza klasyczna (»polityczna natura człowieka«), czy też teza nowożytna (»egoistyczna natura człowieka«), traktuje się je jako równie uzasadnione alternatywy, zaś wybór między nimi – jest raczej kwestią »smaku« niż wagi argumentacji”²⁸⁴. Czy zatem spór o polityczność natury ludzkiej trwa do dziś w najlepsze, ponieważ jest nierozstrzygalny? Badacz zwraca uwagę na istotną kwestię: „przyczyn takiego stanu rzeczy szukać należy w punkcie wyjścia badań nad daną refleksją”²⁸⁵. Gdzie tkwi pułapka? „Jeśli przyjmiemy, że zarówno koncepcja klasyczna, jak i koncepcja nowożytna zaczynają się od

²⁸¹F. de Waal, *Małpy i filozofowie...*, dz. cyt., s. 26.

²⁸²Tamże, s. 26.

²⁸³Tamże.

²⁸⁴P. Świercz, *Znaczenie pojęcia „natura”...*, dz. cyt., s. 112.

²⁸⁵Tamże.

rozumienia, a nawet bardziej **opisu stanu natury** [podkr. D.Ś.], to dalsze ich rozwinięcie jest niemalże tautologią²⁸⁶. Jak to naprawić? „Należałoby zatem zadać pytanie o to, co wcześniejsze wobec stanu natury – o naturę samą. To ona bowiem ma być uzasadnieniem obu koncepcji (klasycznej – wprost, nowożytnej – *à rebour*)²⁸⁷. Dyskusja odwołująca się do natury ludzkiej w myśli Hobbesowskiej i Arystotelesowskiej, bywa zatem prowadzona w nieumiejętny sposób, na czym znacząco traci jej merytoryka.

De Waal polemizuje zatem z Hobbesem powszechnie odczytywanym z niewłaściwego punktu startowego. I, z tej perspektywy, przedstawia przekonujący argument, bowiem: „pochodząc od wysoce uspołecznionych przodków ewolucyjnych – długiej linii małp – od zawsze byliśmy zwierzętami żyjącymi w grupach²⁸⁸. Historyków myśli politycznej niezainteresowanych interdyscyplinarnym podejściem do sprawy zaskoczyć mogą kolejne słowa prymatologa: „Wolne i równe sobie jednostki nigdy nie istniały. Ludzie rozpoczęli swą ewolucję – jeżeli w ogóle da się ustawić początek – jako zależni od siebie nawzajem, powiązani i nierówni²⁸⁹. Tak oto de Waal podważa główne założenia największych ideologii, co mogłoby niebywale usatysfakcjonować, chociażby, Gombrowicza. Podchodząc jednak do sprawy całkiem poważnie, politolog może odnieść w tym momencie niekoniecznie komfortowe wrażenie, że jego dyscyplina – pozornie mocno ugruntowana w realnym świecie – momentami para się analizą koncepcji całkowicie zdezaktualizowanych, podważalnych empirycznie w zaledwie kilku prostych krokach. Myśl polityczna bywa bowiem równie fikcyjna, jak fabuły nawet najbardziej fantastycznych powieści. De Waal wyjaśnia, że „Pochodzimy z długiej linii zwierząt tworzących hierarchie, dla których życie w grupie jest nie tylko możliwością, ale wręcz strategią przetrwania. Każdy zoolog sklasyfikowałby nasz gatunek jako stadny²⁹⁰. A rozwijając tę myśl: „Życie w grupie daje duże korzyści podczas zdobywania pożywienia i obrony przed drapieżnikami (Wrangham 1980; van Schaik 1983). W obliczu faktu, że żyjące stadnie osobniki pozostawiają więcej potomstwa niż te ze słabszymi inklinacjami społecznymi (np. SilkAlberts, Altmann 2003), życie wspólnotowe zostało wpisane w biologię i psychologię naczelnych. Jeśli więc kiedykolwiek podejmowano decyzję o tworzeniu społeczeństw, jej autorką była Matka Natura, a nie my sami²⁹¹.

Czy ten kategoryczny osąd zamyka dyskusję i świadczy o tym, że badania empiryczne jednoznacznie rozstrzygają o społecznej/stadnej naturze człowieka? Wykluczone: wystarczy bowiem odnieść się ponownie do wypowiedzi Richarda Dawkinsa (podkreślmy, wielkiego

²⁸⁶Tamże.

²⁸⁷Tamże.

²⁸⁸F. de Waal, *Małpy i filozofowie...*, dz. cyt., s. 26.

²⁸⁹Tamże.

²⁹⁰Tamże, s. 26-27.

²⁹¹Tamże, s. 27.

entuzjasty ewolucjonizmu, czego owocem jest monumentalna publikacja *Najwspanialsze widowisko świata. Świadectwa ewolucji*²⁹²). Etolog na kartach wcześniej już wzmiankowanego przeze mnie *Samolubnego genu* omawia kwestię biologii egoizmu i altruizmu. I – podobnie jak de Waal – jest mocno kateryczny w swym osądzie. Tyle, że Dawkins nawet w najbardziej altruistycznych zachowaniach poszczególnych osobników dopatruje się czystego egoizmu: czasem altruizm bywa jak najbardziej opłacalny, zatem idea poświęcenia dla dobra wspólnego w tym świetle nie jest tak chwalebna, jak na pierwszy rzut oka moglibyśmy przyjąć. Badacz stwierdza nawet, iż „Obojętnie bowiem jak bardzo chcielibyśmy by było inaczej, miłość powszechna i dobro gatunku jako całości są pojęciami, które po prostu nie mają ewolucyjnego sensu”²⁹³. Słowa te mogą zabrzmieć dość makiawelicznie, jednak sam autor podkreśla, że „nie jest rzecznikiem moralności opartej na zasadach ewolucji”²⁹⁴. Stanowisko Dawkinsa jest w tym przypadku jednoznaczne: „Opisuję mechanizmy działania ewolucji, ale nie udzielam wskazówek moralnych co do postępowania nas, ludzi. Kładę na to taki nacisk, bo jestem świadom niebezpieczeństwa, że zostaną źle rozumiany przez tych wciąż nazbyt licznych, niepotrafiących dostrzec różnicy między wyrażaniem poglądu na temat rzeczywistego stanu rzeczy a orędowaniem za stanem rzeczy, który uważa się za pożądany. Osobiście uważam, że bardzo nieprzyjemnie byłoby żyć w ludzkiej społeczności zorganizowanej jedynie **według genowego prawa uniwersalnego: bezwzględnego egoizmu** [podkr. D.Ś.]. [...] Pamiętaj, że jeśli podobnie jak ja pragniesz budować społeczeństwo, w którym jednostki z ochotą i bez egoizmu współpracują dla wspólnego dobra, nie oczekuj wskazówek od biologii. Próbuje nauczać hojności i altruizmu, albowiem **z urodzenia jesteśmy egoistami** [podkr. D.Ś.]. Starajmy się dociec, do czego zdolne są nasze samolubne geny, a wówczas, być może, uda się nam pokrzyżować im plany – o czym żaden inny gatunek nie mógłby nawet marzyć”²⁹⁵. Mówiąc najprościej: badaczowi znacznie bliżej do Hobbesa.

Przypomnę, że z pełnym rozmysłem, nie omawiam tu szczegółowo argumentacji zarówno de Waala, jak i Dawkinsa. Krytyczną analizę wyników ich badań pozostawiam kompetentnym w tej kwestii biologom, etologom, psychologom, etc. Z tej też przyczyny, przytaczam fragmenty publikacji o – w znacznej mierze – popularyzatorskim charakterze. Nie uzurpuję sobie też prawa do oceniania, kto w tym przypadku ma rację. Zależy mi natomiast na wykazaniu, że: a) dyskusja na temat (a)polityczności/(a)społeczności natury ludzkiej wciąż jest żywa²⁹⁶ oraz b) nawet w obszarze

²⁹²R. Dawkins, *Najwspanialsze widowisko świata. Świadectwa ewolucji*, przekł. P. J. Szwejcer, Stare Groszki 2017.

²⁹³Tenże, *Samolubny gen*, dz. cyt., s. 37.

²⁹⁴Tamże.

²⁹⁵Tamże, s. 37-38.

²⁹⁶Ścisłe związana z tą problematyką jest kwestia biologicznego determinizmu. Odsyłam do interesującej publikacji Radosława Zyzika *Biological Determinism and its Enemies* [w:] *Philosophy in Neuroscience*, red. Jerzy Stelmach, Bartosz Brożek, Łukasz Kurek, Copernicus Center Press 2012, s. 113-147.

nauk empirycznych brakuje w tej kwestii konsensusu. A Arystoteles i Hobbes zdają się funkcjonować w naukowym dyskursie wręcz jako pewne archetypy²⁹⁷.

W tym miejscu za konieczne wręcz uznaję przytoczenie fragmentu publikacji Davida Livingstone'a Smitha opatrzonej tytułem *Natura ludzka i przyczyny wojen*. Za kontekst przyjmując największe zbrojne konflikty, autor udanie streszcza bowiem stulecia dyskusji na temat ludzkiej natury, wskazując przy tym na istotny problem: „Na razie w tej debacie spotykają się dwa wyraźnie przeciwstawne poglądy. Część jej uczestników głosi, że wojna po prostu *jest* [podkr. oryg.] ludzką naturą, tyle że nieskrytą za fasadą sztucznej uprzejmości, za którą zwykle się chowamy. W najnowszych wcieleniach tej od wieków już przeformułowywanej koncepcji przyjmuje się, że smak zadawania śmierci jest wręcz wpisany w nasze geny. Przeciwnie stanowisko zakłada, że wojna jest wyraźnym odstępstwem od w istocie przyjaznej, współczującej i prospołecznej natury człowieka i że to kultura, a nie biologia sprawia, że stajemy się tak niebezpieczni dla innych. Tymczasem oba te ujęcia są rażąco uproszczone i dlatego oba są zarazem i prawdziwe, i fałszywe. Istoty ludzkie *są* [podkr. oryg.] zdolne do niewyobrażalnych niemal aktów przemocy i okrucieństwa i jest powód, by wierzyć, że ta skłonność do agresji jest umocowana w naszych genach. Ale jesteśmy też ogromnie prospołecznymi i skłonniymi do kooperacji stworzeniami żywiącym głęboką odrazę do przelewania ludzkiej krwi, co również tworzy rdzeń naszej natury”²⁹⁸. Ktoś mógłby zarzucić autorowi rażący prawdopóśrodkizm, jednak – wbrew pozorom – uznanie racji obu stron nie jest w tym przypadku działaniem jakkolwiek asekuracyjnym. Smith stara się raczej dokonać syntezy aktualnego stanu wiedzy (z zasygnalizowaną świadomością, że obszar jest zbyt rozległy, by móc go wyczerpująco omówić²⁹⁹) i sprzeciwia się dominującym i kategorycznym głosom, że człowiek jest z natury albo społeczny, albo wręcz przeciwnie.

Ktoś mógłby zarówno mi, jak i cytowanym autorom, zarzucić wymienne stosowanie pojęć, które wyrazami bliskoznacznymi nie są. Mowa o polityczności, społeczności (rozumianych jako cechy) oraz altruizmie, a także, symetrycznie: apolityczności, aspołeczności i egoizmie. Czas więc na wyjaśnienie. Dość swobodnie piszę o społecznej/politycznej naturze ludzkiej, ponieważ takie podejście do tematu narzuca sam Arystoteles. Zwrócił na to uwagę, chociażby, Jerzy Szacki: „W polskich przekładach Arystotelesa, a także innych autorów starożytnych, używa się, jak widać, wymienne przymiotników »polityczny«, »społeczny« i »państwowy«. Otóż wypada pamiętać, że

²⁹⁷Innym wartym uwagi przypadkiem wykorzystania figury Hobbesa są, na przykład, rozważania Roberta M. Sapolsky'ego na temat wolnej woli i biologicznych podstaw ludzkich zachowań. Odsyłam do fragmentu jego publikacji opatrzonego tytułem *Hobbes czy Rousseau*, w której neurolog zastanawia się, który z myślicieli miał lepszą intuicję w konstruowaniu koncepcji stanu natury. Zob. R.M. Sapolsky, *Zachowuj się. Jak biologia wydobywa z nas to, co najgorsze, i to, co najlepsze*, przekł. P. Szymczak, Poznań 2021, s. 376-402.

²⁹⁸D. L. Smith, *Najbardziej niebezpieczne ze zwierząt. Natura ludzka i przyczyny wojen*, przekł. A. E. Eichler, Warszawa – Stare Groszki 2011, s. 14.

²⁹⁹Tamże, s. 18.

chodzi zawsze o jedno i to samo greckie słowo *politikon*, które nie ma ścisłego odpowiednika z [!] żadnym języku nowożytnym z tego prostego powodu, że Grecy nie znali oczywistego dziś rozróżnienia państwa i społeczeństwa³⁰⁰. Przemieszanie tych pojęć na tyle mocno jednak weszło do uzusu, że wciąż bywają one stosowane z pewną dozą nonszalancji. Jest to zrozumiałe i (o ile to działanie świadome) całkiem nieszkodliwe, ponieważ refleksje nad polityką i społeczeństwem są w pełnym sensie nierozzerwalnie ze sobą związane. Trudno opisywać świat polityki bez sięgnięcia do kategorii społeczeństwa, tak jak trudno mówić o społeczeństwie bezwzględnie negując politykę. Innymi słowy, po pierwsze: takie podejście ma swoje historyczno-lingwistyczne umotywowanie, a poza tym mamy do czynienia z dodatnią korelacją między tymi zmiennymi³⁰¹.

Jeżeli zaś chodzi o kwestię egoizmu i altruizmu: nauki przyrodnicze włączyły je do namysłu nad społecznym/politycznym zacięciem *homo sapiens*, dopatrując się kolejnej istotnej zależności. Jeżeli bowiem człowiek jest z natury egoistą, a więc zważa wyłącznie na własne dobro, to nie powinniśmy od niego oczekiwać, że jakiś wewnętrzny, entuzjastyczny głos każe mu stać się częścią wspólnoty, która dobro ogółu przedkłada nad dobro pojedynczej jednostki. Ów głos, owszem, zachęci go do dołączenia do owej wspólnoty, ale po to tylko, by zrealizować część jego prywatnych celów. Dlatego właśnie istota ludzka decyduje się posłusznie czekać w kolejce, nie eliminując konkurencji pożądamącej tych samych dóbr. Nagminne niedostosowywanie się do reguł wiązałoby się z dotkliwymi sankcjami, a może nawet wyeliminowaniem ze wspólnoty zapewniającej bezpieczeństwo – a przynależność do danej społeczności stanowi konsekwencję woli przetrwania. Swój egoizm *homo sapiens* musi trzymać w ryzach, jeżeli chce z życia wspólnotowego uzyskać maksimum korzyści. Tkwi zatem pewien dramatyzm w takim ujęciu problemu: człowiek musi niejako przekroczyć swoją własną naturę i wtłoczyć się do sztucznej wspólnoty po to, by móc przetrwać.

Czy zatem zwolennicy korelacji egoizmu z aspołecznością/apolitycznością natury ludzkiej nie popełniają poważnego błędu logicznego? Skoro egoizm prowadzi nas bezpośrednio do życia wspólnotowego, skąd tezy o aspołeczności egoistycznych jednostek? Te pytania mogą powstać, jeżeli pominiemy pewną istotną kwestię. Mianowicie: jednostki potrzebują owej wspólnoty, ponieważ bez niej i – przede wszystkim – bez reguł w niej panujących (czyli, przykładowo, porządku prawnego) realizacja ich niczym nieskrępowanej natury zakończyłaby się Hobbesowską wojną każdego z każdym. Jeżeli każdy chciałby, dla własnego dobrostanu, mieć w posiadaniu

³⁰⁰J. Szacki, *Historia myśli socjologicznej. Wydanie nowe*, Warszawa 2012, s. 29.

³⁰¹Rzecz jasna, zawsze możemy przeprowadzić pewien eksperyment myślowy i się zastanowić nad możliwością zaistnienia konfiguracji w której jednostki byłyby jednocześnie uznawane za z natury polityczne i aspołeczne (bądź odwrotnie). Przy czym, podkreślmy, apolityczności nie rozumiemy tu powierzchownie, jako niechęci do uprawiania polityki bądź deklarowania politycznego poparcia, a raczej jako pewną skłonność do funkcjonowania w politycznej wspólnocie.

wszystko, co dla niego przydatne i jakkolwiek interesujące, a jednocześnie funkcjonowałyby w świecie bez systemu nakazów i zakazów, czyli bez społecznych sankcji (bo przecież i bez społeczeństwa), nie zawahałby się podnieść ręki na słabszych konkurentów. Druga strona medalu jest taka, iż jednostka musiałaby również liczyć się z faktem, że jej zdrowie lub życie również jest nieustannie zagrożone, bowiem w każdej chwili pojawić się może ktoś silniejszy. Egoizm przegrywa więc w tym przypadku z wolą przetrwania, strachem przed śmiercią. Wspólnota polityczna/społeczeństwo powstają więc po to, by chronić jednostki przed ich własnym egoizmem. Więc, z tej perspektywy, można przyjąć, że powstanie państwa jest konsekwencją egoistycznej natury ludzkiej, jednak dzieje się to dokładnie na tej samej zasadzie, na jakiej funkcjonują zakłady karne. Trudno dyskutować z faktem, że powstały one jako odpowiedź na wcześniejszą działalność osób w nich osadzonych. Obie instytucje mają (pomińmy fakt, że z różnym skutkiem) naprawiać lub chociaż doraźnie unieszkodliwiać jednostki, które bez nich stanowiłyby zagrożenie dla siebie i innych. Innymi słowy – są po to, by przewycięzać. Reasumując, człowiek może być egoistyczny i aspołeczny/apolityczny, a jednocześnie (i może nawet z powodzeniem) funkcjonować w ramach państwa. Państwo nie jest jednak naturalną konsekwencją, lecz odpowiedzią na ów egoizm. Pojęcie altruizmu jest z kolei istotne dla zwolenników koncepcji z gruntu Arystotelesowskiej. Państwo jest wówczas oczywistą i naturalną odpowiedzią na jednostkowe potrzeby i brak w jego korzeniach dramatyzmu wyrzekania się własnych, morderczych instynktów. Wszystkie zaś nieprawidłowości i zakłócenia w funkcjonowaniu danej zbiorowości pochodzą niejako z zewnątrz.

Wracając zaś do samego konfliktu Filidora z anty-Filidorem – nie sposób nie zauważyć, że narrator interpretuje go całkiem jednoznacznie:

„Oczy jego miały błyskawice, broda powiewała, jasne było, iż odniósł zwycięstwo. Profesor Wyższej Analizy odstąpił kilka kroków w bezsilnej furii, lecz zaraz potem wpadł na straszną mózgową koncepcję, mianowicie, słabowity cherlak wobec Filidora osobiście, zabrał się do jego żony, którą stary zasłużony Profesor nade wszystko kochał”³⁰².

Pytanie pierwsze: dlaczego wyższa istota Kluska przewyższa zbiór ingrediencji? I drugie: czemu właściwie anty-Filidor jest słabowitym cherlakiem, a Filidor zasłużonym Profesorem? Ponownie, również tutaj rozstrzygająca jest zaledwie kwestia smaku, niewątpliwie zdeterminowana z resztą faktem, iż narrator przynależy do zespołu badawczego kierowanego przez Filidora.

Tymczasem dzieć się zaczyna rzecz wielce niepokojąca:

„1. Pani Profesorowa Filidor jest bardzo zażywna, tłusta, dosyć majestatyczna, siedzi, nic nie mówi, koncentruje.

³⁰² *Filidor...*, dz. cyt., s. 216.

2. Prof. dr anty-Filidor ustawił się naprzeciwko profesorowej ze swym obiektywem mózgowym i zaczął jej się przyglądać wzrokiem, który rozbierał ją do cna. Pani Filidor zatrzęsała się z zimna i ze wstydu. Dr prof. Filidor w milczeniu okrył ją podróżnym pledem i spiorunował aroganta wzrokiem pełnym bezmiernej pogardy. Okazał jednak przy tym ślady niepokoju.

3. Wówczas anty-Filidor odezwał się z cicha: – Ucho, ucho! – i wybuchnął szyderskim śmiechem. Pod wpływem tych słów ucho natychmiast wyszło na jaw i stało się nieprzyzwoite. Filidor rozkazał żonie nasunąć kapelusz na uszy, niewiele to jednak pomogło, gdyż wtedy anty-Filidor mruknął niby do siebie: – Dwie dziurki w nosie – obnażając tym dziurki w nosie czcigodnej Profesorowej w sposób zarówno bezwstydnym, jak analitycznym. Sytuacja stawała się groźna, zwłaszcza że o zakryciu dziurek nie mogło być mowy³⁰³,

Motyw atakowania i profanowania tego, co protagoniście najdroższe, pojawia się zatem i w opowieści o Filidorze. Anty-Filidor uderza w majestat żony Syntetyka, koncentrując swą uwagę na szczegółach jej fizjonomii. Działanie to wykazuje się zaś wysoką skutecznością:

„4. Profesor z Leydy zagroził wezwaniem policji. Szala zwycięstwa wyraźnie jąła przechylać się na stronę Colombo. Mistrz Analizy powiedział mózgowo:

– Palce, palce u ręki, pięć palców.

Niestety, tusza Profesorowej nie była dostateczna, by zatuszować fakt, który nagle ukazał się zebrany w całej, niesłychanej jaskrawości, to jest fakt palców u ręki. Palce były, pięć po każdej stronie. Pani Filidor, całkiem zbezczeszczona, próbowała resztkami sił wciągnąć rękawiczki, ale – rzecz nie do wiary – doktor z Colombo zrobił jej naprędce analizę moczu i zarykując się wykrzyknął zwycięsko:

– H₂OC₄, TPS, trochę leukocytów i białka!

Wszyscy wstali. Dr prof. anty-Filidor oddalił się ze swoją kochanką, która parsknęła ordynarnym śmiechem, zaś Profesor Filidor przy pomocy niżej podpisanych odstawił bezzwłocznie żonę do szpitala. Podpisani – T. Poklewski, T. Roklewski i Antoni Świstak, asystenci³⁰⁴.

To, że śmiech towarzyszy wydarzeniom niepokojącym, a wręcz ów niepokój dodatkowo potęguje, jest w uniwersum Gombrowicza pewnym standardem. Sama zaś kwestia rozkładu również odgrywa znaczącą rolę:

„Następnego dnia zeszliśmy się, Roklewski, Poklewski i ja z Profesorem, u łóżka chorej pani Filidor. Rozkład jej posuwał się nader konsekwentnie. Napoczęta analitycznym zębem anty-Filidora traciła powoli swój wewnętrzny związek³⁰⁵.

³⁰³Tamże, s. 217.

³⁰⁴Tamże, s. 217-218.

³⁰⁵Tamże, s. 218.

A zatem, dobrze powinien ją rozumieć protagonista *Ferdydurke*, który – jak pamiętamy – przebudził się na samym początku powieści w stanie bardzo podobnym. Zwróćmy uwagę, że jego poczucie rozdrobnienia i niespójności ściśle wiąże się z zarzucaną mu przez środowisko niedojrzałością. Czy należy więc domniemywać, że profesorowa zmagala się z tym samym problemem? Moim zdaniem takie stwierdzenie jest już nieco zbyt śmiało, fragmentację w obu przypadkach można jednak – znacznie bezpieczniej – odczytywać jako konsekwencję upokorzenia.

Podkreślmy, że cierpienie związane z owym rozczłonkowaniem jest w *Filidorze...* może nawet bardziej niż w *Ferdydurke* ewidentne:

„Od czasu do czasu tylko jęczała głucho: – Ja noga, ja ucho, noga, moje ucho, palec, głowa, noga – jakby żegnając się z częściami ciała, które już zaczynały się ruszać autonomicznie. Osobowość jej była w stanie agonii”³⁰⁶.

Sytuacja jest więc całkiem poważna i wymagająca natychmiastowej interwencji:

„Skupiliśmy się wszyscy w poszukiwaniu środków natychmiastowego ratunku. Środków tych nie było”³⁰⁷.

W pewnym momencie przenikliwy umysł Syntetyka rodzi jednak znakomitą ideę:

„– Policzek! Policzek, i to siarczysty, jedynie pośród wszystkich części ciała zdolny jest przywrócić cześć mojej żonie i zsyntetyzować rozpiezchłe elementy w pewien wyższy sens honorowy kłaśnięcia i plaśnięcia. A zatem do dzieła!”³⁰⁸.

Jak widzimy, w tym momencie fabuła zanurza czytelnika w coraz głębszych odmętach absurdu. Proponuję więc w tym momencie przyjrzenie się debacie wokół ewentualnej racji Hobbesa/Arystotelesa z uwzględnieniem takiej właśnie perspektywy. Wcześniej sporo uwagi poświęciłam interdyscyplinarnym, uwspółcześniającym dyskusję (mniej lub bardziej bezpośrednim) interpretacjom myśli obu filozofów (i, ich intelektualnych spadkobierców, bo nie o konkretne osoby tu przecież chodzi). Takie podejście jest dobrze umotywowane: dlaczego mając do dyspozycji całą paletę narzędzi, badacze ludzkiej natury mieliby ograniczać się do zaledwie jednego, czy dwóch? Istnieje jednak pewne ryzyko, które może znacząco odstręczać szerokie grono humanistów od wysłuchania mniej humanistycznych argumentów. Mianowicie, odwołując się do nauk przyrodniczych, łatwo zatracić świadomość, że omawiane koncepcje należą do historii myśli politycznej. Mówiąc inaczej, dysponując współczesną wiedzą, nie mamy prawa ani zakładać, że w

³⁰⁶Tamże.

³⁰⁷Tamże.

³⁰⁸Tamże, s. 219.

wieku siedemnastym ktokolwiek wiedział tyle co my, ani że przejawiał taki tok rozumowania, jak my. Wyzbywając się kontekstu historycznego, możemy naiwnie zakładać, że Hobbes nawiązywał do owadów błonkoskrzydłych, ponieważ cała jego koncepcja miała silnie etologiczną podbudowę.

Patrząc na problem jeszcze szerzej, całą debatę na temat (a)polityczności/(a)społeczności ludzkiej natury da się sprowadzić do szermierki na biologiczne argumenty. W ten oto sposób, zaczerpując terminologii od Umberto Eco, stajemy się czytelnikami empirycznymi³⁰⁹. Takie projektowanie siebie, swoich doświadczeń i wiedzy na analizowany tekst nie jest interpretacją, lecz zaledwie jego instrumentalnym traktowaniem³¹⁰. Jak stwierdza sam badacz: „Wykorzystywanie tekstu do snucia marzeń na jawie wcale nie jest zakazane, robimy to często, ale marzenia nie są sprawą publiczną; doprowadzają nas do tego, że poruszamy się po narracyjnym lesie, jakby to był nasz prywatny ogród”³¹¹. Dla ścisłości: nie zarzucam cytowanym przeze mnie autorom śnienia na jawie (filozofia jest dla nich pewnym punktem wyjścia do rozważań), biorę jednak pod uwagę, że pobieżna interpretacja ich tekstów doprowadzić może do konkluzji, iż korzystniejsza dla nauki byłaby sytuacja, w których przedstawiciele poszczególnych dziedzin wiedzy pozostaliby we własnych okopach. Skoro biologiczna podbudowa koncepcji samego Hobbesa jest wątpliwa³¹², jaki jest sens czytania jego prac w przyrodniczym kontekście? To zaś prowadzi do wniosku, że mamy do czynienia z mnogością racji i – ponownie, kierując się smakiem – możemy decydować, czy dla nas człowiek jest zwierzęciem stadnym, a nawet – czy jest zwierzęciem w ogóle. Problem polega na tym, że w tym miejscu ponownie zderzamy się z problemem zatracenia poczucia historyczności tekstów. Tym razem winę ponoszą jednak zagorzali humaniści.

Spór *nature vs nurture* jest zatem poważnie zagrożony dwoma rażącymi absurdami: 1) negowaniem historycznego kontekstu analizowanych koncepcji i wkładaniem w usta poszczególnych myślicieli słów, których nie mieliby nawet możliwości wypowiedzieć oraz 2) negowaniem historycznego kontekstu analizowanych koncepcji i uznawaniu je za wciąż równoprawne z tymi, które powstały współcześnie i, co ważne, w oparciu o aktualny stan wiedzy. Konstatując, z racji, że problematyka ludzkiej natury obejmuje tak wiele płaszczyzn, ryzyko dobrania nieadekwatnych metod, narzędzi, czy nawet języka, jest na wysokim poziomie. Sądzę zatem, że leczenie rozdrobnienia nieszczęsnej Filidorowej poprzez zadanie policzka anty-Filidorowi jest tego dobrą ilustracją.

³⁰⁹Zob. U. Eco, *Sześć przechadzek po lesie fikcji*, przekł. J. Jarniewicz, Kraków 2007, s. 14-15.

³¹⁰Tamże, s. 16.

³¹¹Tamże.

³¹²O słabości biologicznych interpretacji Hobbesa pisała np. Barbara A. Markiewicz w tekście *Natura ludzka a władza, czyli o antropologii politycznej Hobbesa* [w:] *Natura ludzka w filozofii nowożytnej i współczesnej*, dz. cyt., s. 65-74.

Dodajmy, że pragnienie ocalenia żony jest zarazem dla Filidora znakomitą okazją do przysłużenia się światu nauki:

„Lecz światowej sławy Analityka nie tak łatwo było odnaleźć na mieście. Dopiero wieczorem dał się przyłapać w pierwszorzędnym barze. W stanie trzeźwego pijaństwa wychylał butelkę za butelką, im zaś więcej pił, tym bardziej trzeźwiał, a jego analityczna kochanka tak samo. Właściwie trzeźwością bardziej się upijali się niż alkoholem. Gdyśmy weszli, kelnerzy, bladzi jak płótno, tchórzliwie kryli się za ladą, a oni, milcząc, oddawali się jakimś bliżej nie określonym orgiom zimnej krwi. Ułożyliśmy plan działania. Profesor miał naprzód wykonać fałszywy atak prawą ręką na lewy policzek, po czym lewą miał uderzyć w prawy, my zaś [...] mieliśmy bez zwłoki przystąpić do spisania protokołu”³¹³.

Tak sformułowane procedury badawcze muszą więc przynieść oczekiwany wynik:

„Lecz Profesorowi opadła podniesiona ręka. A my, świadkowie, osłupieliśmy. Nie było policzka!”³¹⁴.

Gdzie Syntetyk popełnił błąd?

„Anty-Filidor z szatańską zręcznością przewidział i uprzedził plany Filidora. Trzeźwy ten Bachus wytatuował sobie na policzkach po dwie różyczki z każdej strony i coś w rodzaju winiety z gołąbków! Skutkiem tego policzki, a co za tym idzie także i policzek zamierzony przez Filidora, utraciły wszelki sens, nie mówiąc o wyższym. W istocie – policzek dany różom i gołąbkom nie był policzkiem – był raczej czymś w rodzaju uderzenia w tapetę. Nie mogąc dopuścić, **by ogólnie szanowany pedagog i wychowawca młodzieży ośmieszał się** [podkr. D.Ś.] waleniem w tapetę dlatego, że żona chora, odradziliśmy mu stanowczo czynów, których by potem żałował”³¹⁵.

Zauważmy, jak mocno opowiadanie eksponuje kwestię bezrefleksyjnego oddania autorytetom. Trudno, by świta Filidora doceniała kreatywność anty-Filidora, jednak jakkolwiek elementarny namysł nad słabością pomysłu ich mistrza mógłby w tych warunkach zaistnieć.

Tymczasem:

„Flora Gente, siedząca obok, wybuchnęła śmiechem, kosmiczny doktor obojga analiz rzucił jej zmysłowe spojrzenie i wyszedł. Natomiast Flora Gente pozostała. Siedziała na wysokim taborecie i spoglądała na nas spełzłymi oczyma doszczętnie zanalizowanej papugi i krowy”³¹⁶.

³¹³ *Filidor...*, dz. cyt., s. 219.

³¹⁴ *Tamże*.

³¹⁵ *Tamże*, s. 220.

³¹⁶ *Tamże*.

Nietrudno się domyślić, że powoli zbliża się pora symetrycznego uderzenia. Skoro Profesorowa ucierpiała w starciu z Analitykiem, Flora Gente również musi ponieść tego konsekwencje. Konieczne jest zatem opracowanie nowego planu działania:

„Od razu, o 8.40, przystąpiliśmy – prof. Filidor, dwaj medycy, docent Łopatkin i ja – do wspólnej konferencji; pióro jak zwykle trzymał docent Łopatkin. Konferencja miała przebieg następujący.

WSZYSCY TRZEJ DOKTOROWIE PRAWA

Wobec powyższego nie widzimy możliwości załatwienia zatargu na drodze honorowej i doradzamy Wielce Szanownemu Panu Profesorowi zignorowanie obrazy, jako pochodzącej od jednostki niezdolnej do udzielenia satysfakcji honorowej.

PROF. DR FILIDOR

Ja zignoruję, a tam żona umiera.

DOC. S. ŁOPATKIN

Żona jest nie do uratowania.

DR FILIDOR

Nie mówcie tak, nie mówcie tak! O, policzek, jedyne lekarstwo. Lecz policzka nie ma. Nie ma policzków. Nie ma środka boskiej syntezy. Nie ma honoru! Nie ma Boga! Tak, ale są policzki! Jest policzek! Jest Bóg! Honor! Synteza!

JA

Widzę, że zawodzi Profesora logika myślenia. Albo policzki są, albo ich nie ma.

FILIDOR

Panowie zapominacie, że pozostają jeszcze moje dwa policzki. Jego policzków nie ma, ale moje są jeszcze. Jeszcze możemy postawić na kartę dwa moje nietknięte policzki. Panowie, tylko zechciejcie zrozumieć moją myśl – ja go nie mogę spoliczkować, ale on mnie może – a czy ja jego, czy też on mnie, to wszystko jedno, zawsze będzie Policzek i będzie Synteza!”³¹⁷.

Narrator zatem nieco przytomnieje i dostrzega rysę na nienagannym wizerunku Filidora. Stan otrzeźwienia mija jednak w okamgnieniu:

„– Panowie – odparł w skupieniu **genialny myśliciel** [podkr. D.Ś.] – on ma policzki, lecz ja też mam policzki. Zasadą jest tu pewna analogia i dlatego będę działał nie tyle logicznie, ile raczej analogicznie. *Per analogiam* dużo jest pewniejsze, bowiem **naturą rządzi pewna analogia** [podkr. D.Ś.]. Jeżeli on jest królem Analizy, to ja jestem wszak królem Syntezy. Jeżeli ma policzki, to ja też mam policzki. Jeżeli ja mam żonę, to on ma kochankę. Jeżeli zanalizował mi żonę, to ja zsyntetyzuję mu jego kochankę i w ten sposób wydrę mu policzek, którego wzdraga się dać! W ten sposób zmuszę go i sprowokuję do spoliczkowania mnie – jeśli ja go nie mogę spoliczkować. – I bez dalszej zwłoki kiwnął na Florę Gente”³¹⁸.

³¹⁷Tamże, s. 221-222.

³¹⁸Tamże, s. 222.

Pierwszy z wyróżnionych fragmentów ponownie wskazuje na otumanienie narratora. Drugi jest natomiast kolejną cegiełką budującą Gombrowiczowską wizję natury. Tymczasem konfrontacja naukowców z Florą Gente zbliża się nieuchronnie:

„Zamilkliśmy. Podeszła poruszając wszystkimi częściami ciała; jednym okiem zezując na mnie, drugim na Profesora, zęby szczerząc do Stefana Łopatkina, wypinając przód ku Roklewskiemu, tyłem zaś wierząc pod adresem Poklewskiego”³¹⁹.

Sprawa wygląda zatem ze wszech miar groźnie:

„Ale uniwersalny Syntetolog miał tę właściwość, że nigdy nie tracił nadziei. Zaprosił do stolika, poczęstował kieliszkiem cinzano i na początek, by wy badać, rzekł syntetycznie:

– Dusza, dusza.

Odpowiedziała coś podobnego, ale nie to samo, odpowiedziała coś, co było częścią”³²⁰.

I tak wygląda taktyka bohaterki. Poziom absurdu rozmowy narasta zaś w zastraszającym tempie:

„– Ja! – rzekł Profesor badawczo i natarczywie, chcąc wzbudzić w niej zaprzepaszczone ja. – Ja!

Odpowiedziała:

– A, pan, bardzo dobrze, pięć złotych”³²¹.

Trudno wyjaśnić dlaczego, ale kochanka anty-Filidora zdaje się wygrywać tę dysputę:

„– Jedność! – krzyknął Filidor gwałtownie. – Wyższa Jedność! Jedność!

– Mnie wszystko za jedność – powiedziała obojętnie – staruszek czy dziecko”³²².

Podsumowując, Filidor z wysoką dozą egzaltacji wypowiada wielkie pojęcia, a Flora Gente zdaje się kompletnie nie dostrzegać ich potęgi. To z kolei odbiera uczonemu możliwość przywdziania maski autorytetu: kochanka anty-Filidora prowadzi zupełnie niepoważną dekonstrukcję wypowiedzi Filidora, nie przejmując się absurdem wypowiedzianych przez nią słów. Szczególnie ryzykowne nie będzie w tym miejscu stwierdzenie, że bohaterka zachowuje się dokładnie tak, jak sam Gombrowicz. Nie oznacza to jednak, że wyniki starcia są przesądzone:

³¹⁹Tamże.

³²⁰Tamże, s. 223.

³²¹Tamże.

³²²Tamże.

„Jednakowoż Twórca Nauk Syntetycznych nie ustawał. Nastąpił okres ciężkich zmagania i wysiłków. Odczytał jej dwie pierwsze pieśni *Króla Ducha*, zażądała za to dziesięć złotych. Miał z nią długą i natchnioną rozmowę o wyższej Miłości, Miłości, która ogarnia i jednoczy wszystko, za co wzięła jedenaście złotych. Odczytał jej dwie ogólnikowe powieści najbardziej znanych autorek na temat odrodzenia przez Miłość, za co policzyła sobie sto pięćdziesiąt złotych i ani grosza nie chciała ustąpić. Gdy zaś chciał pobudzić w niej godność, zażądała ni mniej, ni więcej, tylko pięćdziesiąt dwa złote”³²³.

Kochanka Analityka niestrudzenie rozmienia więc wszystko na drobne, doprowadzając Filidora do kresu wytrzymałości. W związku z tym, jego zespół badawczy przeprowadza kolejne obrady:

„Na konferencji z udziałem dra Łopatkina oraz trzech docentów znakomity badacz zdał sprawę z porażki w następujących słowach:

– Kosztowało mnie to w sumie kilkaset złotych, istotnie nie widzę możliwości zsyntetyzowania, daremnie próbowałem najwyższych Jedni, jako to – Ludzkość, wszystko zamienia na pieniądze i wydaje resztę. Ludzkość oszacowana na czterdzieści dwa przestaje być Jednią. Rzeczywiście, nie wiadomo co robić”³²⁴.

Na domiar złego:

„A anty-Filidor rozsiewa pogłoski, że z Profesora nieprzyjemny maniak”³²⁵.

Impas nie trwa jednak w nieskończoność i rodzi się kolejny pomysł rozprawienia z anty-Filidorem i jego kochanką. Co ciekawe, nie pochodzi on od wybitnego, przypomnijmy, Filidora, lecz jednego z członków jego zespołu badawczego:

„A czyby nie można dostać się do niej właśnie za pomocą pieniędzy? Jeżeli wszystko [podkr. oryg.] zamienia na pieniądze, to zajechać ją właśnie od strony pieniędzy? Przepraszam, niedobrze widzę, co mam na myśli, ale **jest coś takiego w naturze** [podkr. D.Ś.] – na przykład, miałem pacjentkę chorą na nieśmiałość, śmiałością nie mogłem jej leczyć, bo śmiałości nie asymilowała, ale dałem jej taką dawkę nieśmiałości, że już nie mogła wytrzymać, i dlatego, że nie mogła, musiała się ośmielić i naraz stała się szalenie śmiała”³²⁶.

Jak to się przekłada na potyczkę z Florą Gente?

„Najlepsza metoda jest *per se*, wyrzucić rękaw podszewką do góry, to znaczy samo w sobie. Samo w sobie. Trzeba by zsyntetyzować ją pieniędzmi, tylko, przyznam się, nie widzę jak...”³²⁷.

³²³Tamże, s. 223-224.

³²⁴Tamże, s. 224.

³²⁵Tamże.

³²⁶Tamże, s. 224-225.

³²⁷Tamże, s. 225.

Spostrzeżenie to jest szczególnie dla Filidora inspirujące:

„Pieniądze, pieniądze... Ależ pieniądze to jest zawsze cyfra, suma, to nie ma nic wspólnego z Jednią, właściwie tylko grosz jest niepodzielny, a grosz znów nie wywiera żadnego wrażenia. Chyba... chyba... panowie, a gdyby jej dać tak wielką sumę, żeby zgłupiała? – zgłupiała? Panowie... żeby zgłupiała?”³²⁸.

Absurdalne pomnożenie w uniwersum Gombrowicza zawsze działa, więc ten plan ma wielkie szanse na powodzenie.

„Zamilkliśmy, Filidor zerwał się, a jego czarna broda powiewała. Wpadł on w jeden z tych stanów hipomaniakalnych, w które geniusz popada stale co lat siedem. Zlikwidował dwie kamienice i willę pod miastem, a uzyskaną sumę 850 000 złotych zamienił na złotówki. Poklewski przyglądał mu się ze zdumieniem, **ten płytki lekarz powiatowy nie umiał nigdy zrozumieć geniusza** [podkr. D.Ś.], nie umiał zrozumieć i dlatego też właściwie wcale nie rozumiał”³²⁹.

Warto zwrócić uwagę, że uszczypliwość Gombrowicza zdaje się godzić w tym fragmencie we wszystkich głosicieli dogmatów. Krytyka płytkości jedyne go z bohaterów, któremu udało się wyraźnie dostrzec kuriozalność działań autorytetu, przeprowadzona zostaje przez narratora w tak rażąco nieumotywowany sposób, że trudno dopatrywać się w tym zabiegu przypadku. Tymczasem, reszta zespołu Filidora wierzy, że taki nakład pracy i finansów musi zadziałać:

„A tymczasem filozof, już pewny swego, wystosował ironiczne zaproszenie do anty-Filidora, który, odpowiadając ironią na ironię, zjawił się punktualnie o wpół do dziesiątej w gabinecie restauracji »Alkazar«, gdzie miał się odbyć decydujący eksperyment. Uczeni nie podali sobie ręki, tylko mistrz Analizy zaśmiał się sucho i złośliwie:

– No, używaj pan sobie, używaj! Moja dziewczyna nie taka znów pochopna do składu jak pańska żona do rozkładu, pod tym względem jestem spokojny”³³⁰.

Zgubna będzie ta pewność anty-Filidora:

„Prof. Filidor wziął się do rzeczy w ten sposób, że najpierw położył na stół jedną jedyną złotówkę. Gente nie zareagowała. Położył drugą złotówkę, nic, dołożył trzecią, także nic, ale przy czterech złotych rzekła:

– Oho, cztery złote.

Przy pięciu ziewnęła, a przy sześciu rzekła obojętnie:

– Co tam, staruszku, znowu uwzniaślanie?”³³¹.

³²⁸Tamże.

³²⁹Tamże.

³³⁰Tamże, s. 225-226.

³³¹Tamże, s. 226.

Proces syntetyzowania Flory Gente musi więc nieco dłużej potrwać:

„Lecz dopiero przy dziewięćdziesięciu siedmiu zanotowaliśmy pierwsze objawy zdziwienia, a przy stu piętnastu wzrok, dotąd rozbiegany pomiędzy drem Poklewskim, docentem i mną, jął się syntetyzować nieco na pieniądzech”³³².

Filidorowi pozostaje zatem kontynuować mozolne syntetyzowanie bohaterki:

„Przy stu tysiącach Filidor ciężko dyszał, anty-Filidor zaczął się trochę niepokoić, a heterogeniczna dotąd kurtyzana uzyskała niejaką koncentrację. Jak przykuta spoglądała na rosnącą kupę, która właściwie przestawała być kupą, usiłowała rachować, lecz rachunek już nie dopisywał. Suma przestawała być sumą, stawała się czymś nieobjętym, czymś niepojętym, czymś wyższym od sumy, rozsadzała mózg swoim ogromem, równym ogromowi Niebios. Pacjentka jęczała głucho. Analityk rzucił się na ratunek, lecz obaj doktorzy przytrzymali go całą siłą – na próżno radził szeptem, żeby rozbiła całość na setki albo na pięćsetki, całość nie dawała się rozbić”³³³.

W obliczu tak przytłaczającego zsyntetyzowania, kochanka Filidora staje się bezbronna:

„Gdy triumfujący kapłan wiedzy całkującej wyłożył wszystko, co miał, i przypieczętował kupę, a raczej ogrom, górę, górę Synaj finansową jednym jedynym niepodzielnym groszem, jak gdyby jakiś Bóg wstąpił w kurtyzanę, wstała i okazała wszystkie symptomy syntetyczne, płacz, westchnienie, uśmiech i zamyślenie – i powiedziała:

– **Państwo to ja.** Ja. Coś wyższego [podkr. D.Ś.]”³³⁴.

Słowa przypisywane Ludwikowi XIV mają świadczyć o dostatecznej kłęsce analizy w starciu z syntezą:

„Filidor wydał okrzyk triumfu, a wtedy anty-Filidor z okrzykiem zgrozy wyrwał się z rąk lekarzy i uderzył Filidora w twarz”³³⁵.

W tym też momencie udaje się sprowokować Filidorowi tak oczekiwany gest, wyzwalający jego uciemioną żonę:

„ten wystrzał był piorunem – był błyskawicą syntezy wydartą analitycznym trzewiom, prysły ciemne mroki. Docent i medycy ze wzruszeniem winszowali ciężko zhańbionemu Profesorowi, a zażarty wróg jego skręcał się pod ścianą i wył z męki”³³⁶.

³³²Tamże.

³³³Tamże, s. 226-227.

³³⁴Tamże, s. 227.

³³⁵Tamże.

³³⁶Tamże.

W tym momencie wydawać by się mogło, iż historia zmierza ku końcowi. Symetryczność i kumulatywność świata prowokuje jednak *plot twist* fabuły:

„Lecz raz nadanego biegu honorowego żadne wycie nie mogło zahamować, sprawa bowiem, dotąd niehonorowa, weszła na zwykłe tory honorowe”³³⁷.

A zatem, słowna potyczka musi zakończyć się realnym pojedynkiem. Co ważne, Filidor nie zamierza porzucać gęby autorytetu. Tym razem próbuje wręcz złożyć się w ofierze syntezie. Zauważmy, że sama idea zdaje się górować zarówno nad zdrowiem Profesorowej, jak i nad życiem samego Profesora:

„– Synu mój – powiedział – równie dobrze może on polec jak i ja, ale ktokolwiek polegnie, duch mój zawsze zwycięży, bowiem nie idzie o śmierć samą, lecz o jakość śmierci, a jakość śmierci będzie syntetyczna. Jeżeli on padnie, to śmiercią swą odda hołd Syntezie – jeżeli on zabije mnie, to zabije trybem syntetycznym. Tak więc moje będzie za grobem zwycięstwo”³³⁸.

Patetyczne tony prowokują zaś nieprzemyślane decyzje:

„I w uniesieniu, chcąc tym godniej uczcić moment chwały, zaprosił obie panie, tj. żonę i Flore, aby przyglądały się z boku w charakterze zwykłych asystentek. Lecz mnie gnębiły złe przeczucia. Obawiałem się – czegoż to ja się obawiałem? Sam nie wiedziałem czego, całą noc męczyła mnie trwoga niewiedzy i dopiero na placu zrozumiałem, czego się obawiam. Ranek był suchy i jasny, jak na obrazku. Przeciwnicy z ducha stanęli naprzeciwko siebie, Filidor uklonił się anty-Filidorowi, anty-Filidor zaś uklonił się Filidorowi. I wtedy pojąłem, czego się obawiam. To była symetria – sytuacja była symetryczna i w tym zawierała się jej moc, lecz także jej słabość”³³⁹.

Do narratora dociera w tym momencie groza konieczności reakcji na każdą akcję. Natura jest w tej kwestii nieubłagana:

„Gdyż sytuacja miała tę właściwość, że każdemu ruchowi Filidora musiał odpowiadać analogiczny ruch anty-Filidora, a Filidor miał inicjatywę. Jeżeli Filidor się kłaniał, to musiał też uklonić się anty-Filidor. Jeżeli Filidor strzelał, to musiał też wystrzelić i anty-Filidor. A wszystko, podkreślam, musiało się odbywać po osi przeprowadzonej przez obu walczących, osi, która była osią sytuacji. Ba! Lecz co będzie, jeśli tamten w bok wyłamie? Jeżeli uskoczy? Jeśli figła spleta i umknie jakoś żelaznym prawom symetrii oraz analogii? Ja, jakież szły i zdrady kryć mogła mózgową głowa anty-Filidora?”³⁴⁰.

³³⁷Tamże.

³³⁸Tamże, s. 228.

³³⁹Tamże.

³⁴⁰Tamże, s. 229.

Trudno oprzeć się wrażeniu, że w pewnym momencie potyczka Filidora z anty-Filidorem nabiera szachowego wręcz charakteru. Obserwatorzy starcia znają przecież ruchy, które może wykonać każdy z pionków. Choć wydawać by się mogło, że świat wykreowany przez Gombrowicza skąpany jest w chaosie, to – wbrew wszelkim pozorom – reguły każdej gry są wyraźnie nakreślone. A to oznacza, że zachowania bohaterów daje się analizować, rozważając kilka możliwych działań do przodu. Jeżeli dana figura szachowa znajdzie się na konkretnym polu, wydarzyć się może X lub Y, na co drugi gracz będzie musiał odpowiedzieć w sposób A lub B:

„Biłem się z myślami, gdy wtem Profesor Filidor podniósł rękę, zmierzył koncentrycznie prosto w serce przeciwnika i wystrzelił. Wystrzelił i chybił. Chybił. A wtedy Analityk podniósł z kolei rękę i wymierzył w serce przeciwnika. Już, już gotowaliśmy się do krzyku zwycięstwa. Już, już się zdawało, że jeśli tamten strzelił syntetycznie w serce, to ten także wystrzelić musi w serce. Zdawało się, że nie ma wprost innego wyjścia, że nie ma żadnej bocznej furtki intelektualnej. Lecz nagle w jakimś mgnieniu oka Analityk z najwyższym wysiłkiem pisnął z cicha, zaskowyczał, nieznacznie zboczył, zjechał luźną pistoletu z osi i zniemacka wypalił w bok, i w co? – w mały palec Profesorowej Filidor, która wraz z Florą Gente stała nieopodal”³⁴¹.

Żeby lepiej zrozumieć tę scenę, można wyobrazić sobie sytuację, w której gracz ewidentnie przegrywający szachową potyczkę postanawia położyć na planszy, na przykład, kulę bilardową. W związku z tym, że świat Gombrowicza jest światem bardzo specyficznym, wszyscy zgromadzeni aprobują to niekonwencjonalne działanie:

„Strzał był szczytem mistrzostwa! Palec odpadł. Pani Filidor, zdumiona, podniosła rękę do ust. A my, sekundanci, straciliśmy na chwilę panowanie nad sobą i wydaliśmy okrzyk podziwu”³⁴².

Okazuje się, że przeistoczenie szachów w bilard nie przeszkadza niemal żadnej ze stron. Wyjątkiem mogą być jedynie życiowe partnerki profesorów:

„I wtedy stała się rzecz straszna. Wyższy Profesor Syntezy nie wytrzymał. Urzeczony celnością, mistrzostwem, symetrią, oszołomiony naszym okrzykiem podziwu także zboczył i także wystrzelił w mały palec u ręki Flory Gente i zaśmiał się krótko, sucho, gardłowo. Gente podniosła rękę do ust, wydaliśmy okrzyk podziwu”³⁴³.

Jak wiadomo, Gombrowiczowskiej Natury powstrzymać się nie da, więc dalsze koleje wydarzeń ponownie stają się mocno przewidywalne:

³⁴¹Tamże, s. 229-230.

³⁴²Tamże, s. 230.

³⁴³Tamże.

„Wtedy Analityk wystrzelił znowu, utracając drugi mały palec Profesorowej, która podniosła drugą rękę do ust – wydaliśmy okrzyk podziwu, a w ćwierć sekundy potem strzał Syntezy, oddany z nieomylną pewnością z odległości siedemnastu metrów, utracił Florze Gente analogiczny palec. Gente podniosła rękę do ust, wydaliśmy okrzyk podziwu. I tak już poszło dalej. Palba trwała nieustająca, zażarta, gwałtowna i świetna jak świetność sama, a palce, uszy, nosy, zęby opadały jak liście z drzewa miotanego wichrem, my zaś, sekundanci, zaledwie mogliśmy nadążyć okrzykom, które z nas wyrywała błyskawiczna celność”³⁴⁴.

Krwawe widowisko w tym momencie osiąga swój punkt kulminacyjny:

„Obie panie były już ogołoczone ze wszystkich naturalnych odnóg i występów, nie padały trupem po prostu dlatego, iż także nie mogły nadążyć, a zresztą myślę, że miały też w tym swoją rozkosz – wystawiając się na taką celność. Ale w końcu zabrakło nabojów. Mistrz z Colombo ostatnim strzałem przewiercił Profesorowej Filidor sam wierzchołek prawego płuca, mistrz z Leydy przewiercił momentalnie w odpowiedzi wierzchołek prawego płuca Florze Gente, wydaliśmy jeszcze raz okrzyk podziwu i zaległa cisza. Oba kadłuby umarły i osunęły się na ziemię – obaj strzelcy spojrzeli po sobie”³⁴⁵.

W tym momencie można wyobrazić sobie dwa scenariusze. Albo naukowcy postanowią w jakiś sposób wzajemnie się uśmiercić, albo skapitulują, czyniąc cały pojedynek jeszcze bardziej nonsensownym:

„I cóż? Obaj spojrzeli na siebie i obaj nie wiedzieli tak bardzo – co? Co właściwie? Nabojów już nie było. A zresztą trupy już leżały na ziemi. Nie było właściwie co robić. Dochodziła dziesiąta. Analiza właściwie zwyciężyła, ale cóż z tego? Zupełnie nic. Mogła równie dobrze zwyciężyć synteza i też by z tego nic nie było”³⁴⁶.

Obrana zostaje zatem druga opcja:

„Uczeni zeszli ze stanowisk i ruszyli – każdy w swoją stronę”³⁴⁷.

Rodzi się pytanie, jak całe zajście wpłynęło na życie obu profesorów?

„Nad wieczorem anty-Filidor był w Jeziornie, a Filidor w Wawrze. Jeden pod stertą polował na wrony, a drugi wypatrywał sobie jakąś ustronną latarnię i w nią celował na dystans pięćdziesięciu kroków”³⁴⁸.

³⁴⁴Tamże, s. 230-231.

³⁴⁵Tamże, s. 231.

³⁴⁶Tamże.

³⁴⁷Tamże.

³⁴⁸Tamże, s. 231-232.

Śmieszność, zaszczerpiona w trakcie pojedynku, nie opuszcza bohaterów, lecz staje się determinować wszystkie ich kolejne poczynania:

„I tak wędrowali po świecie celując, czym się dało, w co się dało. Śpiewali piosenki i najchętniej rozbijali szyby, lubili też stanąć na balkonie i pluć przechodniom na kapelusze, a cóż dopiero, jeśli zdołali trafić w grube żubry, jadące dorożką. Filidor wyspecjalizował się nawet tak dalece, że umiał z ulicy opluć kogoś, kto stał na balkonie. A anty-Filidor gasił świecę rzucając w płomyk pudełkiem zapalek. Najchętniej polowali na żaby z floweru lub na wróble z łuku, lub też z mostu rzucali na wodę papierki i trawki. A już największa rozkosz, to było kupić dziecinny balonik i pędzić za nim przez pola i lasy – hej, ha! – wypatrując, kiedy pęknie z trzaskiem, jakby trafiony niewidzialną kulą”³⁴⁹.

Przypomina to nieco błazenadę Józia z *Ferdydurke* czy nieadekwatne do sytuacji zachowanie króla Gnula z *Bankietu*. Cały profesorski majestat znika, autorytety ulegają zniweczeniu, lecz w tym przypadku bohaterowie zdają się być z tego stanu rzeczy całkiem zadowoleni:

„A kiedy kto ze świata naukowego wspominał dawną sławną przeszłość, boje z ducha, Analizę, Syntezę i całą bezpowrotnie utraconą glorię, odpowiadali tylko z rozmarzeniem:

– Tak, tak, pamiętam ten pojedynek... dobrze się pukało!

– Ależ, Profesorze – krzyknąłem, a ze mną Roklewski, który przez ten czas ożenił się i na Kruczej założył rodzinę – ależ, Profesorze, pan mówi jak dziecko!

A na to **zdziecinniały starzec** [podkr. D.Ś.] odparł:

– Wszystko podszyte jest dzieckiem”³⁵⁰.

I w tym momencie docieramy do sedna sprawy. Na pierwszy rzut oka: sprawcy zamieszania, oddawszy się swym niedojrzałym rozrywkom, całkowicie tracą zainteresowanie dawnym konfliktem; niegdyś oddani idei i zatroskani o rozwój nauki, teraz marnotrawią czas na dziecięce zachowania. „Triumfujący kapłan wiedzy całkującej” przeistaczając się w „zdziecinniałego starca”, wzbudza rozgoryczenie u swych oddanych uczniów. Zauważmy, że niemal tę samą historię opowiada Gombrowicz na kartach *Bankietu*. Albo inaczej: *Bankiet* odczytywać można jako swoistą kontynuację historii jednostki, która nie dorasta do oczekiwań otoczenia, bo brak jej autorytetu i aury wytworności. Gdyby zatem Gombrowicz zdecydował się napisać kontynuację *Filidora...*, jest wielce prawdopodobne, że osierocony przez swego mistrza zespół badawczy zechciałby niemiłosiernie uwięzić Filidora w Profesorze, narzucić mu profesorskość, obezwładnić wyimaginowaną wspaniałością jego dokonań. Albo – wzorem sędziego Skorabkowskiego ze *Szczura* – proces resocjalizacji przeprowadzaliby za pomocą wymyślnych tortur. Rzecz jasna,

³⁴⁹Tamże, s. 232.

³⁵⁰Tamże.

uprzedmiotawianie podmiotu mogłoby się rozgrywać jeszcze wedle nieskończonej wręcz ilości scenariuszy, jego sens pozostaje jednak w nienaruszonej formie.

A teraz odwróćmy perspektywę. Co by było, gdyby projekcja oczekiwań zespołu badawczego nie była sytuacją hipotetyczną, lecz wydarzyła się już na samym początku fabuły *Filidora*...? Zwróćmy uwagę, że zarówno Syntetyk, jak i Analityk, już na starcie zachowują się co najmniej niedorzecznie. Ich doniosłe badania i błyskotliwe kariery naukowe wsparte są na wątpliwych fundamentach. Genialność Filidora zostaje przyjęta jako pewnik, a każdorazowa (choć nieśmiała) próba podważenia błyskotliwości protagonisty kończy się storpedowaniem przez środowisko. W takim ujęciu, Filidor (podobnie zresztą jak anti-Filidor, którego istnienie jest konieczne dla symetrii świata) spełnia oczekiwania środowiska, żadnego bycia kierowanym przez intelektualnego przywódcę. Być może zatem nagle zmiana reguł gry, chwilowy błąd systemu, do którego dochodzi w trakcie ostatecznego pojedynku uczonych, uwalnia bohatera z formy geniusza-wychowawcy młodzieży i wtłacza w odmienne, mniej dojrzałe ramy. Bohater – podszyty dziecinnością od zawsze i jak każdy – wskutek tragikomicznych wydarzeń dotyka obu skrajności. Z budzącego respekt mędrca, Filidor (podobnie jak i jego antagonistą) w okamgnieniu przeistacza się w groteskowego, budzącego politowanie staruszka. A za obiema formami kryje się ta sama głupota i niedojrzałość.

Zauważmy, że w toku wydarzeń sama idea, będąca motorem konfliktu, całkowicie wytraca swoją wartość. Pseudo-filozoficzno-metodologiczny pretekst konfliktu szybko znika nam z oczu, a płomienne deklaracje obu uczonych nie wnoszą niczego do dyskursu, ponieważ pozbawione są wszelkiej argumentacji. Analiza i synteza jawią się zatem jako pewne równoprawne opcje, między którymi wybór podyktowany jest co najwyżej kwestią smaku. W starciu Filidora ważne jest nawet nie to, kto ma rację, ale kto zwycięża. Ta groteskowa utarczka nie jest jednak niewinnym przejawem próżności dwóch niepotrzebnie uhonorowanych autorytetów. W jej wyniku niewinnie giną przecież partnerki obu profesorów, ponoć dla nich ważne, lecz zarazem perfidnie wykorzystane jako element gry. To prowadzi do gorzkiej refleksji na temat snucia teoretycznych domysłów i zatracaniu się w kreowaniu własnej wizji świata. Każda abstrakcyjna idea (a w konsekwencji mniej abstrakcyjna ideologia), nieść może za sobą całkiem realne ofiary.

3. „Kościół międzyludzki”: dzieło natury czy kultury?

„Pisarz może, jeśli chce, opisywać rzeczywistość tak, jak ją widzi czy jak ją sobie wyobraża – wówczas powstają dzieła realistyczne w rodzaju np. książek Sienkiewicza. Ale może też zastosować inną metodę, polegającą na tym, iż rzeczywistość rozkłada się na części składowe, po czym z tych części, jak z cegiełek, buduje się nowy budynek, nowy świat, czy światek... który powinien być różny od normalnego świata, a jednak mu jakoś odpowiadać... różny, ale, jak mówią fizycy, adekwatny...”.

W. Gombrowicz, *Wspomnienia polskie*, s. 77-78.

Najwyższy czas wnikliwiej przyjrzeć się zagadnieniu fundamentalnemu dla gombrowiczologii, a zarazem niezbędnemu do rekonstrukcji „myśli politycznej” autora *Ferdydurke*. „Kościół międzyludzki” jest konstruktem spajającym wszystkie fabuły i akcje dzieł Gombrowicza – każdy z bohaterów tkwi w nim z większym bądź mniejszym entuzjazmem. Ponadto, sam literat posługuje się tym pojęciem *expressis verbis*, objaśniając nie tylko zawilości swoich utworów, ale też mechaniki, które – w jego odczuciu – sterują zupełnie rzeczywistym światem. Zrozumienie praw, wedle których działa „kościół międzyludzki”, pozwala zatem na zrozumienie pomniejszych komórek funkcjonujących w jego obrębie, czyli na przykład szczególnie dla nas ważnej wspólnoty politycznej.

W tym miejscu pragnę z całą mocą podkreślić, że samej koncepcji „międzyludzkiego” nie warto traktować jako naukowej teorii. To tylko ja, jako politolożka, dopatruję się w tej idei czegoś, co naukami społecznymi – przy odrobinie dobrej woli badaczy – może nieco wstrząsnąć. Jak stwierdził w jednym z wywiadów sam Gombrowicz:

„Jako artysta przeciwstawiam się nauce ze wszystkich sił i przyczyna tego jest znana – nie mówię tutaj nic nowego. Nauka abstrahuje. Widzimy tysiąc koni, zdajemy sobie sprawę, że każdy koń ma coś wspólnego z innymi i z tego dedukujemy ideę konia, którą się posługujemy. W ten sposób postępuje fizyka, matematyka itd.”³⁵¹.

³⁵¹[Wywiady Piera Sanavio] Gombrowicz: *forma i rytuał*, przekł. K. Bielas, F.M. Cataluccio, [w:] Witold Gombrowicz. *Varia 3*, Kraków 2021, s. 192.

W moim odczuciu, nie chodzi tu bynajmniej o niechęć pisarza do nauki jako takiej³⁵², lecz raczej o wyraźne wyznaczenie granicy między uprawianiem nauki i sztuki. Gombrowicz twierdzi bowiem, że artyzm umiera, kiedy twórca siłą oprawia go w ramy naukowych koncepcji. Co więcej, same naukowe koncepcje wtłaczane w sztukę również tracą swój blask. Sztuka potrafi wyrazić więc to, czego poprzez naukę wyrazić niepodobna:

„I tutaj jestem po stronie egzystencjalizmu, kiedy oświadczam, że nauka jest abstrakcyjna i choć jest nadzwyczaj skuteczna na swoim polu – to przecież to nie jest wszystko. Po drugiej stronie bowiem jest człowiek, ból, wrażliwość, krzyk, poezja, piękno. I po tej stronie jest artysta. **To, co dzisiaj dzieje się w literaturze i co ją w końcu zniszczy, to inwazja nauki, której sztuka stała się niewolnicą** [podkr. D.Ś.]. Przyznaję, że nauka jest użyteczna, zdolna do rozwiązywania olbrzymich problemów, zwłaszcza w przyszłości. Jednocześnie jako przedstawiciel ludzkiej wrażliwości, człowieka, a więc konkretnego życia, tego, co powoduje płacz i radość, jestem przeciwko jakiegokolwiek formie literatury będącej pod wpływem nauki. To przypadek współczesnej literatury francuskiej. Natomiast literaturą włoską zawładnęła socjologia. Socjologowie są straszni, jeszcze gorsi niż psychoanalitycy. Kiedy spotykam socjologa, mój drogi, mam wielką ochotę napluć mu w twarz”³⁵³.

³⁵²Natomiast w odczuciu Leszka Nowaka już sama wizja naukowości przedstawiona przez autora *Ferdydurke* wymaga zdecydowanej kontry. I, muszę przyznać, że polemika przeprowadzona przez filozofa może być bardzo satysfakcjonująca dla czytelnika. Pozwolę sobie w tym miejscu na dość obszerny cytat: „Rzeczywiście, mówi tutaj Gombrowicz rzeczy całkiem pospolite. Tyle, iż w grę wchodzi nie oczywiste prawdy, jak mniemał, lecz oczywiste fałszy. Tak pojęte uogólnienie nie jest w żadnej mierze osobliwością nauki, lecz znajduje wyraz już w gramatyce wszelkiego języka, pozwalając orzec mało odkrywczą tezę: »ten koń jest koniem«. Jeśli teza ta nie ma szans na znalezienie się na kartach dzieła literackiego – to z ambicji pisarza, który skłonny jest poszukiwać prawd bardziej wyrafinowanych (i kontrowersyjnych, co za tym idzie), uruchamiając w tym celu ciekawsze władze umysłowe niż uogólnianie spostrzeżeń. Ale z tego to samego powodu uczony – a przynajmniej uczony-teoretyk – uruchamia ciekawsze władze poznawcze, niż przypisuje mu to Gombrowicz. Uczony-fizyk wcale nie wywodzi pospolicie: »ten koń – koń – zwierzę – rzecz, itd.«, lecz tak »rzecz – ciało centrobaryczne (o masie skoncentrowanej w środku) – punkt materialny (ciało bezwymiarowe wyposażone jeno w masę), itd.«. To zasadnicza różnica, bo nie idzie w nauce (teoretycznej!) wcale o przechodzenie od pojęć o węższym zakresie empirycznym do pojęć o szerszym zakresie empirycznym (*procedura uogólniania* czy też *abstrakcji*), lecz o przechodzenie od pojęć o jakimś zakresie empirycznym do pojęć empirycznie pustych, a wyposażonych jeno w pewne zakresy w światach coraz bardziej wyidealizowanych (*procedura idealizacji* [...]). Tamże. Co więcej, filozof swoją krytykę udanie uzupełnia następującym przykładem: „A jeśli przyjrzymy się którejkolwiek z postaci Gombrowiczowskich, np. Józiovi z *Ferdydurke*, to zauważymy, iż ma się on do realnych 30-latków tak samo, jak punkt materialny stosowany w rozważaniach fizyki do, dajmy na to, Ziemi. Józio pozbawiony jest pewnych cech 30-latków, którym otoczenie nie ujmuje na ogół wieku, a jeśli nawet się to zdarza, to nie aż tak, by traktować ich jak uczniów. Całkiem podobnie punkt materialny pozbawiony jest pewnych cech Ziemi (np. geologicznych). Pewne inne cechy Józia dla odmiany otaczający nas 30-latkowie wykazują (np. uległość wobec otoczenia czy skłonność i umiejętność manipulowania nim), ale te właśnie Józio wykazuje w sposób ekstremalny. Podobnie, jak punkt materialny podziela z Ziemią wymiary geometryczne, tyle że ma je w stopniu skrajnym, bo zgoła zerowym. »Fikcyjna« postać literacka to, z grubsza, byt tego samego rodzaju, co »wyidealizowany« konstrukt naukowy. A już z pewnością bliższe są one sobie nawzajem niż tzw. obiektom realnym”. Tamże, s. 25.

³⁵³[*Wywiady Piera Sanavio*] Gombrowicz: *forma i rytuał*, dz. cyt., s. 192. Warto odnotować, że Gombrowicz darzył socjologów i psychoanalitików szczególnym uczuciem, na co wskazuje również fragment jego *Dziennika*: „Wczoraj, w barze. Z pewnym socjologiem, czy psychoanalitikiem.

Byłem przed nim, jak przed okienkiem biurokraty – tam, za okienkiem, odbywało się księgowanie, sumowanie, katalogowanie, cały proces, mnie niedostępny, a mnie wyznaczający. Czułem się, jak w rękach chirurga, lub w rękach despoty. Wytoczyłem przeciw niemu moje racje, własnego chowu – ale cóż może moja racja pojedyncza, przeciw jego racji, którą wymógowało trzysta tysięcy umysłów w ciągu tysięcy lat, która jest górą powstałą z głów podporządkowanych i funkcjonalnych?

Tu mógłby się ktoś raz jeszcze poważnie zastanowić nad sensem interpretowania Gombrowicza z perspektywy nauk o polityce. Zwróćmy jednak uwagę na zasadniczą kwestię. Otóż: pisarz wyraża się tak kategorycznie o swoich kolegach po fachu, którzy decydują się na tworzenie artystycznych wypracowań na temat..., pod tezę sformułowaną wcześniej przez naukowców. Nie mówimy tu nawet o sytuacji, w której twórca X, zaintrygowany koncepcją A, decyduje się na jej kanwie zbudować fabułę swojej kolejnej powieści. Takim artystą mógłby być przecież sam Gombrowicz, który momentami zdradza zainteresowanie chociażby ową nieszczęsną psychoanalizą i na kartach *Szczura* przeprowadza jej bezceremonialną dekonstrukcję. Chodzi tu o coś innego: fikcjonalne referowanie koncepcji A, w której bohaterowie powieści pióra X mają za zadanie swymi czynami uzasadnić naukową tezę. Oto przepis na szybkie spłycenie samej nauki i odarcie sztuki z artyzmu zarazem. Jak wyjaśnia Gombrowicz:

„Nauka zademonstrowała tyle siły i rozwija się tak wspaniale, że jej ingerencja wydaje mi się naturalna – nawet jeśli jest zupełnie błędna. Myślę, iż dzieje się tak dlatego, że w przeważającej ilości przypadków pisarze nie są istotami ludzkimi, nie są w stanie istnieć jako indywidualności twórcze, ale należą do masy. W jednej książce z dziedziny psychoanalizy czy psychologii można znaleźć tysiąc razy więcej niż w dziele sztuki pozostającym pod wpływem tych nauk, czy jak pan chce je nazwać. W jednej książce psychoanalitycznej można znaleźć więcej psychologii niż w dziełach Prousta i Balzaca razem wziętych”³⁵⁴.

Pozornie słowa te zdają się kłócić z moim stwierdzeniem z początku dysertacji o zwielokrotnionej przez sztukę głębi około-politologicznych obserwacji Gombrowicza. Pragnę jednak zwrócić uwagę, że – ponownie – tak bezpardonowo wyrażony przez literata absmak dotyczy tworzenia pod tezę naukową, czy wręcz pisania z n i e w o l o n e g o nauką. Każdorazowo musi ono doprowadzać do nadmiernych uproszczeń. Ponadto, finalny produkt takich poczyniń ani nie jest w stanie wnieść niczego świeżego do naukowego dyskursu (bo powtarza przecież niczym echo to, co zostało już powiedziane – cóż z tego, że w nieco innym języku?), ani też nie wpływa korzystnie na samą sztukę.

Nec Hercules contra plures!

Ale kiedy kopnąłem go w kostkę u nogi, krzyknął! O, krzyk uczonego, jak to wyzwala!”. **Dz.**, s. 633.

³⁵⁴Tamże, s. 192-193.

Nie ma to jednak nic wspólnego z samymi interpretacjami³⁵⁵. Jest tylko jeden warunek: czytelnicy również powinni zachować pewną dozę ostrożności i szacunku dla utworu. Przykładanie adekwatnych koncepcji naukowych do dzieła literackiego może znacząco ułatwić odbiór tekstu, operacja ta jednak musi zostać przeprowadzona w sposób precyzyjny i uważny. Co więcej, nic nie stoi na przeszkodzie, aby sztuka inspirowała naukową refleksję nad światem. Może bowiem unaocznić to, co spoczywa w sferze nie do końca jeszcze uświadomionej, bądź zachęcić do weryfikacji tego, co – być może niesłusznie – zdaje się już pełnić rolę aksjomatu. Zauważmy że ani pierwsza, ani druga proponowana przeze mnie opcja synergii sztuki z nauką nie kłóci się z podejściem Gombrowicza. Reasumując: postulowana przez pisarza separacja oznacza więc j e d y n i e brak jego zgody na kastrowanie arcyzmu ekspansywnymi naukowymi koncepcjami, a „kościół ziemski”, mimo że teorią naukową nie jest, może do rozwoju nauki znacząco się jeszcze przyczynić.

Wracając do samej idei „międzyludzkiego”: w związku z tym, że mówimy o swoistym alfabecie gombrowiczologii, nie powinien nikogo zaskoczyć fakt, że na ten temat powstało już szereg naukowych publikacji³⁵⁶, a ze *stricte* literaturoznawczej perspektywy dodanie czegokolwiek nowego do dyskusji stanowi w 2023 roku nie lada wyzwanie. Biorąc jednak pod uwagę, że przyjęta przeze mnie perspektywa literaturoznawcza nie jest, pozwalam sobie stanąć na ramionach olbrzymów i do aktualnego stanu wiedzy dopisać swój politologiczny komentarz. W niniejszym

³⁵⁵Choć, by być sprawiedliwą, muszę nadmienić o krytycznych komentarzach Gombrowicza na temat interpretatorów dzieł literackich, którzy „przerabiają poezję na wykresy”. Chodzi tu o – być może – zbyt systematyczne, uporządkowane (i, zapewne, w ocenie Gombrowicza śmiertelnie nudne) analizy jego utworów, pomijające wymykający się chłodnemu osądowi charakter sztuki. I z takim podejściem odważnie polemizował Nowak: „Cóż, Gombrowicz był wielkim demaskatorem stereotypów. Nie będzie tedy od rzeczy, jeśli przyjrzymy się jego własnym. Nikt przecież nie jest od jakichś stereotypów wolny – na to Gombrowicz w pełni by się zgodził. Z pewnością zgodziłby się, że dotyczy to również jego samego, że i on nie wyzwolił się całkowicie z więzów myślenia zdroworozsądkowego, że i on tedy ma pewne stereotypy. Otóż jednym z nich był dogmat o przepaści dzielącej jakoby twórczość literacką od twórczości naukowej. Dogmat całkowicie nieuzasadniony, oparty na częstym wśród humanistów złudzeniu, iż nauka jest od obserwacji faktów i uogólniania (»przerabiania na wykresy«), a sztuka – jest rzeczą wyobraźni, konstrukcją fikcyjnych światów”. L. Nowak, *Gombrowicz. Człowiek wobec ludzi*, dz. cyt., s. 21. Trafna to uwaga, dość kompatybilna z moim spostrzeżeniem o uproszczonym rozumieniu polityki przez pisarza. Faktycznie, momentami również nauka bywa przez pisarza traktowana mocno po macoszemu. „Tymczasem – jak słusznie zauważa badacz – „nauka konstruuje fikcyjne światy równie zapamiętałe, jak sztuka. Punkty materialne, układy inercyjne, gazy doskonałe, racjonalni ludzie, zrównoważone gospodarki – wszystko to o wiele bardziej przypomina Józefa K., niż »obserwowane fakty«. Każda *teoria naukowa* odnosi się w swym *podstawowym modelu* do *wyidealizowanego świata* i dopiero w dalszych, coraz bardziej realistycznych modelach odbywa drogę powrotną ku naszemu światu, by się doń przybliżyć. Postępuje więc podobnie, jak literatura, która także po to przecież konstruuje światy fikcji, by udobitnić to, co ma do powiedzenia o człowieku w tym realnym świecie. Początek więc – metoda idealizacji – jest w obu dziedzinach niemal dokładnie taki sam. Wspólna jest też tendencja powrotu od wyidealizowanego świata przedstawionego w teorii naukowej czy dziele literackim do świata realnego. Zachodzące niewątpliwie różnice między tymi dziedzinami są odmiennością środków używanych do opisu (konstrukcji) świata najbardziej wyidealizowanego (ogólny język dyskursywny vs. język konkretno-fabularny), a także metod przybliżania się ku światu realnemu (systematyczna konkretyzacja w nauce i okazjonalne odesłania do konkretności i doświadczenia życiowego odbiorcy w literaturze). Tamże, s. 21-24.

³⁵⁶Zob. np. M. Masłowski, „*Kościół międzyludzki*” w „*Ślubie*” Witolda Gombrowicza, „*Teksty Drugie*” 1999, nr 1/2 (54/55), s. 175-187, M. Delaperrière, *Kościół międzyludzki i absurd totalitarny w teatrze Gombrowicza*, dz. cyt.

rozdziale przyglądam się kwestii „międzyludzkiego kościoła”, próbując rozstrzygnąć, czy jest on dziełem natury, czy też kultury rozumianej jako wychowanie. W tym celu analizie poddaję kolejne dwa opowiadania Gombrowicza – *Filiberta dzieckiem podszytego* oraz *Dramat baronostwa* – doszukując się w nich pierwiastków *nature* i *nurture*. Tak jak dotychczas, komentowanie krótkich form prozatorskich traktować należy jedynie jako pretekst do całościowej interpretacji literackiego dorobku Gombrowicza.

W pierwszej kolejności trzeba jednak nakreślić samą koncepcję „międzyludzkiego”. Jak przed momentem wspomniałam, na ten temat opublikowano już szereg opracowań; w związku z tym, zdecydowałam się więc przedstawić problem w możliwym skrócie, zachęcając jednocześnie do zapoznania się ze wskazaną literaturą sekundarną. Przechodząc do meritum: w uniwersum Gombrowicza „kościół ziemski” stanowi pewną kontrę do „kościół boskiego”; to – w moim rozumieniu – stan/miejsce/system/sytuacja (?), w którym/której jednostka w interakcji z drugą osobą podlega osobliwemu zniekształceniu. Mam świadomość, że tak sformułowana definicja wyrwana z szerszego kontekstu zamiast tłumaczyć zagadnienie, generuje raczej kolejne znaki zapytania – i z tej też przyczyny tak wiele uwagi poświęciłam w poprzednich rozdziałach Gombrowiczowskiej wariacji na temat *Cogito*. W mojej ocenie, „kościół międzyludzki” podszyty Kartezjuszem staje się bardziej przystępny dla odbiorcy i ułatwia nasze zderzenie z przewrotnymi wypowiedziami Gombrowicza. Mówiąc najprościej, wciąż pozostajemy w temacie mrowia ekspansywnych Ja i niemiłosiernego uprzedmiotawiania podmiotów.

By zachować możliwą jasność obrazu, przed przystąpieniem do szczegółowej analizy zapowiedzianych opowiadań, warto uważnie przyjrzeć się jednej z najbardziej wyczerpujących wykładni „międzyludzkiego” poczynionej przez samego autora koncepcji. Rozpoczyna się ona dwoma – trudno określić, na ile i czy w ogóle retorycznymi – pytaniami:

„Dlaczego wy, ateści, ubóstwiacie idee? Dlaczego nie ubóstwiacie ludzi?”³⁵⁷.

Tak oto na kartach *Dziennika* Gombrowicz-ateista dystansuje się od innych ateistów i przybiera patetyczne, nieomal kaznodziejskie tony:

„Przecież rzuca się w oczy boskość generała. Czy palec jego nie taki sam ściśle, jak palec najędzniejszego z żołnierzy? A jednak jedno skinienie tego palca wysyła na śmierć dziesięć tysięcy ludzi – którzy pójdą, zginą, nie pytając nawet o sens poświęcenia. Cóż cenniejszego od własnego życia miałby do zaoferowania człowiek samemu Najwyższemu Bogu? **Jeżeli człowiek umiera na rozkaz drugiego człowieka, to znaczy że człowiek może być Bogiem**

³⁵⁷Dz., s. 425.

człowiekowi [podkr. D.Ś.]. Ten kto gotów przestać żyć na rozkaz dowódcy – dlaczegoż wzdraga się paść przed nim na kolana?”³⁵⁸.

Wytłuszczony przeze mnie fragment jest bezcenną wskazówką dla interpretujących, chociażby, *Ślub* Gombrowicza: nagle absurdalna, samobójcza śmierć Władzia, zaczyna nabierać sensu. Tej kwestii poświęcam więcej uwagi w dalszej części rozdziału, w tym momencie skoncentrujemy się jednak na samej dynamice relacji zachodzących między ludźmi. Dla lepszego zilustrowania problemu, Gombrowicz mnoży kolejne przykłady:

„A boskość Prezesa? A boskość Dyrektorów lub Profesorów? A boskość Właściciela Dóbr albo Artysty? Służba – niewolnictwo – korne poddanie się – zaprzepaszczenie w innym człowieku – oddanie się całkowite Wyższemu – to przenika ludzkość aż w same trzewia”³⁵⁹.

Frapować może fakt, że (co już z resztą na kartach niniejszej rozprawy odnotowałam) autor tych słów sam niejednokrotnie przejawiał skrajną niechęć do autorytetów. Dlaczego więc nagle pisze o czyjejs boskości? Otóż, warto mieć na uwadze, że niekoniecznie mowa tu o dobrym, miłosiernym bóstwie. Dla ilustracji: profesorowi Pimce z *Ferdydurke* nie sposób odmówić władzy i sprawczości – czy to jednak oznacza, że mamy do czynienia z bohaterem zasługującym na jakikolwiek podziw bądź szacunek?

Tymczasem, Gombrowicz-kaznodzieja usiłuje zmącić nadmiernie ustrukturyzowany obraz społeczeństwa:

„Ha, wy ateści-demokraci chcielibyście mieć ludzi uszeregowanych równo, jak rośliny na grządkach, i podporządkowanych Idei. Ale ten obraz poziomy ludzkości najeżdża inny, pionowy... i te dwa obrazy wzajemnie się niszczą, nie podlegają wspólnemu prawu, nie ma dla nich jednej teorii. Czyż jednak to powód aby wykluczać ze świadomości ludzkość pionową, zadawałając się wyłącznie poziomą?”³⁶⁰.

Coraz wyraźniej objawia się tu złożoność koncepcji „międzyludzkiego kościoła”. Z jednej bowiem strony, Gombrowicz – po nietzscheańsku – ogłasza śmierć Boga. Być może najbardziej sugestywnie czyni to w *Pornografii*, kiedy to Fryderyk zabija mszę, w której bluźnierczo uczestniczy. A czyni to w sposób zgoła zaskakujący:

„Jednakże Fryderyk, który zasiadł w ławie kolatorskiej obok Hipolita, **osunął się na kolana... i to nieco popsulo mi spokój, gdyż było może nieco przesadne** [podkr. D.Ś.]... i trudno mi było nie pomyśleć, iż może osunął się na kolana po to, aby nie popełnić czegoś, co by nie było

³⁵⁸Tamże.

³⁵⁹Tamże.

³⁶⁰Tamże., s. 425-426.

osunięciem się na kolana... lecz dzwonki, ksiądz wychodzi z kielichem i, umieściwszy go na ołtarzu, oddaje pokłon. Dzwonki. I naraz akcent jakiś decydujący uderzył z taką siłą w jestestwo moje, że ja – wyczerpany, półprzytomny – ukląknę i niewiele brakowało a – w dzikim porzuceniu moim – byłbym się modlił... Ale Fryderyk!”³⁶¹.

Proces rozmontowywania „boskiego kościoła” rozpoczyna się więc dość subtelnie, a pierwszą jaskółką go zwiastującą jest całkowite, nadmierne wręcz zanurzenie się Fryderyka w religijnym rytuale. To jednak wystarcza, by zakłócić porządek i stopniowo degradować mszę:

„Zdawało mi się, podejrzewałem, że Fryderyk, który przecież ukląknął, także się »modli« – a nawet byłem pewny, tak, znając jego przerażenia, że nie udaje, ale naprawdę się »modli« – w tym znaczeniu, że nie tylko innych pragnie oszukać, ale i siebie. »Modli się« wobec innych i wobec siebie, ale modlitwa jego była tylko parawanem, zasłaniającym bezmiary jego niemodlitwy... więc to był akt wyrzucający, »ekscentryczny«, który wyprowadzał z tego kościoła na zewnątrz, na obszar bezgraniczny zupełnej nie-wiary – w samym rdzeniu swoim zaprzeczający”³⁶².

Konsekwencje niewinnej (?) modlitwy bohatera z każdą chwilą stają się bardziej dojmujące:

„I cóż się działo? Co się zaczęło wyrabiać? Niczego podobnego nigdy nie przeżyłem. Nigdy nie uwierzyłem, że coś takiego w ogóle może się zdarzyć. Ale – cóż takiego się stało? Właściwie – nic, właściwie stało się, że czyjaś ręka zabrała tej mszy wszystką jej zawartość, całą treść – i oto ksiądz ruszał się, klękał, przechodził z jednej strony ołtarza na drugą, a ministranci uderzali w dzwonki i wznosił się dym kadzidła, ale treść ulatniała się z tego, jak gaz z balonu, i msza oklapła w strasznej impotencji... zwisająca... niezdolna już do zapłodnienia!”³⁶³.

Ta fizjologiczna metaforyka potęguje rozmach wytrącenia mszy ze sfery *sacrum*; gesty dotychczas uświęcone i otoczone patetycznym nimbem pod wpływem modlitwy Fryderyka przeistaczają się w ziejącą pustką krzątanicę, której akompaniują kompulsywne uderzenia w dzwonki. Jak dalej czytamy:

„To zaś pozbawienie treści było morderstwem, dokonany na marginesie, poza nami, poza mszą, tytułem bezgłośnego a zabójczego komentarza osoby przyglądającej się z boku”³⁶⁴.

Strategia fikcyjnego Fryderyka wygląda więc na całkiem zbliżoną do literackiej strategii samego autora powieści. Gombrowicz, podobnie jak jego bohater, popadając nieraz w patetyczne tony, bezlitośnie odziera z sensu największe koncepcje, idee i wartości:

³⁶¹ **Porn., s. 21.**

³⁶² **Tamże, s. 21-22.**

³⁶³ **Tamże, s. 22.**

³⁶⁴ **Tamże.**

„I msza nie mogła się przed tym bronić, gdyż nastąpiło to za sprawą jakiejś nawiasowej interpretacji, nikt właściwie w tym kościele nie opierał się mszy, nawet Fryderyk stowarzyszał się z nią jak najpoprawniej... a jeśli ją zabijał to jedynie, tak to powiedzmy, z odwrotnej strony medalu. A ten uboczny komentarz, ta glossa zabijająca, była dziełem okrucieństwa – dziełem świadomości ostrej, zimnej, przenikającej na wskroś, nieubłaganej... i zrozumiałem, że wprowadzenie tego człowieka do kościoła było czystym szaleństwem, na Boga, należało trzymać go z dala od tego! Kościół był jego miejscem najstraszniejszym!”³⁶⁵.

Gombrowiczowskie mordowanie mszy jest procesem boleśnie oczyszczającym i pozwalającym na dotarcie do p r a w d y . Okrucieństwo proceduru prowadzi do swoistego *katharsis*, skonfrontowania z upudrowanymi dotychczas „chamskimi mordami”:

„Ale już się stało. Proces, który się odbywał, był docieraniem do rzeczywistości in crudo... przede wszystkim był zniweczeniem zbawienia, wskutek czego nic już nie mogło zbawić tych chamskich mord, jełkich, wydobytych teraz ze wszelkiego uświęcającego stylu i podanych na surowo, jak ochłap”³⁶⁶.

I tak oto wierni zgromadzeni na dogorywającym rytuale zostają przez Fryderyka okrutnie pozbawieni całej swej sztuczności: póz, pozorów i ról, które przyszło im odgrywać, funkcjonując w społeczeństwie. Cóż więc pozostaje z ludzi? Brud i pokraczność:

„To już nie był »lud«, nie byli »chłopi«, nie byli nawet »ludzie«, to były stworzenia takie jakie... takie jakie były... i ich brud pozbawiony został łaski. Ale dzięki anarchii tego wielogłowie płowego odpowiadał nie mniej arogancki bezwstyd naszych twarzy, które też przestały być »pańskie«, czy też »kulturalne«, lub »delikatne«, a stały się czymś krzycząco utożsamionym ze sobą – karykatury, którym odebrano model, nie będące już karykaturą »czegoś«, a tylko same w sobie, i obnażone jak tyłek! I obustronny wybuch pokraczności, pańskiej i chamskiej, zbiegał się w geście księdza, który celebrował... co? Co? Nic. To jednak nie wszystko...”³⁶⁷.

Co szczególnie uderzające, bezpośrednią konsekwencją tego proceduru jest gwałtowne rozszerzenie całej perspektywy:

„Kościół przestał być budynkiem. Wdarła się przestrzeń, ale przestrzeń już kosmiczna, czarna, i to nawet nie działo się już na ziemi, lecz raczej ziemia przeistoczyła się w planetę zawieszoną we wszechświecie, kosmos stał się obecny, to odbywało się w jakimś jego miejscu”³⁶⁸.

³⁶⁵Tamże.

³⁶⁶Tamże, s. 23.

³⁶⁷Tamże.

³⁶⁸Tamże.

Innymi słowy: odarcie człowieka z całego jego sztucznego majestatu sprawiło, że nagle stał się on uczestnikiem czegoś autentycznie potężnego i prawdziwie majestatycznego:

„Tak dalece, że światło świec, a nawet światło dnia, wdzierające się poprzez witraże, stało się czarne jak noc. Więc nie byliśmy już w kościele, w tej wsi, ani na ziemi, tylko – i zgodnie z rzeczywistością, tak, zgodnie z prawdą – gdzieś w kosmosie, zawieszeni z naszymi świecami i naszym blaskiem, i tam gdzieś w bezmiarach wyczynialiśmy te dziwne rzeczy ze sobą i pomiędzy sobą, podobni małpie która by wykrzywiła się w próżni”³⁶⁹.

Paradoksalnie zatem, człowieczeństwo staje się w tym momencie c z y m ś absolutnie doniosłym:

„Było to szczególne drażnienie się nasze, gdzieś, w galaktyce, ludzka prowokacja w ciemnościach, dokonywanie dziwacznych ruchów w otchłani, wykrzywanie się w astronomicznych bezkresach. A temu tonięciu w przestrzeni towarzyszyło straszne wzmoczenie konkretności, byliśmy w kosmosie, ale byliśmy jak coś przerażająco danego, określonego we wszystkich szczegółach. Ozwały się dzwonki na podniesienie. Fryderyk ukląkł”³⁷⁰.

Fryderyk – gorliwy uczestnik rytuału – przykładnie w nim biorąc udział, demontuje go doszczętnie:

„Tym razem uklęknięcie jego było dobijające, podobne do dorznięcia kury i msza potoczyła się dalej, ale ugodzona śmiertelnie i gadająca jak wariat. *Ite, missa est.* I... o, triumfie! Jakież zwycięstwo nad tą mszą! Co za duma! Jakby ta likwidacja była mi jakimś upragnionym kresem: na koniec sam, ja sam, bez nikogo i niczego poza mną, sam w ciemności absolutnej... więc dotarłem do ostateczności mojej, osiągnąłem ciemność! Gorzki kres, gorzki smak dotarcia i gorzka meta! Ale było to dumne, zawrotne, naznaczone nieubłaganą dojrzałością ducha, już samoistnego”³⁷¹.

Zwróćmy uwagę na grozę przeplatającą się z zachwytem. Ten osobliwy stan zdaje się trafnie odzwierciedlać wydźwięk znacznej części wypowiedzi Gombrowicza na temat człowieka i tego, co dzieje się z ludźmi, kiedy przychodzi im funkcjonować we wspólnocie. Z jednej strony, pisarz odnotowuje śmieszność, brud, brzydotę, czy słabość bohaterów, z drugiej zaś – cała ta groteskowa obrzydliwość zdaje się wpędzać literata w szczerzy zachwyt.

W przytoczonym powyżej fragmencie *Pornografii* odnotowujemy również, przez ułamek sekundy, moment d o j r z a ł o ś c i narratora-protagonisty. Dorosłość jawi się w tym ujęciu jako podszyta goryczą ostateczność, rzeczywista autonomia jednostki, lecz równie satysfakcjonująca, co

³⁶⁹Tamże, s. 23-24.

³⁷⁰Tamże, s. 24.

³⁷¹Tamże.

sprawiająca ból. Czy dziwić powinien zatem fakt, że dojrzałość nie jest stanem, w którym ktokolwiek chciałby permanentnie tkwić? Ucieczka do zwyczajności, zawężenie zapierającego dech i wywołującego zarazem cierpienie horyzontu, staje się naturalnym mechanizmem obronnym oszołomionego bezmiarem wszechświata organizmu:

„Ale było to także okropne i, pozbawiony wszelkiego oparcia, czułem się w sobie jak w rękach potwora, mogąc wyrabiać z sobą wszystko, wszystko, wszystko! Oschłość domu. Mróz ostateczności. Surowość i pustka. Więc cóż? Nabożeństwo już miało się ku końcowi, ja rozglądałem się sennie, byłem zmęczony, ach, trzeba będzie wyjść, jechać do domu, do Powórnej, po tej drodze piaszczystej... ale w pewnej chwili wzrok mój... moje oczy... oczy w popłochu i ciężkie. Tak, coś przyciągało... oczy... i oczy. Zniewalająco, kusząco – tak. Co? Co przyciągało, co nęciło? Cudowność, niczym we śnie, miejsca zawołowane, których pożądamy nie mogąc odgadnąć i krążymy wokół nich z niemym krzykiem, we wszechpożerającej tęsknocie, rozdzierającej, szczęsnej, zachwyconej”³⁷².

Okazuje się jednak, że po tym zaskakującym i bolesnym dla bohatera duchowo-intelektualnym przebudzeniu, nie ma powrotu do stanu s p r z e d :

„Tak ja krążyłem wokół jeszcze spłoszony, niepewny... ale już rozkosznie przeniknięty zniewoleniem giętkim, które ujmowało – urzekało – zachwycało – czarowało – wabiło i podbijało – grało – i kontrast między mrozem kosmicznym owej nocy a tym źródłem bijącej rozkoszy był do tego stopnia niezmierny, iż pomyślałem mętnie, że Bóg i cud! Bóg i cud!”³⁷³.

Zabitej mszy nie sposób wskrzesić, wytrwać w stanie surowości i pustki też nie podobna; okazuje się jednak że nowopowstała metafizyczna luka może zostać z powodzeniem zapełniona. W pewnym momencie bohater coś dostrzega, początkowo niewyraźnie:

„Co to było, jednak?”³⁷⁴.

Obraz jednak w okamgnieniu się klaruje:

„To było... Kawałek policzka i nieco karku... należące do kogoś kto stał przed nami, w tłumie, o kilka kroków...”³⁷⁵.

W ziejącej po Bogu próżni pojawia się drugi człowiek – nowe bóstwo, któremu można oddawać hołd, którego też można się bać i które jest kreatorem oraz demiurgiem³⁷⁶. Co więcej,

³⁷²Tamże, s. 24-25.

³⁷³Tamże., s. 25.

³⁷⁴Tamże.

³⁷⁵Tamże.

³⁷⁶Jerzy Jarzębski syntetycznie ujmuje ten problem następującymi słowami: „Odrzucenie świata rządzonego przez Boga na wysokościach, świata, w którym panuje przedustawny porządek, a każde zdarzenie ma jakiś wyższy sens, jest

człowiek znajduje się tuż na wyciągnięcie ręki, nie jest żadną ideą, abstrakcją, czy bytem, którego istnienia dowieść nie sposób, lecz istotą całkowicie namacalną, brudną, śmieszna i nieraz pogardy godną, a zarazem posiadającą szczególną moc. Gombrowiczowski ateizm jest więc osobliwy, gdyż uznający istnienie bóstw. Cały szkopuł tkwi w tym, że aktualnie tych bożków chodzi po ziemi ponad osiem miliardów, a co więcej – istoty te tworzą grupy, społeczności i narody. Kto wyznaje dane bóstwo? Inne bóstwa, gdyż potężna, nieograniczona moc każdego z nich ulega bolesnemu ograniczeniu w kontakcie z t y m d r u g i m . By przyjrzeć się tej koncepcji wyrażonej mniej poetycko (ujmując rzecz potocznie), a bardziej rzeczowo, wróćmy do *Dziennika Gombrowicza*:

„Doprawdy nie rozumiem was, ateści. Nie jesteście rozsądni... Dlaczego zamykacie oczy na to nabożeństwo, jeśli ono odbywa się najdoskonalej bez Boga, a nawet brak Boga jest jego *conditio sine qua non*? Nie widzę, rzeczywiście, powodu dla którego współczesny niepokój metafizyczny nie miałyby wyrazić się w ubóstwieniu człowieka, gdy Boga zabrakło”³⁷⁷.

Oto kwintesencja „międzyludzkiego kościoła”. Pisarz nie odrzuca rytuałów i nabożeństw, a zmienia z a l e d w i e przedmiot kultu. A przedmiot ten kieruje się pewnymi fascynującymi prawami:

„Aby to się stało, musielibyście jedynie zwrócić uwagę na pewną właściwość ludzkości, polegającą na tym, że ona musi nieustannie się kształtować. Jest ona jak fala, złożona z miliarda chaotycznych drobin, lecz co chwila przybierająca kształt określony”³⁷⁸.

Dlaczego tak się dzieje? Skoro każdy człowiek jest bogiem-stwórcą-kreatorem-demiurgiem, to już interakcja zaledwie dwóch jednostek uruchamia proces wzajemnego stwarzania się, modyfikowania, narzucania określonych ról i zachowań. Gdy zaś osób jest więcej, sytuacja staje się niejako z automatu bardziej skomplikowana³⁷⁹:

jednym z najistotniejszych tematów jego [Gombrowicza, rzecz jasna – D.Ś.] powojennych utworów. Za każdym razem wiąże się to z przekazaniem boskich prerogatyw jednostce ludzkiej. To bohater musi - w braku transcendentnej siły - zadecydować o kształcie swego świata, wziąć udział w przygodzie kreacji. Tak jest Henrykiem, zagarniającym w *Ślubie* pełnię władzy, tak w *Kosmosie* z Witoldem, który coraz mocniej angażuje się jako sprawca w historię, której tajemnicę pragnie rozwikłać, tak również - w nieco inny sposób - w *Pornografii*, gdzie konstruktorami świata są obaj starsi panowie. Henrykowi więc udaje się nie tylko »wszystkich aresztować«, ale też skłonić Władzia, by przebił się nożem. Witold z Fuksem rozpętują żywioł wieszania tak skutecznie, że pod koniec powieści dopada on statecznego Ludwika. Na koniec w *Pornografii* rozkręca się na dobre machina kaźni, wymykając się po trosze spod kontroli obydwu reżyserów”. J. Jarzębski, *Trudno być Bogiem*, „Teksty Drugie” 2000, nr 5 (64) s. 73.

³⁷⁷Dz., s. 426.

³⁷⁸Tamże.

³⁷⁹Uzupełnijmy jeszcze te słowa o komentarz Tadeusza Kępińskiego, w którym filozof zdradza procesy myślowe, które mogły skłonić Gombrowicza do sformułowania takiej, a nie innej, koncepcji międzyludzkich relacji: „Wydaje się uzasadnione mniemanie, że jego świat był rozproszkowany, wariabilistyczny i chaotyczny. Trudności poznawcze i często niemożliwość uładzenia świata zjawisk natchnęły pisarza wiarą, że wszelka wiedza niewiele jest warta, a zaprzeczenie jej jest dość bezpieczne i trudno zaczepialne. Stare to zjawisko w dziejach myśli ludzkiej często prowadziło do mistycyzmu, nieraz do agnostycyzmu. Gombrowicz jest bliski temu ostatniemu. Niemniej w późnym okresie swego życia objawiał też pół serio sympatie do stanowiska pierwszego. / Rozglądając się w otaczającym go

„Wszak nawet w małej grupce ludzi, swobodnie rozmawiających, dostrzeżecie ową konieczność zestrzajania się w takiej czy innej formie, która tworzy się przypadkowo i niezależnie od ich woli mocą jedynie wzajemnego przystosowywania się... [podkr. D.Ś.] to tak jakby wszyscy razem wyznaczali każdemu z osobna jego miejsce, jego »głos« w orkiestrze”³⁸⁰.

Wyżej przytoczony fragment *Dziennika* dobrze streszcza specyficzny Gombrowiczowski determinizm. Warto też zaznaczyć, iż wszystkie interakcje zachodzące w „międzyludzkiem” podszyte są erotyzmem – co ważne – rozumianym dość osobliwie. Jak wyjaśnia Jerzy Jarzębski, „erotyzm u Gombrowicza ma znaczenie wychodzące poza sferę stosunków damsko-męskich, ba, poza sferę seksualną w ogóle. Erotyka jest tam modelem »gry z rzeczywistością«; każdy akt wykroczenia podmiotu poza siebie, ku światu, da się zinterpretować na gruncie erotycznym: polega on na wchłonięciu przez świadomość pewnych treści odczuwanych jako »nie-ja« i zainicjowaniu wewnętrznego dramatu, w którym »ja« i »nie-ja« wchodzi w skomplikowaną dosyć interakcję”³⁸¹. Cóż w niej skomplikowanego? „W trakcie tej interakcji” – powiada literaturoznawca – „podmiot przeżyć podlega silnym emocjom o sprzecznych znakach; walczą w nim: wstręt i pożądanie, chęć obrony suwerenności własnego »ja« – i dążenie do roztopienia się w strumieniu percepcji. Stosownie do tego istnieją dwa przeciwstawne krańcowe modele erotyzmu: pierwszy polega na wyborze spośród wszystkich treści odbieranych z zewnątrz tego, co ukochane, i odrzuceniu bezwarunkowym reszty, która od tego momentu nie może już ubiegać się o »miłość«. Oddzielenie tego, co »lube«, od tego, co »wstrętne«, jest aktem ustanawiającym Ego jako podmiot wartościowania, porządkowania rzeczywistości. Na przeciwległym biegunie sytuuje się erotyzm polegający na swoistym przeniknięciu wzajemnym Ego i świata: cała rzeczywistość może być wówczas traktowana jako eksterioryzacja psychiki jednostki, która bądź to w otaczającym świecie inscenizuje zdarzenia przynoszące jej rozkosz, bądź doprowadza do podziału siebie samej w świadomości – i może wówczas, jak Leon z *Kosmosu*, »świadczyc sobie przyjemności« bez

labiryntie stosunków i związków międzyludzkich, doszedł do przekonania, że w tym świecie wszystko jest możliwe, będąc zarazem mętne i nieuchwytnie. O ile w okresie młodości ma sporo fantazji, co nie przeszkadza poczuciu rzeczywistości, o tyle w wieku późniejszym rośnie wyrozumowane stosowanie labiryntu i chaosu, który – mimo wszystko – chciałoby się przedstawić w ramach jakiegoś sensu; zatem tego »wyższego«. Technika dość prosta i konsekwentna: przypuszcza otaczającą go psychologiczną rzeczywistość jakby przez młynek, rozbijając ją na bliżej nieokreślone elementy psychiczne. Teoria jednostek psychicznych samą nazwą, bez wnikania w treść i sens pomysłów Abramowskiego czy Kreutza, o których go informowałem, natchnęła go myślą o możliwości dowolnego analizowania przebiegów psychicznych, rozczłonkowania ich na elementy, z których da się komponować nowe zestawy. Jest to typowe dla metod surrealizmu”. T. Kępiński, *Witold Gombrowicz studium...*, dz. cyt. 37-38. Jak widać, Gombrowicz przejawiał nie tylko skłonności do rozmontowywania i remiksowania różnych filozoficznych koncepcji, ale też świata, który miał możliwość obserwować, i który – niewykluczone – przytłaczał go swoją chaotycznością. Podejrzewam więc, że autor *Ferdydurke*, chcąc lepiej coś rozumieć, stosował daleko idącą dekompozycję. Francesco M. Cataluccio pisze wprost: „Filozofia Gombrowicza powstała jako próba konfrontacji z Chaosem świata”. Tegoż, *Gombrowicz filozof* [w:] *Gombrowicz filozof*, dz. cyt., s. 9.

³⁸⁰Dz., s. 426.

³⁸¹J. Jarzębski, *Gra w Gombrowicza*, dz. cyt., s. 374-375.

odwołania do zewnętrznego doświadczenia³⁸². Skomplikowanie „międzyludzkiego kościoła” jest więc składową (co najmniej) dwóch kolizji: 1) poszczególnych jednostek i 2) krańcowych modeli erotyzmu. Dodatkowe utrudnienie polega na tym, że sam wybór jednej z „form przeżycia świata” może być dla jednostki nie lada dylematem.

Czas na nie lada zagwozdkę dla politologów:

„»Ludzie« to coś co w każdej chwili musi się organizować – jednakże ta organizacja, ten kształt zbiorowy, tworzy się jako **wypadkowa tysiąca impulsów** [podkr. D.Ś.], jest zatem nieprzewidziana i niedająca się opanować dla tych, którzy ją stanowią”³⁸³.

Jeżeli bowiem, dajmy na to, okrojona wspólnota ludzi zwana narodem powstaje wskutek szeregu wymykających się naszej kontroli zdarzeń, decyzji i procesów, a jej kształt jest dziełem serii przypadków, to wszelkie próby uporządkowanego opisu takiej rzeczywistości podejmowane przez politologów są równie nonsensowne jak działania protagonistów *Kosmosu*, na siłę poszukujących powiązań pomiędzy poszczególnymi znakami, które dostrzegają na swojej drodze³⁸⁴... Można jednak spojrzeć na ten problem zgoła odmiennie, nie negując perspektywy Gombrowicza. Mianowicie: przechwycenie od pisarza tezy o przypadkowości pewnych społecznych procesów daje politologom duże pole do popisu w kwestii analizowania, jak członkowie opisywanej zbiorowości bezładowi i chaosowi nadają sens bądź, będąc bardziej cynicznym, pozory sensu. W tym ujęciu, wszystkie wzniosłe deklaracje polityków i uch wyborców, nieomal religijnie wyznawane przez szerze ludzi ideologie, czy wreszcie, pewne instytucje – takie jak państwo – stają się interesującymi obiektami do badań, pojmowanymi jednak jako pewne

³⁸²Tamże, s. 375.

³⁸³**Dz., s. 426.**

³⁸⁴Dla dopełnienia obrazu, pozwolę sobie przytoczyć w tym momencie celną interpretację *Kosmosu* Jerzego Franczaka: „Każdy ład podminowany jest chaosem, ale człowiek nie styka się z nim bezpośrednio, gdyż »pod jego spojrzeniem zawsze rodzi się porządek i kształt«. Narzuca się tutaj prosty wybór. Można zadowolić się – jak wszyscy Wojtyśowie, z wyjątkiem Leona – »ułamkowym, chaotycznym i prześlizgującym się, niecznym i podłym obcowaniem z otoczeniem«. Można też – niczym Fuks i Witold – wyrzec się automatyzmu postrzegania i myślenia, by stanąć naprzeciw świata, który zostaje wytracony z układu znaczeń i przypomina »armię olbrzymią«, »chmurę niewyczerpaną«. Wówczas z natłoku szczegółów, z mnogości niełączliwych drobin trzeba ulepić jakąś całość. Trzeba »kombinować«, czyli budować system odniesień, które mają przywracać sens. Kombinator wpada jednak w pułapkę, bo w świecie zniwelowanych hierarchii, w którym wszystko jest »równie ważne i nieważne«, każda rzecz odsyła do innej, która poczyna znaczyć”. J. Franczak, *Kosmosiumberg* [w:] **Kosm., s. 183**. F.M. Cataluccio dostrzega w tym utworze jeszcze pewien, istotny dla nas, niuans: „Każda jednostka, począwszy od momentu, w którym osiąga świadomość siebie samej, próbuje wprowadzić porządek (Kosmos) do otaczającego ją Chaosu, próbuje rozsupłać spleciony kłębek złożony z milionów wrażeń, przez które jest atakowana każdego dnia. Powieść kryminalna nie jest niczym innym niż »usiłowaniem ogarnięcia chaosu – spazmatycznym poszukiwaniem śladów«. Kryminał Gombrowicza – posiadający swój prototyp w opowiadaniu *Zbrodnia z premedytacją*, w którym ślady, drobne szczegóły, głupstwa i bzdury tworzą i »kształtują« mordercę – ukazuje autorską koncepcję absurdalności stosunku, jaki podmiot ma wobec przedmiotów rzeczywistości, qale także rolę »kosmotwórcy«, jaką »Ja« odgrywa w »konstruowaniu« rzeczywistości. W ten sposób przejście od Chaosu do Kosmosu jest przypisane naszej własnej naturze (ontologicznie jesteśmy detektywami) [...]. Każda jednostka »kreuje« rzeczywistość. I tak samo robi pisarz – powieść sama jest rzeczywistością, porządkowaniem rozlicznych elementów”. F.M. Cataluccio, *Gombrowicz filozof*, dz. cyt., s. 10-11. Nie wprost komentator akcentuje tu Gombrowiczowskie *Cogito*.

fasady, za którymi kryje się czysty, doskonały, być może niemożliwy do ogarnięcia rozumem, bezład. A takie podejście może być dla politologii czymś całkowicie ożywczym. Wizja Gombrowicza pozwala bowiem na reset, przywrócenie do stanu fabrycznego przez tysiąclecia konstruowanej myśli politycznej. Zaczepne pytanie – a co by było, gdyby to wszystko, co powiedzieliśmy dotychczas nie miało sensu? – być może winno stanąć u podstaw współczesnej refleksji nad szeroko rozumianą politycznością?

Tymczasem, natchniony pisarz nie ustaje w swej metaforyce:

„Jesteśmy jak tony, z których powstaje melodia – jak słowa, układające się w zdania – ale nie panujemy nad tym, co wypowiadamy, ten wyraz nasz spada na nas jak piorun, jak siła twórcza, z nas powstała, ale nieokielznana”³⁸⁵.

Jest więc w tym ujęciu coś równie wzniosłego, co pozbywającego nadziei. Nie bez przyczyny dzieła Gombrowicza zwykle nie mają *happy endu*, a może raczej – potencjalna szczęśliwość ich zakończeń jest dalece specyficzna i ukryta głęboko. Z jednej strony bowiem, każde z dzieł wieńczy kompletny chaos i absurd, z drugiej zaś – taka jest przecież prawda. Odkrycie bezsensu, to właśnie ten moment osiągnięcia dojrzałości, którego doświadczył protagonista *Pornografii*. Stajemy w prawdzie, lecz chwilę później uciekamy od tej przytłaczającej pustki, prosto w objęcia drugiego człowieka, naszego nowego boga. Reasumując, by przetrwać, potrzebujemy jakiegoś kształtu, a w konsekwencji:

„Tam zaś gdzie powstaje kształt, forma, tam musi być Wyższość i Niższość – i oto dlaczego w ludziach następuje proces wywyższania jednego kosztem innych – i to parcie wzwyż, wyrzucające jednego, choćby najniedorzeczniejsze i najbardziej niesprawiedliwe, będzie jednak nieodzowną koniecznością formy, będzie też stwarzaniem w ludzkości sfery wyższej, podzieli ją na piętra, z łona gminu wzniesie się królestwo dostojniejsze, będące dla niższych zarazem okropnym ciężarem i cudownym wzlotem”³⁸⁶.

Tak oto krystalizują się kolejne struktury społeczne. A ich nieuchronnym następstwem jest cała paleta pozytywnych, jak i negatywnych doznań wynikających z życia we wspólnocie. By jednak nie tkwić wyłącznie w czystej abstrakcji, zestawmy te przemyślenia z *n i e c o* bardziej przyziemnymi wypowiedziami pisarza.

Przyjrzyjmy się więc bliżej fragmentowi *Dziennika* poświęconemu arystokracji:

„Posłuchajcie mojej opowieści. Dla mnie **arystokracja to było jedno z tych niedojrzałych zaburzeń, potwornych, zielonych urzeczeń** [podkr. D.Ś], nie wiedzieć – zrodzonych ze mnie,

³⁸⁵Dz., s. 426.

³⁸⁶Tamże.

czy też mnie narzuconych z którymi zmagalem się w literaturze, bardziej jeszcze w życiu. I, jak zawsze bywa z taką niedojrzałą mitologią, wydaje się ona niesłuchanie łatwa do przewyciężenia – a dopiero głębsze w nią wejście i ściślejszy rachunek sumienia ukazuje całą jej drapieżną niezniszczalność”³⁸⁷.

Przy okazji: powyższy fragment rzuca dodatkowe światło na podejście Gombrowicza do kwestii niedojrzałości. Jest ona bowiem nie tylko fascynującym choć groteskowym sposobem człowieka na przetrwanie w pustce i chaosie, ale też czymś osobliwie negatywnym. To ten wymiar *p o t w o r n o ś c i*, który fascynuje i przeraża zarazem. *U - f o r m o w a n i e* się w społeczeństwie tych szczególnych elit jawi się tu jako konsekwencja wcześniej omówionych przeze mnie procesów. W skrócie: Ja rzucając się w ramiona (bądź na pożarcie) drugiego człowieka, wywyższając go, doprowadza do powstania arystokracji; tym samym, Ja skazuje siebie na towarzystwo takiego osobnika i wszelkie tego reperkusje. Sama świadomość z kim Ja ma do czynienia, nie wystarcza.

Jak pisarz wyznaje:

„Co do mnie – czyż nie mogłem po prostu wzgardzić snobizmem i obrócić go wniwecz, ubierając siebie w te gotowe frazesy, które czekają na nas w takich wypadkach: »Nie, mnie to nie imponuje, dla mnie nie tytuł ma znaczenie, lecz wartość człowieka, nie, któż by wierzył w te śmieszne przesady!« I mówiąc tak nie skłamałbym o tyle, iż rzeczywiście byłoby to zgodne z moim rozumem, raczej postępowym i wypranym z owej przedwiecznej głupoty”³⁸⁸.

Gdzie tkwi haczyk?

„Ale, będąc prawdą, byłoby nią tylko do pewnego stopnia i takie postawienie sprawy nie jest według mnie dość inteligentne, owszem, świadczy o powierzchownym ujęciu – gdyż moc wszelkiej mitologii niedojrzałej na tym się zasadza, że ona daje się nam we znaki choć jej nie uznajemy i doskonale wiemy, że jest bzdurna. Wystarczy aby do dojrzałca, który proklamuje swoje wyzwolenie z przesądów, zbliżył się książę z krwi i kości, a w nim cała jego »równość« stanie się pracowita, wysilona, ha, będzie musiał dobrze mieć się na baczności aby nie stoczyć się w nierówność!”³⁸⁹.

Czy to oznacza, że autor *Ferdydurke* – niczym rasowy konserwatysta – podważa socjalistyczno-liberalną ideę równości i pisze o naturalnie zhierarchizowanym społecznym ładzie? Bynajmniej. Z wypowiedzi pisarza wynika natomiast, że Wyższość i Niższość są: 1) naturalnie wywołaną sztuczną kolejną rzeczą, która 2) może wzbudzać nasze święte oburzenie, lecz 3) nie jest

³⁸⁷Tamże, s. 78.

³⁸⁸Tamże, s. 78-79.

³⁸⁹Tamże, s. 79.

możliwa do przewyciężenia, a zarazem 4) ma prawo nas fascynować swą potwornością, niczym najlepiej sporządzony horror. Do entuzjazmu Gombrowiczowi więc bardzo daleko.

Pytanie: czy winniśmy zatem pogodzić się z tymi naturalnie-sztucznymi/sztucznie-naturalnymi nierównościami i zaakceptować arystokratyczną Wyższość? To uproszczony i bardziej konkretny wariant pytania o sens ucieczki jednostki przed Formą. W każdym razie, Gombrowicz nie neguje arystokratycznej Wyższości, mimo że nie jest nią zachwycony:

„Jeśli więc musisz bronić się przed tym, to dowód że jednak istnieje to coś! Sprawy nie zawsze układają się tak gładko, jak by tego pragnęła demokratyczna poczciwość”³⁹⁰.

Szczęśliwie dla nas, pisarz w tym miejscu nie kończy swych rozważań:

„I nietrudno pojąć, dlaczego muszą liczyć się z tymi hierarchiami nawet ci – nowocześni. **Czyż nie dlatego, że choć tobie markiz nie imponuje, imponuje jednak innym – zaś musisz liczyć się z innymi** [podkr. D.Ś.]. Nie przyjdzie ci łatwo potraktować za pan brat kogoś przed kim inne schylają się głowy – daremnie będziesz wymyślał im po cichu od głupców – i tak to niedojrzałość znajduje zawsze swoich ludzi i nimi się trzyma”³⁹¹.

Instynkt stadny *homo sapiens* podyktowany jest zatem niedojrzałością przedstawicieli gatunku. Potrzebujemy autorytetów, idoli, osób przy których czujemy się gorsi, by – paradoksalnie – poczuć się lepiej, nie zginąć w bezkresnej pustce kosmosu. Można więc stwierdzić, iż uczestniczymy w tym groteskowym rytuale niezależnie od stopnia gorliwości naszej wiary.

Gombrowicz zauważa jeszcze jedno:

„Ale można by także powiedzieć że, nie uznając wartości osobistej arystokraty, nie jesteśmy jednak nieczuli na fakt, że on jest produktem wielowiekowego luksusu (do którego wszyscy wdychamy), że jest uosobieniem bogactwa, beztroski, wolności, tworem środowiska które, słusznie czy niesłusznie, wydobyło się z nędzy życia”³⁹².

Mówiąc inaczej: nawet jeżeli danego człowieka uznamy za bezwartościowego, to jednak może on pełnić nad nami symboliczną władzę (i, w efekcie, stosować względem nas symboliczną przemoc), gdyż otoczony jest on swoistych nimbem naszych wyobrażeń, nakazujących nam bezwiednie padać przed jegomościem na kolana.

Cóż więc z tego, że:

³⁹⁰Tamże.

³⁹¹Tamże.

³⁹²Tamże.

„Arystokracja rodowa nie wyróżnia się zaletami. To ludzie nieraz źle wychowani. To niezbyt światłe umysły i jakże często rozmiękczone i niesmaczne charaktery. To bardzo kiepska estetyka i *charme* dość wątpliwy. Ich służba jest na ogół o wiele lepsza od nich, nawet pod względem manier. **Ale wady arystokracji wynikają z jej trybu życia, są świadectwem jej stopy życiowej i tę to stopę delikatną uwielbiamy wbrew moralnej i estetycznej naturze zjawiska** [podkr. D.Ś.]”.

Oto jaskrawy przykład naszej niedojrzałości. Zwróćmy też uwagę, że literat nie pozuje tu na d o j r z a l c a walczącego z absurdem powszechnego w jego czasach uwielbienia dla arystokratów, lecz sam przyznaje, że – mimo świadomości, z kim ma do czynienia – nie potrafi w pełni nie ulec urokowi elit rodowych.

Najwyższy już czas powrócić do kwestii bardziej wzniosłych i Gombrowiczowskiego kazania o „międzyludzkim”. Z każdym kolejnym słowem, atak na – ujmijmy to – oderwanych od człowieka ateistów, przybiera na sile:

„Dlaczego odmawiacie czci temu *przypadkowemu* wyrabianiu się z nas świata, jeśli nie bogów, to półbogów? Któż wam broni ujrzeć w tym Boskość wstającą z samych ludzi, nie zaś z nieba zstępującą? Czyż zjawisko to nie posiada cech boskich, będąc wynikiem siły międzyludzkiej, czyli nadrzędnej i twórczej w stosunku do każdego z nas z osobna? Czy nie widzicie, że tu nam się tworzy Wyższość w sposób nie dający się opanować?”³⁹³.

I na tym seria pytań się nie kończy:

„Dlaczego rozum wasz, ateści, z taką pasją oddał się abstrakcji, teorii, idei, racji, a nie dostrzega że tu, przed samym jego nosem, konkretnie, ludzkość jak fajerwerk coraz nowymi wystrzela Bogami i coraz nowymi objawieniami? Czyżby wydawało się wam to niesprawiedliwe – niemoralne – może nieuzasadnione duchowo? Ależ zapominacie, że gdyby to mieściło się w waszym duchu, nie byłoby siłą Nadrzędną, ani siłą Stwarzającą”³⁹⁴.

Gombrowicz, kreśląc swoją koncepcję, beztrąsko poddaje pod wątpliwość nieswoje idee. Oczywiście, w ten sposób może przysporzyć sobie niemałe grono krytyków, wątpliwe jednak by tonu *ex cathedra* używał mimowolnie bądź w naiwnej wierze, że w ten sposób przekona do swoich racji kogokolwiek z krytykowanej przez niego zbiorowości. W moim odczuciu, ten manifest jednej z kluczowych koncepcji Gombrowicza, utrzymany jest w mocno parodystycznym tonie. By całość nie wybrzmiała zbyt patetycznie, autor gorliwie oddaje się patosowi. A jest to na tyle przejaskrawione, że automatycznie przywodzi na myśl Fryderyka padającego na kolana:

³⁹³Tamże, s. 426-427.

³⁹⁴Tamże, s. 427.

„O, gdybym zdołał na koniec, ja, osobiście, dać drapaką – wymknąć się Idei – zamieszkać na stałe w tym kościele innym, z ludzi zrobionym! Gdybym wymógł na sobie uznanie *takiej boskości* – i otóż nie troszczyć się więcej o absoluty, a tylko czuć nad sobą, niewysoko, o metr nad głową zaledwie, taką grę sił stwarzających, z nas poczętych, jako jedyny Olimp osiągalny – i to uwielbiać”³⁹⁵.

Stworzyć kolejną, do granic napompowaną ideę, by wymknąć się idei – w taki oto sposób zdajemy się ponownie uczestniczyć w mordowaniu mszy. Tym razem Gombrowicz bezpośrednio odnosi się jednak nie do *Pornografii*, a do *Ślubu*:

„W *Ślubie* zawarte jest takie nabożeństwo i bez żartu napisałem we wstępie do tego utworu: tu duch ludzki uwielbia ducha międzyludzkiego. A jednak! Nigdy nie zdołałem się ukorzyć – u zawsze pomiędzy Bogiem międzyludzkim a mną groteska rodziła się, zamiast modlitwy... Szkoda! Gdyż tylko On – taki półbóg, z ludzi urodzony, »wyższy« ode mnie, ale tylko o cal, będący jakby pierwszym tylko wtajemniczeniem, tak niedoskonały, Bóg, słowem, na miarę mego ograniczenia – mógłby wydobyć mnie z przekłętogo uniwersalizmu, z którym ja sobie rady dać nie mogę i przywrócić do zbawczej konkretności. Ach, znaleźć swoje granice! Ograniczyć się! Mieć Boga ograniczonego!”³⁹⁶.

Oto kolejny dowód na to, że teksty Gombrowicza należy odczytywać całościowo. Interpretacją *Pornografii* można swobodnie interpretować *Ślub*.

Wracając jednak do meritum, finał kazania wygłoszonego przez Gombrowicza może zaskakiwać:

„Gorzko mi się to pisze... bo nie wierzę, aby kiedykolwiek dokonał się we mnie ten skok w ograniczenie. Kosmos nadal mnie będzie pochłaniał. Piszę to więc niezupełnie na serio, ot, jak retorykę... ale czuję przecież wokół siebie obecność natur ludzkich, odmiennych niż moja, czuję tę inność otaczającą mnie, zawierającą niedostępne dla mnie rozwiązania... więc jej to powierzam i niech ona robi z tym co chce”³⁹⁷.

Oto akt ostatecznego ofiarowania i n n e m u c z ł o w i e k o w i . Autor jawi się więc jako ten, który dotknął otwartej przez Fryderyka otchłani. I który, zamiast szczęśliwie i z ulgą rzucić się w ramiona dowolnego bóstwa, jakie spotka na swej drodze, wciąż pozostaje w pewnym niedopasowaniu, zawieszeniu. Gombrowiczowski ateizm to *quasi*-religia, do kultywowania której potrzeba – tak samo jak w przypadku innych, bardziej standardowych wyznań – wiary. A zamiast niej, pisarza zdaje się przenikać głębokie zwątpienie.

³⁹⁵Tamże.

³⁹⁶Tamże.

³⁹⁷Tamże.

W mojej ocenie, cytowane powyżej fragmenty *Pornografii* i *Dziennika* zawierają najbardziej skondensowaną wykładnię koncepcji „międzyludzkiego”. Nie jest to tylko nonszalanckie stwierdzenie w tonie „nie wierzę w Boga, tylko w człowieka”, lecz koncepcja niosąca za sobą niemały intelektualny ciężar. Samo odrzucenie Boga (czyli też tradycyjnego porządku, ideologii, zaszczyconych w nas przekonań – pamiętajmy, że Bóg Gombrowicza nie jest wyłącznie obiektem *stricte* religijnego kultu) zmusza do wypełnienia wytworzonej w naszym świecie luki. Łatamy ją więc nowym bóstwem, taki do którego nam najbliższej i właściwie jedynym, jakie mamy do dyspozycji, po tym jak pozbawiono nas możliwości oddania się abstrakcji.

3.1. Perspektywa *nature*

By uniknąć nieporozumień, podkreślmy że *perspektywę nature* traktować tu należy jako mój pewien skrót myślowy, za którym kryje się przeświadczenie o naturalnym pochodzeniu kościoła międzyludzkiego, czyli również – w konsekwencji – wspólnoty politycznej. W tym ujęciu, człowiek jawi się jako zwierzę polityczne, istota z natury przystosowana do życia w zbiorowości, jaką jest – na przykład – państwo.

Na pierwszy rzut oka, branie pod uwagę możliwości, iż tekstom Gombrowicza bliżej jest do tego stanowiska, sprawia wrażenie albo myślenia życzeniowego, albo czystej przekory. Czyż ten Gombrowicz, wzywający do skazanej na fiasko ucieczki przed Formą dla zachowania własnej godności, ze zgrozą podszytą fascynacją opisujący batożenie jednostki przez społeczeństwo, raz po raz rozprawiający o sztuczności społecznych relacji, mógłby zarazem dopatrywać się we wspólnocie politycznej naturalnego dla człowieka środowiska? Wątpliwości generują się zasadniczo same. Jeżeli jednak weźmiemy pod uwagę samą koncepcję „międzyludzkiego”, obraz staje się mniej klarowny. Cóż bowiem przyciąga jednostkę do drugiego człowieka: wyrachowanie, czy instynkt? Czynimy bóstwa z otaczających nas ludzi zgodnie z naszą naturą, czy wręcz przeciwnie, po to tylko by przetrwać, cierpiąc katusze żyjąc we wspólnocie? Proponuję więc, by kolejne dzieło Gombrowicza zinterpretować, poszukując najpierw wyłącznie przesłanek świadczących o stadnym aspekcie *homo sapiens*.

A jeżeli o *stądzie* mowa, nie sposób nie odnieść się do *Filiberta dzieckiem podszytego*. To opowiadanie jest kolejnym elementem zakłócającym konstrukcję *Ferdydurke* i – w mojej ocenie – mimo niewielkiej objętości tekstu, jednym z najbardziej zagadkowych i niepokojących dzieł Gombrowicza. Odczytując je, posiłkowałam się zatem innymi utworami pisarza, w których poszczególne Filibertowe motywy sprawiają wrażenie nieco bardziej przejrzystych i zrozumiałych. Ostatecznie, uczyniłam z *Filiberta...* matrycę pozwalającą na interpretację zachowań bohaterów

poszczególnych dzieł jako konsekwencji ich naturalnego pędu do życia we wspólnocie, również tej politycznej.

Pora przyrzeć się fabule. Tym razem Gombrowicz zaprasza czytelnika na groteskowy mecz tenisowy:

„Wieśniak z Paryża pod koniec osiemnastego stulecia miał dziecko, to dziecko miało znowu dziecko, a to dziecko znowu miało dziecko i znowu było dziecko; a ostatnie dziecko jako champion świata grało mecz tenisowy na korcie reprezentacyjnym paryskiego Racing Klubu, w atmosferze wielkiego napięcia i przy nieustannych, żywiołowych grzmotach oklasków”³⁹⁸.

D z i e c k o rozpoczyna utwór w lekki i humorystyczny sposób, lecz zarazem zakończy go w zgoła odmiennym stylu.

Nie uprzedzając wydarzeń:

„Jednakże (jak szalenie zdradliwe jest życie!) pewien pułkownik żuawów spośród publiczności, siedzącej na bocznej trybunie, pozazdrościł nagle bezbłędnej i porywającej gdy obu championom i chcąc także pokazać, co umie, wobec sześciu tysięcy zgromadzonych widzów (tym bardziej że obok siedziała jego narzeczona) – niespodziewanie łupnął z rewolweru do piłki w locie”³⁹⁹.

Pułkownik okazuje się być tym, który wywoła spektakularną reakcję łańcuchową. Zwróćmy uwagę na motywację bohatera. Kieruje się on: 1) zazdrością i 2) chęcią zaimponowania innym. Możemy przyznać, że taka postawa do szczególnie dojrzałych nie należy. Czy sprzyja ona funkcjonowaniu w jakiegokolwiek wspólnocie? Nieszczególnie, zwłaszcza z perspektywy osób zmuszonych do dzielenia przestrzeni z pułkownikiem. Ten butny i egoistyczny gest bohatera przewraca pierwszą płytkę domina:

„Piłka trzasnęła i spadła, championi zaś, pozbawieni zniecka obiektu, próbowali jeszcze czas jakiś machać raketami w próżni, lecz widząc niedorzeczność swych ruchów bez piłki, rzucili się na siebie z pazurami”⁴⁰⁰.

Na korcie zaszczerpiona zostaje agresja, która – jak wiadomo w przypadku Gombrowicza – może jedynie eskalować, przekraczając kolejne granice absurdu. O dziwo jednak, zgromadzenie widzowie dalej przykładowie pełnią rolę entuzjastycznych gapiów:

„Grzmot oklasków rozległ się wśród widzów”⁴⁰¹.

³⁹⁸ *Filibert dzieckiem podszyty* [w:] Bak., s. 233.

³⁹⁹ Tamże.

⁴⁰⁰ Tamże, s. 233-234.

⁴⁰¹ Tamże, s. 234.

Jednak nie każdemu dane jest beztrioskie uczestnictwo w widowisku:

„I na tym zapewne byłoby się skończyło. Lecz zaszła i ta dodatkowa okoliczność, że pułkownik w podnieceniu zapomniał czy też nie wziął pod uwagę (jak bardzo trzeba uważać!) widzów, siedzących po przeciwległej stronie placu na tak zwanej słonecznej trybunie. Zdawało mu się, nie wiadomo czemu, iż kula przebiwszy piłkę powinna była się skończyć; tymczasem, niestety, w dalszym swoim biegu ugodziła w szyję pewnego przemysłowca – armatora”⁴⁰².

Skoro więc odnotowaliśmy pierwszą niewinną ofiarę, w tym momencie musi się przewrócić kolejna tabliczka:

„Krew trysnęła z przebitej arterii. Żona zranionego pod pierwszym wrażeniem chciała rzucić się na pułkownika, wyrwać mu rewolwer, ale ponieważ nie mogła (gdyż była uwięziona w tłumie), dała po prostu w papę sąsiadowi z prawej strony”⁴⁰³.

Psycholog mógłby to zapewne określić mianem agresji przeniesionej, pozostając jednak w Gombrowiczowskim uniwersum: każda akcja musi spotkać się z reakcją, więc – zasadniczo – wydarzenia zdają się toczyć naturalnym biegiem.

Dodajmy tylko, że motywacja rozeźlonej żony armatora jest podbudowana niedojrzałością godną sprawcy całego zamieszania:

„A dała, ponieważ nie mogła wyładować inaczej wzbudzenia i ponieważ w najgłębszych zakamarkach jaźni, powodowana logiką czysto kobiecą, sądziła, że jako kobiecie jej wolno, bo cóż jej kto zrobi?”⁴⁰⁴.

Nie dość zatem, że mamy do czynienia z symetrią przemocy, to jeszcze niedojrzałość oprawców pozostaje ze sobą doskonale zestrojona. Trzecią oś symetrii wyznacza zaś całkowita przypadkowość ofiar:

„Okazało się jednak, że nie bardzo (jak nieustannie wszystko należy brać pod uwagę w kalkulacji!), gdyż był to utajony epileptyk, który pod wpływem wstrząsu psychicznego, wywołanego policzkiem, dostał ataku i wybuchnął jak gejzer, w drgawkach i konwulsjach. Nieszczęsna, znalazła się pomiędzy dwoma mężczyznami, z których jeden tryskał krwią, a drugi pianą”⁴⁰⁵.

⁴⁰²Tamże.

⁴⁰³Tamże.

⁴⁰⁴Tamże.

⁴⁰⁵Tamże.

Makabryczna scena nie wpływa jednak szczególnie na nastroje publiczności. Można odnieść wrażenie, że widzowie doskonale przystosowali się do nowych okoliczności i stanowią entuzjastyczny monolit:

„Grzmot oklasków rozległ się wśród widzów”⁴⁰⁶.

Dodam tylko, że nieprzypadkowo opisując koleje losu uczestników feralnej rozgrywki, zastosowałam metaforykę ustawionych w rzędzie kostek domina. Destrukcja bowiem nie traci na sile; w żadnym razie nie zanika, a wręcz przeciwnie:

„A wtedy jakiś pan, siedzący obok, w szalonym popłochu skoczył na głowę damie, siedzącej poniżej, ta zaś poniosła i wyskoczyła na plac, unosząc go na sobie całym pędem”⁴⁰⁷.

Ta reakcja jest, wbrew pozorom, również symetryczna – ale w swej niedorzeczności. Absurdalne działanie mężczyzny spotkało się z odpowiednio absurdalną reakcją przypadkowej kobiety, nieszczęśliwie zajmującej miejsce na trybunach tuż przed nim. Zauważmy, że ta symetryczna, mechaniczna groteskowość następujących po sobie działań nagle uderza w jednolitą strukturę publiczności. W tłumie zaczynają się krystalizować jednostki zachowujące się o d m i e n n i e. To o tych właśnie drobinach układających się od wpływem całkowitego przypadku w określone formy pisał Gombrowicz w swym *Dzienniku*. Jesteśmy więc świadkami przybierania nowego kształtu przez falę:

„I na tym zapewne byłoby się skończyło. Ale zaszła jeszcze taka okoliczność (jakże wszystko zawsze trzeba przewidywać!), że nieopodal siedział pewien skromny, utajony marzyciel-emeryt w stanie spoczynku z Tuluzy, który z dawien dawna na wszelkich publicznych widowiskach marzył o skakaniu na głowy osobom siedzącym niżej i tylko siłą dotąd się od tego powstrzymywał”⁴⁰⁸.

Interesującym spostrzeżeniem na temat owej reakcji łańcuchowej podzielił się swego czasu Artur Sandauer. Mianowicie, stwierdził iż „[...] *Filibert dzieckiem podszyty* pozostawia zdarzeniom swobodę: wydaje się, jakoby nie podlegały one szeregującej i celowej woli autora. I jeśli przesadne byłoby sformułowanie, że bohaterowie czynią tu co innego, niż chce autor, to w każdym razie nowela ta w y w o ł u j e w r a ż e n i e [podkr. oryg.], jakoby czynili co innego i wymykali się ustawicznie jego pisarskiej tyranii. A o wywołanie złudzenia przecież właśnie chodzi... Jeśli *Ferdynurke* w całości jest satyrą na konwencjonalność czynów ludzkich, to *Filibert* – na

⁴⁰⁶Tamże.

⁴⁰⁷Tamże., s. 234-235.

⁴⁰⁸Tamże, s. 235.

konwencjonalność kompozycji literackiej. **Jeśli tam o – człowieka, tu chodzi o sztuczność autora, która jest kontynuacją tamtej** [podkr. D.Ś.]⁴⁰⁹. Możemy zatem domniemywać, że Sandauer – być może – widziałby w dziele Gombrowicza dominację pierwiastka *nurture*. W świetle cytowanych wcześniej fragmentów *Dziennika* dotyczących „międzyludzkiego kościoła” i wymaganego przez samego autora możliwie szerokiego odczytywania jego tekstów, moglibyśmy mieć pewne pretensje do krytyka literackiego. *Ferdydurke* jako „satyra na konwencjonalność czynów ludzkich” to odczytanie trafne, lecz niewyczerpujące tematu. Jest jednak pewien haczyk: cytowany przeze mnie komentarz ukazał się na łamach „Naszego Wyrazu” w 1939 roku. Oznacza to tyle, że uniwersum Gombrowicza dopiero się wówczas krystalizowało i do pewnych treści Sandauer, po prostu, nie mógł mieć dostępu.

Odczytajmy więc dalszą część jego wypowiedzi jako przykład świeżego (choć może nieco powierzchownego) i niezmaconego jeszcze ani interpretacjami gombrowiczologów, ani samego Gombrowicza, spojrzenia na tekst: „Podczas gdy człowiek dotwarza do swego czynu *ex post* społeczny cel i interpretację, starając się zatuszować i przekonać siebie i innych, że taka była jego początkowa i istotna intencja, to autor, tworząc już na tym fikcyjnym gruncie, kształtuje czyny swych bohaterów tak, jak gdyby nie było w nich zgoła elementów nie zamierzonych [sic!], a same utwory – jak gdyby zdarzenia, posłuszne jego pisarskiemu celowi, nie śmiały ani na chwilę zboczyć z głównego gościńca. Filibert natomiast bierze jako punkt wyjścia nie intencję autora, ale jakiegokolwiek zdarzenie, śledząc jego automatyczne obradanie i wielokierunkowe fale. Zamiast konstrukcji celowej mamy tu przyczynową. [...] Znak, że rozpoczynamy skądkolwiek, bez zamiaru dojścia gdziekolwiek, nacinamy w jakim bądź punkcie ciągły bieg wydarzeń”⁴¹⁰. Sandauer zauważa zatem to, co w późniejszych komentarzach sam Gombrowicz będzie akcentował. A mianowicie: wymykanie się fabuły jej twórcy, nieomal samoistne stwarzanie się dzieła literackiego. Co już zasygnalizowałam we wstępie do rozprawy, sam pomysł mówienia o „intencji autora” uważam za nieszczerze fortunny, niemniej jednak spostrzeżenie krytyka, iż Gombrowicz jako pisarz – pozornie zupełnie tracąc kontrolę nad własnym dziełem – gra na przekór naszym czytelniczym przyzwyczajeniom, jest jak najbardziej przydatne w interpretowaniu wszystkich jego utworów.

Tymczasem, tabliczki domina upadają więc z coraz donioślejszym trzaskiem:

„Porwany przykładem, momentalnie skoczył na damę siedzącą poniżej, która (a była to drobna urzędniczka świeżo przybyła z Tangeru w Afryce) sądząc, że tak wypada, że tak właśnie trzeba,

⁴⁰⁹A. Sandauer, „*Ferdydurke*” [w:] *Gombrowicz i krytycy*, dz. cyt., s. 76.

⁴¹⁰Tamże, s. 76-77.

że to w wielkowiejskim tonie – również poniosła, przy czym starała się nie okazać żadnego skrępowania w ruchach”⁴¹¹.

Anomalia zachowań staje się nowym trendem. Co więcej: stopniowo staje się nową normalnością:

„I wtedy kulturalniejsza część publiczności jęła taktownie klaskać, by zatuszować skandal wobec przedstawicieli obcych poselstw i ambasad, tłumnie przybyłych na mecz”⁴¹².

Możemy przyjąć, że pod wpływem pierwszego nienaturalnego/nietypowego dla okoliczności meczu zachowania w stadzie widzów zaczęło krystalizować się nowe, mniejsze stadko – bardziej aktywne, ekspansywne (bo – co już uzgodniliśmy – w końcu taka jest cecha każdego Ja) i stopniowo zarażające swym zachowaniem pozostałych członków. W obliczu tego pędu ku modyfikacji charakteru rosnącej części zbiorowości, wszelkie próby powstrzymania bądź chociaż zatuszowania procesu, muszą zakończyć się dotkliwą porażką:

„Ale i tu zaszło nieporozumienie, bowiem mniej kulturalna część wzięła oklaski za dowód uznania – i również dosiadła swych dam”⁴¹³.

Sam opór okazuje się zaś doskonałym nośnikiem do dalszego rozprzestrzeniania się groteskowej hipiki:

„Cudzoziemcy coraz większe objawiali zdziwienie. Cóż wobec tego pozostało kulturalniejszej części towarzystwa? Dla niepoznaki także dosiadła swych dam”⁴¹⁴.

Nie mamy więc do czynienia z tworzeniem się dwóch odrębnych stad, lecz raczej z wchłanianiem starego przez nowe. Pierwsza zbiorowość zachowywała się w sposób tradycyjny i przystający w naszym rozumieniu do okoliczności. Druga zaś – wskutek przemocy, głupoty i niedojrzałości, podkreślmy, członków pra-stada, nikogo z zewnątrz – buduje nowy ład, w którym szaleństwo jest normą, nowym konwenansem. Zauważmy: pierwsze stado przedstawia się tu jako odpowiednik „kościół boskiego”, w którym panują pewne zasady. Na przykład takie: w trakcie meczu tenisowego nikt nie przeszkadza zawodnikom, a zadaniem publiczności jest zgoła bierne śledzenie rozgrywki i nagradzanie championów oklaskami. Nowe stado unieważnia ten etos. Ważne jest to, co robi t e n d r u g i , reakcja, naśladownictwo.

⁴¹¹ *Filibert...*, dz. cyt., s. 235.

⁴¹² *Tamże*.

⁴¹³ *Tamże*.

⁴¹⁴ *Tamże*.

Na tym etapie moglibyśmy już właściwie postawić kropkę i przystąpić już do *stricte* politologicznej analizy wydarzeń, jednak okazuje się, że w fabule pozostało nieco nieprzewróconych jeszcze płytek domina:

„I prawie na pewno byłoby się na tym skończyło. Lecz wówczas niejaki markiz de Filiberthe, siedzący w łoży parterowej z żoną i rodziną żony, nagle poczuł się dżentelmenem i wyszedł na środek placu w letnim, jasnym garniturze, bład, ale stanowczy – i chłodno zapytał, czy kto, i kto mianowicie, chce tu obrazić markizę de Filiberthe, jego żonę? I cisnął w tłum garść biletów wizytowych z napisem: Philippe Hertal de Filiberthe. (Jak szalenie musimy być ostrożni! Jak trudne i zdradne jest życie, jak nieobliczalne!) Zapanowała martwa cisza”⁴¹⁵.

Harmonię nowopowstałego „międzyludzkiego” zakłóca kolejna niepokorna jednostka, która najwidoczniej czuje się bardziej dżentelmenem, niż jeźdźcem. Problem polega na tym, że jego próba zabłyśnięcia w towarzystwie zostaje zrealizowana w (symetrycznie) absurdalny sposób.

„I naraz stępa, z wolna, oklep, na rasowych, cienkich w pęcinnie, eleganckich i strojnych kobietach jęło podjeżdżać do markizy de Filiberthe nie mniej niż trzydziestu sześciu panów, by ją obrazić i poczuć się dżentelmenami, skoro mąż jej, markiz, poczuł się dżentelmenem”⁴¹⁶.

Warto zwrócić uwagę, że nowe stado samodzielnie przeddefiniowało znaczenie poszczególnych pojęć i w nowym języku bycie dżentelmenem rymuje się z uwłaczaniem kobiecie. Dlaczego? Ponieważ jeden z bogów tak zadecydował. Zadziałała tu mechanika, podobna do tej *Szczurzej*, która nakazuje jednostkom reagować automatycznie na określone bodźce. Dlatego też tak konsekwentnie widzów zgromadzonych na korcie określam mianem stada. Niemal wszyscy uczestnicy rozgrywki przypominają dzikie zwierzęta kierujące się instynktem, zawiadowane przez zmieniających się samców i samice alfa. Filibert okazuje się więc nowym przywódcą bądź też czynnikiem zmieniającym kształt fali. I tym razem nagle przekształcenie formy drobin musiało zakończyć się czymś niezawinionym cierpieniem:

„Ona zaś ze strachu poroniła – i kwilenie dziecka ozwało się u stóp markiza pod kopytami tratujących kobiet”⁴¹⁷.

Dziecko stanowi więc klamrę dla dziczejacej z każdą chwilą niedojrzałości wszystkich zgromadzonych na korcie. A ostatnią emocją towarzyszącą Filibertowi jest, tak dobrze znany innym gombrowiczowskim bohaterom, wstyd:

⁴¹⁵Tamże, s. 235-236.

⁴¹⁶Tamże, s. 236.

⁴¹⁷Tamże.

„Markiz, podszyty dzieckiem tak nieoczekiwanie, opatrzony i uzupełniony dzieckiem w momencie, gdy występował pojedynczo i jako dżentelmen dorosły sam w sobie – zawstydził się i poszedł do domu – podczas gdy grzmot oklasków rozlegał się wśród widzów”⁴¹⁸.

Groza sytuacji, jak to zwykle w dziełach Gombrowicza bywa, pozostaje albo niezauważona, albo znormalizowana. Osobiście, przychyliam się do drugiej opcji.

Co interesujące, pierwotna wersja opowiadania jest tekstem pod wieloma względami mniej niepokojącym. Ze względu na jego nieomal telegraficzną długość, pozwolę sobie przytoczyć utwór w całości:

„Wieśniak z Wilna miał dziecko, to dziecko miało znowu dziecko i znowu było dziecko. Ostatnie dziecko, jako champion, grało z porywającym mistrzostwem mecz na kortach Legii. Jednakże pewien sympatyczny rotmistrz, porwany niebiańską serią crossów, nie mógł wytrzymać – i chcąc także pokazać co umie wobec sześciu tysięcy zgromadzonych widzów, niespodziewanie łupnął z browninga do piłki w locie. Piłka trzasnęła ku bezmiernemu zdumieniu obu grających championów. Pozbawieni zniemacka obiektu, próbowali jeszcze czas jakiś machać rakietami w próżni, lecz widząc bezsens swych ruchów, rzucili się na siebie z pazurami.

Ale zaszła i ta dodatkowa okoliczność, że rotmistrz w roztargnieniu (jak często się zdarza), nie wziął pod uwagę widzów, siedzących po przeciwnej stronie. Kula, przebiwszy piłkę, jak masło, ugodziła dyrektora wytwórni. Oburzona tym faktem dama obok, nie mogąc dosięgnąć mordercy, dała w twarz sąsiadowi z prawej. Sądziła, że jako kobiecie jej wolno, bo cóż kto jej robi? Ale okazało się, że nie bardzo (jak to trzeba uważać), gdyż był to utajony epileptyk i nie drocząc się zbytnio, wybuchnął jak gejzer.

A wtedy w szalonym popłochu inny znów sąsiad wskoczył na głowę damie, siedzącej poniżej, ta zaś poniosła i wyskoczyła na arenę, unosząc go ze sobą całym pędem. Nie uwzględnili jednak (bo zawsze się o czymś zapomni), że nieopodal siedział pewien skromny buchalterzyna z Łodzi, mający wielki pociąg do naśladownictwa. Momentalnie wskoczył on na swoją damę (świeżo przybyłą z głębokiej prowincji), która znów, sądząc, iż tak wypada – również poniosła, przy czym starała się nie okazać żadnego skrępowania w ruchach.

Kulturalniejsza część towarzystwa jęła taktownie klaskać, by zatuszować popełniony nietakt, ale i tu zaszło nieporozumienie, bowiem mniej kulturalna część wzięła to za dowód uznania i także dosiadła swych dam w myśl zasady – albośmy to jacy tacy, chłopcy krakowiacy. Cóż pozostało wobec tego kulturalniejszej części towarzystwa? Dla niepoznaki także dosiadło swych dam.

Ale wtedy niejaki pan Malinowski, nagle poczuwszy się dżentelmenem, wyszedł na środek w tużurku, blady, ale stanowczy, z rękami w kieszeniach i chłodno zapytał – czy kto i kto mianowicie chce tu obrazić panią Malinowską? Po czym cisnął w tłum dwa pudełka biletów wizytowych z napisem: F. Malinowski. Zapanowała martwa cisza. I naraz z wolna, stępa, oklep jęło podjeżdżać do pani Malinowskiej nie mniej, niż

⁴¹⁸Tamże.

trzydziestu sześciu panów, by ją obrazić i poczuć się dżentelmenami, skoro on się poczuł⁴¹⁹.

W mojej ocenie, ewolucja tej historii daje nam kilka istotnych wskazówek do pełniejszego interpretowania Gombrowicza. Widzimy wyraźnie, że tekst, dojrzewając, stawał się bardziej przygnębiający, a sama groteska uległa wyostreniu. Pierwotny tytuł noweli – *Mechanizm życia* – z jednej strony ułatwia nieco odczytanie finalnego dzieła, z drugiej zaś, być może, zdradza wręcz zbyt wiele, jak na Gombrowiczowskie standardy.

Czytelnik ma też prawo odnieść wrażenie, że *Filibert...* był dziełem bardziej dopracowanym, bogatszym o pewne niuansy i, wbrew pozorom, bardziej klarowny w swym przekazie. Dziecko jako fabularna kłamra daje czytelnikowi poczucie jakiegokolwiek sensu, zaspokaja jego potrzebę uporządkowania świata, chciałoby się rzec, ponownie nawiązując do *Kosmosu*.

Zwróćmy też uwagę, że *Mechanizm...* nie daje odbiorcy złudzenia braku kontroli autora nad dziełem; nie ma tu mowy o niemal mistycznym, prawie samoistnym stwarzaniu się tekstu. Oczywiście, nie oznacza to, że tekst pierwotny i ostateczny dzieli jakakolwiek przepaść. Niemiłosierna relacja przyczynowo-skutkowa jest bowiem rdzeniem obu utworów. Sedno pozostaje więc nienaruszone.

Jak zauważa Jerzy Jarzębski, „Świat *Mechanizmu życia* jest totalnie deterministyczny, wszystkie kolejne zdarzenia musiały zajść w takim a nie innym porządku i zarazem wszystkie wzięły udział w przygotowaniu finałowego efektu”⁴²⁰ – i dokładnie to samo powiedzieć można o historii dzieckiem podszytego Filiberta.

Perspektywa nauk o polityce narzuca nam jednak skoncentrowanie się na nieco innych aspektach utworu. W *Mechanizmie...* uderzający jest, na przykład, b r a k e n t u z j a s t y c z n y c h r e a k c j i p u b l i c z n o ś c i, powtarzających się w *Filibercie...* niczym refren. Z jednej strony, oklaski budowały poczucie wspólnoty, z drugiej natomiast – z racji, że towarzyszyły sytuacjom, którym towarzyszyć w żadnym razie nie powinny – wywoływały pewien niepokój. Jak celnie zauważa Jan Błoński, „Ale publiczność (społeczeństwo) stara się tę niezwykłość [dla kontekstu: sytuacje poza normą/obyczajem – D.Ś.] oswoić czy wykorzystać. Nagradza więc »grzmotem oklasków« dziwaczne wydarzenia, **legalizuje je lub uspołecznia** [podkr. D.Ś.]. Dziękuje oklaskami championom, którzy nie przerwali widowiska. Groźną sytuację nieszczęsnej kobiety, która »znalazła się między dwoma mężczyznami, z których jeden tryskał krwią, a drugi pianą« – uznaje, klaszcząc, za efektowne widowisko. Także widząc jazdę

⁴¹⁹W. Gombrowicz, *Pisma zebrane. Ferdynurke*, red. W. Bolecki, J. Jarzębski, Z. Łapiński, oprac. W. Bolecki, Kraków 2007, s. 262-263.

⁴²⁰J. Jarzębski, *Gra w Gombrowicza*, dz. cyt., s. 210-211.

zboczonego emeryta na prowincjonalnej urzędniczej... stara się oklaskami »zatuszować skandal«, czego nie pojmuje »mniej kulturalna« część widzów, która postanawia użyć sobie także podobnej przejażdżki! Porządek przywrócić chce markiz, odwołując się do tradycyjnych rytuałów honoru. Lecz jazda na damach, jeszcze przed chwilą wzbroniona, stała się wskazana (jeśli nie konieczna). Została już zagarnięta, przyswojona przez społeczną regułę! Markiz będzie miał do czynienia »z nie mniej niż trzydziestoma sześcioma przeciwnikami«. Godne uwagi, że w nowym zwyczaju Gombrowicz nie widzi wyzwolenia instynktu czy zwycięstwa nonkonformizmu: przeciwnie, teraz dopiero społeczna mechanika działa z pełną mocą!⁴²¹ Muszę przyznać, że ostatnie zdanie tej interpretacji mnie zastanawia i skłonna byłabym z nim dyskutować. Choć sama nie wiem, coż Gombrowicz w tej kolei wypadków widział, odnoszę wrażenie że jednoznaczne stwierdzenie triumfu społecznej mechaniki nad instynktem może być zbyt daleko idącym uproszczeniem. Mówiąc inaczej: nic nie stoi na przeszkodzie, aby owa mechanika była konsekwencją instynktu, w tym przypadku, mocno stadnego. Nie chodzi mi o domniemane zwycięstwa dzikości nad uspołecznieniem, lecz raczej o to, że być może samo zestrojenie z drugim człowiekiem może tkwić w naturze jednostki i nie jest zewnętrznym przymusem.

Pora przyjrzeć się bliżej kategorii biologii w twórczości Gombrowicza. Wydawać by się mogło, że autor *Ferdydurke* maksimum swej uwagi poświęca raczej kulturze zniewalającej jednostkę i stanowiącej determinantę jej zachowań. Wspólnota urabia, formuje człowieka, narzuca mu swoją sztuczność. Nie może być więc czymś naturalnym, a samo życie w społeczeństwie jawi się jako pogwałcenie ludzkiej natury, nieprawdaż? Takie podejście niebezpiecznie zbliża nas do wąskiego, quasi-socjologicznego podejścia, właściwego przytaczanej wcześniej interpretacji Sandauera.

Dla kontrastu, zdradzę więc co na temat Gombrowiczowskiego biologizmu miał do powiedzenia (cieszący się zresztą niewątpliwą sympatią literata⁴²²) François Bondy: „**Gombrowicz powiedział mi kiedyś, iż *Iwona, księżniczka Burgunda* unaocznia biologię** [podkr. D.Ś.] i stwierdzenie to wydaje mi się wielce prawdziwe. Dla niego biologia istnieje w równie silnym stopniu, jak społeczeństwo. Lata młodości, wiek dojrzały, starość wreszcie są zjawiskami

⁴²¹J. Błoński, *Forma, śmiech i rzeczy ostateczne*, dz. cyt., s. 87.

⁴²²Wnioskuje to z korespondencji pomiędzy autorami. A dla ilustracji przytaczam fragment dedykacji dla Bondy'ego z maja 1967 roku, w której Gombrowicz dziękuje za okazywane mu wsparcie:

„Mój drogi François, to Pan
odkrył mniejsze
wylansował
spierał
bronił
narzucił
ukoronował

a dzisiaj do nówek upadam, z moimi dwudziestoma tysiącami, w konwulsjach doprawdy niewysłownych”.
Listy Witolda Gombrowicza do François Bondy'ego [w:] R. Gombrowicz, *Gombrowicz w Europie*, dz. cyt., s. 91.

biologicznymi, które odegrać mogą w życiu znacznie większą rolę aniżeli przynależność do określonej grupy społecznej. Zawsze kładę nacisk w moich esejach poświęconych Gombrowiczowi **na wagę biologii w jego twórczości i na fakt uświadamiania sobie przezeń czynnika biologicznego** [podkr. D.Ś.]. Jest to niezwykle ważne. Żyjemy dzisiaj w epoce, ogólnie rzecz biorąc, naznaczonej przez marksizm. Natura nie istnieje, tak jak nie istnieje **natura człowieka** [podkr. D.Ś.]. W jednostce widzimy jedynie to, co uczyniło z niej społeczeństwo. Nie ma już »dzikusa«, lecz jedynie człowiek, który należy do takiej, a nie innej klasy społecznej, środowiska, języka. **U Gombrowicza zaś panuje natura** [podkr. D.Ś.]. Z resztą powiedział o tym w ten sposób: »W Polsce, którą uważam za mniej cywilizowany kraj, natura i biologizm jeszcze dla nas istnieją«. Akcentując ten biologiczny aspekt człowieka, Gombrowicz uzmysłowił mi coś zupełnie nowego, lecz zarazem coś, co mogłem rozpoznać w sobie samym⁴²³.

Rozłożmy tę wypowiedź na czynniki pierwsze, bowiem warta jest jak najwyższej uwagi. Pytanie pierwsze: co można rozumieć przez „unaocznienie biologii” w *Iwonie*...? Sam Gombrowicz w komentarzu do sztuki wspomina o „biologicznej dekompozycji” głównej bohaterki, która to „rodzi niebezpieczne skojarzenia, nasuwa każdemu na myśl własne lub cudze braki i defekty”⁴²⁴. Mówi to skądinąd niewiele na temat samej b i o l o g i c z n o ś c i owej dekompozycji⁴²⁵. Sprawę rozjaśnia nieco interpretacja dramatu poczyniona przez Jerzego Franczaka: „*Iwona, księżniczka Burgunda* [...] to historia dziewczyny, którą postanowił poślubić książę Filip. Skąd ten kaprys? Czyżby czuł jakiś perwersyjny pociąg do tego »dziewczęcia odpychającego, rozlazłego«? A może – jak sugeruje autor – wręcz przeciwnie, wybuchł w nim »bunt przeciw prawu natury, które młodzieńcom nakazuje kochać tylko powabne dziewczęta»? Problem w tym, że »prawo natury« pokrywa się z nakazem kulturowym, wszyscy bowiem spodziewają się, że następca tronu wybierze sobie piękną dziewczynę z własnej sfery społecznej. Działanie Filipa, podyktowane przekorą, nie posiada wywrotowego potencjału. Czynnikiem rozkładowym okazuje się sama Iwona, której niema obecność każe wszystkim myśleć o własnych brakach i grzechach [...]. Dziewczyna funkcjonuje wśród dworzan na zasadzie psychoanalitycznego testu Rorschacha – niczym plama o niewyraźnych konturach, na którą projektujemy podświadome obsesje, lęki i pragnienia”⁴²⁶.

„Biologiczna dekompozycja” Iwony uderza więc w cały majestat królewskiego dworu, ale – niejako po drodze – godzi w pojedyncze Ja na ów dwór się składające. I rzeczywiście: Iwona

⁴²³F. Bondy, *Wypowiedź spisana w Zurychu 7 sierpnia 1985* [w:] R. Gombrowicz, *Gombrowicz w Europie*, dz. cyt., s. 76.

⁴²⁴*Iw.*, s. 7.

⁴²⁵Odsyłam również do artykułu Mariana Bieleckiego, „*Iwona, księżniczka Burgunda*” i „*Historia*”, czyli o *arogancji kulturowego dyskursu*, „*Pamiętnik Literacki*” 2010, nr 101/3, s. 55-71. W publikacji została zaakcentowana i zniuansowana kwestia Gombrowiczowskiego biologizmu.

⁴²⁶J. Franczak, *Trzy i pół dramatu* [w:] *Iw.*, s. 463.

demontuje porządek społeczny, ale rozkład ten jest konsekwencją rozszczępu poszczególnych jednostek wskutek wywleczenia z ich nieświadomości materiałów dalece kompromitujących. „Dwór popada w niezdrowe, szydercze chichoty”⁴²⁷, gdyż w Iwonie tkwi c o ś wymykającego się konwenansowi, społecznym normom czy kulturowym nakazom. Nie mamy tu jednak do czynienia z prostą antynomią natura-kultura, bowiem – przypomnijmy – Gombrowicz pisał o b i o l o g i c z n e j d e k o m p o z y c j i . Mówiąc inaczej, błąd który pojawił się w systemie, dotyczy sfery natury. *Iwona...* nie jest historią do bólu naturalnej dziewczyny, której to naturalność degraduje sztuczny społeczny ład. Natura jako taka nie jest tu żadnym problemem. To biologia bohaterki jest wyraźnie zaburzona (co w dramacie wyraża się banalnym brakiem seksapilu) i to zakłócenia na poziomie biologicznym generują reakcję łańcuchową, której doświadcza dwór.

Nietrudno nie zauważyć, że próbując uchwycić ten problem, terminy „biologia” i „natura” traktuję jako synonimy. Co oczywiste, w tekstach Gombrowicza słowo „biologia” nie odnosi się do nauki o funkcjonowaniu i budowie organizmów żywych, lecz raczej do tego, co pozostaje w człowieku (lub może z człowieka?), kiedy zedrżemy z niego wszystkie filtry, którymi pokrywa się funkcjonując w społeczeństwie. Mówiąc najprościej, Gombrowicz bynajmniej nie bawi się w przyrodnika, lecz dostrzega w człowieku coś, co wymyka się... no właśnie, czemu?

To c o ś , co leży u fundamentów Iwony, jest uszkodzone (lub może tylko odbiegające od normy?) – a wszystkie tego społeczne konsekwencje dają jedynie dowód na istnienie owej usterki/anomalii. Zestawmy moją interpretację z dalszym komentarzem Franczaka: „Oto dramat międzyludzkiej formy: Iwona odmawia uczestnictwa w językowej grze, która podtrzymuje społeczne status quo. Jej milczenie pełni funkcje demaskacyjne: pałacowy konwenans w zderzeniu z tą niepokojącą, nieokreśloną biernością ujawnia swoją sztuczność i arbitralność. Skoro Iwona nie chce odgrywać przypisanej jej roli, musi zginąć, niczym kozioł ofiarny, złożony w ofierze po to, by na nowo scementować wspólnotę”⁴²⁸. Literaturoznawca porusza tu bardzo ważną kwestię. Iwona, odrzucając uczestnictwo w grze językowej, izoluje się od drugiego człowieka. Sądzę, że do tego możemy sprowadzić „biologiczną dekompozycję” bohaterki. Chodzi w tym wszystkim o świadomą rezygnację z konwencjonalnego komunikowania się z innym Ja. Mówiąc inaczej, Iwona milcząc, dokonuje swoistej apostazji z „międzyludzkiego kościoła”.

I tu ponownie musimy się odwołać do tekstu Franczaka: „milczenie Iwony można też utożsamić z buntem; pozwala jej ono przewyciężyć narzucone poczucie niższości i obronić się przed presją otoczenia, a nawet zyskać nad nim pewną przewagę. Iwona milczy »przeciwko frazesowi«, a także przeciwko systemowi stereotypów, zbudowanemu w ramach maskulinistycznej

⁴²⁷Iw., s. 7.

⁴²⁸J. Franczak, *Trzy i pół dramatu*, dz. cyt., s. 463-464.

kultury. Cofając się przed wejściem w język, odmawia wejścia w płęć (tak jak odmówiła przyjęcia roli uwodzicielki, którą narzucały jej ciotki). W ogóle Iwona, jako byt wsobny i samowystarczalny, ma w sobie coś demonicznego i stanowi zagrożenie dla mowy, która spaja podmiot ze światem. Jej zabójstwo to rytualny mord ocalający świat i język⁴²⁹. W świetle tych słów nikogo nie powinna zaskoczyć konkluzja, iż Iwona jest jedną z nielicznych postaci dzieł Gombrowicza, której realnie udało się uciec Formie.

Problem polega na tym, że straty zdecydowanie przyćmiły w tym przypadku korzyści. Bohaterka ostatecznie wymykając się Formie, traci życie. „A jednak” – jak trafnie zauważa Franczak – „po jej śmierci zapada kłopotliwe milczenie; oto świat zaraził się ciszą, język został zainfekowany niemą traumą, nie poddającą się żadnej symbolizacji”⁴³⁰.

W związku z powyższym, sądzę że *Iwona*... może wiele wniesić do refleksji nad politycznością, ale – jak to przypadku twórczości Gombrowicza bywa – zbyt beztrzesko zinterpretowana, może też wiele spłaszyc i zdeformować. Pisał o tym zresztą sam autor. Przywołajmy tylko fragment *Testamentu*:

„Ale skłonny jestem przypuścić, że mam jakiegoś pecha, dzięki któremu to co najprostsze, najwyraźniejsze, w moich utworach jest odbierane w sposób najbardziej fantastyczny i dzisiaj jeszcze zdarza mi się czytać recenzje z *Iwony* w których mowa, że to satyra polityczna na reżim komunistyczny w Polsce, że Iwona jest Polską, czy też wolnością, lub że to »satyra na monarchię«. Uff! Mniejsza z tym, co innego wydaje mi się godne podkreślenia. Naprzód, że **Iwona bardziej jest rodem z biologii, niż z socjologii** [podkr. D.Ś.]. Po wtóre, że jest rodem z owego bezdroża mojego, gdzie mnie dopadła nieograniczona dowolność kształtu, ludzkiego kształtu, jego rozwiążłość, jego wyuzdanie. Ciągłe więc to we mnie było... i ja byłem w tym...”⁴³¹.

Odnoszę wrażenie, że biologię wolno tu utożsamiać z czymś jednostkowym, prywatnym, natomiast socjologię – z czymś zbiorowym i publicznym. Co więcej – ujmijmy to wreszcie wprost – biologia jest tu ściśle skonotowana z pojęciem ludzkiej natury. Idąc tym tropem, coś w naturze *Iwony* szwankowało na tyle, by uniemożliwić jej funkcjonowanie we wspólnocie. Sądzę, że to poważna przesłanka pozwalająca nam stwierdzić, że „kościół międzyludzki” wybudowany jest na naturalnym/biologicznym fundamencie.

Wracając do wypowiedzi Bondy’ego: dziennikarz zwraca uwagę, że pewne biologiczne czynniki mogą intensywniej wpływać na jednostkę niż sama p r z y n a l e ż n o ś ć . Nie jest to może najbardziej szokujące odkrycie, jakiego śledząc twórczość Gombrowicza można dokonać,

⁴²⁹Tamże, s. 464.

⁴³⁰Tamże.

⁴³¹Test., s. 27-28.

jednak za tym pozornym truizmem kryje się istotny klucz do interpretacji; klucz, którego nie małe grono komentatorów – co już odnotowaliśmy – nie zdołało zdobyć i wykorzystać. Ten wyraźny prymat natury nad kulturą był, co odnotowuje Bondy⁴³², zjawiskiem dość egzotycznym na tle przesyconej marksistowskim spojrzeniem na człowieka literatury światowej.

Współcześnie takie podejście nieszczególnie zadziwia i bez trudu wyliczyć możemy szereg tekstów kultury, które biologizmem stoją. Jako przykład podam *Drobiazg* Markéty Baňkovej o wiele sugerującym podtytułe *Miłość w czasach genetyki*⁴³³. Protagonista powieści otaczający go świat i siebie samego odbiera w sposób, który mógłby Gombrowicza zafascynować. Dla ilustracji, niewielka próbka tekstu: „Siedziałem w kawiarni w klubie studenckim Ryba przy ulicy Benátskiej w Pradze, parę kroków od Wydziału Nauk Przyrodniczych, gdzie już piąty rok studiuje genetykę. Miałem nastrój właściwy popołudniowej sjeście po obfitym obiedzie, a mój organizm skoncentrował się na błogości wynikającej z procesów trawiennych. Przeżute jedzenie spoczywało w żołądku, gotowe wyruszyć w drogę przez jelito cienkie, gotowe, by przeprowadzić magiczną przemianę polisacharydów w glukozę, która wraz z krwią przedostanie się do moich tkanek wyposażonych w sieć minielektronów zwanych mitochondriami. Tam odbędzie się kunsztowne połączenie produktów rozpadu glukozy z tlenem, w wyniku czego powstanie energia napędzająca moje młode, zdrowe i w sumie dość atrakcyjne dwudziestotrzyletnie ciało”⁴³⁴. Oczywiście, Baňková idzie w swym biologizmie wiele kroków dalej od autora *Ferdydurke*, jednak sama idea akcentowania przeżuwaną, trawioną i wchłanianą i – w konsekwencji – nieróżniącą się znacząco od pozostałych zwierząt cząstki człowieka jest dla obojga pisarzy charakterystyczna. Polski autor nie zagłębia się, rzecz jasna, w tajemnice mitochondriów, niemniej jednak zwraca uwagę na ludzkie instynkty i najbardziej pierwotne popędy, które mogą być – co najwyżej – maskowane i którym – co najwyżej – próbujemy nadać nieco wznioślejsze znaczenie.

Gombrowiczowska *d z i k o ś ć* człowieka (a może po prostu niesprowadzanie jednostki zaledwie do roli kulturowego produktu?) nie oznacza jednak negacji roli życia wspólnotowego. Powiedziałabym raczej, że życie wspólnotowe jawi się jako konsekwencja biologii, naturalne jej następstwo. Spójrzmy tylko na motywację pułkownika z *Filiberta dzieckiem podszytego*. Bohater pragnie jak najlepiej zaprezentować się reszcie stada, *t y m b a r d z i e j*, że obok siedzi jego narzeczona. Zaimponowanie widowni zgromadzonej na meczu może być drogą do zaimponowania

⁴³²Dodajmy, że Bondy nie jest odosobniony w akcentowaniu roli biologii w twórczości Gombrowicza. Spójrzmy tylko na fragment publikacji Francesca M. Cataluccia: „W paryskich i berlińskich refleksjach pisarza daje się zauważyć bunt wobec idei, że człowieka można uznać za wolnego – w chorobie, na wojnie, w strachu przed cierpieniem. **Wolność człowieka i wolność jego świadomości kończą się tam, gdzie zaczynają się naturalne potrzeby ciała** [podkr. D.Ś.]”. F.M. Cataluccio, *Gombrowicz filozof*, dz. cyt., s. 8.

⁴³³M. Baňková, *Drobiazg*, przekł. D. Dobrew, Warszawa 2019.

⁴³⁴Tamże, s. 10. Pozwoliłam sobie przytoczyć polski przekład powieści, ponieważ nie koncentrujemy się na jej języku, a jedynie na sposobie prowadzenia narracji.

wybrance, więc – odrzucając wszystkie społeczne konwenanse i wzniosłości – kryje się za tym wszystkim czysto fizjologiczna potrzeba⁴³⁵. A nawet gdyby narzeczonej na trybunach nie było: pułkownikowi ewidentnie zamarzyło się zostać samcem alfa. Rodzi się w tym miejscu jak najbardziej uzasadnione pytanie: czy, w związku z tym, że cel bohatera wygląda na zgoła samolubny (choć, przekornie i zapędzając się zbyt daleko w swych dywagacjach, moglibyśmy uznać, że zaimponowanie narzeczonej prowadzące, być może, finalnie do przedłużenia gatunku, jest działaniem dalece nieegoistycznym, a wręcz prospołecznym...), nie moglibyśmy znaleźć w biologii potwierdzenia tezy, że funkcjonowanie i – w konsekwencji – dostosowanie się do wspólnoty nie jest czymś, na co jednostka pozbawiona zewnętrznych ograniczeń byłaby skora przystać.

Proponuję dwa możliwe rozstrzygnięcia. Myślę, że moglibyśmy spojrzeć na pułkownika jak na alter-ego nieszcześnej Iwony. Być może bohater również cierpi na biologiczną dekompozycję, która nakazuje mu zachowywać się w sposób odbiegający od normy. Niewykluczone, że pułkownik jest niezdolny do uczestnictwa w rytuale śledzenia przebiegu tenisowej rozgrywki. Nie chodzi o to, że chęć zaimponowania komukolwiek jest czymś nienaturalnym (bo już uznaliśmy, że nie), jednak przyznać trzeba, że już sama droga realizacji tego zamierzenia budzić może wiele zastrzeżeń. Drugi możliwy scenariusz przedstawia się następująco: być może powinniśmy przededefiniować znaczenie egoizmu w Gombrowiczowskiej optyce i odnotować, że nawet egoistyczne zachowania bohaterów są jednak mocno zogniskowane na drugim człowieku. Pułkownik, niby to realizując swoje osobiste cele, zasadniczo robi wszystko, by w oczach drugiego człowieka dostrzec uznanie. Mówiąc inaczej, uwaga protagonisty nie jest wcale nakierowana na niego samego, a na to, jak zostanie odebrany przez innych. Bez spojrzenia t e g o d r u g i e g o , nieważne czy będzie nim narzeczonej, czy widz siedzący kilka krzeseł dalej, pułkownik stanie w obliczu przerażającej pustki kosmosu.

Pierwsza opcja pozwala nam skonstatować, że w sprawnie działającym system wdarła się pewna anomalia, która doprowadziła do przeformułowania reguł gry. Kreśląc zręby fabuły *Filiberta...* zwróciłam uwagę, że wskutek niestandardowego działania i swoistej nadgorliwości bohatera (dodajmy: nadgorliwości rymującej się z pobożną modlitwą pornograficznego Fryderyka), tradycyjny kościół przekształca się na oczach w ten bardziej dziki, bo międzyludzki, pozbawiony zbędnych, abstrakcyjnych idei. Pułkownik tak bardzo daje się ponieść atmosferze wydarzenia, tak bardzo się w nim zanurza, aż udaje mu się przełamać jego Formę, zburzyć cały ład. To sytuacja analogiczna do fragmentu *Filidora...*, w którym Analityk strzela w kierunku żony Syntetyka.

⁴³⁵Zainteresowanym fizjologicznym aspektem uczucia opiewanego przez poetów polecam lekturę: R. Dunbar, *Anatomia miłości i zdrady*, przekł. Z. Lamża, Kraków 2016.

Drugi scenariusz natomiast nie zakłada żadnego błędu. I, muszę przyznać: ta opcja, zwłaszcza z politologicznej perspektywy jest bardziej kusząca. Tu, ponownie, wraca temat chaotycznych drobin układających się w dowolne kształty. Być może porządek, który obserwujemy dosłownie przez moment i który zostaje zburzony nieprzemyślanym wystrzałem w kierunku piłeczki tenisowej, osiągnął właśnie swoje apogeum. I być może ta fala, która narastała w trakcie rozgrywki, z hukiem uderzyła o brzeg w momencie zranienia przypadkowego widza. Gwałtowne rozproszenie kropli wody – brnijmy jeszcze przez moment w tę metaforę – jest więc naturalną konsekwencją wszystkich wcześniejszych procesów. Co więcej: sama podjęta przez bohatera próba zaimponowania tłumowi jawi się w tym przypadku jako oczywistym wynikiem eskalacji sportowych popisów. Pułkownik chce w tym brać udział jeszcze intensywniej, jako (nad?)aktywny uczestnik wydarzenia.

Z tej perspektywy, widoczny jest w nim osobliwy pierwiastek *zoon politikon*. Bohater pragnie zaznaczyć swe miejsce we wspólnocie, zaimponować jej (a przecież wszyscy zebrani na korcie paryskiego Racing Klubu oczekują tego zaimponowania, choć może niekoniecznie strzeleckimi popisami pułkownika), bowiem dzięki temu ma szansę przejrzeć się w oczach innego Ja, a wręcz – mrowia Ja. I, co więcej – zobaczyć w tych oczach uznanie, dzięki któremu mógłby być człowiekiem godnym szacunku. Mówiąc inaczej, zachowaniami bohatera może kierować pęd ku drugiemu człowiekowi – pragnienie przynależności do wspólnoty, w której mógłby się realizować jako jednostka. I brak w tym wszystkim jakiegokolwiek zewnętrznego przymusu.

Niezależnie od tego, czy przyjmiemy pierwszy, czy drugi wariant, zasadnicza kwestia pozostaje niezmienna. Mianowicie: w tym świetle, nikt naszego pułkownika nie zmusza do naciśnięcia na spust. Trzeba jednak zważyć na jedną, kluczową dla nas kwestię. Dość naturalnie przychodzi nam konotowanie przeświadczenia o społecznej/politycznej naturze człowieka z kategorią altruizmu. Pisałam o tym zresztą, komentując wyniki badań Fransa de Waala. U Gombrowicza sprawa wygląda jednak inaczej. Otóż, mimo wszystko, praktycznie każdy z bohaterów jego dzieł literackich jest egoistą. Aby zrozumieć, jak to się ma do koncepcji *zoon politikon*, trzeba przyjrzeć się problemowi z zupełnie innej strony...

3.2. Perspektywa *nurture*

Czas więc na zmianę perspektywy o sto osiemdziesiąt stopni. Zapomnijmy na moment o wcześniej sformułowanych wnioskach i spróbujmy odczytać Gombrowicza przyjmując założenie, iż „kościół międzyludzki” (czyli też, w domyśle, wspólnota polityczna) jest tworem całkowicie sprzecznym z naturą jednostek. Rozpatrujemy go więc jako całkowicie sztuczną konsekwencję

społecznej umowy, z jednej strony mocno ograniczającej ludzi i będącej przyczyną ich cierpień, z drugiej zaś – pozwalającej im na przetrwanie.

Dla pełniejszego wglądu w twórczość pisarza tym razem analizie poddana zostaje nowela, która nie uwzględnia perspektywy tłumu, a koncentruje się na perypetiach konkretnych jednostek. *Dramat baronostwa* jest, w przeciwieństwie do *Filiberta...*, nieco mniej znanym tekstem Gombrowicza, w którym śledzimy losy pewnego nie do końca udanego, jak się okaże, małżeństwa:

„Baronowa była czarującym stworzeniem. Baron wziął ją z rodziny pełnej zasad i miał prawo do zupełnej ufności, pomimo iż dość głęboko nadgryzł go już ząb czasu... a jednak drzemał w niej niepokojący żywioł wdzięku i czaru, który łatwo mógł skomplikować praktyczne zastosowanie imponderabiliów barona (gdyż baron był wielkim skrupulantem)”⁴³⁶.

Z racji, iż przez fabuły Gombrowicza przewinął się już niejeden skrupulant, możemy przyjąć już na starcie, że baron będzie postacią całkiem podobną i do sędziego Skorabkowskiego, i do Analityka z Colombo. Kiedy więc bohater stanie w obliczu zagrożenia, mamy prawo podejrzewać, jak spektakularnie małostkowe, chytne i skryte będą jego reakcje. A owo zagrożenie pojawia się już na pierwszej stronie opowiadania:

„Po dłuższym pożyciu, opromienionym cichym szczęściem małżeńskiego obowiązku, baronowa przybiegła kiedyś do męża i zarzuciła mu ręce na szyję. – Uważam, że powinnam ci to powiedzieć. Kocha się we mnie Henryk... wczoraj wyznał mi miłość, tak szybko i niespodziewanie, że nie zdążyłam temu przeszkodzić”⁴³⁷.

Na podstawie tego wyznania możemy domniemywać, iż baronowa jest wierną żoną, która wysoce ceni sobie szczerłość. Bohater jednak woli się upewnić:

„– A ty czy także kochasz się w nim? – zapytał”⁴³⁸.

Odpowiedź powinna przynieść mu spokój:

„– Nie, nie kocham go, ponieważ tobie ślubowałam miłość – odparła”⁴³⁹.

Zwróćmy jednak uwagę na pewien szczegół. Baronowa nie mówi o uczuciu do małżonka jak o podstawowym gwarancie jej wierności, ale raczej o przyrzeczeniu, u m o w i e którą w dniu ślubu zawarła z baronem. Wyglądać to może tak, jakby nie miała wglądu we własne uczucia, a raczej zachowywała się zgodnie z tym, co przystoi wzorowej żonie. Być może to dość daleko posunięte

⁴³⁶ *Dramat baronostwa* [w:] Bak., s. 295.

⁴³⁷ Tamże.

⁴³⁸ Tamże.

⁴³⁹ Tamże.

rozważania, jednak w świetle dalszych wypadków, mogą mieć rację bytu. Wystarczy spojrzeć na odpowiedź barona:

„– A więc bardzo dobrze – odrzekł. – Jeśli kochając się w nim, nie kochasz go, gdyż twym obowiązkiem mnie kochać – zyskałaś podwójnie w moich oczach i kocham cię dwakroć więcej”⁴⁴⁰.

Po pierwsze: styl wypowiedzi bohatera zdaje się przywodzić na myśl inny, absolutnie nie Gombrowiczowski tekst kultury. Mam na myśli Biblię, a zwłaszcza historię syna marnotrawnego o przypowieść o talentach. Nie chodzi tu wyłącznie o specyficzną formę i logikę wypowiedzianych przez bohatera słów. Pisarz, bawiąc się ewangelicznym tonem, buduje absurdalną fabułę, w której baron z jednej strony jest pełen miłosierdzia dla potencjalnej, powiedzmy to z ogromnym przekąsem, nierządnicy, z drugiej zaś – wciela się w starotestamentowego Sędziego, bezlitośnie karzącego za zło i przewinienia:

„A jego cierpienia są słuszną karą za dowód słabości charakteru, który złożył, durząc się w mężatce”⁴⁴¹.

Dalszą część odpowiadania warto więc przeanalizować mając na uwadze tę religijną analogię. Współgra to dobrze z całym założeniem „międzyludzkiego kościoła”, w którym przecież człowiek staje się nowym bogiem. Dodajmy – bogiem, który daje swemu wyznawcy konkretne wytyczne odnośnie sprawowania kultu:

„Zasady! – moja droga! Jeśli jeszcze raz wyzna ci miłość, odpowiedz, że i ty wyznajesz – ale zasady. Kto ma niezłomne zasady, ten może przejść przez życie z podniesionym czołem”⁴⁴².

Widzimy więc, co jest naczelną wartością dla barona i co – w jego kościele – ma regulować międzyludzkie relacje. Okazuje się jednak, że kult to trudny i wyzwalający ogrom cierpień:

„Ale po pewnym czasie doszły barona fatalne wieści. Henryk nie miał najmniejszego hartu. Odpalony przez baronową rozpił się, hulał; potem dostał melancholii, nic go nie interesowało, świat stracił dlań swój powab i patrzył już tylko na księżą oborę. Przebąkiwano powszechnie, że przyczyną jego wkrótce spodziewanego zgonu będzie nieszczęśliwa miłość”⁴⁴³.

W tym momencie w baronie ponownie rozpala się groteskowa litościwość, tym razem nakierowana na Henryka, a uderzająca w wierną jemu i zasadom małżonkę:

⁴⁴⁰Tamże, s. 295-296.

⁴⁴¹Tamże, s. 296.

⁴⁴²Tamże.

⁴⁴³Tamże.

„Ładna sprawa! – rzekł baron do żony. My tu sobie jemy przekąski, a on tam nic przełknąć nie może... rozumiesz?... gdyż twój obraz stoi mu przed oczyma. Ciekawy jestem, co on w tobie widzi, przecież żyję z tobą tyle lat, a nigdy nie czułem do ciebie nic, co by nazwać można gwałtownym. W każdym razie sprawa jest poważna i dziwię ci się, że tak dobrze wyglądasz, wiedząc, że przez ciebie cierpi ten nieszczęśliwy”⁴⁴⁴.

Gombrowicza można więc nazwać mistrzem w konstruowaniu pasywnie-agresywnych postaci. Baron bowiem metodycznie, krok po kroku, wpędza swoją żonę w przytłaczające poczucie winy:

„W tydzień potem przyszedł w jeszcze gorszym humorze. – Winszuję! – rzekł ironicznie – możesz być zadowolona! Twoje wdzięki okazały się bardzo skuteczne, Henryk jest już na wsiadany”⁴⁴⁵.

I owa sumienność w zadręczaniu baronowej przynosi doskonałe rezultaty:

„– Cóż ja mogę poradzić? – odparła ze łzami. – Nie kokietowałam go, nie mam sobie nic do wyrzucenia”⁴⁴⁶.

Co ciekawe, okazuje się, że największą winą jego żony jest jej uroda, nad którą przecież na biologicznym poziomie bohaterka nie sprawuje kontroli:

„– Jeszcze by tego brakowało! Ty jesteś przyczyną jego beznadziejnego stanu, twoje to filigrany, twoje rysy i kształty są bakcylem, który go przeżera”⁴⁴⁷.

Natura zderza się więc z przyzwoitością i zasadami. Co więcej – jest czynnikiem, który wprowadza chaos i rujnuje relacje między małżonkami. Baronowa jednak nie do końca rozumie reguły gry, gdyż (my wiemy, że niepotrzebnie) pozostaje wobec męża szczerą i lojalną:

„– Cóż pocnę? On oszalał. Czy wiesz, o czym wspomniał wtedy, gdy mi się oświadczył? O rozwodzie!”⁴⁴⁸.

Znając usposobienie protagonisty, można się tylko domyślić, że każde wypowiedziane przez małżonkę słowo, stać się może gwoździem do jej własnej trumny:

„– Co? Rozwód? Chyba nie jesteś **jeszcze** [podkr. D.Ś.] ładacznicą. Owszem zresztą, dostaniesz rozwód, ale wiesz kiedy? – gdy umrę, gdy wyzionę ducha, który wyznaje pewne niezłomne zasady”⁴⁴⁹.

⁴⁴⁴Tamże.

⁴⁴⁵Tamże.

⁴⁴⁶Tamże, s. 297.

⁴⁴⁷Tamże.

⁴⁴⁸Tamże.

⁴⁴⁹Tamże.

Zwrócić uwagę powinna swoista spontaniczność w kreowaniu problemu. Nadmiernie dobroduszna małżonka nieświadomie prowokuje bohatera o niełatwym usposobieniu do tworzenia sztucznych utrudnień. Co więcej, baron projektuje na swoją żonę wszystkie swoje bezpodstawne obawy. Gombrowiczowskie *Cogito* działa w tej sytuacji bez zarzutu. A empatia baronowej wyzwała tylko kolejne fatalne konsekwencje:

„– A jeśli on skona?”⁴⁵⁰.

Jak się okazuje, czyjaś troskę można bez trudu obrócić w wyrachowanie:

„– Skona! – krzyknął w ostatniej pasji. – To szantaż, dla którego ja nie będę łamał przysięgi, iż cię zachowam aż do śmierci!”⁴⁵¹.

Upredmiotowiona bohaterka staje się więźniem z a s a d y. Zwróćmy uwagę, że w kłótni małżonków na dalszy plan zepchnięte zostają ich uczucia – uwagę barona absorbuje przede wszystkim dopełnienie przyrzeczenia i utrzymanie statusu *quo*. Nigdzie nie ma mowy o tym, by faktycznie pragnął dzielić życie z baronową. Chodzi tu przede wszystkim o sztuczną zasadę, która z każdą chwilą wywiera wyraźniejsze piętno na wrażliwej bohaterce:

„Baronowa przeżywała okropne chwile. Za nic nie chciała postąpić nieetycznie, a znów z drugiej strony serce krajało jej się na myśl o cierpieniach Henryka. W dodatku baron, członek wielu towarzystw, powziął do niej wyraźną idiosynkrazję. Nie mógł wprost patrzeć na jej krasę”⁴⁵².

W tak sztucznej relacji, empatia i moralność zdają się jedynie przeszkadzać w funkcjonowaniu. Bohaterka staje się ofiarą na ołtarzu wyższej idei, czyli trwania w związku małżeńskim aż do śmierci. Sytuacja jest o tyle absurda, że sama baronowa nie planowała rozwodu, jednak wskutek manipulacji barona, została wtrącona do więzienia własnego małżeństwa, z którego wcześniej nie zamierzała nawet uciekać. Co więcej, takie jej cechy jak szczerść i lojalność, pozornie sprzyjające budowaniu relacji, okazały się tymi, które ugodziły w wyznawaną/ustanowioną przez barona ideę. Z zewnątrz absurd sytuacji jest bardziej niż widoczny. Prowadzi on jednak do kluczowej w Gombrowiczowskim uniwersum emocji. Mianowicie, w s t r ę t u :

⁴⁵⁰Tamże.

⁴⁵¹Tamże.

⁴⁵²Tamże.

„Jej życie fizjologiczne [podkr. D.Ś.] stało mu się wstrętne. Kiedyś zaproponował jej: – może bułeczkę? – a gdy odmówiła, roześmiał się z niesłychanym szyderstwem: – ha, ha, on tam kona, ona zjeść nie może bułeczki”⁴⁵³.

Wstręt oznacza zaś równię pochyłą, po której bohaterka zmuszona jest się staczać:

„Gdy snuła się przez pokoje, wdzięcznie przeginając się w biodrach, gdy uśmiechała się blado, gdy spała, lub czesała się, widział w tym akty bezecnego okrucieństwa i ponurego seksualizmu”⁴⁵⁴.

Ekspansywne baronowe Ja doprowadziło więc bohaterkę – w imię zasady – do przejęcia całkowicie obcych jej cech:

„Kiedyś przytuliła się do niego. – Proszę mię nie dotykać – krzyknął. – Zbrodniarka! Wplątałaś mię w ładną sytuację, ani słowa. Widzę teraz, że człowiekowi moralnie odpowiedzialnemu nie wolno kojarzyć się z cudzą cielesnością pod żadnym pozorem”⁴⁵⁵.

Baron tymczasem przywdziewa gębę ofiary. Co więcej – jako dobre, miłosierne bóstwo – nieustannie troszczy się o życie Henryka:

„– No! – rzekł baron. – Tak dalej być nie może. Dziś rano dowiedziałem się, że chciał popełnić samobójstwo”⁴⁵⁶.

Wątek odebrania sobie życia przez bohatera odgrywa w twórczości Gombrowicza niebagatelną rolę. Przypomnijmy sobie tylko scenę ze *Ślubu*, w której protagonista nakłania swego przyjaciela do popełnienia samobójstwa. I czyni to w sposób szczególny:

„Wyjaśnię ci mój plan działania. Jest to plan niezmiernie prosty i nawet oschły.

Kazałem zwołać wszystkich na bal dworski.

Na balu tym ja i ona wytworzymy między sobą jak największą ilość miłości za pomocą spojrzeń, uśmiechów, pieszczot etc. Wytworzymy między sobą miłość, czystość i wierność... jak dawniej między nami bywało. Jednocześnie zmuszę tę bandę, żeby za pomocą objawów czci i uwielbienia napompowała mnie boskością – i wówczas najspokojniej dam sobie i jej ślub, który zalegalizuje i uświęci wszystko... Cóż w tym dziwnego? Nic.

Nic.

Nic. Ale rozumiesz, że ja naprzód muszę przewyciężyć to, co między wami się wytwarza... i co mnie osłabia... Potrzebuję siły.

Ty zaś odbierasz mi ją...

⁴⁵³Tamże.

⁴⁵⁴Tamże, s. 297-298.

⁴⁵⁵Tamże, s. 298.

⁴⁵⁶Tamże.

Więc teraz ci powiem
Coś dosyć niespodziewanego: **będziesz musiał**
Zabić siebie samego – i to jedynie
Z tego powodu, że ja ci to każę
I że mnie się zachciało... [podkr. D.Ś.]⁴⁵⁷.

Trudno o entuzjastyczne przyjęcie takiej prośby, toteż Władzio odpowiada Henrykowi następującymi słowy:

„Też propozycja!”⁴⁵⁸.

Henryk jednak uspokaja przyjaciela:

„Ja wiem, że to trochę... niemądre... Myślisz, że się nie wstydzę? Okropnie to jest sztuczne. Ale ja to mówię tylko tak... na próbę... Jestem ciekawy, jak też to zadźwięczy – rozumiesz? Naturalnie
To wszystko nie jest na serio
Któż by to brał poważnie!
Mnie idzie tylko o to, żeby posłuchać własnego głosu. Ale chciałbym też posłuchać, jak brzmi to, co ty powiesz. Dlatego cię proszę:
Pochyl głowę i zegnij trochę ręce i nogi, skurcz się nieco
I powiedz:
»Jeśli chcesz, Henryk, to tak, bardzo chętnie«⁴⁵⁹.

Jak wiemy, ostatecznie słowa te jednak zostały wypowiedziane bardzo serio. Na tyle serio, by doprowadzić do śmierci Władzia, który to rani się nożem. Co ważne, nożem, wręczonym nieszczęśnikowi przez samego Henryka. Jerzy Franczak komentuje to zajście w następujący sposób: „Henryk przejmuje władzę i ustanawia prawo kościoła międzyludzkiego: w miejscu transcendentnego Absolutu lokuje człowieka, przeciwko władzy konieczności wybiera nieskrępowaną wolność. Chce stać się twórcą siebie samego, dlatego postanawia sam sobie udzielić ślubu. Nim to uczyni, musi uzyskać potwierdzenie własnego boskiego statusu (a rajże stwórczej mocy słowa, gdyż ślub to akt czysto performatywny). Do tego nie wystarczą zbiorowe hołdy, potrzebna jest pieczęć w postaci wzniosłej ofiary – dlatego Henryk sugeruje Władziowi, by ten się zabił. Ale żaden rytuał nie zażegna kryzysu wartości, jeżeli odbędzie się w aksjologicznej pustce. Pozostanie wyzutym z symboliki, pustym gestem, który na powrót odda świat władaniu chaosu. Oto paradoks: śmierć Władzia ma przydać ciężaru rzeczywistości i usankcjonować nowy ład, ale zarazem pozbawia Henryka ostatniego punktu oparcia. Jeżeli Władzio jest upostaciowieniem

⁴⁵⁷Ś., s. 224-225.

⁴⁵⁸Tamże, s. 225.

⁴⁵⁹Tamże.

tęsknoty za zwyczajnością, jego zniknięcie wydaje protagonistę *Ślubu* lękowi i doświadczeniu pustki⁴⁶⁰. Problem bowiem nie tkwi w tym, że śmierć Władzia jest bezsensowna; Henryk przecież pragnął tego bezsensu. Okazuje się jednak, że jej bezsens staje się... bezsensowny, gdyż protagonista myli się w swych kalkulacjach. Mówiąc inaczej: sens samobójstwa Władzia miał polegać na jego bezsensie, ale stało się inaczej. Teraz zestawmy tę myśl z wypowiedzią barona:

„Czy ty w ogóle zdolna jesteś pojąć, iż pchnąć kogoś do samobójstwa to znacznie gorzej, niż udusić go własnymi rękoma?”⁴⁶¹.

Baron, być może, nie chce widzieć swojej żony w roli protagonisty *Ślubu*. To znaczy: nie pozwala, by zyskała boski status tej, która może doprowadzić do absurdalnej śmierci człowieka. Na tym poziomie, bohater usiłuje zablokować sprawczość żony i w swej wielkoduszności wyraża z g o d ę na realizację planu, który to – jak pamiętamy – nigdy jej planem nie był:

„Ten chłystek pozbawiony zasad zgubi nas i siebie. Zdecydowałem się – nie możemy obarczać sumienia tak straszliwą odpowiedzialnością. Jeśli nie ma innej rady – trudno, daję ci moje placet, zgadzam się, a ty w imię wyższej konieczności rób swoje, to znaczy to, co ci dyktuje twoja brudna kobiecość”⁴⁶².

Baronowa reaguje zaś analogicznie do Władzia, który w wyniku manipulacji Henryka ostatecznie wypowiada słowa: „Dobrze. JEŻELI CHCESZ, TO BARDZO CHĘTNIE”⁴⁶³. Przy czym bohaterka *Dramatu*... jest mniej w swojej zgodzie nieco mniej entuzjastyczna:

„– Jeśli istotnie nie ma innej rady, a ty uważasz to za najstosowniejsze, zgadzam się – rzekła. – Mnie samej ciężko, ale Bóg świadkiem, że jestem zupełnie niewinna”⁴⁶⁴.

Kobieta pokornie decyduje się na całkowite podporządkowanie swemu bogu, który zdecydował się uczynić z niej – posługując się wciąż biblijną nomenklaturą – cudzołożnicę. Ofiara baronowej przyczynia się do uzdrowienia Henryka⁴⁶⁵, jednak nie poprawia sytuacji w jej domu:

„Odtąd młody człowiek zaczął powracać do zdrowia. Natomiast baronowa mizerniała coraz bardziej. Piekło miała w domu. Mąż zażądał, by jadała przy osobnym stoliku i sprawił dla niej oddzielne nakrycie. Kiedyś, gdy dotknęła go przypadkiem: – Brudzisz mnie – rzekł z zimną

⁴⁶⁰J. Franczak, *Trzy i pół dramatu*, dz. cyt., s. 467-468.

⁴⁶¹*Dramat...*, dz. cyt., s. 298.

⁴⁶²Tamże.

⁴⁶³Ś., s. 227.

⁴⁶⁴*Dramat...*, dz. cyt., s. 298.

⁴⁶⁵Przyznaję, że ograniczona pula imion wykorzystywanych przez Gombrowicza może nieco skomplikować holistyczne odczytywanie jego dzieł.

obojętnością. – Spójrz! dotknęłaś mnie, muszę przerwać czytanie i pójść się umyć do łazienki.
– Często wymykało mu się obrażające słowo: cudzołożczyni⁴⁶⁶.

Samo dostrzeżenie b r u d u ludzkości w kontekście „międzyludzkiego kościoła” nie jest niczym negatywnym. Wręcz przeciwnie: oznacza zbliżenie się do prawdy. Problem polega jednak na tym, że brudna w tym towarzystwie jest wyłącznie sama baronowa, natomiast jej mąż ma względem siebie wręcz odwrotne odczucia.

A to pozwala mu na niczym nieskrępowane wywyższanie się nad swoją ofiarą:

„O czwartej wyjmował zegarek: – No – mówił – czas na ciebie, pora już na rozpustną filantropię⁴⁶⁷.”

Zapewnienia żony o jej niewinności przynoszą zaś odwrotny skutek. Sprawiają, że to baron z każdą chwilą czuje się bardziej czysty i nieskalany:

„O jedno cię proszę – odpowiadał – nie wprowadzaj przynajmniej do domu atmosfery wyrozumiałości i tolerancji dla grzechu. Bo w takim razie powinniśmy zaprosić na obiad pospolite ulicznice, które przecież Bogiem a prawdą też są niewinne⁴⁶⁸.”

Dodajmy, że baronowa nie pozostaje biernym odtwórcą narzuconej jej roli. Niejednokrotnie podejmuje się wyrwania z Formy cudzołożnicy, jednak każda jej próba skazana jest na niepowodzenie, gdyż ręce wiązuje jej własna wrażliwość na krzywdę Henryka:

„Baronowa zrozpaczona, kilkakrotnie chciała przerwać przymusowy swój romans, ale za każdym razem młody człowiek groził samobójstwem i widać było, że nie mówi na wiatr⁴⁶⁹.”

Szantaż (narzuconego jej) kochanka doprowadza bohaterkę niemal do ostateczności:

„– Nie – rzekła baronowa – dłużej nie wytrzymam. Życie stało się dla mnie niewysłowioną udręką. Popadłam w okropne grzechy – a dlaczego? Gdyż jestem ponętna. Nikt nie zrozumie, kto sam na sobie nie może doświadczyć, jak to dziwnie pod względem moralnym – być ponętną. Dostyc mam tego. Oszpecę się, nie wiem tylko, czy Henryk to zniesie⁴⁷⁰.”

Pomysł byłby całkiem błyskotliwy, gdyby nie fakt, że sama baronowa od razu zauważa, że jego prawdopodobną konsekwencją może się również okazać krzywda Henryka. Pewnikiem jest zaś jej

⁴⁶⁶ *Dramat...*, dz. cyt., s. 298-299.

⁴⁶⁷ *Tamże*, s. 299.

⁴⁶⁸ *Tamże*.

⁴⁶⁹ *Tamże*.

⁴⁷⁰ *Tamże*.

własne nieszczęście. Okazuje się jednak, że zapatrzony w siebie (i zasady) baron jest taką propozycją szczerze zachwycony:

„– Tu cię poznaję! – zawołał z entuzjazmem jej mąż. – Henryka istotnie może to przyprawić o szaleństwo, ale w takiej opresji, jak nasza, trzeba ryzykować, a zresztą przygotujemy go odpowiednio”⁴⁷¹.

Nie brakuje również dowodów miłości barona:

„Na dowód zaś, że ja, twój mąż, solidaryzuję się z tobą zawsze, gdy idzie o brzemię moralne – oszpecę się także”⁴⁷².

Baronowej jednak daleko było do zachwytu:

„– Niewiele będziesz miał do roboty – rzekła z gryzącą ironią”⁴⁷³.

W każdym razie, w imię sztucznych zasad, plan zostaje przez baronostwo szybko zrealizowany:

„Udali się do swoich pokojów, skąd wkrótce wyszły dwie maski. Baron uściskał i ucałował żonę. – Teraz trzeba jeszcze odpowiednio na cios ten przygotować Henryka. I napisał list”⁴⁷⁴.

O następującej treści:

„Z przykrością muszę powiadomić pana o okropnym wypadku mojej żony. Jeden z jej amantów w ataku zazdrości o drugiego wielbiciela, który właśnie niedawno przestał być platoniczny – oblał ją witriolejem. Biedaczka utraciła wdzięki, z których tak wszechstronny umiała robić użytek. Niech pan przyjdzie ją obejrzeć. Nota bene ja sam, ratując ją, uległem także strasznemu zniekształceniu”⁴⁷⁵.

Zwróćmy uwagę, że dodatkowym – i najpewniej zbędnym – smaczkiem, jest dalej posunięte oczernianie baronowej, której przecież jedynym wielbicielem był Henryk. Absurdalna powinność zostaje jednak przykładowo dopełniona:

„– Uczyniliśmy wszystko, co do nas należało – oświadczył [baron – D.Ś.]”⁴⁷⁶.

⁴⁷¹Tamże, s. 299-300.

⁴⁷²Tamże, s. 300.

⁴⁷³Tamże.

⁴⁷⁴Tamże.

⁴⁷⁵Tamże.

⁴⁷⁶Tamże.

Kalkulacje protagonisty okazują się całkowicie błędne. J e d y n ą ofiarą oszpeccenia staje się baronowa, co pewnie nie przysporzyłoby bohaterowi szczególnych zmartwień. Problem polega jednak na tym, że wraz z odtrąceniem przez Henryka, kobieta zapalała do swego kochanka prawdziwą miłością:

„Zdawało się, że Henryk oszaleje, lecz wiadomość o wiarołomstwie kochanki dodała mu sił. Przetrwał swoje uczucie, które nie mogło ostać się potwornemu widokowi. Za to baronowa zaczęła gwałtownie niknąć i wkrótce wyszło na jaw, że przyczyną złośliwej blednicy jest miłość do Henryka, która wybuchnęła w niej po zerwaniu z żywiołową siłą”⁴⁷⁷.

A to, w świecie barona, oznacza całkowitą katastrofę:

„– Czy klątwa ciąży nad moim domem! – zawołał baron. – Teraz ona znów zaczyna!”⁴⁷⁸.

Bohater, przerażony grzesznością żony, wciąż kryształowo – choć tylko w swym mniemaniu – pod względem moralnym czysty, usiłuje więc zapobiec najgorszemu:

„Konająca zażądała widzenia się z Henrykiem, a lekarze poparli to żądanie. – Na miłość Boską – szepnął baron Henrykowi – ona gotowa umrzeć z wyznaniem grzesznej miłości na ustach. – Zwariowałaś – krzyknął na żonę. – Na twoim miejscu cieszyłbym się raczej czystym sumieniem; chyba nie zdajesz sobie sprawy, jak potwornie wyglądasz – a kochanek, który pałał tylko do tego ciała, pomiata i gardzi tobą, odkąd oszpeciłaś się dla niego. Zerwij z tym, a wyzdrowiejesz i wrócisz do świata zasad”⁴⁷⁹.

Powrót do świata zasad nie jest jednak wystarczająco kuszącą propozycją:

„– Tym razem nie dam się nabrać – odparła baronowa i skoła”⁴⁸⁰.

Smutne zwycięstwo baronowej prowokuje jej męża do komentarza, który doskonale unaocznia skumulowany w nim brud:

„Zgasła jako ofiara obowiązku – rzekł baron – pana czynię odpowiedzialnym za jej śmierć”⁴⁸¹.

Henryk jednak nie podziela opinii starca:

„– To pańska żona, pański trup – odparł młodzieniec”⁴⁸².

⁴⁷⁷Tamże, s. 300-301.

⁴⁷⁸Tamże, s. 301.

⁴⁷⁹Tamże.

⁴⁸⁰Tamże.

⁴⁸¹Tamże.

⁴⁸²Tamże.

I do niedojrzałości należało w tym przypadku ostatnie słowo.

Po zapoznaniu się z treścią opowiadania przyznać można, iż unaocznia (i gorzko wyśmiewa) ono sztuczność i opresyjność zasad, które rządzą międzyludzkimi relacjami. Bohaterowie, nie chcąc zburzyć otaczającego ich ładu, decydują się na sprzeczne z ich egoistycznymi pragnieniami działania, po to tylko, by zasady mogły dalej kierować ich życiem.

Zaskakujące może być użycie przez mnie liczby mnogiej. O ile bowiem działanie baronowej skierowane wbrew niej samej jest w fabule wyraźnie uwypuklone, o tyle baron nie sprawia wrażenia szczególnie stłamszonego przez Formę panującą w ich skromnym „międzyludzkim kościele”. Biorę jednak pod uwagę fakt, że pogwałcenie zasad, którego to rzekomo dopuściła się baronowa, wytrąca również i tego bohatera z równowagi, zmuszając go do naginania kultuwanego przez niego etosu. Wierność małżeńska jest kluczową dla niego wartością, a w imię jej obrony, protagonista zmusza się do wtrącenia żony w regularną niewierność. A zatem również dla niego sytuacja jest daleka od komfortu. To, że właściwie on sam jest autorem tego problemu, nie odgrywa tu aż tak istotnej roli. Jego udręka jest bowiem całkowicie realna.

Co więcej, łatwo nam przyglądać się krytycznie temu bohaterowi i empatyzować z jego ofiarą. Spróbujmy jednak wcielić się w rolę adwokata diabła i spojrzeć na sytuację z jego, skrupulanckiej perspektywy. Baron bowiem dostaje wstrząsu, który już widzieliśmy w jednym z tekstów Gombrowicza. To wstrząs Henryka, który w pewnym momencie łączy w swym umyśle Władzia z Manią. I to właśnie połączenie ostatecznie zmusza go podjęcia tak dalece radykalnego działania, jakim jest nakłonienie przyjaciela do popełnienia samobójstwa. Nie usprawiedliwiając żadnego z bohaterów, za obiema decyzjami kryje się niemała doza tragizmu.

Lektura *Dramatu...* umacnia w nas poczucie sztuczności życia wspólnotowego. Baronowa tkwi w relacji ze swoim przykrym pod wieloma względami mężem, gdyż zmusiła ją do tego niegdyś złożona przysięga. Baron też nie wygląda na szczególnie zaangażowanego w związek, jednak słowo się rzekło. Ponadto, kobieta zmuszona jest przez swój stan cywilny do absurdalnych zachowań i, ostatecznie, całkowitej degradacji. Baron zaś, zakochany w zasadach porządkujących międzyludzkie relacje, zostaje zmuszony do pogwałcenia własnych wartości. Ten „międzyludzki kościół” wygląda na twór dalece sztuczny i niezgodny z naturą bohaterów i dotkliwie ograniczający ich wolność. Najbardziej kuszącą opcją zdaje się w tym wypadku ucieczka z niefortunnego małżeństwa, jednak zasady okazują się potężniejsze od poczucia godności bohaterów.

Jedna z moich pierwszych prób zinterpretowania twórczości Gombrowicza z perspektywy *nurtu* zakończyła się analizą *Ślubu*⁴⁸³. Udało mi się odnotować, że pewne zachowania bohaterów

⁴⁸³Nawiązuję do artykułu: D. Śniowska, *Ślub: szaleństwo czy powrót do stanu natury* [w:] *W kręgu szaleństwa*, red. A. Dolecka, P. Znojek, Kielce 2020, s. 199-207.

sztuki zdają się doskonale odzwierciedlać koncepcję człowieka zawartą w *Lewiatanie*. Jednostki Gombrowiczowskie są bowiem żadne władzy, cechują się absurdalnym poczuciem wyższości, wdają się w destrukcyjną rywalizację i prowadzą siebie nawzajem ku zagładzie. Stanowią więc idealne mięso armatnie w wojnie każdego z każdym i nie są najlepszymi kandydatami do życia we wspólnocie. Przyjmując taką optykę, możemy zauważyć pewne podobieństwo pomiędzy koncepcją Formy a Lewiatanem. I jedno, i drugie, ogranicza wolność człowieka. Kiedy Forma ulega załamaniu, w „kościół” wdziera się chaos, a bohaterowie cierpią katusze. Gdyby zaś zabrać ludziom Lewiatana, człowiek człowiekowi na powrót stałby się wilkiem, a umowa społeczna straciłaby swoją moc. Strach przed brakiem Formy tudzież Lewiatana chroni więc człowieka przed autodestrukcją, lecz zarazem napawa go innym rodzajem cierpienia. *Ślub* wolno więc postrzegać jako obraz zgliszczy, które powstają po zburzeniu tradycyjnego ładu.

Gdyby więc zestawić wizję Hobbesa z *Dramatem...*, zauważylibyśmy że nowelka Gombrowicza w jakimś stopniu wyśmiewa koncepcję umowy społecznej. Nie oznacza to jednak prostej negacji. „Kościół międzyludzki” jest przecież tworem równie sztucznym i opresyjnym jak państwo. Biorąc pod uwagę, że jego wierni związani są zewnętrznym przymusem – a pozbawieni tego przymusu pogrążają się w groteskowej wojnie każdego z każdym – można domniemywać, że sztuczność „międzyludzkiego” godzi w naturę człowieka. Cała ta nienaturalność jest jednak, podobnie jak w myśli Anglika, koniecznością chroniącą egoistyczne jednostki przed nimi samymi. Każdorazowa bowiem próba wymknięcia się Formie prowadzi do chaosu na miarę Hobbesowskiego, niemiłosiernego stanu natury.

Tadeusz Kępiński zauważył swego czasu kwestię szalenie istotną w twórczości swojego przyjaciela: „**Myśl Gombrowicza oscyluje w swych skłonnościach subiektywistycznych pomiędzy przeciwnymi stanowiskami w sposób nie zawsze w pełni uświadomiony** [podkr. D.Ś.]. Pisarz próbuje stosować swoje pomysły, które przetopione w kształt literacki, miałyby prowadzić do uzyskania: primo – ogólnej orientacji światopoglądowej; secundo – sposobu patrzenia na człowieka i ustosunkowywania się do niego i do życia; tertio – podstawy do przebudowy osobowości ludzkiej, a w szczególności jej polskiej inkarnacji. Pomysły i propozycje nie są naturalnie systematyką poznawczą, ani za nimi żadne metodologiczne odpowiedzialne badania nie stoją. Gombrowicz jednak wprowadza, zwłaszcza w partiach komentatorskich, terminy zaczerpnięte z filozofii i przypisuje pojęciom przez te terminy reprezentowanym rolę czynną według inwencji. W tym zatem znaczeniu pisarz, wskazując na różne możliwości poznawcze i psychologiczne,

zasługuje na miano twórcy”⁴⁸⁴. Przeprowadzona przeze mnie analiza wykorzystująca optykę *nature* i *nurture* potwierdza tylko tę obserwację. Gombrowicz zdaje się doskonale wpasowywać w oba dość skrajne paradygmaty. Co więcej, przeprowadzając eksperyment i odwracając perspektywy, odkrylibyśmy że *Dramat...* da się odczytać z perspektywy *nature*, a *Filiberta...* – z punktu widzenia *nurture*. Brzmi to wręcz zatrważająco, bowiem takie ujęcie problemu sugeruje, że wybór stanowiska bliższego Gombrowiczowi jest jedynie kwestią s m a k u czytelnika. Zanim jednak rozprawimy się z tym (uprzedzę, że) mitem, raz jeszcze przyjrzymy się fabułom obu opowiadań.

Zadajmy sobie pytanie: c o b y b y ł o , g d y b y pułkownik, rozpętując piekło w *Filibercie...* dał upust swej egoistycznej, aspołecznej i (w domyśle) apolitycznej naturze? Spójrzmy na tamto sportowe widowisko jak na pewien sztuczny spektakl, w którym rządzą sztuczne zasady (wizjowie winni zasiadać na trybunach, oklaskami nagradzać championów, entuzjastycznie śledzić przebieg rozgrywki i absolutnie nie traktować tego zgromadzenia jako okazji do jazdy konnej na kobietach – jakkolwiek absurdalnie by to ostatnie nie zabrzmiało), i w którym jednostka z powodu wszystkich ograniczeń cierpi prawdziwe męki. Z tej perspektywy, naturalna chęć zaimponowania narzeczonej daje swój upust w postaci buntu przeciw panującym na korcie zgoła sztucznym regułom. Pułkownik strzelając do piłeczki tenisowej zrywa zawartą między kibicami społeczną umowę i – w swym wolnym, niczym nieskrępowanym wyborze – prowadzi do reakcji łańcuchowej.

Druga kwestia: c o b y b y ł o , g d y b y *Dramat...* demaskował naturalność sztuczności relacji zachodzących między baronostwem? Ujmijmy rzecz nieco inaczej: przyjmując taki kierunek interpretacji, moglibyśmy uznać, że to nie zasady rządzą działaniami protagonisty, lecz to raczej on jest ich kreatorem i posiada naturalną potrzebę ich przestrzegania. Zasady pozwalają mu na ekspresję własnego popędu ku projektowaniu siebie na drugiego człowieka – w tym przypadku, na jego nieszczęsną żonę. Nie idzie więc o jakąkolwiek społeczną umowę, która narzucałaby pewne wzorce zachowań jednostkom, ale raczej o realną, pierwotną wręcz potrzebę uprzedmiotawiania podmiotów. Z tej perspektywy, przemoc symboliczna bądź systemowa nie świadczy o bezdusznosci instytucji małżeństwa, lecz o naturalnej potrzebie Ja do pełnienia władzy nad innymi Ja. Zasady są tu jedynie niedoskonałymi narzędziami.

Uważam, że w każdym przedstawionym przeze mnie wariantcie interpretacji tkwić może wiele prawdy, jednak przez dłuższy czas spokoju nie dawała mi pewna niejasność. Albo mamy bowiem do czynienia z tekstami na tyle plastycznymi, by móc do woli formować (*nomen omen*) ich wydzźwięk wedle naszych upodobań, co dobrze nie wróży politologicznym dociekaniom, albo

⁴⁸⁴T. Kępiński, *Witold Gombrowicz studium...*, dz. cyt., s. 37.

jednak w poszczególnych utworach daje się zaobserwować minimalną dominację aspektu natury bądź kultury/wychowania... albo wreszcie stworzone przeze mnie ramy interpretacyjne są za ciasne.

Nawiązując do udanego porównania Franczaka, w którym Iwona jawi się jako plama z testu Rorschacha: tak moglibyśmy odczytywać wszystkie teksty Gombrowicza, gdybyśmy przychylni się do pierwszego z proponowanych przeze mnie rozstrzygnięć. Zależnie od tego, jak sami zapatrujemy się na dyskusję *nature vs. nurture*, widzimy w poszczególnych dziełach odzwierciedlenie naszych preferencji. A może wręcz odwrotnie: nieprzekonani do twórczości Gombrowicza, możemy – by jeszcze spotęgować naszą niechęć – dostrzec w nich stanowiska najbardziej nam odległe. Niezależnie od wszystkich tych sympatii bądź antypatii, lektura jawi się w tym ujęciu jako doświadczenie tak dalece subiektywne, że aż trudne do uchwycenia językiem nauki.

Takie podejście, z perspektywy prywatnego czytelniczego doświadczenia, nie jest najgorszym rozwiązaniem. Jest ono zresztą dla nas dość naturalne, literatura może nas pociągać dzięki pewnym analogiom, które zachodzą między naszymi osobistymi doświadczeniami, a tym co przeżywają bohaterowie. Więcej: owe podobieństwa mogą być dla nas również odstręczające bądź bulwersujące. Jednak cała ta paleta emocji, których doświadczamy, dostrzegając w czytanim tekście coś osobliwie znajomego, z reguły dzieje się poza wiedzą autora. I, o ile pragniemy czystego eskapizmu bądź żądni jesteśmy zaledwie (?) określonych doznań na poziomie estetycznym, nie powinniśmy się upatrywać w takim podejściu niczego zdrożnego. Tylko pamiętać należy, że na tym etapie pozostajemy czytelnikami empirycznymi, a do czytelnictwa modelowego droga daleka. Powtórzę: nie chodzi tu o konieczność odkrywania niemożliwych do odkrycia intencji pisarza, a o sumienne odczytanie samego tekstu. Sam Gombrowicz zresztą nie okazywał zachwyty, kiedy spotykał się z interpretacjami uszytymi wyłącznie na miarę interpretatorów:

„Nie ze wszystkim mnie zrozumieli (mowa o artykułach, które ukazują się w kraju na temat *Ferdydurki*) lub raczej wyciągnęli ze mnie to tylko, co jest »na czasie«, odpowiadające ich obecnej historii, ich sytuacji. Jestem zrezygnowany: **take fragmentaryczne – egoistyczne, powiedziałbym – odczytywanie, zawsze pod kątem bieżącej potrzeby, jest nieuniknione** [podkr. D.Ś.]”⁴⁸⁵.

Zwróćmy uwagę, że pisarz jest pogodzony z mocno subiektywnym odbiorem jego dzieła. Problem polega na tym, że – jeśli będziemy nadawać naszym mocno prywatnym przemyśleniom rangę prawdy objawionej – ucierpi na tym samo dzieło. I takie są też tego przykre dla twórcy owoce:

⁴⁸⁵Dz., s. 339.

„Przed wojną *Ferdydurke* uchodziła za bełkot szaleństwa, gdyż w dobie radosnej twórczości i mocarstwowego zrywu zanadto psuła paradę. Dziś, gdy Gęba i Pupa dotkliwie dały się we znaki narodowi, została podniesiona do rangi satyry i krytyki całą gębą, a jakże, niczym Wolter! Teraz mówi się, że to książka rozumna (ba! Nawet klarowna i precyzyjna!), dzieło trzeźwego racjonalisty, który z premedytacją osądza i karci, dzieło nieomal klasyczne i jak najściślej odważone!”⁴⁸⁶.

Czy to więc oznacza, że drugie z zaproponowanych przeze mnie podejść do interpretowanego tekstu przynieść może więcej korzyści? Czy nasza powinnością jest w tym momencie ponowne rozstrzygnięcie, jaki paradygmat dominuje w „myśli politycznej” Gombrowicza? Przyznam, że na początku mych badań, taka wizja sprawiała wrażenie dość oczywistej. Coś – *nature* bądź *nurture* – musi przecież przeważać, mieć większy ciężar, być bliższe pisarzowi. Człowiek jest albo polityczny, albo apolityczny; jakże można być (a)politycznym idealnie (!) w połowie?

Zgubna to była logika, bowiem w przypadku twórczości Gombrowicza takie rozstrzygnięcie każdorazowo wtrącało mnie w rolę czytelnika czysto empirycznego; aspirującego do modelowego czytelnictwa, lecz niezdolnego do realizacji tego celu. Jakie bowiem wyznaczyć kryteria, które realnie umożliwiłyby ocenę, który z argumentów jest mocniejszy i bardziej przekonujący? W przypadku fikcji tak groteskowej, opatrzonej szeregiem komentarzy, które jednak nie odpowiadają na stawiane przez nas pytania, a raczej prowokują kolejne, w którymś momencie zmuszeni jesteśmy odwołać się do własnego smaku, bądź intuicji. A na takie odniesienia w niniejszej dysertacji nie może być miejsca. Ratunkiem z tej opresji okazała się dalsza część wypowiedzi Gombrowicza na temat recepcji *Ferdydurke*:

„Z wariata wyskoczyć na racjonalistę – czy to awans dla artysty? Ale ten racjonalizm ferdydurkowy nawala w pewnej chwili krytykom i artykuły kończą się zazwyczaj zakłopotanym stwierdzeniem, że chyba »Gombrowicz nie przemyślał swoich poglądów do końca«, **bo jednak utwór nie chce im wleźć bez reszty w »koncepcję«, którą pracowicie wydedukowali. A może nie chce wleźć, bo koncepcja za ciasna?** [podkr. D.Ś.]”⁴⁸⁷.

Otóż: koncepcje pracowicie wydedukowane i przez Arystotelesa, i przez Thomasa Hobbesa, i przez ich kontynuatorów, a nawet cała dyskusja nawiązana pomiędzy stronami, są dla Gombrowicza z b y t c i a s n e . Pewne niejasności, dwuznaczności, miejsca na domysły, są tak tu wyraźne, bowiem do tej pory niewystarczająco rozciągaliśmy perspektywę. Szerokie odczytywanie (jak dobrze pamiętamy, sugerowane przez samego Gombrowicza) winno być zatem szersze, niż moglibyśmy na początku przygody z jego twórczością domniemywać. I nie twierdzą bynajmniej, iż

⁴⁸⁶Tamże.

⁴⁸⁷Tamże

zestawianie pisarza z myślą Stagiryty bądź Hobbesa traktować należy jako strzał kulą w płot; nikt tu też nie sugeruje, że ci niebywale ważni dla europejskiej refleksji nad polityką myśliciele są dla Gombrowicza niewystarczająco skomplikowani. Zwrócić jednak warto uwagę, że autor *Ferdydurke* znajduje się – ujmijmy to językiem dyplomacji – na lepszej pozycji negocjacyjnej. A wynika to z jego ułatwionego dostępu do wiedzy, możliwości skonfrontowania poczynionych spostrzeżeń z szerszym kontekstem historycznym, a także z niewątpliwie wpisanej w jego osobowość ujmującej bezczelności, która to nakazywała mu sceptycyzm wobec autorytetów, zasad i posłusznego przyjmowania jakichkolwiek prawd objawionych.

Gombrowiczowska przekora pozwoliła więc na stworzenie nieprzyzwoitych wręcz remiksów w obrębie dorobku europejskiej filozofii, czego efekty obserwować możemy na kartach poszczególnych utworów. Ujmując problem w kilkunastu słowach: Gombrowicz wymyka się prostemu zderzeniu stanowisk *nature* i *nurture*, bowiem nie ma oporów w rozmontowywaniu i przekształcaniu tych koncepcji. Prezentuje więc niejako trzecią drogę, wybudowaną na kanwie dwóch bardziej konwencjonalnych (i już klasycznych) wizji. Mając to na uwadze, przyjrzyjmy się jego interpretacji *Ferdydurke* krytycznej wobec nadmiernych uproszczeń.

Gombrowicz wprowadza nas do swego uniwersum następującymi słowy:

„*Ferdydurke* dlatego jest niełatwa do odczytania, że zawiera się w niej pewne specjalne widzenie człowieka. Jakże oni widzą tego mojego człowieka? A jak ja go widzę?”⁴⁸⁸.

„Specjalne widzenie człowieka” z jednej strony pokrywa się z tym, co do tej pory uzgodniliśmy, z drugiej zaś – wykracza jeszcze p o z a :

„Oni [krytycy, interpretatorzy – D.Ś.] mówią – i słusznie – że w *Ferdydurke* człowiek jest stwarzany przez ludzi. Ale rozumieją to przede wszystkim jako uzależnienie człowieka od grupy społecznej, która narzuca mu obyczaj, konwenans, styl... I nawet zdarza się im w tym punkcie nadmienić, iż jest to prawda zgoła banalna, truizm i wywalanie otwartych drzwi”⁴⁸⁹.

W istocie, gdyby Gombrowicz skonał w swych tekstach (czy może lepiej: za pomocą swych tekstów) załedwie, że człowiek kształtuje się pod wpływem swego otoczenia, to nie mówilibyśmy dziś o żadnym filozoficznym czy politologicznym *novum*.

I, co ważne, wygląda na to, że pisarz miał tego pełną świadomość:

„Jednego wszakże nie dostrzegli. Mianowicie, iż ten proces urabiania człowieka przez ludzi jest w *Ferdydurke* pojęty nieskończenie szerzej. **Nie przeczę, że istnieje zależność jednostki**

⁴⁸⁸Tamże, s. 340.

⁴⁸⁹Tamże.

od środowiska [podkr. D.Ś.] – ale dla mnie o wiele ważniejsze, artystycznie bardziej twórcze, psychologicznie bardziej przepaściste, filozoficznie bardziej niepokojące jest to, że **człowiek jest stwarzany także przez pojedynczego człowieka, przez inną osobę** [podkr. D.Ś.]. W przypadkowym zetknięciu. W każdej chwili. Mocą tego, że ja jestem zawsze »dla innego«, obliczony na cudze widzenie, mogący istnieć w sposób określony tylko dla kogoś i przez kogoś, egzystujący – jako forma – poprzez innego⁴⁹⁰.

Rozłóżmy problem na czynniki pierwsze. Owszem: w uniwersum Gombrowicza przynależność do określonych grup społecznych urabia jednostkę, narzuca jej pewien kształt. I owszem: życie we wspólnocie poniekąd odbiera człowiekowi możliwość bycia s o b ą . Ale nie chodzi tu o moc tej masy społecznej, która dzięki swej liczebnej przewadze dominuje nad spisany na straty Ja. To zakrawałoby o banał. Chodzi natomiast o to, że na te masy składają się poszczególne, konkretne jednostki i już pojedynczy atom takiej wspólnoty jest w stanie dowolnie Ja u-formować.

Ingerencji środowiska w Ja nie warto rozpatrywać jako zmasowanego ataku na jednostkę, bowiem nie o masowość tu chodzi, a o potencjał pojedynczego człowieka, który jest w stanie przeprojektować na tego drugiego, cokolwiek sobie tylko sobie zażyczy. Ale czemu te atomy ulegają wzajemnemu przyciąganiu? To kluczowe dla nas pytanie, które pozostawię jeszcze na moment bez odpowiedzi.

Gombrowicz tymczasem cierpliwie tłumaczy dalsze zawilości swojej wizji:

„**A więc nie idzie o to, że mnie środowisko narzuca konwenans** [podkr. D.Ś.], lub mówiąc za Marksem, że człowiek jest produktem swojej klasy socjalnej, a o zobrazowanie zetknięcia człowieka z człowiekiem w całej jego przypadkowości, bezpośredniości, dzikości, o wykazanie, jak z tych przypadkowych związków rodzi się Forma – i często najbardziej nieprzewidziana, absurdalna⁴⁹¹.

Pisarz, mimo swej (być może mimowolnej) subtelnej lewicowości⁴⁹², zdecydowanie odrzuca marksistowską wizję człowieka i proponuje coś mniej oczywistego:

„Gdyż ja sam dla siebie nie potrzebuję formy, ona mi jest potrzebna po to tylko, aby ten drugi mógł mnie zobaczyć, odczuć, doznać. Czyż nie wiecie, że taka Forma jest to coś o wiele potężniejszego, niż zwykły konwenans społeczny? I że to żywioł nie do opanowania?⁴⁹³”

Być może właśnie dlatego najlepszym nośnikiem do wykładni Formy jest literatura piękna. Traktat filozoficzny nie jest w stanie oddać wszystkich tych emocji, które są z Gombrowiczowską

⁴⁹⁰Tamże.

⁴⁹¹Tamże.

⁴⁹²Można przyjąć, że gdyby postawić Gombrowicza między młotem a kowadłem, prawicą i lewicą, to pisarz – zapewne – z bólem minimalnie przesunąłby się o krok w lewą stronę.

⁴⁹³Dz., s. 340.

Formą ściśle związane. Literatura potrafi natomiast podrażnić wyobraźnię czytelnika i skuteczniej zaszczepić mu określoną ideę.

O ile, oczywiście, nie zostanie zinterpretowana pod banalny klucz:

„Póki rozumiecie *Ferdydurke* jako walkę z konwenansem, ona spokojnie będzie kłusowała po utartej ścieżce; ale gdy pojmiecie, że tu człowiek stwarza się z drugim człowiekiem w sensie najdzikszego bodaj wyuzdania, ona zarży i da susa, jak spięta ostrogą, ponosząc was w dziedzinę Nieobliczalnego”⁴⁹⁴.

Konwenans jest bowiem zaledwie produktem ubocznym tych wszystkich skomplikowanych i napawających grozą procesów rozgrywających się w „międzyludzkim kościele”. Co więcej:

„*Ferdydurke* to o wiele bardziej forma-żywiół, niż forma-konwenans”⁴⁹⁵.

I na tym uładzanie i czytanie Gombrowicza niejako pod linijkę wcale się nie kończy:

„Oni mówią dalej, że ja w *Ferdydurke* (i w innych utworach) walczę z fałszem, z zakłamaniem... Zapewne. Ale czyż nie jest to znowu uproszczenie mego człowieka i moich intencji?”⁴⁹⁶.

Niczym refren powtarza się więc problem interpretacji prawie udanych, bo takich, z którymi nawet sam pisarz nie jest w stanie porządnie się pokłócić. Z jednej strony tacy komentatorzy mają rację, bo Gombrowicz walczy z fałszem niewątpliwie, z drugiej zaś – owa racja niemożliwie spłaszcza przesłanie utworów. Cóż odkrywczego w literaturze demaskującej kłamstwa?

„Przecież mój człowiek jest stwarzany od zewnątrz, czyli **z istoty swojej nieautentyczny** [podkr. D.Ś.] – będący zawsze nie sobą, gdyż określa go forma, która rodzi się między ludźmi. Jego »ja« jest mu zatem wyznaczone w owej »międzyludzkości«”⁴⁹⁷.

Nieautentyczność niejako zakodowana w ludzkim DNA jest kluczowym tropem, który pozwala nam dotrzeć do sedna antropologii Gombrowicza. Jego zdaniem bowiem człowiek to:

„**Wieczysty aktor, ale aktor naturalny, ponieważ sztuczność jest mu wrodzona, ona stanowi cechę jego człowieczeństwa** [podkr. D.Ś.] – być człowiekiem to znaczy być aktorem – być człowiekiem to znaczy udawać człowieka – być człowiekiem to »zachowywać się« jak człowiek, nie będąc nim w samej głębi – być człowiekiem to recytować człowieczeństwo”⁴⁹⁸.

⁴⁹⁴Tamże.

⁴⁹⁵Tamże.

⁴⁹⁶Tamże, s. 341.

⁴⁹⁷Tamże.

⁴⁹⁸Tamże.

W obliczu tych słów łatwo zapętlić się w Goffmanowskie analogie i metafory. Powstrzymajmy jednak ten ciąg skojarzeń, bowiem niechybnie skończymy jak krytykowany przez Gombrowicza interpretatorzy. Skoncentrujmy się za to na sprawie zasadniczej: w r o d z o n e j s z t u c z n o ś c i . Brzmi to nieco jak oksymoron: jak coś, co jest wrodzone, może być sztuczne? W świetle tego, co do tej pory ustaliliśmy, uważam że kategorię sztuczności winniśmy ściśle powiązać z kwestią *Cogito*. Dla przypomnienia: Gombrowiczowski wariant tej koncepcji zakłada, że istnieje tylko Ja i dowolna ilość przedmiotów wygenerowanych przez umysł Ja; z racji że żyjemy we wspólnocie, a nie w odosobnieniu, tych Ja jest niepokojąco wiele, a każde zetknięcie Ja z innym osobnikiem doprowadzić może do wzajemnego uprzedmiotawiania (czytaj: poniżenia i – w konsekwencji – wywyższania) uczestników interakcji. Uprzedmiotawianie to nie dość, że rozgrywa się w sposób dziki i chaotyczny, to jeszcze wiąże się bezpośrednio z pozbawioną wszelkiego miłosierdzia projekcją. Zderzając się z innym Ja (bądź, o zgrozo, z całym stadem innych Ja), z automatu ulegamy uprzedmiotowieniu, poniżeniu, wywyższeniu i nabieramy cech, które aplikuje nam drugi człowiek. Czy to oznacza, że w momencie spotkania z innym przedstawicielem naszego gatunku, tracimy swoją autentyczność i nabieramy sztuczności? Wykluczone. Bez drugiego człowieka jesteśmy ż a d n i , nasze wersje robocze właściwie nie istnieją, my dopiero możemy zostać stworzeni przez drugiego człowieka. Kiedy się s t a j e m y , pierwszym naszym wcieleniem już jest t o s z t u c z n e . I tu pojawia się nie lada zagwozdzka:

„Więc w tych warunkach jakże rozumieć walkę z gębą, z miną, w *Ferdydurke*? Przecież nie tak, że człowiek ma się pozbyć swojej maski – gdy poza nią nie ma żadnej twarzy – tu tylko można żądać, aby uprzytomnił sobie tę sztuczność i ją wyznał”⁴⁹⁹.

I w tym momencie Gombrowicz faktycznie walczy z fałszem. Tylko, że nie jest to prosty fałsz konwenansów, mniej i bardziej sensownych zasad czy ról społecznych. Tu chodzi o nasze najgłębsze zakłamanie w postrzeganiu siebie samych jako autentycznych, autonomicznych, co najwyżej skrępowanych innymi ludźmi:

„Jeśli skazany jestem na fałsz, jedyna szczerłość mi dostępna polega na wyznaniu, że szczerłość jest mi niedostępna. Jeśli nigdy nie mogę być całkowicie sobą, jedyne co mi pozwala uratować od zagłady moją osobowość, to sama wola autentyczności, owo uparte wbrew wszystkiemu »ja chcę być sobą«, które jest niczym więcej jak tylko buntem tragicznym i beznadziejnym przeciw deformacji”⁵⁰⁰.

⁴⁹⁹Tamże.

⁵⁰⁰Tamże.

Gombrowicz zatem żąda, byśmy wyrwali się z tej iluzji i dostrzegli, że nasza sytuacja przedstawia się o wiele gorzej, niż byliśmy gotowi to sobie wyobrazić:

„Nie mogę być sobą, a jednak chcę być sobą i muszę być sobą – oto antynomia, z tych nie dających się uładzić... i nie oczekujcie ode mnie lekarstw na nieuleczalne choroby. *Ferdydurke* stwierdza jedynie to wewnętrzne rozdarcie człowieka – nic więcej”⁵⁰¹.

Dramat ludzkiej egzystencji nie sprowadza się do tego, że żyjemy pośród innych, absolutnie odstręczających istot. Wykracza znacznie dalej, bowiem życie człowieka jest tragiczne, gdyż wsparte na tęsknocie za czymś całkowicie nieosiągalnym. Oczywiście, można tę tęsknotę zagłuszyć i symulować udane, autentyczne życie, z radością rzucając się w wir nieświadomych projekcji, cena jednak takiego postępowania jest dojmująco wysoka. Tracimy wówczas całą naszą godność. Krytycy torpedowani przez Gombrowicza nie wyrażali jednak szczególnego zainteresowania tym mrokiem spozierających spod *Ferdydurke* (i – w domyśle – całej reszty jego utworów):

„Dlaczego pominęli prawie zupełnie degradację, która tak silnie gra w moich utworach, która dopiero tej formie mojej nadaje właściwy smak?”⁵⁰².

Być może dlatego, że przeprawa przez *Ferdydurke*, to konfrontacja z szeregiem filozoficznych stanowisk, biografią pisarza, kontekstem historycznym, intertekstualnymi smaczkami i modelowe czytelnictwo jest, siłą rzeczy, w tym przypadku mocno utrudnionym zadaniem. Powiedzmy też szczerze: patrząc zarówno na formę, jak i fabułę powieści, możemy domniemywać, iż pisarz (przynajmniej na samym etapie powstawania jego dzieła) nie zamierzał ułatwiać zadania swoim odbiorcom. Jest więc coś ujmującego w skargach Gombrowicza:

„Skupili się na tym problemie deformacji – **zapomnieli, że *Ferdydurke* jest także książką o niedojrzałości...** [podkr. D.Ś.] Człowiek nie może wyrazić siebie na zewnątrz nie tylko dlatego, że inni go paczą – nie może wyrazić siebie przede wszystkim dlatego, że tylko to, co w nas jest już uładzone, dojrzałe, nadaje się do wypowiedzi, a cała reszta, czyli niedojrzałość nasza, jest milczeniem”⁵⁰³.

Kwestia niedojrzałości zostanie szerzej omówiona w kolejnym rozdziale rozprawy, w tym momencie zwróćmy tylko uwagę, iż:

„**Wobec czego forma będzie zawsze czymś dla nas kompromitującym – jesteśmy poniżani formą** [podkr. D.Ś.]. I nietrudno dostrzec jak, na przykład, cały nasz dorobek kulturalny,

⁵⁰¹Tamże.

⁵⁰²Tamże.

⁵⁰³Tamże, s. 341-342.

powstały dzięki temu skrywaniu niedojrzałości, będący dziełem ludzi podciągających się do poziomu, którzy są tylko na zewnątrz swoją mądrością, powagą, głębią, odpowiedzialnością (przemilczając odwrotną stronę medalu, nie mogąc jej ujawnić) – jak te wszystkie nasze sztuki, filozofie, mądrości kompromitują nas, albowiem nas przerastają i, dojrzałe od nas, wtrącają nas w jakieś wtórne zdziecinnienie. My kulturze naszej nie możemy wewnętrznie sprostać – to fakt, który dotąd nie został należycie uwzględniony, a który decyduje o tonacji naszego »życia kulturalnego«. W głębi duszy jesteśmy wieczystymi chłystkami”⁵⁰⁴.

Nedojrzałość wpędza człowieka w nieokiełznaną mechanikę wciąż pomnażanych przez nas samych i wytwory naszej kultury poniżeń. Jednak na tym problem Gombrowiczowskich jednostek się nie kończy:

„Jeśli forma moja urabia się z innymi, to mogą to być ludzie wyżsi ode mnie, lub niżsi. Urabiając ją sobie z istotami stojącymi na niższym szczeblu rozwoju, ja uzyskuję formę niższą, bardziej niedojrzałą, niżby mi się należało. Polecam uwadze panów krytyków wszystkie miejsca mojej sztuki, gdzie Niższy, Młodszy stwarza na swój sposób wyższego, ponieważ tam zawiera się najintensywniejsza poezja, na jaką mnie stać”⁵⁰⁵.

Nie dość zatem, że niedojrzałość tkwi w nas głęboko, to jeszcze w starciu z drugim człowiekiem ulega ona wyostreniu, wzmocnieniu, które generuje wszelkie sztuczne, społeczne nierówności. Czy więc walka z niedojrzałością nie powinna być naszym sposobem na przetrwanie? W żadnym razie:

„Ale nie zapomnijmy także, że człowiek nie lubi dojrzałości – ponieważ woli młodość swoją. Dlatego też *Ferdydurke* zawiera w sobie oba te dążenia – jest ona, jak już zaznaczyłem w tym dzienniku, »obrazem walki o własną dojrzałość kogoś zakochanego w swej niedojrzałości«. Tu więc znowu forma staje się degradująca”⁵⁰⁶.

Dojrzałość, jak pamiętamy, zbliża nas przecież do kosmicznej pustki, która tak zatrwożyła protagonistę *Pornografii*. Nie jesteśmy zdolni i nie mamy też najmniejszej ochoty, by ją znosić. Instynktownie rzucamy się więc w ramiona drugiego człowieka, by nas poniżył, wywyższył, pognębił, ale przede wszystkim – stworzył. Pytanie, na które wreszcie musimy odpowiedzieć, brzmi: co taka narracja wnosi do namysłu nad politycznością ludzkiej natury i jak to się ma do sporu *nature vs nurture*?

Zarysujmy raz jeszcze te dwie wykluczające się opcje, w których myśl Gombrowicza nie może się zmieścić: 1) człowiek z natury jest społeczny/polityczny, wspólnota polityczna jest konsekwencją jego natury, w niej człowiek może się w pełni realizować, 2) człowiek z natury jest

⁵⁰⁴Tamże, s. 342.

⁵⁰⁵Tamże.

⁵⁰⁶Tamże.

aspołeczny/apolityczny, sztucznie powstała wspólnota polityczna wynika z jego egoizmu i chęci przetrwania, bowiem bez niej, *homo sapiens* zginąłby w wojnie każdego z każdym, ponadto – i na domiar złego – podporządkowanie panującym w niej zasadom stanowi dla jednostki źródło cierpienia. A teraz dodajmy opcję alternatywną, wynikającą z całego przedstawionego w niniejszej rozprawie wyводу: 3) człowiek z natury jest sztuczny, a sztuczna wspólnota polityczna jest konsekwencją jego sztucznej acz stadnej natury; życie we wspólnocie stanowi źródło cierpienia jednostki, jednak życie w odosobnieniu jest dla niej niemożliwe, gdyż do przetrwania potrzebuje ona drugiego człowieka; nie chodzi tu jednak o spełnienie podstawowych potrzeb z piramidy Masłowa, a o naturalną potrzebę bycia *s t w o r z o n y m* a później *p r z e t w a r z a n y m* przez drugiego człowieka.

Mówiąc inaczej, w uniwersum Gombrowicza, jesteśmy wręcz stworzeni do życia w stadzie. Nie jest tak, że bez wspólnoty ginimy. Bez niej nigdy nie powstajemy, nie ma nas kto stworzyć, potrzebujemy przynajmniej jednej osoby, która nas określi i uformuje. Można powiedzieć, że życie we wspólnocie politycznej, w państwie, jest dla nas przykrą koniecznością. Ale nie wynika to z naszej aspołecznej natury: my jesteśmy aż do granic prospołeczni, proludscy. Nie przeszkadza nam to w gardzeniu drugim człowiekiem, w nieznoszeniu towarzystwa tego drugiego, w chęci unicestwiania niewygodnych dla nas jednostek. Czas najwyższy odłączyć kategorię altruizmu od prospołecznych zachowań. Gombrowicz daje nam zielone światło na nienawidzenie drugiej osoby. Ale mimo wszystko sami siebie na nią skazujemy, potrzebujemy jej do przetrwania i nie tkwi w tym żaden wewnętrzny przymus.

I, owszem, między Formą a Lewiatanem istnieje pewna, całkiem nawet wyraźna paralela. Różnica polega na tym, że Forma jest efektem naszej sztucznej natury. Więcej: rozmiłowani w sztuczności potrzebujemy nie tyle chaotycznej zbiorowości równych jednostek, co pewnych struktur. Cóż bowiem może lepiej zrealizować naszą żądzę dzielenia ludzi na wyższych i niższych, jak nie wspólnota polityczna? Państwo w tym ujęciu jest doskonałym wręcz unaocznieniem naszej natury: sztuczne, pełne nierówności, z monopolem na przemoc, konfliktogenne, skłonne do poniżania obywateli na wiele mniej lub bardziej wyrafinowanych sposobów, zmuszające nad do padania na kolana przed drugim człowiekiem... W przejmujący grozą sposób jesteśmy więc *zoon politikon* nienawidzącymi funkcjonowania w państwie.

4. Forma jako kategoria politologiczna

„Namawiam sztukę do kopnięcia – łup! – nie po to aby profesor poczuł się kopnięty, po to jedynie, aby artysta poczuł się kopniętym”.

W. Gombrowicz, *Dziennik*, s. 632.

Skoro już zostało uzgodnione, że „kościół międzyludzki” wygląda na sztuczne dzieło natury, to panująca w nim i trzymająca go w ryzach Forma winna stanowić pewne jej przedłużenie; jednostka Gombrowiczowska czuje bowiem naturalny pęd do formowania innych i bycia przez nich formowaną, a polityka jest doskonałą wręcz przestrzenią do takich bezlitosnych praktyk. W niniejszym rozdziale przyjrzymy się tej kwestii jeszcze dokładniej, ponieważ – w mojej ocenie – za pomocą Gombrowiczowskiej Formy można z powodzeniem opisywać procesy i mechanizmy kluczowe dla szeroko rozumianej polityki.

Zanim jednak przystąpimy do politologicznej analizy problemu, przyjrzyjmy się temu, co udało uzgodnić się badaczom literatury. Ważnym spostrzeżeniem na temat Formy podzielił się swego czasu Jerzy Jarzębski: „Centralnym pojęciem swej filozofii czyni Gombrowicz pojęcie Formy. Definiowane zrazu dość wąsko i specyficznie, nabiera ono stopniowo coraz bardziej uniwersalnego sensu. Gdy zatem w początkach twórczości autor mówi o krępującej człowieka formie towarzyskiej, gotowiśmy uznać ją za synonim konwenansu, w innych użyciach z kolei zdaje się ona być odpowiednikiem roli społecznej czy psychologicznej, następnie – roli bardziej wyspecyfikowanej, w którą wchodzi artysta, uwięziony w swoim indywidualnym stylu. W tym ostatnim przypadku forma-rola twórcy ma swe bezpośrednie odbicie w formie utworu”⁵⁰⁷. Możemy więc mówić o wyraźnej ewolucji kategorii Formy albo o narastającej z biegiem czasu precyzji, z jaką Gombrowicz się na jej temat wypowiadał. Bowiem: „Im dalej, tym pojęcie to jawi się obciążone szerszym znaczeniem, by w końcu nabrać sensu stricte filozoficznego”⁵⁰⁸. W ostatecznym bowiem rozrachunku: „wszystko, o czym można mówić, a nawet wszystko, co zjawia się w świadomości człowieka: rzeczywistość przedmiotów, zjawisk, przeżyć wewnętrznych, osobowość jednostki, międzyludzkie kontakty, społeczeństwo, świat wytworów i idei – istnieje dla nas w jakimś kształcie, da się przez umysł uchwytywać tylko za cenę redukcji do jakiejś postaci czy schematu”⁵⁰⁹.

⁵⁰⁷J. Jarzębski, *Między kreacją a interpretacją* [w:] *Gombrowicz filozof*, dz. cyt., s. 177.

⁵⁰⁸Tamże.

⁵⁰⁹Tamże.

Ja sama Formę zdefiniowałabym najprościej jako pewną mroczną i niepoohamowaną siłę kształtującą wszystkie relacje w „międzyludzkim kościele”. Mroczną – bo gotową wyzwolić w człowieku najwyższe okrucieństwo, a niepoohamowaną – gdyż przewyciężającą wszelkie zrywy niepodległościowe jednostek nagle uświadamiających sobie powagę ich sytuacji. Trudno o większy gombrowiczologiczny truizm od stwierdzenia, że przed Formą nie ma ucieczki. Nie oznacza to jednak, że skazani na Formę nie możemy z nią podjąć dialogu, spróbować jej lepiej poznać i – w ostatecznym rozrachunku – znacząco przekształcić relację zachodzącą między Ja i Formą.

Gombrowicz niejednokrotnie przejawiał silne zainteresowanie Formą narodową, a zwłaszcza polską, specyficzną na tle innych Form dzięki swej głębokiej niedojrzałości ukształtowanej przez niefortunne położenie geograficzne, historię i sztukę. Przyjrzyjmy się jednemu z licznych wyrazów owej fascynacji. W *Dzienniku* czytamy, co następuje:

„Podchodzę do Polaka i mówię mu: – Ty całe życie padałeś prze Nią na kolana. Spróbuj teraz czegoś wręcz przeciwnego. Powstań. **Pomyśl, że nie tylko ty masz jej służyć – że ona także ma służyć tobie, twemu rozwojowi** [podkr. D.Ś.]. Wyzbądź się zatem nadmiernej miłości i czci, które cię pętają, spróbuj wyzwolić się z narodu”⁵¹⁰.

Przynajmy, że według Gombrowicza tkwimy w pewnym impasie. Żyjemy spętani Formą, postępując wedle jej reguł i niekonicznie musi nam się to podobać. Jednak poza Formą nie ma „międzyludzkiego kościoła”, a poza „międzyludzkim” jest wyłącznie kosmiczna, druzgocąca jednostkę pustka. Forma nas krzywdzi, lecz zarazem ratuje przed niebytem. Nie możemy się jej wymknąć, a co najwyżej wymieniać poszczególne gęby, zależnie od własnej inwencji i otaczających nas ludzi. I m o ż e m y albo trwożnie oddawać hołd temu straszemu tworowi, albo potraktować Formę w pełni instrumentalnie. Nie oznacza to rezygnacji ze strachu przed Formą, bądź nieodczuwania wstrętu wobec tego, co nas tak okrutnie deformuje. Chodzi tu raczej o akceptację tego stanu i poszukiwania możliwych korzyści z niego wynikających. W praktyce oznacza to odbrażowanie patriotycznej, patetycznej, romantycznej (i destrukcyjnej!) polskości. A to w archetypicznym Polaku wywołać może głęboki sprzeciw:

„Na co ten Polak odpowiedziałby mi z wściekłością: – Oszalałeś! **Cóż byłbym wart, gdybym to zrobił?** [podkr. D.Ś.] Na co ja: – Musisz (bo to już dzisiaj nieuniknione) ustalić, co jest dla ciebie najwyższą wartością: Polska, czy ty sam? Musimy w końcu wiedzieć, co jest twoją ostateczną racją. Wybierz co dla ciebie najbardziej zasadnicze: czy to, że jesteś człowiekiem w świecie, czy Polakiem?”⁵¹¹.

⁵¹⁰Dz., s. 353-354.

⁵¹¹Tamże, s. 354.

Bolesny to proces, bowiem Polak zanurzony po uszy w polskości, mógłby nagle nabranie dystansu do swej ojczyzny odebrać jako wyjątkowo bolesną amputację. Polskość nadaje bowiem jego istnieniu konkretny kształt i to nie byle jaki: wzniosły, martyrologiczny, pokrzywdzony i uświęcony owym pokrzywdzeniem. Bycie poddanym Polsce, zwłaszcza w czasach Gombrowicza⁵¹², to bycie skrajnie wywyższonym w swym historyczno-polityczno-kulturowym poniżeniu. Bezrefleksyjna i osobliwa duma z polskiego geopolitycznego pecha, z okrucieństwa sąsiadów, chybotliwości zawartych sojuszy, uzupełniona na domiar złego o przeświadczenie o własnej wyjątkowości, czyni z Polaka zapatrzonego w siebie męczennika, niezdolnego do rozwijania własnego potencjału i skazanego na bylejakość. A co by było gdyby – pyta w swych dziełach Gombrowicz – zrezygnować z tej nabożnej czci, spojrzeć na polską Formę z dystansu i... dojrzeć? Wręcz przeciwnie: zachłysnąć się własną słabością i niedojrzałością. Wtedy nad Polakiem górować zacznie Człowiek. Gombrowicz zachęca więc do poddania się tej pokusie:

„Jeśli przyznasz prym swemu człowieczeństwu, musisz uznać, że Ona o tyle może ci być przydatna o ile mu sprzyja – ale, jeśli hamuje cię lub paczy, musi być przewyciężona. Decyduj się zatem!”⁵¹³.

P r z e z w y c i ę ż e n i e F o r m y brzmi poważnie i może wzbudzać szereg mechanizmów obronnych:

„Ale on odparłby namiętnie: – Nieprawda i nie złudzisz mnie tą sofistyką, gdyż **ja, będąc Polakiem, tylko w narodzie moim mogę uzyskać człowieczeństwo** [podkr. D.Ś.]. Czy pies może być zwierzęciem tylko? Nie, pies jest zwierzęciem, ale jako pies, konkretny pies, buldog lub wyżeł. A gęś? A koń? Nie odbieraj mi mojej konkretności, bo ona właśnie jest moim życiem!”⁵¹⁴.

Oto pułapka zastawiona na nas w „międzyludzkiem kościele”. Skoro bez drugiego człowieka jestem właściwie nikim, to cóż złego w tym, że stykając się z grupą ludzi zwanych Polakami, budzi się we mnie poczucie wspólnoty, przynależności, a nawet oddanie temu osobliwemu konstruktowi, jakim jest polskość? Skoro zderzam się ze stadem Polaków, mam prawo czuć się Polką i, co więcej, doświadczać całej gamy wzniosłych emocji, jakie znajdują się w pakiecie wraz z polskością. I nie to jest problemem. Kłopot pojawia się wtedy, gdy padam przed ową Polską na kolana, bo wtedy mój własny naród, moja ostoja, mój dom, zaczyna mnie pożerać. Kiedy bezkrytycznie zanurzam się

⁵¹²Dziś – być może – taka wizja traci na swej atrakcyjności.

⁵¹³Dz., s. 354.

⁵¹⁴Tamże.

w swej przynależności do narodu, brutalnie zawężam horyzont i poniżam się mocniej, niż bym tego kiedykolwiek potrzebowała. Gombrowicz więc nie ustaje w swych naleganiach:

„Wtedy ja (ujmując go pod ramię): Czy łudzisz się, że możesz osiągnąć konkret, czyli rzeczywistość, nie dopowiadając własnych uczuć? Wyznaj, że Ona cię ogranicza, krępuje...”⁵¹⁵.

Wydawać by się mogło, że Gombrowicz kusi Polaka, choć – przyglądając się tej retoryce – równie dobrze można byłoby postrzegać autora *Ferdydurke* w roli egzorcyisty. Imieniem zniewalającego Człowieka demona jest w tym przypadku Polak, który ewidentnie stawia opór wobec pisarskich zabiegów:

„On: – Milcz! Tego nie mogę słuchać!”⁵¹⁶.

W kontrze Gombrowicz odwołuje się do najgłębszych pragnień zakorzenionych w Człowieku. Chodzi zakodowaną w człowieku o żądzę istnienia:

„Ja zaś: – Chcesz istnieć naprawdę, a boisz się własnych myśli?...”⁵¹⁷.

Istnienia prawdziwego, w interakcji z drugim człowiekiem, a nie z abstrakcyjną, słabą i udręczoną acz intensywnie deformującą Polską. Czy zatem Gombrowicz nienawidził polskości i zachęcał do likwidacji tożsamości narodowej?

„Odwieczny dialog, klasyczna namowa do buntu... Ja może i niechętnie zabierałbym się do tego wynaradawiania... Wszak powiedziałem już: nie jestem wielbicielem kosmopolityzmu – ani tego naukowego, suchego, teoretycznego i abstrakcyjnego, z jego mózgowym schematem idealnie uniwersalnych ustrojów – ani też tego, który rodzi się z sentymtalnej anarchii i jest ckliwym marzeniem mętnych głów o pełnej »wolności«. Nie ufałem jednemu i drugiemu”⁵¹⁸.

Autor *Ferdydurke*, mimo swych artystycznych upodobań i zamiłowania do błędzenia w chaosie po omacku, jest – paradoksalnie – twardo stąpającym po ziemi realistą i sceptykiem. Nie roztacza utopijnych wizji, lecz zachęca do pracy z materiałem, jakim faktycznie dysponować w realiach, w których przyszło nam się znaleźć. Jego krytyka polskości nie jest też zaledwie wyrazem zniesmaczenia słabością Rzeczypospolitej, lecz intensywnym bodźcem, który – przy odrobinie dobrych chęci – mógłby pobudzić Polaków do rozwoju:

⁵¹⁵Tamże.

⁵¹⁶Tamże.

⁵¹⁷Tamże.

⁵¹⁸Tamże.

„Przeciwnie, moje ujęcie człowieka, jako istoty stwarzającej się w związku z innymi, konkretnymi, ludźmi, pchało mnie w stronę wszelkiego, ściślej zadzierzgniętego, obcowania. **Ale rzecz w tym, że już teraz, w tej fazie mojej dialektyki, wcale nie czulem abym godził w polskość, przeciwnie, miałem wrażenie, że ją pobudzam, ożywiam**” [podkr. D.Ś.]⁵¹⁹.

Jakże rozgłaszanie wszem i wobec, iż polskość zniewala i osłabia, może pomóc narodowi? To pytanie zadaje sam Gombrowicz:

„Jak to było możliwe? Przecież chciałem wyzwalać ich z tej ich polskości? Zapewne... ale to wezwanie miało zaiste jakąś dziwną właściwość, dzięki której **Polak stawał się tym bardziej Polakiem im mniej był Polsce oddany** [podkr. D.Ś.]. Sofistyka? Spróbujmy to jaśniej określić”⁵²⁰.

Okazuje się jednak, że kluczem do zrozumienia tej logiki jest pojęcie autentyczności. Kiedy – w strachu przed nieznanym – grzęźniemy w bezrefleksyjnej polskości, zamykamy się na prawdę o sobie samych:

„Polak z natury swojej jest Polakiem. Wobec czego, im bardziej Polak będzie sobą, tym bardziej będzie Polakiem. Jeśli Polska nie pozwala mu na swobodne myślenie i czucie, to znaczy, że **Polska nie pozwala mu być w pełni sobą** [podkr. D.Ś.], czyli – w pełni Polakiem...”⁵²¹.

Wymknięcie się polskiej Formie nie jest zatem banalną ucieczką przed własną tożsamością, lecz raczej dojrzałą akceptacją własnej niedojrzałości, słabości, dziwactw zakotwiczonych w polskości. Dopiero wtedy stajemy się w pełni Polakami, świadomymi wszelkich dobrodziejstw tego inwentarza. Należy też pamiętać, że Forma narodowa nie zniewala wyłącznie Polaków:

„Czy nada wydaje się to sofistyką? W takim razie poszukajmy przykładów w historii. Niemcy za Hitlera rozzarzyły do białości ubóstwienie narodu, a przecież Niemiec taki był nieomal sztucznym fabrykantem, zubożonym o całą tradycję Goethego, ba, o zwykłą swoją niemiecką ludzkość. Niemcy stały się od tego potężniejsze – pojedynczy Niemiec stał się słabszy, gdyż musiał odstąpić część swojej indywidualnej siły i odporności narodowi, i, co więcej, stał się mniej typowy, mniej prawdziwy, jako Niemiec”⁵²².

Mówiąc inaczej, kiedy Polak zwycięża nad Człowiekiem, cierpi i Człowiek i Polak. Człowiek zostaje wówczas całkowicie zdegradowany, a Polak do granic zdeformowany, osłabiony i skazany

⁵¹⁹Tamże, s. 354-355.

⁵²⁰Tamże, s. 355.

⁵²¹Tamże.

⁵²²Tamże.

na porażkę. Będące tego konsekwencją mniej lub bardziej świadome zawężanie własnych horyzontów musi więc zaowocować dotkliwym zubożeniem jednostki:

„Weźmy dalej Francję. Czy, na przykład Francuz który nie widzi niczego poza Francją jest bardziej Francuzem? Czy mniej Francuzem? Ależ być naprawdę Francuzem to właśnie to: widzieć coś innego poza Francją”⁵²³.

Potrzebujemy „zabić mszę”, w której jako Polacy od wieków bezrefleksyjnie uczestniczymy, by nabrać dystansu i dostrzec własną małość i śmieszność. Wtedy, wracając już na ziemię z tej bolesnej podróży do kosmicznej pustki, gotowi jesteśmy bardziej świadomie uczestniczyć we wszystkich międzyludzkich rytuałach. W ten sposób wyrywamy się ze spirali nieustannego poniżania i gotowi jesteśmy – dla odmiany – zaznać wywyższenia, które w dynamice „międzyludzkiego kościoła” jest absolutnie niezbędne. Co więcej: „zabijając mszę” (i w ten sposób indywidualizując się w niezbędnym nam do istnienia tłumie) przestajemy być ofiarami składanymi na ołtarzu iluzorycznego wspólnego dobra:

„Proste prawo. Siła zbiorowa rodzi się w ten sposób, że każdy zdobywa się na pewne ustępstwo z siebie... tak stwarza się potęga wojska, państwa lub kościoła. Potęga narodu. Ale to odbywa się kosztem jednostki”⁵²⁴.

Więcej majestatu zdaje się tkwić w Polaku gotowym do poświęceń, udręczonym, niesprawiedliwie traktowanym i niosącym krzyż dramatycznych dziejów narodu, niż w Polaku cynicznym, zważającym przede wszystkim na własne dobro i rozwój. Analizując „myśl polityczną” Gombrowicza kolejny raz dotykamy kwestii egoizmu i altruizmu. Tak zwany zdrowy rozsądek podpowiada nam, że godniej i piękniej być altruistą, że taka Forma nas wywyższa i – zwłaszcza w sytuacjach kryzysowych – pomnaża naszą godność. Jako Polacy, stwarzamy sytuację analogiczną do tej z *Bankietu*, w której przepych wystawnej kolacji ma zatuszować niedomagania Gnula. Tylko, jak pamiętamy, śmieszności tego nieprzystosowanego do majestatyczności władcy nie była w stanie zamaskować nawet najdoskonalsza oprawa. Polska nie jest bowiem Chrystusem, lecz Gnulem narodów, co wcale nie musi być przykrą diagnozą:

„A jeśli naród jest tak geograficznie i historycznie umieszczony, że nie może dojść do potęgi? Cóż wtedy? Ta polskość spontaniczna i naturalna, zawarta w każdym z nas, doznaje wielkiego uszczerbku, ponieważ wyzbyliśmy się pełnej szczerości i swobody ducha na rzecz mocy

⁵²³Tamże.

⁵²⁴Tamże.

zbiorowej – której nie uzyskaliśmy ponieważ jest nieosiągalna. Więc co? Spalamy się, ale z tego spalania tylko dym”⁵²⁵.

Winniśmy przyjąć tylko odpowiednią perspektywę, by tego całkowicie zbędnego, dławiącego dymu uniknąć:

„A zatem moje pragnienie »przewycięzenia Polski« było jednoznaczne z **chęcią wzmocnienia naszej indywidualnej polskości** [podkr. D.Ś.]. Chciałem po prostu aby Polak przestał być wytworem wyłącznie życia zbiorowego – i »dla« życia zbiorowego. Chciałem go uzupełnić. Zalegalizować jego drugi biegun – biegun życia indywidualnego – i rozpiąć go między tymi dwoma biegunami. Chciałem go mieć między Polską a jego własnym istnieniem – bardziej dialektycznego i antynomicznego, świadomego swojej wewnętrznej sprzeczności i umiającego wyzyskać ją dla rozwoju”⁵²⁶.

Z tą kwestią nieodłączna jest kwestia poniżania i wywyższania. Polacy dysponują bowiem w y w y ż s z a j ą c y m ich potencjałem, który jest przez nich skrzętnie blokowany. By go jednak móc wykorzystać, winni przyrzeć się dokładnie temu wszystkiemu, co ich poniża. Zasadniczy problem polskiej Formy polega bowiem na tym, że skrępowani nią Polacy rozpaczliwie dążą do jej idealizacji, zamiast odważnie się z nią zmierzyć i ją zaakceptować. Znakomitą ilustracją do tego problemu jest *Pampelan w tubie*, nowelka mocno wsparta o (również) polskie śmieszności i, w mojej ocenie, inspirująca do konfrontacji z Formą. Już sam jej początek powinien politologa, co najmniej, zaintrygować:

„Przystępując do tej historii, trudno zaiste zachować równowagę pomiędzy jej elementem publicznym a prywatnym pierwiastkiem [podkr. D.Ś.], gdyż z jednej strony jest to historia najbardziej publiczna i kosmiczna z tych, jakie kiedykolwiek wydarzyły się za naszych czasów, a z drugiej – najbardziej prywatna i nawet wstrętne, obleśne, szyderczo prywatna”⁵²⁷.

Problem to analogiczny do Ja rozpiętego między Człowiekiem i Polakiem, Człowiekiem a członkiem jakiegokolwiek zbiorowości. Patrzymy więc z tej perspektywy na fabułę *Pampelana*...:

„Ród generała hr. Macieja Dragi już od XV wieku odznaczał się szczególnym zmysłem dla wszystkiego co wykwita wysoko ponad pojedynczym osobnikiem”⁵²⁸.

Przynajmy, że te słowa doskonale uzupełniają przytaczane przed chwilą fragmenty *Dziennika*. *Pampelan*... to także kolejny tekst Gombrowicza, w którym zaakcentowane zostają kategorie ogólności i szczególności:

⁵²⁵Tamże.

⁵²⁶Tamże, s. 355-356.

⁵²⁷*Pampelan w tubie* [w:] Bak., s. 315.

⁵²⁸Tamże., s. 315.

„– Nie każdy umie myśleć generalnie – powiedział Henryk Sienkiewicz w 1897 r., [podkr. D.Ś.] a w połowie XVII stulecia, na 220 lat przed Sienkiewiczem, Melchior Draga, łowczy W.X.Lit. I podskarbi, pierwszy zaczął myśleć generalnie, zaś generał Józef Draga, kawaler orderów i kawalerzysta, w 1810 r., w kwietniu, doprowadził owo myślenie do szczytu wobec cesarza Napoleona I”⁵²⁹.

To, że w tekście noweli pojawia się Sienkiewicz, jest bardzo ważnym tropem, który rozwinę w dalszej części rozdziału. Na razie odnotujmy tylko to odwołanie, i skoncentrujmy się na kwestii wyższości i niższości:

„– Dragowie nigdy nie byli na »pan« z wielkością – rzekł on do cesarza i konsekwentnie mówił mu »Napoleonie«, a cesarz podbity szlachetną butą dumnego dziwaka uczynił go hrabią i odtąd generalstwo wraz z hrabstwem w tym rodzie przechodziło poniekąd z ojca na syna, w coraz subtelniejszych inkarnacjach, przy czym, gdy starszy syn był kawalerzystą, młodszy oddawał się dyplomacji – a trzeci bywał zazwyczaj jedynie hrabią pur sang, niczym więcej jak tylko hrabią czystej krwi”⁵³⁰.

Jest więc w rodzie Dragów coś dogłębnie sarmackiego. Odnoszę jednak wrażenie, iż epatowanie byciem „na ty” z kimkolwiek cieszącym się autorytetem, nie ma działania wywyższającego, a wręcz przeciwnie. Skoro jesteśmy dumni z naszej poufałości ze znaczącą jednostką, to znaczy, że aspirujemy do jej wielkości, a to z kolei prowadzi do konkluzji, że jesteśmy względem niej uniżeni. Przyklejając się do czyichś pleców zawsze bowiem będziemy tuż za tą podziwianą przez nas osobą. Bezcelnie zawarty bruderszaft z Napoleonem i – co najważniejsze – obnoszenie się z tą poufałością wiele więc mówi o rodzie Dragów. Ale sami zainteresowani zdają się tego nie dostrzegać:

„Kochali się w sławie; obserwowali tradycję; święcili przeszłość i kultywowali najszerze światowe horyzonty – a przede wszystkim mieli we krwi kult dla Napoleona I i, co za tym idzie, najgłębsze zrozumienie dla Historii, momentu historycznego, oraz zapał dla wszelkich postaci i domów panujących”⁵³¹.

Zastanówmy się tylko, czy horyzonty Dragów są faktycznie tak szerokie, czy może jedynie ród ten pławi się w złudnym przeświadczeniu o takowych. Co jednak warte uwagi:

„Lecz nie to stanowiło główny atut rodziny, lecz to, że posiadali coś nobliwie publicznego pod względem osobistym i prywatnym”⁵³².

⁵²⁹Tamże.

⁵³⁰Tamże, s. 315-316.

⁵³¹Tamże, s. 316.

⁵³²Tamże.

Kolejny raz zbliżamy się więc do kwestii zagłuszania prywatności, indywidualizmu, jednostkowości na rzecz tego co publiczne:

„Każdy z nich zawsze zachowywał się, jakby spoglądało nań sto tysięcy osób, i nie istniał w całym domu zakamarek, w którym zachowywałby się inaczej; a co więcej, na żadnym z nich nie dawała się pomyśleć rzecz tak osobista i prywatna jak pryszcz”⁵³³.

Moja diagnoza brzmi w tym momencie następująco: Dragowie tak silnie wniknęli w „międzyludzkie”, że całkowicie zatracili jakąkolwiek autonomiczność. Tu, ponownie podkreślę, że absolutnie nie sugeruję, by w uniwersum Gombrowicza jakąkolwiek jednostka była w stanie funkcjonować (i – w ogóle – istnieć) bez drugiego człowieka. To – zatracone przez Dragów – wyodrębnienie ze wspólnoty nie oznacza zerwania połączeń między Ja i innymi Ja. Chodzi tu raczej o samą świadomość, że Ja istnieję egzystuję tylko dzięki interakcji z drugim człowiekiem i moja (choć właściwie nie-moja, bo sztucznie u-formowana przez kogoś innego) natura realizuje się w spotkaniu z kimś innym, ale (!) – mimo wszystko – jestem odrębnym atomem budującym materię. Draga zwycięża tu z Człowiekiem, więc i na samego Dragę – prędzej czy później – wylać się musi kubał zimnej wody. Wracając do fabuły:

„Współcześnie żyjący gen. hr. Wacław Draga, kawaler orderu i czerstwy starzec w stanie spoczynku, ożenił się był z ostatnią z rodu Pragów, baronowskiego, która wniosła w posagu pokaźną liczbę portretów rodowych i dużo stylowych zwierciadeł. **Zwierciadła i portrety pomnażały świetność w nieskończoność** [podkr. D.Ś.], rozszerzając się i rozdymając ją w czasie i w przestrzeni. Starszy syn generała, Erazm hr. Draga, był bridżistą, heraldykiem i członkiem MSZ. Średni syn był porucznikiem 1-go pułku, sportsmenem, hippistą i kobieciarzem. A zatem w myśl tradycji rodowej najmłodszy syn winien był zostać jedynie hrabią pur sang i w tym celu ojciec zamierzał nabyć dla niego majątek ziemski w Kaliskiem albo w Kutnowskiem”⁵³⁴.

Pomnażanie świetności, w świetle *de facto* unizającego Dragów spoufalenia z Napoleonem, jest poniekąd pewną zasłoną dymną, za którą kryje się czysta i zawstydzająca niedojrzałość. Na razie zaledwie się jej domyślamy, ale już niebawem jeden z bohaterów dokona w tej sprawie niemałego przełomu. O hrabim Macieju mowa:

„Atoli najmłodszy syn Maciej jr., Maciej jr. hr., z przyczyn niedocieczonych – a może mamka zbyt nagle, zbyt gwałtownie, zbyt boleśnie obnażyła pierś, przystępując do karmienia, a może zbyt ostro przycięto sznur pępkowy – był jakiś niezdarzony”⁵³⁵.

⁵³³Tamże.

⁵³⁴Tamże, s. 316-317.

⁵³⁵Tamże, s. 317.

Młodość/niedojrzałość/zieloność bohatera, jak zwykle u Gombrowicza bywa, sprzężona jest z całą paletą niedomagań:

„I o tyle nieśmiały o ile rodzina jego odznaczała się butną śmiałością, o tyle porażony kompleksem niższości o ile oni uprawiali wyższości kompleks i o tyle krościasty o ile tamci gładysze”⁵³⁶.

Mamy więc do czynienia z bohaterem w niczym nieprzypominającym swoich krewnych. Maciej jest odpowiednikiem Gnula, Iwony, Józia i – tak właściwie – całej jeszcze plejady Gombrowiczowskich postaci. Przyjrzyjmy się kolejnym jego cechom:

„I nie posiadał on żadnego zmysłu wielkości, lecz tylko zmysł małości, gmerał w zębach, patrzył przez lufcik, wsadzał za bucik sznurowadło, drapał się w ucho, skrobał w piętę, poprawiał mankiety i siorbał. I, będąc hrabią z urodzenia, nie był nim ani z wyglądu, ani z oblicza, ani z postawy, ani z gestu, ani z mowy, lecz był zahukany gminnie”⁵³⁷.

Oto kolejny przypadek wywyższenia poniżającego. Najmłodszy z synów ewidentnie nie wpisuje się w stereotypowy obraz przedstawiciela wyższych sfer. Jest dojmująco przeciętny, jawi się jako typowy reprezentant gminu. Zauważmy, że jego zawstydzające przywary są, zasadniczo, całkowicie pospolitymi cechami, które nie powinny raczej razić żadnego nieoderwanego od rzeczywistości człowieka. Tyle, że jego przynależność do znamienitej rodziny Dragów, każe nam postrzegać bohatera jako tego, który nie dorasta do ich poziomu. W tej sytuacji prawie moglibyśmy przeoczyć sam fakt, że realny arystokratyzm tego rodu jest, delikatnie rzecz ujmując wątpliwy... Maciej, z pozoru słaby i niepasujący do towarzystwa, jest jedyną jednostką zachowującą się adekwatnie do swego realnego, gminnego w gruncie rzeczy, pochodzenia. Mimo wszystko, pełni rolę czarnej owcy, bowiem:

„I nie miał myślenia generalnego, lecz myślenie jak najbardziej pojedyncze, szczegółowe, szare, bez szlif i akselbantów, takie mniej więcej jak dość duża i dość spocona ręka. Lubił reperować dzwonki i znał się trochę na radiospręcie, w czym gmerał trochę jak w zębach, trochę jak w uchu, nastawiał na Berlin i słuchał, łapał Moskwę, typowy pod tym względem szkolarz i wyrostek z przykrótkimi nogawkami”⁵³⁸.

Z racji, że charakter i zainteresowania bohatera nijak się miały do zbiorowego wyobrażenia o osobowości i pasjach prawdziwego arystokraty, usiłowano u-formować jego Ja wedle przyjętej przez całe pokolenia Dragów matrycy:

⁵³⁶Tamże

⁵³⁷Tamże

⁵³⁸Tamże, s. 317-318.

„Próbowano go jakoś ośmielić, ośmielić jego nieśmiałość – i faktycznie to się udało, ośmielono ją do tym większej nieśmiałości. Próbowano też zachęcić jego niechęć i faktycznie zachęcono ją do tym większej niechęci”⁵³⁹.

O dziwo, te zabiegi były równie skuteczne jak tortury sędziego Skorabkowskiego nad niepokornym Huliganem. Sumiennie jednak Dragowie usiłowali zmodyfikować naturę – by znów odwołać się do Gombrowiczowskiego *Szczura* – Macieja:

„Wezwano biegłych lekarzy celem rozwiązania chorobliwego kompleksu niższości, lecz kompleks niższości zawiązał się tym silniej pod ręką biegłych lekarzy”⁵⁴⁰.

Zauważmy, jak niższość potrafi wprawnie zarządzać wyższością; jak wiele wysiłku i uwagi wkładano w maskowanie niższości (a może autentyczności?) Macieja:

„Póki sprawa kryła się w domowym zaciszu, nie powodowała większych przykrości, ale wyrostek dorastał i goście, tłumnie zalegający gościnne salony, domagali się okazania najmłodszego hrabiego czystej krwi, Macieja hr. jr.”⁵⁴¹.

W tym momencie warto się zastanowić nad motywami rodziny Dragów nieudolnie wywyższającej krnąbrnego w swej niższości bohatera. Czy może nie jest tak, że Maciej – podobnie jak Iwona – jest skłonny wyciągnąć na światło dzienne wszystkie słabości członków tego znamienitego, podkreślmy z pewnym przekąsem, rodu? Znajomość części dzieł Gombrowicza daje czytelnikowi umiejętność trafnego przewidywania, co się może wydarzyć w fabułach kolejnych utworów. Za moment więc nadarzy się okazja, by słabości Macieja wypłynęły na powierzchnię i – co gorsza – rozmontowały fasadę, za którą ukrywają się prawdziwi (choć nadal sztuczni) Dragowie:

„W tym czasie w jednym z krajów ościennych wypadł właśnie mariaż księżniczki Teresy Marii Adelaidy, córki królewskiej, ze sławnym bohaterem narodowym, generałem Pampelanem, przy czym podniesienie ducha w narodzie było bezprzykładne, a ludzie trzy dni wyczekiwali na ulicach, by raz rzucić okiem na ukochaną postać wielkiego historycznego męża kroczącego na czele orszaku”⁵⁴².

Taki poziom wzniosłości i blichtru nie mógł umknąć uwadze tej pasożytniczo żerującej na cudzej wyższości rodzinie. W związku z tym, Dragowie decydują się powziąć znaczące działania:

„Nigdy jeszcze prywatny związek płciowy nie był wyniesiony na barkach milionów na te wyżyny, nigdy żaden z momentów historycznych nie był bardziej historyczny w światowych

⁵³⁹Tamże, s. 318.

⁵⁴⁰Tamże.

⁵⁴¹Tamże.

⁵⁴²Tamże.

swoich konsekwencjach i stary gen. Draga hr., **nie bacząc na odległość geograficzną, postanowił uczcić wielkość tych zaślubin przyjęciem na 40 osób** [podkr. D.Ś.]⁵⁴³.

Jak wiadomo, w świecie Gombrowicza: „przyjęcie” = „katastrofa”. I, jak to zwykle bywa, bohaterowie są na tyle przezorni, by usiłować dopiąć przygotowania do bankietu na ostatni guzik:

„Radio ustawione na kolumience w sali jadalnej miało podawać przebieg uroczystości, goście wznosić mieli toasty w stosownych chwilach, a wszystko pomyślane było na wielką skalę w przestrzeni i w czasie, zważywszy radio i historię, z tym rozmachem horyzontalnym, cechującym z dawna Dragów, dzięki któremu nie mieli oni wcale żadnych przyszłości”⁵⁴⁴.

A ponadto:

„Dzień ten uznano po naradzie rodzinnej za najwłaściwszy dla przedstawienia zebranych gościom kompromitującego rodzinnego radioty od jego najlepszej strony, od jedynej i wyłącznej strony, z której zdradzał biegłość, tj. od strony radioamatorskiej, i ojciec wydał polecenie, aby, przystroivszy się jak najozdobniej, objął dozór nad technicznymi szczegółami imprezy”⁵⁴⁵.

Zauważmy, że rodzina była w tym przypadku na tyle miłosierna, by pozwolić nawet najmłodszemu synowi wykazać się publicznie w dziedzinie, która go pasjonowała. Trudno tu jednak mówić o jakiejś szczególnej trosce o dobrostan Macieja. Jego zadanie, polegające na oprawie radiowej doniosłego wydarzenia, służyło raczej do odciążenia uwagi uczestników bankietu od licznych słabości i śmieszności hrabiego.

Dalsza część noweli wygląda na niemal przekopowany tekst *Bankietu*, ale trąci też uroczystością zorganizowaną przez Henryka w *Ślubie*:

„Kwiaty mdlały – portrety rodowe świetniały – zwierciadła mnożyły perspektywy – hrabina w toalecie bois de rose, w fotelu drugiego Cesarstwa, siedziała – obaj synowie generała, heraldyk i koniarz, bridżista i sportowiec, dyplomata i rasowy kobieciarz podwajali i potrajali wrodzoną pewność siebie, gdy ukazał się nasz radioamator w ad hoc skrojonym garniturze, z otwartymi ustami, wystającymi mankietami i włosami przylizanymi”⁵⁴⁶.

Nie takiego potomka się spodziewano po rodzie Dragów, atmosfera na sali staje się więc coraz bardziej napięta:

⁵⁴³Tamże, s. 318-319.

⁵⁴⁴Tamże, s. 319.

⁵⁴⁵Tamże.

⁵⁴⁶Tamże.

„Goście wydali cichy krzyk. Ojciec podniósł się, aby przedstawić syna, który, zastraszone i onieśmielony, stąpał tuż za ojcem. A stąpając tak za ojcem, **do którego był podobny** [podkr. D.Ś.] w szczegółach budowy (tylko że to, co u ojca było zżęcznie maskowane tuszą oraz duszą, u niego nieporządnie porozkładane leżało na wierzchu) – wywlekał z ojca te niemiłe szczegóły i wystawiał na widok publiczny, jak pies wystawia kuropatwy”⁵⁴⁷.

Nie było więc przesadą moje stwierdzenie, iż młody hrabia stanowi *alter ego* demaskującej wszystkie słabości dworu Iwony. Ta bezwstydną przeciętność bohatera, który – zauważmy – również do gadatliwych raczej nie należy. Wobec czego:

„Goście zasłonili sobie oczy na ten widok, na widok wad budowy starego ale dotąd postawnego hrabiego”⁵⁴⁸.

A teraz przypomnijmy sobie, co pisał Gombrowicz na temat bolesnego demaskowania polskiej Formy. W obu przypadkach prawda jest bardzo dla wiernych „międzyludzkiego” niewygodna i – w efekcie – wyzwalamą różnorakie mechanizmy obronne. Również w tej nowelce możemy zaobserwować efekt domina; jedna demaskacja wprost musi wywołać ciąg kolejnych wypadków:

„Co widząc hrabina dała hasło rozpoczęcia uczyty, wstała i przeszła do sali jadalnej. Wówczas jednak ogłupiały z przerażenia Maciulek (tak był nazywany w rodzinie), porzuciwszy połę ojca i czepiając się matczynej spódnicy, wywłókł naraz z tej efektownej jeszcze kobiety ukrytą w niej ślamazarność i uraczył nią rozbawionych gości”⁵⁴⁹.

Traumatyczne to musiało być zdarzenie, zwłaszcza że rozgrywało się zupełnie publicznie i w cieniu prawdziwej, nieuzurpowanej wyższości. Toteż:

„Goście z cichym piskiem jęli smakować skrytą ślamazarność hrabiny”⁵⁵⁰.

Goście zgromadzeni na uczyty do złudzenia przypominają tłum zebrany na tenisowym korcie w historii Filiberta. Reagują stadnie, są ze sobą jakoby zsynchronizowani i – dzięki swej jednomyślności – legitymizują niejako nowy porządek, który właśnie przenika do relacji panujących w rodzinie Dragów. I, co wymaga zaakcentowania, operacja ta przebiega bez żadnego znieczulenia:

⁵⁴⁷Tamże, s. 320.

⁵⁴⁸Tamże.

⁵⁴⁹Tamże.

⁵⁵⁰Tamże.

„Hrabina, jak mogła, opędzała się od syna, który nie chciał się odczepić. Gdy zaś na koniec wszyscy usiedli i gdy usadowiono go na szarym końcu stołu, wywlókł osobą swoją z braci rodzonych, na mocy rodzinnego podobieństwa, okropne historie i podał je gościom jak na półmisku”⁵⁵¹.

Warto zwrócić uwagę na ciekawy zabieg:

„Mianowicie z koniarza, zuchwałego sportowca, takiegoż don Juana i lamparta, o którego liaison z najszykowniejszą primadonną stolicy było głośno, wywlókł i podał na półmisku jakieś wewnętrzne niechlujstwo oraz zwykłe tchórzostwo – tak, iż wszyscy naraz spostrzegli, że ów świetny młodzieniec był właściwie niechlujem, tchórzem podszytym – a z heraldyka, bridżysty i bywałego w świecie dyplomaty, wywlókł okropną gminność, gminność esencjonalną, parę nieudolnych nóg i dwie spocone dłonie”⁵⁵².

Otóż pozornie wydawać by się mogło, że Maciulek wydobyl ze swoich braci cechy całkowicie sprzeczne z ich publicznym wizerunkiem. Do tej pory, przeglądając się w oczach innych, byli/stawali się nieustannie – kolokwialnie rzecz ujmując – najlepszymi wersjami siebie. Czy to oznacza, że w starciu z młodszym bratem, doszczętnie zatracili swoje dotychczasowe Ja? Czyżby zostali u-formowani na nowo? Niekoniecznie. Cóż bowiem stoi na przeszkodzie, by romansować z primadonną, a jednocześnie być tchórzem? Albo: czy dyplomata w głębi duszy nie może być jednocześnie stereotypowym przedstawicielem gminu, który tylko skrzętnie ukrywa swoją pospolitość? Maciulek nie wpycha członków swej rodziny w nowe Formy, a wręcz przeciwnie: topi ich w Formie dotychczasowej. Kiedy najmłodszy hrabia wszedł na salę bankietową, płaski urokliwy obrazek stał się trójwymiarowy. Zamiast wyidealizowanych manekinów, uczestnicy przyjęcia mieli okazję zobaczyć organizatorów w całym ich brudzie i słabości. I taki oto widok okazał się znacznie bardziej interesujący od sztucznego spektaklu pozornie wywyższającego Dragów:

„Goście ucichli i odmawiali perliczek z borówkami, sycąc się złowrogo lepszymi psychicznymi potrawami, które podsuwał im najmłodszy syn, donosiciel i zdrajca rodzimych pieleszy”⁵⁵³.

Perspektywa narratora jest, jak widzimy, całkiem odmienna od mojej. Można przyjąć, iż staje on po stronie broniącej się przed przekroczeniem Formy rodziny. Jest równie zgorzony całym incydentem, obwinia Maciulka o zdradę. Goście wydarzenia oddają się jednak umysłowej uczcie:

„Rodzina hrabiostwa siedziała jak na cenzurowanym, czując się perliczką i karmiąc sobą w przedziwnie obleśny sposób całe zgromadzenie. A goście żarli i żarli...”⁵⁵⁴.

⁵⁵¹Tamże.

⁵⁵²Tamże, s. 320-321.

⁵⁵³Tamże, s. 321.

⁵⁵⁴Tamże.

Dragowie doświadczają w tym momencie absolutnie dojmującego poniżenia⁵⁵⁵. W każdym razie, fakt iż znamienita rodzina pełnić zaczyna funkcję przekąski dla swoich gości nie sprowadza ich nawet do poziomu „niewydarzonego” (czyli, powtórzmy, zasadniczo mieszczącego się w normie, choć może niewybitnego i niecharyzmatycznego) Maciulka. Jest gorzej: arystokraci stają się wręcz pokarmem, pożywką dla towarzystwa. W pewnym momencie może jednak zagościć w umysłach pewien promyk nadziei, ponieważ:

„W tej tragicznej chwili aparatura dźwiękowa przemówiła i rozległ się hymn królewski, nadawany z odległej stolicy, gdzie księżniczka Teresa Maria Adelaida ukazała się w welonie z brabanckich koronek, pod rękę z dumą narodu bohaterskim Pampelanem we wrotach starożytnej katedry z XV w. w stylu wczesnego renesansu”⁵⁵⁶.

Czy transmisja pełnego przepychu wydarzenia wyniesie ponownie Dragów na (fikcyjny) piedestał? Wiele na to wskazuje:

„Co słysząc, stary osiwiasty hrabia wyprężył się, porwał z miejsca i wypalił wielki toast na cześć dostojnej pary, przy czym rzekł: Wielkość. Przeznaczenie. Historia. Męstwo. Heroizm. Sława. Honor”⁵⁵⁷.

Wielkie idee i wartości mogą przerwać proces rozkładu potęgi rodu. Wystarczy tylko z należytych pietyzmem się do nich odwoływać. A jak się okazuje, hrabia ma w tym niemałą wprawę:

„A mówiąc te słowa, spiżowe, jak dzwony, nie tylko wielbił z właściwą Dragom wielkoduszością historyczny moment, lecz również ratował siebie i swoich przed ostateczną kompromitacją ze strony trywialnego wyrodka”⁵⁵⁸.

Zgromadzeni na ucztę goście mają więc okazję przyglądać się temu wzniosłemu obrazkowi:

„Drżący i wzruszony starzec, dobywający najgłębszych akcentów bezinteresownego kultu dla wielkości, był wspaniały”⁵⁵⁹.

Który to oddziałuje zgodnie z zamierzeniem patetycznego starca:

„Jakoż goście zerwali się jak jeden mąż z kielichami i zapominając o nieprzyjemnych szczegółach chórem zawołali: – Niech żyje!”⁵⁶⁰.

⁵⁵⁵Określenie skali degradacji bohaterów ułatwia *Biesiada u hrabiny Kotubaj*. W tej nowelce przecież również mamy do czynienia z mniej lub bardziej metaforyczną ucztą kanibali.

⁵⁵⁶*Pampelan...*, dz. cyt., s. 321.

⁵⁵⁷Tamże.

⁵⁵⁸Tamże.

⁵⁵⁹Tamże.

⁵⁶⁰Tamże, s. 321-322.

W tym momencie dzieje się magia. Wszystkie zbędne rysy na wizerunkach członków rodziny zanikają, w niepamięć obracają się ich wszelkie mankamenty; doskonałość rodziny Dragów zostaje przywrócona. Czy jednak bezpowrotnie? Tak iluzoryczna wyższość musi być otoczona najwyższą troską, bowiem bardzo łatwo tak kruchy twór uszkodzić. W tym momencie obserwujemy jednak moment ich triumfu:

„Generał bridżista i wyścigowiec, tudzież hrabina matka powrócili w ich oczach do dawnej nieskazitelnej formy, wiatr heroizmu rozproszył zupełną defektów i wołając – niech żyje! – wznosili okrzyk tyleż na cześć odległej pary historycznej, co na cześć samejże rodziny Dragów”⁵⁶¹.

Pasożytnictwo praktykowane jest, jak widać, z niemałym powodzeniem. Warto zwrócić uwagę, że tłumem gapiów/uczestników biesiady niezwykle łatwo zmanipulować. Moment fascynacji brzydotą i brudem, które na moment wyzierały spod nieskazitelnych rysów arystokratów, pozostaje jak widać bez szczególnego wpływu na dalsze losy bohaterów. Czas więc na ponizająco-wywyższający toast:

„– Dragowie zawsze byli na »ty« z wielkością! Niech żyje Pampelan! – zawołał generał, dumny, że rodzinę jego i królewską, monarszą rodzinę połączono w jednym okrzyku”⁵⁶².

Obie rodziny tylko okrzyk może bowiem połączyć, brakuje szans na głębsze koligacje. Dragowie mogą jednak spokojnie celebrować swój rytuał i napawać się swoją imitacją wielkości:

„Goście usiedli. Podano perliczki. Honor był uratowany”⁵⁶³.

I nikt by się nie spodziewał, że w tym momencie dojdzie do absolutnej katastrofy:

„Naraz wstał radiota i czerwony, krzyknął: – Niech żyje! – głosem swoim, który był autentycznym głosem Dragów, plus wszystkie kogucie piski i chrypliwe dyszkanty wielu niewdzięcznego”⁵⁶⁴.

Tak oto zrealizował się bodaj najczarniejszy z możliwych scenariuszy. Nie dość, iż Maciulek absolutnie bezczelnie wyrwał się przed szereg, to swoim głosem zdemaskował głosowe defekty jego krewniaków. Sama zaś bezsensowność opóźnionego toastu wywołuje salwę śmiechu. A, jak wiemy, śmiech w świecie Gombrowicza nie zwiastuje niczego (przynajmniej z perspektywy Formy) dobrego:

⁵⁶¹Tamże, s. 322.

⁵⁶²Tamże.

⁵⁶³Tamże.

⁵⁶⁴Tamże.

„Goście ryknęli śmiechem”⁵⁶⁵.

Patos sytuacji został bezpowrotnie zaprzepaszczonej. Reakcja gospodarzy wieczoru jest więc poniekąd dość zrozumiała:

„– Czego, ośle? – krzyknął purpurowy z gniewu i ze wstydu generał. – Czego? Kto? Kto niech żyje, ośle?!”⁵⁶⁶.

Ten kto myślał, że w tym momencie bankiet został całkowicie zrujnowany, dowie się za moment, że poziom dna jeszcze nie został osiągnięty:

„A radioamator, który na skutek swej gapiowatości po prostu spóźnił się z toastem, wykrztusił z brudnymi poszczerbionymi paznokciami i wysuniętym mankietem:

– P a n [podkr. oryg.] Pampelan”⁵⁶⁷.

Ród, który cieszył się swoją arystokratycznością zaledwie dzięki impertynenckiej śmiałości wyrażanej poprzez zwracanie się na „ty” do najpotężniejszych, właśnie stracił cały fundament swego jestestwa. Przesycony niższością Maciulek zdecydował się wszem i wobec afirmować ową niższość, wyrazić na głos dystans, który przecież istotnie pomiędzy nim a Pampelanem się znajdował. Bohater powiedział wprost, że jest z kimś wyżej postawionym od siebie na „pan”, że nie jest równy wyższemu od siebie. Więż pasożytnicza została ostatecznie przerwana. Z racji, że Maciej również jest Dragą, jego uniżenie względem Pampelana oznacza uniżenie całej jego rodziny. Sprawa jest więc najwyższej powagi:

„Kwiaty mdlały – lustra świetniały – goście roześmieli się w kułak. Ojciec opadł na krzesło. Jakże – przecież Dragowie byli na »ty« z historią. Gdyby powiedział »pan Napoleon«, nie byłoby to bardziej straszne”⁵⁶⁸.

Dramat nie dzieje się więc tylko tu i teraz, ale też prowadzi do rozrachunku z całą historią rodu. Nagle, nieopatrznie, w swej niedojrzałości, Maciulek wyzuł kilka pokoleń z całej pozorowanej, lecz bardzo wygodnej świetności. Jak zachować się w tej sytuacji?

„Wtem Wiktor, najstarszy syn, przywieziony do ostateczności, jął tłumaczyć gościom i dawać im do zrozumienia, że Maciulek... właśnie nie należy do rodziny, że nie jest z krwi Dragów... że jest to obcy przybłęda...”⁵⁶⁹.

⁵⁶⁵Tamże.

⁵⁶⁶Tamże.

⁵⁶⁷Tamże, s. 322.

⁵⁶⁸Tamże, s. 322-323.

⁵⁶⁹Tamże, s. 323.

Przynajmy, że strategia Wiktora jest dość prymitywna, lecz tonący brzytwy się chwyta. Nie kamufluje to jednak całego brudu, który kolejny raz wydobył się z fałszywej fasady doskonałości:

„– Jak to? – zawołali niektórzy z zaproszonych, wietrząc nowe brudy w tej rodzinie i oblizując się na nie. – Jak to – przybłęda? Jak to – nic wspólnego? Przecież kość z kości, krew z krwi, hrabia pur sang”⁵⁷⁰.

Bohater brnie dalej w rozpaczliwej próbie samoobrony. Chociaż my wiemy, że to raczej godzenie w samego siebie, zrealizowane w ramach służby Formie. Draga walczy dzielnie z Człowiekiem:

„– Nic podobnego – krzyknął Wiktor. – Krwi Dragów w nim nie ma, a kości tym bardziej. Dość spojrzeć na niego! Ojciec nasz nie ma z nim nic wspólnego, nieprawdaż, ojczy?”⁵⁷¹.

Wywołany do tablicy starzec zmuszony jest do dokonania wyboru między prywatnym a publicznym; między wizerunkiem Dragów, a prawdziwymi relacjami, które w ramach tego rodzaju zachodzą. Pytanie tylko, czy fałszowanie historii w imię służby historii, jest na pewno dobrym pomysłem?

„Stary Draga dźwignął się ciężko, spoglądając kolejno po synach, a prywatne uczucia rodzinne toczyły w nim bój z uczuciami rodowymi i publicznymi. Miałże w imię rodu, historii i wielkości wyprzeć się najmłodszego? Rzucić cię hańby i niesławy na żonę, nieskalaną dotąd żadnym podejrzeniem?”⁵⁷².

Na sali bankietowej zagnieżdża się powoli nowa, nieznana dotąd forma patosu. Zwróćmy uwagę, jak Gombrowicz zaczyna grać na emocjach czytelnika, doprowadzając całą sytuację do zaskakującego poziomu łzawości:

„Spojrzał na nią [na żonę – D.Ś.] i wspomniał, jak tworzyli razem tego syna – spojrzał na Maciulka i ściśle prywatna i poufna rzewność przeszła mu serce, wyciągnął drżącą dłoń i pogmerał nią we włosach Maciejaszka, Maciulka, radiomajsterka swego, który stał nic nie mówiąc, z otwartymi ustami”⁵⁷³.

Moglibyśmy sobie wyobrazić tę scenę w filmowej odsłonie, z poruszającą muzyką i kamerą powoli najeżdżającą na wykrzywione w bólu i zdumieniu twarze kolejnych bohaterów...

⁵⁷⁰Tamże.

⁵⁷¹Tamże.

⁵⁷²Tamże.

⁵⁷³Tamże, s. 323-324.

„– Ojczy! – Krzyknęli obaj starsi nagłaco, z wyrzutem. Po raz pierwszy w dziejach wyrzut pojawił się na ich gładkich obliczach”⁵⁷⁴.

Melodramatyczną chwilę nagle przerywa transmisja uroczystości towarzyszących zaślubinom Pampelana:

„Wtem w radioaparacie dały się słyszeć okrzyki, dźwięki trąb i bębny, miarowy tupot tysięcy – to rozpoczęła się defilada ku czci Pampelana. – Ojczy! – krzyknęli obaj starsi synowie – Pampelan! Pampelan przyjmuje defiladę! Pampelan!”⁵⁷⁵.

I okazuje się to bodźcem do podjęcia drastycznej decyzji:

„– Dobrze – wyrzekł – niech i tak będzie. On jest na pan z Pampelanem. Więc i ja będę z nim na pan! – Wyrok zapadł. Ojciec publicznie wyparł się syna. Matka zakryła twarz rękami. Goście skupili się w stado. W radioaparacie ozwały się trąby, flety i puzony, a po chwili dały się słyszeć cudzoziemskie okrzyki tłumu: – Niech żyje Pampelan!”⁵⁷⁶.

Jakiej reakcji należałoby się spodziewać po nieśmiałym, niedoskonałym i niezgrabnym synu? Z pewnością nie takiej:

„– Maciulek nagle poczerwieniał i powiedział cicho, wodząc oczami po ojcu, matce i braciach:
– **Bardzo dobrze** [podkr. D.Ś.]”⁵⁷⁷.

Maciej w tym momencie ostatecznie i już w pełni świadomie przełamuje Formę. Nie rzuca się w inną, nie ucieka, lecz akceptuje całe poniżenie, jakie go spotkało. Z jednej strony ostatecznie pozwala, by Pampelan był dla niego zaledwie jakimś „panem”, z drugiej zaś – nie walczy z dystansem powstałym między nim, a jego rodziną. Na tym właśnie polega wyizolowanie się spośród wiernych „międzyludzkiego kościoła”. Relacje nie zostają zerwane, drugi człowiek nie znika, powstaje tylko odległość, a co za tym idzie – przestrzeń dla jednostki. I, nie oszukujmy się, Maciulek-buntownik również jest wytworem projekcji drugiego człowieka. Stał się banitą we własnej rodzinie, bo chciał tego jego ojciec, poddany z kolei naciskom starszych synów. Wciąż poruszamy się więc po planie „kościoła ziemskiego”, jednak relacje zostają tu bezpowrotnie zakłócone. I w tej też chwili modyfikacji ulega postawa hrabiego:

„Lecz wtedy nastąpiła najdziwniejsza scena, jaką tylko można sobie wyobrazić. Bo starzec przy dźwiękach trąb w radioaparacie, miotany całkiem prywatną boleścią i **zgoła osobistą**,

⁵⁷⁴Tamże, s. 324.

⁵⁷⁵Tamże.

⁵⁷⁶Tamże.

⁵⁷⁷Tamże.

organiczną, fizjologiczną koniecznością [podkr. D.Ś.], chciał koniecznie pomacać jeszcze syna, dotknąć go, poczuć, wyczuć zgodnie ze swoją ojcowską potrzebą. Zbliżył się do niego i wyciągnął dłonie – syn jednakże cofnął się gwałtownie⁵⁷⁸.

Dystans, ponownie jak wcześniej patos, blichtr, wielkość etc., ulega eskalacji. Wycofanie się Maciulka, brak jego zgody na przywrócenie starego porządku, wyzwala w nim niespodziewane dotąd pokłady godności:

„– O nie! – krzyknął. – Jak na pan, to na pan!”⁵⁷⁹.

Niemal niepostrzeżenie dokonała się zamiana ról. Teraz to dumny syn odtrąca ojca, natomiast hrabia błaga o litość. Obserwujemy więc skrajne formy poniżenia i wywyższenia. Co więcej, Maciulek przestaje w tym momencie przypominać nieapetyczną Iwonę, a zaczyna przywodzić na myśl dobrze znanego nam ze *Ślubu* Henryka. Okrutna degradacja postaci ojca przez protagonistę stanowi wspólny mianownik dla obu, pozornie tak różnych, utworów:

„Poraziło to ojca, który wyrwał się z rąk przytrzymujących go starszych synów i już nie licząc się z niczym dążył do najmłodszego, – Nie na pan, nie na pan, synu! Pozwól, niech cię dotknę! Nie na pan, nie na pan! – Lecz im boleśniej jęczał, tym chłodniej, bardziej oficjalnie, brzmiała nieustępliwa odpowiedź Maciulka:

– Proszę być ze mną na pan!”⁵⁸⁰.

Odpowiedź Maciulka jest więc całkiem symetryczna i wprost proporcjonalna w swym chłodzie do gorących błagań starca. Młodość triumfuje nad dojrzałością, a cała sytuacja rozpędza się w swym melodramatyzmie:

„Goście otoczyli ich kołem. W radiotubie ozwały się miarowe grzmoty dział. Wreszcie i starsi synowie, widząc mękę ojca, jeśli molestować brata, by się udobruchał i dał się przeprosić jakoś. Do tych próśb dołączyła się matka”⁵⁸¹.

Błagania te jednak wznosiły Maciulka coraz wyżej i wyżej, rozszerzając przepaść pomiędzy bohaterami i nadając mu wręcz rangę bóstwa, do którego składane są trwożliwe modlitwy. Z tej sytuacji nie ma więc odwrotu:

„Im cieplejsze wszakże stawały się prośby, tym bardziej najmłodszy i dotąd niepozorny radiota stawał się niedostępny, chłodny, zimny i wyszlifowany, wypolerowany, tym nieustępliwiej brzmiała jego odpowiedź:

⁵⁷⁸Tamże, s. 324-325.

⁵⁷⁹Tamże, s. 325.

⁵⁸⁰Tamże

⁵⁸¹Tamże.

– Proszę na pan!”⁵⁸².

Albo inaczej. B y ć m o ż e , gdyby Dragowie zaprzestali swych lamentów, gdyby przestali się poniżać przed synem, proces można byłoby odwrócić. To by jednak wymagało kolejnych drastycznych cięć i kolejnej przebudowy w „międzyludzkim”. Na to najwidoczniej nikt nie był gotowy, a wzrastająca z każdą chwilą potęga najmłodszego syna czyniła sytuację coraz trudniejszą:

„Wtem wrzaski zapału obwieściły przez otwór przyrządu, że Pampelan wstąpił na trybunę i będzie przemawiał do zgromadzonych tłumów. Lecz odpowiedź była nieuchronnie ta sama, zimna, sztywna i formalistyczna:

– Proszę na pan!”⁵⁸³.

W obliczu Maciulka nawet sam Pampelan traci na znaczeniu. Wszystkie oczy skierowane są na najmłodszego Dragę:

„Ojciec rozkleił się zupełnie. Łzy ściekały mu po wąsach. Pot pojawił się na skroniach i policzkach; siedział na podłodze i wyciągał dłonie do syna – wspominał dzieciństwo: – Synuś, synuś, a pamiętasz... ten śliniaczek, ten śliniaczek... Synuś, synuś – mamrotał. Za nim rozkleiła się matka – wybuchnęła płaczem, chlipanie rozległo się w pokoju. Obaj starsi również się rozkleili – coś ciepłego, coś rzewnego było. Pojawiły się wyrzuty”⁵⁸⁴.

Cały doskonały – choć nieprzystępny – wizerunek rodziny Dragów zostaje więc doszczętnie zdemontowany. To, co publiczne, przestaje się dla nich liczyć w obliczu tego, co wydarzyło się w starciu z drugim człowiekiem. Honor, Historia, czy jakikolwiek inne patetyczne hasła stały się niczym w obliczu tego, co prywatne. W tym układzie ważny jest tylko i wyłącznie drugi człowiek. Skoro zaś cały aspekt publiczny zmarł śmiercią naturalną, to i publiczność poczuła się w tej sytuacji niepotrzebna i straciła swe zainteresowanie gospodarzami uczy:

„Goście zaczęli się powoli rozłazić. Kwiaty mdlały – zwierciadła świetniały – goście rozłazili się... Lecz odpowiedź była wciąż ta sama, nieuchronna, śmiertelna, zimna i wyszlifowana, jak ostrze noża w samo serce:

– Proszę na pan!”⁵⁸⁵.

I nie tylko goście, stanowiący dotychczas swoisty monolit, zaczęli się „rozłazić”:

„Lecz już wszystko beznadziejnie się rozłaziło. Rozłaził się ojciec – rozłazła się matka – goście rozłazili się na wszystkie strony... Wszystko zaciekło, zwilgło, zwilgotniało, rozluźniało się i

⁵⁸²Tamże.

⁵⁸³Tamże, s. 325-326.

⁵⁸⁴Tamże, s. 326.

⁵⁸⁵Tamże.

rozpadało, lustra odbijały miękkie i zwisłe toalety, rozłazące się gorsy, a służba rozłaziła się po kątach. Kot przelazł powoli na dach po parapecie okna. Robak jakiś wylazł ze szpary. A odpowiedź, nieustająca, nieugięta, ostra i hartowna, jak klinga, była wciąż jednakowa i niezmienna:

– Proszę na pan!”⁵⁸⁶.

Zatrzymajmy się w tym miejscu. Dragowie od zawsze zdradzali chorobliwą wręcz fascynację wyższością. To, co potężne i noszące znamiona niedostępności, pociągało ich najmocniej. Ich wysokie aspiracje i rozpaczliwe przywieranie do lepszych od siebie w trakcie feralnego bankietu ujawniło się więc po raz kolejny. Nie doszło więc do żadnej zmiany ich upodobań. Tym razem, po prostu, obiekt ich westchnień uległ zaskakującej zmianie. Już nie Pampelan uosabiał tak pociągającą niedostępność. Przewyższył go najmniej doceniany członek rodu Dragów, który nie wyróżniał się niczym szczególnym oprócz odwagi do wyznania swojej niższości. Kiedy Gombrowicz na kartach *Dziennika* wzywał Polaków do wyznania słabości ich narodu, proponował im wywyższenie na miarę Maciulka. To jednak nie koniec historii Dragów:

„I gdy naraz rozległ się władczy, wspaniały, porywający, silny, ostry i wyszlifowany głos Pampelana w radiotubie, wszyscy zamarli. Kto to przemawiał? Pampelan? Na Boga, kto przemawiał, kto przeszywał tym głosem, który był zabójczo historyczny i publiczny, pełen blasków, świetności, twardy i hartowny, kto to przemawiał do nich? Pampelan – czy może ktoś inny, ktoś dostojny, zimny i nieugięty, kto stał między nimi, surowy i niedostępny, jakby na podwyższeniu”⁵⁸⁷.

Nie dziwi ta konsternacja:

„Na Boga żywego czy Maciulek zamienił się w Pampelana?!!”⁵⁸⁸.

Problem ten pozostaje otwarty. Ale moja interpretacja jest jednak taka: Maciulek nie zamienił się w Pampelana. Pozostał Maciulkiem. Ale obserwatorzy tego wydarzenia, do których zalicza się też sam narrator, rozpatrują te wydarzenia z perspektywy Formy, w której tkwią. Ograniczeni Formą nie są zdolni uwierzyć, że Maciulek nie musi aspirować do bycia Pampelanem, może go nawet przewyższyć. Może też w ogóle się z nim nie porównywać, tylko wybrać swoją drogę. I nie imitować niczyjej potęgi, tylko cieszyć się swoją własną mocą. Forma ostatecznie została więc okiełznana i to jeden z nielicznych, choć może gorzkich *happy endów*, jeżeli chodzi o twórczość Gombrowicza:

⁵⁸⁶Tamże.

⁵⁸⁷Tamże, s. 327.

⁵⁸⁸Tamże.

„Zapragnęli stawić mu opór. Szaleni! Już nie tylko sami się rozłazili, już także wszystko i m [podkr. oryg.] się rozłaziło i rozłaziło się w n i c h [podkr. oryg.]! On zaś przeszedł przez nich, jak klinga przechodzi przez masło, i wyszedł. Pampelan w tubie przestał”⁵⁸⁹.

Z jednej strony, zaobserwowaliśmy całkowity rozkład i degradację. Z drugiej zaś – niebywałe zwycięstwo Człowieka nad Dragą, czyli niewolnikiem historii, autorytetów i abstrakcyjnych idei. Z tej perspektywy, niezwykle wręcz łatwo zestawić cytowane fragmenty *Dziennika* z fabułą *Pampelana*.... Miejmy jednak na uwadze, że ta nowelka nie traktuje wyłącznie o polskiej Formie narodowej, czy polskości w ogóle, ale też – i przede wszystkim – winna być przykładana do najbardziej elementarnych relacji między ludźmi. Nie zmienia to jednak faktu, że ta historia pokazuje nam dobitnie, do czego ma doprowadzić postulowane przez Gombrowicza przełamanie polskości. Jako Polacy potrzebujemy bowiem w trybie natychmiastowym dystansu, zanurzenia się we własnej narodowej tożsamości, przeanalizowania jej składowych i krytycznego spojrzenia na każdy z elementów układanki. Wypolerowana, uładzona, romantyczna, czy nawet do bólu nowoczesna wizja polskości jest zaledwie fasadą, za którą skrywają się wszystkie ograniczające nas mankamenty. I – co trochę zabawne, a trochę przytłaczające – okazać się może, iż owe niedomagania, których tak bardzo jako naród się wstydzimy, nie są niczym na tyle poważnym, by tak skrupulatnie na przestrzeni wieków poświęcać uwagę ich maskowaniu. Nasza narodowa troska o dotrzymanie wszelkich wstydliwych tajemnic pochłania energię, którą można by spożytkować na coś znacznie bardziej rozwojowego. Konstatując: dystans, przyznanie się do słabości, nieudawanie że z potężniejszymi narodami jesteśmy na „ty” przynieść może zaskakujące dla wszystkich skutki. Zasadniczy problem tkwi w tym, że to proces bolesny i okupiony stratami – ale zdaniem Gombrowicza, mimo wszystko, warto.

Teraz spróbujmy dotychczasowe ustalenia wykorzystać nieco bardziej, ujmijmy to, p r a k t y c z n i e . To znaczy: przyjrzyjmy się wypowiedziom pisarza, w których odwołuje się on bezpośrednio do polityki, przytaczając konkretne przykłady historyczne. Ze sfery sztuki i filozoficznych dociekań przenieśmy się do znacznie brudniejszej rzeczywistości. Proponuję pogłębioną lekturę fragmentów *Wspomnień polskich*. Oto jedna z ciekawszych historii:

„Byłem na czwartym roku prawa kiedy Piłsudski uderzył zbrojnie w dotychczasowy porządek państwowy. Ten cały Piłsudski nie podobał mi się – może i trochę dlatego, że był to człowiek lewicy, a moje środowisko było konserwatywne i nie ufało »masonowi«, jak o nim mówiono, który, co więcej, miał organizować napady na kasy pocztowe za rewolucji 1905 roku! Mawiano: Piłsudski! Ależ to bandyta!”⁵⁹⁰.

⁵⁸⁹Tamże.

⁵⁹⁰W.p., s. 50.

To stwierdzenie mogłoby rozpaść wyobraźnię konserwatystów usiłujących przeciągnąć na swoją stronę Gombrowicza, jednak zawczasu ostudzę ich zapał. Pisarz bowiem dosłownie po chwili dodaje:

„Ale nie byłem zbyt podatny temu świętemu oburzeniu wujów i ciotek, i prawdopodobnie oparłbym się mu nie bez przyjemności, gdyby nie inny wzgląd, ważniejszy: propaganda, którą mu robiono, przymiotniki nadęte, które mu doczepiano, cały ten język przesadny i zarazem naiwny jego zwolenników – to mnie raziło”⁵⁹¹.

Problem nie tkwił w lewicowości Piłsudskiego, ale w całej aurze roztaczającej się wokół Marszałka. Na uwagę zasługuje również komentarz Gombrowicza odnośnie polskiej kultury politycznej:

„Nie zapominajcie, że mnie jeszcze pozostało trochę tego dobrego wychowania politycznego, które cechowało czasy odchodzące. Ludzie owych czasów wyrażali się oględniej i poważniej, kłamstwo zbyt jaskrawe, górnolotność, przesada, serwilizm były jeszcze czymś rażącym – nie jak dziś, kiedy już żaden wrzask nie jest w stanie zadziwić”⁵⁹².

Coś się ewidentnie w polskiej polityce już wówczas zepsuło – i nie umknęło to uwadze czujnego literata. Jak się okazuje, źródeł owej usterki należałoby się upatrywać w polskiej (i przynajmniej, że bogatej) tradycji romantycznej.

„Trzeba też powiedzieć, że uwielbienie piłsudczyków dla Piłsudskiego było dziecinną zabawką w porównaniu do późniejszych adoracji przed ołtarzem Hitlera, Mussoliniego czy Stalina. Piłsudczycy byli przede wszystkim żołnierzami, naprawdę zakochanymi w swoim »Dziadku«; ale często byli i **romantykami** [podkr. D.Ś.], nasyconymi niezdrowym oparem polskiej tradycji i polskiej sztuki”⁵⁹³.

Polski romantyzm na tle światowego stanowi pewną osobliwość, bowiem – siłą rzeczy, biorąc pod uwagę historyczny kontekst – jest mocno zogniskowany na kwestiach narodowowyzwoleńczych. Podczas gdy Edgar Allan Poe tworzył niepokojące powieści grozy i przenosił amerykańskich czytelników choćby do upiornego domu Usherów⁵⁹⁴, literatura polska szukała wyższego sensu we wszystkich zadanych nam ranach i niejako legitymizowała narodowe męczeństwo. Idee poświęcania się dla dobra wspólnego, oddawania życia w nierównej walce, doszukiwania się cząstek dobra w bezmiarze historycznego zła, czy dopatrywania się mistycyzmu

⁵⁹¹Tamże.

⁵⁹²Tamże.

⁵⁹³Tamże.

⁵⁹⁴Zob. E. A. Poe, *Zagłada domu Usherów*, przekł. B. Leśmian, <https://wolnelektury.pl/media/book/pdf/zagladadomu-usherow.pdf>, dostęp 03.06.2025.

w brutalnej polityce, odcisnęły wyraźne piętno na polskiej kulturze. Gombrowicz – bardzo delikatnie rzecz ujmując – nie należał do entuzjastów takiego toku rozumowania:

„I ten właśnie punkt był dla mnie najtrudniejszy do przełknięcia. Romantyzm. Piłsudski też był romantykiem, deklamującym Słowackiego, który mawiał o sobie »ja jestem potrzebny na czas burzy« – typowy eksponat kresowego mistycyzmu, który mnie zawsze wydawał się i niebezpieczny i podejrzany”⁵⁹⁵.

Nie w samym Juliuszu Słowackim tkwi, rzecz jasna, zasadniczy problem, ponieważ, jak wyjaśnia autor *Ferdydurke*:

„Co mnie najbardziej raziło, już w latach późniejszych, to stosunek Piłsudskiego do swojej własnej wielkości. Jak wiadomo, postawa klasyka wyraża się wolą opanowania, zagórowania, klasyk stara się być panem i władcą, natomiast romantyk, poddaje się, znosi, cierpi, jest ofiarą świata, który go przewyższa... Otóż Marszałek, Polaków traktujący bezceremonialnie i władczo, był jednak przygnieciony Polską w historycznym wymiarze, a bardziej jeszcze swoją misją – ona mu imponowała, **on był na kolanach przed tym Piłsudskim-wodzem którego nosił w sobie** [podkr. D.Ś.]”⁵⁹⁶.

A więc Piłsudski cierpiał na tę samą dolegliwość co Dragowie. Tylko tu mamy do czynienia z jeszcze kwestią bardziej fascynującą. Marszałek jawił się jako Pampelan oddający hołd... Pampelanowi. Mówiąc inaczej, Marszałek zwyciężał tu nad Człowiekiem, co wywoływało w Gombrowiczu głęboką nieufność:

„Znakomity realizm Dziadka, który w sobie godził z tą przewracającą go poezją wedle jakiejś kresowej recepty, nie wydawał mi się dostateczną gwarancją. A już wśród jego wielbicieli to wszystko przeradzało się nieraz we mgłę, odbierającą zupełnie jasność widzenia”⁵⁹⁷.

W skrócie: Gombrowicz nie wierzył w siłę zniewolonego swoją własną Formą Marszałka. Ale, niezależnie od swej nieufności, mógł (i tak właściwie, to musiał) z bliska obserwować wypadki rozgrywające się trakcie przewrotu majowego:

„Aż nadszedł dzień majowy, kiedy odezwały się armaty. Mieszkaliśmy wtedy na Służewskiej i z balkonu widziałem działania wojenne w gmachu Ministerstwa Spraw Wojskowych na ówczesnej ulicy Nowowiejskiej – ograniczyło się to do kilku wystrzałów, ale przez okna Ministerstwa widać było ludzi posuwających się ostrożnie z karabinami. Jak się później dowiedziałem, Sławoj-Składowski przeprowadził temu zdobywaniu Ministerstwa przez

⁵⁹⁵W.p., s. 50.

⁵⁹⁶Tamże, s. 50-51.

⁵⁹⁷Tamże, s. 51.

piłsudczyków. Na ulicach strzelano gęsto, a w Alejach Ujazdowskich, o kilkaset metrów, wrzał bój prawdziwy ze Szkołą Podchorążych, która nie chciała się poddać”⁵⁹⁸.

Bynajmniej, pisarz nie wciela się tu w rolę nadgorliwego komentatora politycznego, który współcześnie dzieliłby się na Twitterze szeregiem domniemań i sensacyjnych prognoz. Wręcz przeciwnie, Gombrowicz zachowuje w swych wspomnieniach dystans i nie próbuje ustawić siebie w centrum wydarzeń:

„Jak zawsze w historycznych momentach, nie wiedziało się nic, nikt o niczym nie miał pojęcia. Historia traktuje ludzi nie tylko okrutnie, ale i szyderczo. Wreszcie burza ucichła i można było wyjść na ulice, rojne od publiczności jeszcze przerażonej”⁵⁹⁹.

Z tym doświadczeniem łączy się jednak szczególne wspomnienie pisarza:

„Ja poszedłem naprzód do mego wuja, Władysława Sołtana, który był wojewodą warszawskim i mieszkał niedaleko, w Alejach – myślałem, że czegoś się dowiem. Niczego się nie dowiedziałem, oprócz tych słów, już nie pamiętam przez Sołtana, czy przez jego żonę wypowiedzianych, które nieraz potem sobie przypominałem: **»Zaczyna się Wielka Improwizacja«** [podkr. D.Ś.]”⁶⁰⁰.

Monolog Konrada z III części *Dziadów* Adama Mickiewicza jest, być może, najpełniejszą wykładnią mesjanistycznej wizji polskiego narodu, więc czymś – co z perspektywy Gombrowicza – doprowadziło do potężnego osłabienia polskości jako takiej. Nabożne powtarzanie o konieczności poświęcania się jednostki dla ogółu, zataczania tego co prywatne na rzecz tego, co publiczne i – ogólnie – głoszenie idei składania się całego narodu w ofierze na ołtarzu dla bliżej nieokreślonego, jeszcze wyższego celu, poddało nas rozszalałej Formie i doprowadziło do dobrowolnego, ograniczającego nas do głębi uwięzienia Człowieka w Polaku.

Wracając zaś do samych wydarzeń z maja 1926 roku:

„Ten wstrząs majowy, od którego całe państwo zadrżało, nie zdołał wydobyć mnie z mego odosobnienia. W dalszym ciągu nie mogłem – i ta niemoc była silniejsza ode mnie – żyć polskim życiem zbiorowym, ani politycznym, ani kulturalnym. **Przyglądałem się z boku, czasem z zainteresowaniem, czasem z pasją – ale wziąć udział? Nie. Nie i nie.** [podkr. D.Ś.] Dlaczego? Byłem jeszcze za młody, aby jasno zdać sobie sprawę z moich racji, ale już coś niecoś wiedziałem”.

⁵⁹⁸Tamże.

⁵⁹⁹Tamże.

⁶⁰⁰Tamże.

Gombrowicz przypomina tu nieco Iwonę niezdolną do podjęcia społecznej gry z resztą królewskiego dworu. Czyżby pisarz, podobnie jak nieszczęsna bohaterka, również cierpiał na swoistą biologiczną dekompozycję uniemożliwiającą mu swobodne funkcjonowanie między ludźmi? Jego niechęć do stowarzyszania się, a może wręcz głęboka niemożność, zdają się znajdować odzwierciedlenie niemal we wszystkich analizowanych na kartach niniejszej dysertacji akcjach i fabułach. Uzupełnijmy to i jeszcze jedną anegdotę:

„W kilka lat potem jeszcze wyraźniej mi się to określiło kiedy na polowaniu w Potoczku spotkałem się przypadkowo z jednym z najważniejszych pułkowników, który był wtedy ministrem i uchodził za czołowy intelekt reżymu.

Bardzo uprzejmie wypił moje zdrowie i wzięwszy mnie pod rękę zapytał: – Wiem że pan ma zainteresowania literackie i że pan jest inteligentny. Dlaczego pan tak się trzyma na uboczu?

Ja byłem już po kilku kieliszkach i to skłaniało mnie do szczerości, większej zapewne niż ta na jaką mógłbym się zdobyć wobec siebie samego w stanie trzeźwym. Trzymając w jednej ręce talerzyk z kanapką, a w drugiej kieliszek, odpowiedziałem dumnie.

– **Bo nic w to wszystko nie wierzę** [podkr. D.Ś.]”⁶⁰¹.

Jak nietrudno się spodziewać, zwłaszcza w t a m t y c h c z a s a c h , wyznanie to wypowiedziane na rauszu i z dumą musiało być uderzające dla odbiorcy:

„Spojrzał na mnie, zaskoczony.

– W kogo pan nie wierzy? W Marszałka?

Odpowiedziałem: – W Marszałka, owszem... Ale cóż on może zrobić w sytuacji, w jakiej się znajduje?...

– Co pan chce przez to powiedzieć? Sytuacja? Jaka sytuacja? Sytuacja nie jest wcale zła. Nic nie grozi.

– Przeciwnie – odpowiedziałem – sytuacja jest fatalna, tak fatalna, że nawet gdyby Marszałek był Bismarckiem i Talleyrandem w jednej osobie, nic by nie mógł zrobić w tej sytuacji. Wszystko do niczego, rozumie pan?”⁶⁰².

Można uznać, że Gombrowicz nie zaliczał się raczej do grona optymistów. Ale trzeba przyznać, że polityczną intuicję miał godną pozazdroszczenia:

„Dostojnik zaczął rozmawiać z kimś innym. Czy to miało znaczyć że ja duchem proroczym nawiedzony, już wówczas widziałem nadchodzące klęski? Ależ skąd! Natomiast miałem ogólne wyczucie, że »coś nie jest w porządku« i że to wszystko zalatuje jakby tandetą... łataniną... Nie mogłem przekonać się do solidności tej roboty, choć przecie Polska pomajowa pod wieloma względami była zjawiskiem sympatycznym i obiecującym na przyszłość. Państwo konsolidowało się, likwidowano anachronizmy, nasz antyczny porządek sprzed wojny,

⁶⁰¹Tamże.

⁶⁰²Tamże, s. 51-52.

szlachecki, przeradzał się stopniowo w ład demokratyczny, a klasy pracujące zyskiwały coraz większe znaczenie. **Wymagać aby to państwo, niedawno urodzone na trupach trzech cesarstw, stało się z wtorku na środek wzorem nowoczesnej organizacji społecznej mógł tylko ktoś przebywający duchem na księżycu** [podkr. D.Ś.]⁶⁰³.

Niemniej jednak, Gombrowicz musiał podskórnie wyczuwać jakąś wewnętrzną degradację, która dyskretnie rozmontowywała Polskę i strącała ją w otchłań historii i polityki. Już wtedy najwidoczniej dostrzegał słabość ojczyzny i wszelkie tego potencjalne reperkusje:

„Nie byłem ślepy i widziałem, że jednak jakoś idziemy naprzód, mimo wszystko. Tylko że... takie to jeszcze słabe ciągle było! Słabość tała się na dnie, nie można było przedsięwziąć nic fundamentalnego, wszystko musiało być tymczasowe, ostrożne, byle załatać, byle przeczekać, żadna inicjatywa śmiała, radykalna, nie mogła w tych warunkach się utrzymać, a ludzie wybitni, jak Piłsudski, skazani byli na nijakość”⁶⁰⁴.

Polska nijakość, jak już wiemy, jest wynikiem spętania Formą i w efekcie pozbawienia polskiego narodu jego autentyczności. Czasy mozolnej odbudowy naszej państwowości jawią się z tej perspektywy jako czasy zamiatania pod dywan tego, co niewygodne. Do tej mieszanki dodajmy romantyczne hołdowanie Polakowi kosztem Człowieka. Śmierć Piłsudskiego była więc gwoździem do naszej narodowej trumny:

„Od śmierci Piłsudskiego poczęły już wyraźnie dawać się we znaki objawy rozkładu. Ta Polska, która ledwie kilka naście lat [sic?] sobie liczyła, nie miało wypracowanych zasad, instytucji, norm postępowania, ta cała demokracja jeszcze nie weszła w krew narodowi. Póki więc nad panoramą życia politycznego a nawet duchowego górowała silna osobowość Marszałka, wszystko nieźle trzymało się kupy. I tym lepiej, że Piłsudski był jak najdalszy od wszelkiej teorii, nikt dobrze nie wiedział [sic!] jakie są jego pryncypia, natomiast wzbudzał zaufanie jako człowiek bezinteresowny a zdolny, genialny może, nawet opatrnościowy”⁶⁰⁵.

To trochę tak, jakby postać Marszałka spajała nasze rozproszone, zdeformowane państwo:

„Gdy umarł poczulśmy się trochę jakby wiatr zerwał nam dach nad głową. A właśnie w Europie stawało się coraz burzliwiej...”⁶⁰⁶.

Miał Gombrowicz nieszczęście możliwości obserwowania wszystkich procesów zmierzających do rozpętania drugiej wojny światowej. Ponownie, z pozycji uczestnika wydarzeń dysponował

⁶⁰³Tamże, s. 52.

⁶⁰⁴Tamże.

⁶⁰⁵Tamże, s. 134.

⁶⁰⁶Tamże, s. 134-135.

jedynie zamglonym obrazem i nie on jeden przeżył szok, kiedy ostatecznie doszło do wybuchu tego pod wieloma względami bezprecedensowego konfliktu zbrojnego:

„O ile sobie przypominam, zaczęło się od zdziwienia... Myślę, że chyba bardzo trudno byłoby wytłumaczyć nowemu pokoleniu, jak dalece my wtenczas byliśmy zdziwieni... Ton i treść tego, co wprowadzili w Europę Hitler z Mussolinim wydawały się naprawdę czymś fantastycznym. My byliśmy przecież na sto procent pewni, że postęp to wolność indywidualna, poszanowanie prawa, demokracja, demilitaryzacja, pacyfizm. Liga Narodów, no i kultura, sztuka, nauka... A tu naraz zaczęły dochodzić nas słuchy o teoriach prawie średniowiecznych, faktach, które uważaliśmy już za niemożliwe w naszym stuleciu. Renesans wojowniczości niemieckiej, najazd Abisynii, wojna w Hiszpanii, ale przede wszystkim tysiąc drobnych zdarzeń, świadczących że spora część Europejczyków zaczyna być dziwnie odmienna prawie egzotyczna”⁶⁰⁷.

Trzeba przyznać, że te słowa brzmią niezwykle aktualnie w momencie, kiedy powstaje niniejsza dysertacja. Mniejsza jednak o to: Polska w tak trudnym momencie dziejowym była państwem ledwie istniejącym, niekorzystnie dla Człowieka u-formowanym, znajdującym się z jednej strony na uboczu polityki, z drugiej zaś – pomiędzy dwiema szalenie ekspansywnymi i niesprzyjającymi nam Formami, o których randze nie mieliśmy nawet większego pojęcia, aż do momentu, kiedy w nas z całym impetem uderzyły:

„Było to dla nas, w Polsce, tym dziwniejsze, że uchowano nas z dala od dramatycznych napięć Europy. Nie orientowaliśmy się mianowicie w naporze komunizmu. Komunizm rosyjski był dla nas czymś niemrawym i raczej dzikim, azjatyckim, karmiono nas wiarą, że kolos rosyjski wciąż stoi na glinianych nogach. W Polsce zorganizowana akcja czerwona prawie się nie zaznaczała, a zagrożenie Niemiec czy Włoch potężnymi ruchami rewolucyjnymi też nie było nam dostatecznie znane. Oddawaliśmy się iluzji, że Europa jest słoneczną łąką, gdy w rzeczywistości był to kocioł, grzany ogniem rewolucji, i znajdujący się pod ciśnieniem tysięcy atmosfer”⁶⁰⁸.

Jako naród, spoglądaliśmy na mapę Europy z dziecięcą naiwnością, wierząc że zagrożenie jest dalekie i mało prawdopodobne. I trudno się nawet Polakom dziwić, gdyż to, co się rozpętało na kontynencie w 1939 roku, było zbyt silnym i okrutnym starciem drapieżnych Form, by móc trafnie przewidzieć tego przebieg i konsekwencje.

Przestrzeń do pracy Polaków nad polskością znajduje się więc gdzie indziej, na terenach, gdzie panują nie tak ekstremalne warunki. Zewnętrzne, niemiłosierne, nieprzewidywalne czynniki

⁶⁰⁷Tamże, s. 135.

⁶⁰⁸Tamże, s. 135.

uderzające w naszą Formę to jedno. Ale to, nad czym możemy mieć kontrolę, znajduje się w zasięgu ręki. Cóż bowiem może wywyższyć, afirmować polskość, jak nie świadome poniżenie?

„Dążyłem do tego żeby Polak mógł z dumą powiedzieć: **należę do narodu podrzędnego** [podkr. D.Ś.]. Z dumą. Albowiem, jak łącno zauważycie, takie powiedzenie tyleż poniża co wywyższa. Ono degraduje mnie w moim charakterze członka zbiorowości, ale zarazem osobiście wywyższa mnie ponad zbiorowość: oto nie dałem się oszukać; jestem zdolny osądzić własne umieszczenie w świecie; umiem zdać sobie sprawę z mojej sytuacji; jestem przeto człowiekiem pełnowartościowym. (Nawiasem mówiąc, wtedy dopiero moglibyście *bez zastrzeżeń* pokochać Polskę – bo już by nie mogła odebrać wam wartości)”⁶⁰⁹.

Inaczej rzecz ujmując, Polacy winni iść w ślady Maciulka; przejść z potężniejszymi narodami „na pan” i z dumą utrzymywać ten dystans, wzrastając wedle własnych zasad i we własnym tempie. Polska zdeformowana romantyzmem Forma narodowa nieomal unicestwiła sferę prywatną, wtrącając Polaków wyłącznie do zbiorowego patrzenia na świat i przedkładania potrzeb tłumu ponad potrzeby Ja. Czas więc reanimować to, co osobiste i jednostkowe. Nie wyrwiemy się bowiem z „międzyludzkiego”, ale możemy zmienić choć trochę reguły gry, co ważne – na naszą korzyść:

„Posuwałem się w tym dążeniu dalej niż to dotąd było przyjęte – nawet Francuzi, Anglicy czy Amerykanie, mający w tej materii nieskończenie więcej od nas swobody, nie zdobyli się na tak krańcowe postawienie sprawy. Ale przecież im to nie było potrzebne! Należeli do narodów potężnych i przodujących – do narodów, które nie tylko nie rujnowały im osobistego życia, ale nawet je wzbogacały – oni mogli wyżywać się w narodzie”⁶¹⁰.

Jesteśmy więc zbyt słabym narodem, by „wyżywać się” w swej polskości:

„Z nami rzecz miała się inaczej, my nie mogliśmy zezwolić aby nasza przeszłość kulturalna, nasz poziom zbiorowy, nasza konwulsyjna historia, nasza bieda narodowa, wyznaczały nam granice”⁶¹¹.

⁶⁰⁹Dz., s. 356.

⁶¹⁰Tamże.

⁶¹¹Tamże.

Nasza sytuacja nie należy bynajmniej do patowych. Wręcz przeciwnie: w naszej skrajnie niedojrzałej Formie (a właściwie wręcz w „rozłazącym się polskim bez-Formiu”⁶¹²) tkwi ogromny potencjał, który mógłby – co ważne! – pozytywnie wyróżnić Polskę na tle innych narodów:

„Nie, wcale nie było moim zamierzeniem abyśmy tylko z lekka rozluźniali sobie patriotyzm do miary angielskiej lub francuskiej. Proponowałem Polakom postawę wobec narodu bardziej radykalną – i bez precedensów – coś, co by natychmiast wyodrębniło nas z masy narodów, uczyniło narodem o innym i wyłącznym stylu”⁶¹³.

Jako Polacy stajemy więc w obliczu ogromnej możliwości. Możemy stworzyć swój własny, całkowicie unikalny, być może zachwycający swą groteską, styl. W innym wypadku, skazani jesteśmy na wieczne tkwienie na cmentarzysku wzniosłych ideałów, tragicznie poległych bohaterów i zaprzepaszczonych możliwości. Utopia?

„– Szaleństwo! – powiecie. – I mrzonka! – Tak? – zapytam. – A od czegoż jesteśmy najgorętszymi w świecie patriotami? Czyż nie dlatego właśnie jest w nas materiał na najzimniejszych antypatriotów? W nas rozżarzenie miłości ojczyzny osiągnęło maksimum, uzależnienie nasze od niej stało się najokropniejsze – więc w nas, nie w kim innym, winna pojawić się zbawcza antyteza, twórcza opozycja, będąca krokiem naprzód”⁶¹⁴.

Skoro już jako Polacy do granic eskalowaliśmy w swej polskości, czas najwyższy na uruchomienie drugiego prawa Gombrowiczowskiej Natury i rozpętanie symetryczności. Na temat patriotyzmu, mistycyzmu, wspólnotowości (niekoniecznie łatwej), poświęcenia Człowieka dla Polaka, wiemy już wszystko. Czas więc eksplorować nowe, zapomniane przez nasz naród rejony, a

⁶¹²Uzupełnijmy nasze rozważania o pewien istotny fragment z *Testamentu*: „Byłem Polakiem. Znajdowałem się w Polsce. Czymże jest Polska? Jest to kraj między Wschodem a Zachodem, gdzie Europa już poczyna się wykańczać, kraj przejściowy, gdzie Wschód i Zachód wzajemnie się osłabiają. Kraj przeto formy osłabionej... Żaden z wielkich procesów kultury europejskiej nie przeorał naprawdę Polski, ani renesans, ani religijne walki, ani rewolucja francuska, ani rewolucja przemysłowa; tu tylko złagodzone echa dochodziły. A współczesna rewolucja rosyjska też nie została przeżyta, tylko skutki jej dostały się (przymusowo) Polsce, już gotowe. Katolicyzm? Kraj jest wprawdzie w orbicie Rzymu, ale polski katolicyzm jest bierny, polega na ścisłym przestrzeganiu katechizmu, nigdy nie był twórczą współpracą z Kościołem.

Na tych więc równinach, otwartych na wszystkie wiatry, odbywała się od dawna wielka Kompromitacja Formy i jej Degradacja. Rozmazywało się to, rozłaziło... Tu kultura była równinna, wiejska, pozbawiona wielkich miast, silnego mieszczaństwa, gdzie życie się skupia, komplikuje, piętrzy, nabiera rozmachu, zasila tysiącem splotów międzyludzkich. Była szlachecko-chłopska, proboszczowska, szlacheic na folwarku siedział, chłopem poganiał, a ksiądz proboszcz był wyrocznią. Poczucie bezformia, dręczące Polaków, ale też wypełniające ich jakąś dziwną wolnością, było u źródła ich uwielbienia dla polskości.

[...] I jakże ja mogłem w rozgrywce o moją osobowość oprzeć się na mojej kulturze narodowej? Owszem, ta forma polska, styl sarmacki, istniały, nawet dość jaskrawo... ale to było za kuse i tkwił w tym element rozkładowy polskości”. *Test.*, s. 34-35. Polska jest więc z jednej strony zaściankowym bez-Formiem, z drugiej zaś – sarmacko-romantyczne naleciałości czynią z niej Formę słabą acz toksyczną.

⁶¹³*Dz.*, s. 356-357.

⁶¹⁴*Tamże*, s. 357.

zwłaszcza pozytywny egoizm, krytycyzm i indywidualizm. Gombrowiczowski *Trans-Atlantyk* demaskuje te ukryte pragnienia drzemiące w Polakach:

„Nie miałem siebie w tym za marzyciela – przeciwnie, **byłem wierny realizmowi** [podkr. D.Ś.], który wszedł mi w krew od dawna. Nie ulegało dla mnie wątpliwości, że Polacy – zmęczeni i zropaczeni historią ojczyzny – żyją na dnie serca swojego podwójnym uczuciem. Uwielbiali Ją? Tak, ale i przeklinali. Kochali? Tak, ale i nienawidzili. Była dla nich świętością i przekleństwem, siłą i słabością, chwałą i upokorzeniem – ale w stylu polskim, w stylu urobionym i narzuconym przez zbiorowość, dawała się wyrazić tylko jedna strona medalu. Nasza literatura, na przykład, pozbawiona wszelkiego istotnego indywidualizmu, umiała zdobyć się jedynie na afirmację narodu. A tamto uczucie, niechętnie, wrogie, obojętne lub wzgardliwe, pozostawało nie wyznane i błakające się samopas, jako grzech, anarchia... **Więc cały mój zabieg sprowadził się do utworzenia zasady, która by pozwoliła jawnie uruchomić ten drugi biegun odczuwania, dotrzeć do tamtego aspektu polskiej duszy, usankcjonować herezję** [podkr. D.Ś.]”⁶¹⁵.

Polska w „myśli politycznej” autora *Ferdydurke* potrzebuje więc doświadczenia analogicznego do zakłócenia uczty u Dragów. Cała twórczość Gombrowicza aspiruje więc do roli Maciułka, który zbliżając się do poszczególnych fałszywych, wbitych w zbędną dumę jednostek, idei, przekonań, obnaża ich słabość i śmieszność. I owszem, nasza zgoda na przystąpienie do tego zabiegu wiąże się z wysokim prawdopodobieństwem chaosu, bólu i rozkładu. Bez tego kroku nigdy nie będziemy jednak zdolni do jakiegokolwiek osądu rzeczywistości. A Polski naród, mimo iż historycznie mogący się szczycić szeregiem bohaterskich czynów i – słusznie – budzących dumę wydarzeń, dysponuje również niemałym składowiskiem brudów, uporczywie zamiatanych pod dywan. Do kategorii „brudu” zaliczyć możemy zarówno wstydlive dziś historie, w których realnie Polacy dopuścili się zła, jak i kwestie zdecydowanie pomniejsze, świadczące o naszej śmieszności, czy wręcz poczciwości, które jednak za namową Słowackiego skrywamy za martyrologiczną, napompowaną patosem fasadą. Sami pozbawiamy siebie pełnego oglądu rzeczywistości, metaforycznie rozwieszając wokół portrety rodowe i kosztowne zwierciadła i udając, że fermentujące śmieci spod dywanu za moment nie przekształcą się w nową formę życia. Nietrudno się domyślić, że ewentualne odgruzowywanie polskiej Formy wiąże się, jak to zwykle w przypadku sprzątania bywa, z pewnym trudem – chodzi w końcu o coś wielkiego, bo o gruntowną przebudowę tożsamości narodowej:

⁶¹⁵Tamże.

„Miałem do dyspozycji potężne argumenty. Oczywiście taki zwrot zasadniczy w naszych stosunkach z narodem mógł zostać dokonany tylko w imię godności indywidualnej, indywidualnego rozwoju”⁶¹⁶.

Jak jednak zapewnia Gombrowicz, wysiłek ten jest jak najbardziej opłacalny i szalenie wręcz potrzebny:

„Ale ta pozycja była niezmiernie mocna i na czasie, zarówno wśród emigrantów, jak w kraju, jak w ogóle na całym świecie – gdyż coraz bardziej dojrzewała konieczność obrony tego co ongiś zwano po prostu duszą przed deformującymi i nieludzkimi mocami zbiorowymi”⁶¹⁷.

Oto Gombrowiczowski paradoks. Jesteśmy z natury sztuczni i stadni oraz (przez własną „biologię”) zmuszeni do funkcjonowania we wspólnocie – nie ze strachu przed śmiercią jak u Hobbesa, a z powodu naturalnego pędu ku interakcji z drugim człowiekiem – lecz zarazem poczucie godności pcha nas ku indywidualizacji. Jeszcze inaczej ubierając rzecz w słowa: stwarza mnie drugi, przypadkowy człowiek, jemu zawdzięczam samą siebie, jednak mimo mojej społecznej natury zobowiązana jestem do wyodrębniania siebie z tłumu. A polska, skalana Sarmacją i romantyzmem nie do końca uformowana Forma przytłacza mnie jako Człowieka, choć zarazem – gdyby wypłenić z niej owe przez kulturę narzucone i na dłuższą metę destrukcyjne naleciałości – ta sama Forma mogłaby być przeze mnie i n a m ó j p r y w a t n y u ż y t e k wykorzystana.

Dalsze słowa Gombrowicza burzą jednak nieco ten porządek:

„Inna rzecz mnie niepokoiła. Ja, jak już powiedziałem, nienawidziłem narodu, bo nie mogłem go znieść; a znieść go nie mogłem wskutek tchórzostwa. Lecz w takim razie cóż były warte moje rady i pouczenia – gdy wynikały z zasadniczej mojej niemożności sprostania życiu? Ja, dekadent, jak mogłem wskazywać drogę zdrowym?”⁶¹⁸.

Jak bumerang wraca więc temat biologicznej dekompozycji uniemożliwiającej swobodne uczestniczenie w społecznej grze. Sam Gombrowicz kreuje siebie na *outsidera*:

„Ale ten okropny problem, będący nie tylko moim udęczeniem, został już wielokrotnie przemyślany. Wszak wiadomo, że postęp, że rozwój, nie są dziełem ludzi przeciętnie zdrowych, tych zaledwie zdających sobie sprawę... lecz właśnie wypracowywany bywa przez istoty kalekie, wygnane z zacnej »normalności«. Chory lepiej uchwyci treść najgłębszą zdrowia – dlatego że go nie posiada, że do niego tęskni. Ten komu brak wewnętrznej równowagi może przez to samo stać się znawcą od spraw zrównoważenia, a rada człowieka upośledzonego może przydać się tęgiemu życiu. **Ci zaś, co wskutek osobistych skażeń nie mogą połączyć się ze**

⁶¹⁶Tamże.

⁶¹⁷Tamże.

⁶¹⁸Tamże, s. 358.

stadem błakają się na peryferiach, widzą wyraźniej drogę stada i lepiej znają las otaczający [podkr. D.Ś.]”⁶¹⁹.

I na tej podstawie uznać możemy, że najprawdopodobniej w tym bolesnym byciu na uboczu widzi pisarz źródło całej swej antropologii. Jego niemieszcząca się w normie aspołeczność pozwala mu na nabranie dystansu do społeczności. Pisarz, wymykając się nieco siłom rządzącym „międzyludzkiem”, może przyglądać się wszystkim społecznym procesom z pewnego dystansu i – dzięki temu – dostrzegać więcej, niż pozostali, bardziej typowi członkowie stada:

„Sądziłem więc i sędzę do dzisiaj, że zawstydzająca geneza mojej idei nie powinna zaszkodzić – myśl poczęta w piekielku mej niedostateczności, łagodzonej dzieciństwem, mogła stać się obiektywnie ważna. I zdrowa. Pod warunkiem, że przed nikim (poczynając od siebie samego) nie będę ukrywał z czego i jak się poczęła”⁶²⁰.

Pisarz przykładowo więc przyznaje się do swej słabości, być może, by dodać odwagi wszystkim spętanej polską Formą do analogicznego działania:

„Następstwa takiej zmiany waszego stosunku do Polski byłyby bogate i ważne – spowodowałyby to szereg rewizji odświeżających i elektryzujących, zapewniających nam dynamikę rozwoju na długi okres”⁶²¹.

I w tym momencie do – przyznajmy, że – dość przytłaczającej wizji świata, przenika pewien promień optymizmu. Przyznanie się do słabości, śmieszności i zniewolenia polską Formą otwiera przed nami możliwość do wzrostu na miarę Maciułka. W praktyce oznaczałoby to – między innymi – zreformowanie historycznej narracji:

„Na przykład – rewizja historii polskiej. Nie twierdzą, że należałoby zlikwidować szkołę historyczną, która rozpatruje przebieg naszych dziejów pod kątem istnienia Polski, uznając za dodatnie to, co temu istnieniu sprzyja, za ujemne to, co mu stoi na przeszkodzie. Jednakże ta szkoła powinna być uzupełniona inną, gdzie rozważano by historię z punktu widzenia rozwoju człowieka w Polsce – i wtedy mogłoby się okazać, że te dwa rozwoje, państwa i jednostki, nie zawsze szły w parze i że okresy najpomyślniejsze dla narodu nie były może najszcześniejsze dla jednostki. A w każdym razie stałoby się jasne, że te dwa rozwoje nie są identyczne. Nie to jednak byłoby najważniejsze”⁶²².

I byłoby to działanie nad wyraz wyzwajające, zwłaszcza że funkcjonujemy przecież wciąż w realiach „międzyludzkiego kościoła”:

⁶¹⁹Tamże.

⁶²⁰Tamże.

⁶²¹Tamże.

⁶²²Tamże, s. 358-359.

„Najważniejsze byłoby, że oto na koniec moglibyśmy wydobyć się, jedną nogą przynajmniej, z historii... uzyskać jakiś punkt oparcia, my, tak przeokropnie zanurzeni w jej odmętach. Albowiem, nie będąc już zmuszeni do kochania i uwielbiana polskości, nie potrzebowalibyśmy też kochać naszej historii”⁶²³.

Ten brak przymusu w świecie, w którym i tak co rusz jesteśmy przez inne Ja urabiani, wyzwala i pozwala na odbudowanie realnego poczucia własnej wartości. Można wówczas odbierać siebie jako pełnoprawnego, indywidualnego Człowieka, a nie wyłącznie skrępowanego wspólnotą Polaka:

„Upatrując naszą wartość nie w tym, czym jesteśmy, a w tym, że zdolni jesteśmy przewyciężyć siebie, nasz kształt obecny, **moglibyśmy odnieść się do historii jak do wroga** [podkr. D.Ś.]. Ja jestem wynikiem mojej historii. Ale ten wynik wcale mnie nie zadawała. Wiem, czuję, że godzin jestem czegoś lepszego i nie zamierzam rezygnować z tych moich uprawnień. Wartość moją zakładałam na tym właśnie, że nie zadawała mnie moje ja, jako produkt historyczny, ale w takim razie moja historia staje się historią mojego paczenia i ja zwracam się przeciwko niej – staję się przeto swobodny wobec historii”⁶²⁴.

Koncentrujemy się tu na kwestii polskiej Formy, bo i sam Gombrowicz, jako zdecydowanie niekosmopolityczny (choć przez dziesięciolecia i dożywotnio oderwany od swej ojczyzny) Polak, polskość rozumie najlepiej. Nie zmienia to jednak faktu, że refleksja autora *Ferdydurke* odnieść się może również do innych narodowości, podobnie poturbowanych przez historię i kulturę oraz – w konsekwencji – równie jak Polska niedojrzałych. Pisarz sam stwierdza w pewnym momencie, co następuje:

„Ustępy mojego *Dziennika*, dotyczące polskości, zostały bardzo niedokładnie przeczytane przez czytelnika zachodniego. Mówiono mi nawet: lepiej by było żeby pan to usunął, cóż nas to może obchodzić! Czas już by synowie kultur wyższych przestali zbyt pośpiesznie zadzierać nosa. **Podstawcie pod słowo »Polska« Argentynę, Kanadę, Rumunię itd. a moje wywody (i moje cierpienia) rozszerzą się wam na sporą część świata, na wszystkie kultury europejskie wtórne, drugorzędne** [podkr. D.Ś.]. Przyjrzyjcie się jeszcze lepiej: zobaczycie, że to sprawy jadowite, które i was nie oszczędzają”⁶²⁵.

Podkreślić też należy, że konotowanie Formy wyłącznie z przynależnością do danego narodu i wszystkimi tego nierzadko przykrymi następstwami, jest ogromnym ograniczeniem i uproszczeniem Gombrowiczowskiego projektu. Nie traćmy z oczu faktu, iż Forma działa już na poziomie relacji rozgrywającej między dwiema zaledwie osobami i również na tym etapie wywołać może niemałe zamieszanie. Z tej też przyczyny analizując poszczególne utwory, wybierałam

⁶²³Tamże, s. 359.

⁶²⁴Tamże.

⁶²⁵Test., s. 34.

niekoniecznie te w najbardziej oczywisty sposób odwołujące się do życia zbiorowego. To, co dzieje się w określonych społecznościach, wspólnotach, państwach, czy wręcz na całych kontynentach jest jedynie zwielokrotnieniem tego, co rozgrywa się między dwojgiem ludzi. Już pomiędzy Analitykiem i Syntetykiem rodzi się dynamika, która nakazuje walczyć im o władzę, wzajemnie się poniżać i wywyższać, stosować przemoc i wymyślać coraz to nowe formy upokorzeń – po to tylko, by każdy mógł nasycić swoje ekspansywne Ja.

Polityczność jest więc sferą, w której widzimy któryś już z etapów niemiłosiernego zwielokrotnienia pasma międzyludzkiej przemocy. Sama polityka, rozumiana już wąsko, jako przestrzeń walki o wpływy i sprawczość, to środowisko wręcz doskonałe do rozpasania Formy. Dla przykładu: instytucja państwa pozwala – dzięki prawodawstwu – na narzucanie sztucznych zasad wzmacniających bądź osłabiających pozycję poszczególnych jednostek. Co więcej, daje przestrzeń na społecznie akceptowalne stosowanie przemocy. A kiedy akceptacji społeczeństwa brakuje, zawsze w ramach państwa można się zbuntować, zaprotestować, wymusić konfrontacje, do których jednostki przejawiają ewidentny pociąg. Z racji, że poszczególne narody dysponują specyficznymi dla siebie Formami, wszelkie konflikty między państwami, zarówno na gruncie dyplomatycznym jak i militarnym, są okazją do konfrontacji i pozbawionego miłosierdzia projektowania siebie na „tego drugiego”.

W tym ujęciu konfliktem Form jest zarówno wojna, jak i dyskusje przeprowadzane w państwowych parlamentach. Więcej: nawet kampanie wyborcze jawią się w tym ujęciu jako preteksty do formowania preferencji obywateli. Ktoś zaszczepia w swych słuchaczach określone idee i stwarza ich na swój obraz i podobieństwo. Formy liberalne ścierają się z konserwatywnymi, feministyczne przepychają się z nacjonalistycznymi, a ekologizm usiłuje umościć się w lewicowym dyskursie zdominowanym przez socjalistów. Rewolucje, protesty, starcia różnych opcji politycznych na ulicach miast, to jedynie kolejne etapy eskalacji elementarnych procesów prowokowanych przez Formę. Więcej: Forma pozujących na racjonalnych, analizujących bieżącą sytuację polityków zderza się z Formą populistyczną, drapieżnie sięgającą po kolejne rzędy skołowanych dusz. Wszystkie te tarcia mają jednak swój początek w konfrontacji dwóch, dziełem przypadku skonfrontowanych ze sobą Ja, gotowych bez opamiętania narzucać siebie drugiej stronie.

Kiedy na całą politykę patrzeć zaczniemy jak na kłębowisko zarówno potężnych, jak i pomniejszych Form, stracimy złudzenia co do oficjalnego sensu politycznej debaty. Któż bowiem, dążąc przede wszystkim do dominacji i zwycięstwa, interesować się będzie argumentacją drugiej strony? Nie po to przecież rozmawiamy, by sprowokować naszego dyskutanta do refleksji nad poruszonym przez nas problemem. Nasze niedojrzałe i skore do zawłaszczania całej dostępnej przestrzeni Ja nie pozwoliłoby na tak skrajnie dorosłe zachowania. Możemy, co najwyżej, budować

fasadę zrozumienia i chęci poszukiwania konsensusu. W praktyce jednak to zagranie czysto wizerunkowe, służące do usprawiedliwiania naszych, niekoniecznie szlachetnych, pobudek. W „międzyludzkim kościele” brakuje bowiem miejsca na dobrowolne ustępstwa. Jedyne beznadziejność położenia może zmusić człowieka do kapitulacji i zaprojektowania na siebie tego, co przygotował dla nas nasz przeciwnik. Czy zatem bardziej komfortowym wyjściem nie byłoby tkwienie w „boskim”, tradycyjnym „kościelny”? Jeżeli chcemy wyzbyć się tego cienia godności, który, moglibyśmy dysponować i, w efekcie, żyć w świecie iluzji – droga pozostaje, zasadniczo, wolna.

Przyglądając się polityce z perspektywy myśli Gombrowicza, możemy boleśnie skonstatować, że wszelkie teorie na temat racjonalności jednostek, ich skłonności do realnych i bezinteresownych poświęceń dla wspólnoty (a nie jedynie bezsensownego spalania się w imię abstrakcyjnej i toksycznej zbiorowości), czy w ogóle w pełni wolnej woli *homo sapiens*, są wizjami wręcz naiwnymi, starającymi się za wszelką cenę uporządkować kosmiczny chaos, w którym zawieszono są raz po raz zderzające się ze sobą ludzkie drobiny. Co możemy stwierdzić na pewno: w uniwersum Gombrowicza każdorazowo wygrywa silniejszy. Warto jednać mieć na uwadze, że siła i słabość są pojęciami bardzo względnymi, a wszelkie mechaniki wywyższania i poniżania jednostek funkcjonujące w „międzyludzkim kościele” sprawiają, że sytuacja na froncie staje się bardzo dynamiczna. Co więcej, samo dążenie do wywyższania się może druzgocąco wręcz jednostkę poniżyć, a rozmyślnie uniżenie – wynieść ją nieoczekiwanie na piedestał. Polska więc ma potencjał bycia potężnym krajem, chociaż w swej – uświadomionej wreszcie i dobitnie wyartykułowanej – słabości. Ten stan jesteśmy zmuszeni, prędzej czy później zaakceptować, bowiem ucieczka przed Formą jest niemożliwa. Jednak samo jej przewyciężenie i dość cyniczne zaprzyjaźnienie się z nią, pozwala nam recytować nasze człowieczeństwo, ale przynajmniej na naszych warunkach.

Zakończenie

„Nóżki na stół i karty także – macie mnie takim, jakim jestem, ja wcale nie zachwalam mojego towaru – jeśli moje istnienie może na coś przydać się waszemu, zużytkujcie je wedle woli.

W. Gombrowicz, *Dziennik*, s. 358.

Tak François Bondy wspominał pewną poruszającą rozmowę z Gombrowiczem: „Ostatni raz zjawiliśmy się w Vence, razem z Liliane, w sierpniu 1968 roku, było to zaraz po zajęciu Czechosłowacji przez Rosjan. Uważam się za realistę, pomyślałem wówczas, że ten stan nie będzie zbyt długo trwał. Witoldo odpowiedział stanowczo: »Mój drogi, jest to kwestia władzy, układu sił i wszystkie rozmyślenia niczego tutaj nie zmieniają. Zajęli Pragę i zostaną tam. A jeżeli pan tego nie dostrzega, znaczy to, że niczego pan nie rozumie«⁶²⁶. Jak zwykle autor *Ferdydurke* pozbawiony był złudzeń i nadmiernego optymizmu. Mowa przecież o starciu Form, w którym jedna z nich zdecydowanie dominowała. Jakżeby silni wówczas Rosjanie mieli się z tej sytuacji pokornie wycofać? Dla Bondy’ego tak chłodny osąd sytuacji był jednak uderzający: „Byłem przejęty. Jest to jedna z niewielu rzeczy, jakie zapisałem w dniu naszego spotkania, pamiętając stanowczość, z jaką mówił: »Nie, to już koniec, jeszcze długo nic się nie zmieni, to okrutne, ale to prawda«⁶²⁷.

Ogólnie rzecz ujmując, „myśl polityczną” Gombrowicza uznać możemy za – pod wieloma względami – okrutną. Pisarz, kreśląc swoją koncepcję świata, nie stara się w żadnym razie uładzać obrazu, a wręcz przeciwnie – eksponuje jego brzydotę, śmieszność i tragizm. Jak dalej komentuje przyjaciel literata: „**W kwestiach polityki Gombrowicz widział jasno i daleko, był nieugiętym realistą pozbawionym wszelkich złudzeń** [podkr. D.Ś.]. Nawet w jego powieściach odnajdujemy te sytuacje, w których występuje problem układu sił: ktoś jest wyżej, a ktoś inny niżej. Można się buntować, lecz jedyne, co pozostaje, to uciec”⁶²⁸. Faktycznie, ucieczka nierzadko wieńczy Gombrowiczowskie fabuły: „Pod koniec *Zdarzeń na brygu Banbury* bohater znika w ogromnym wirze i nagle odnajduje się gdzie indziej. W *Ferdydurke* pod koniec utworu bohater także ucieka. **W każdym razie, gdy nie ma się dość siły, aby przeciwstawić się silniejszemu, i jeżeli nie sposób uciec, wówczas jest się unicestwionym. I nie ma wtedy mowy o sprawiedliwości, dobroci czy prawie naturalnym** [podkr. D.Ś.]”⁶²⁹. Słowa te potwierdzają moje wcześniej wyrażone spostrzeżenia. Ekspansywne *Cogito*, rozpasana Forma nie znosi patetycznych abstrakcji. Liczy się

⁶²⁶F. Bondy, *Wypowiedź spisana w Zurychu 7 sierpnia 1985*, dz. cyt., s. 83.

⁶²⁷Tamże.

⁶²⁸Tamże.

⁶²⁹Tamże.

wyłącznie to, co rozgrywa się między ludźmi. A relacje te mają ewidentnie przemocowy charakter. Poniekąd jest to „wojna każdego z każdym”, ale taka, która stanowi jeden z kluczowych elementów konstrukcyjnych wspólnoty politycznej. W „myśli politycznej” Gombrowicza państwo/Lewiatan nie jest tym, co pozwala zapobiec międzyludzkim konfliktom, lecz wręcz przeciwnie: instytucja ta daje człowiekowi przestrzeń do tych starć, koniecznych do realizacji jego w mroczny sposób społecznej natury. Co więcej: „Wielcy pożerają małych, silni – słabych. **Tutaj także można mówić o biologizmie** [podkr. D.Ś.]”⁶³⁰. Człowiek jest zatem z natury stworzony do życia w państwie jeszcze bardziej aniżeli eusocjalne pszczoły, problem polega jednak na tym, że wspólnota polityczna pozwala mu przede wszystkim na ekspresję najstraszliwszych, najokrutniejszych zakamarków jego natury.

Przyjrzyjmy się dalszej części wypowiedzi szwajcarskiego dziennikarza: „**W polityce Gombrowicz nie znosił sentymentalizmu** [podkr. D.Ś.]. Odczuwał jednakże bardzo mocno, czym jest ucisk, gdyż stawał zawsze po stronie gnębitej młodzieży. Uważał, iż cała frazeologia maja 1968 roku była jedynie nowym sposobem, w jaki dorośli wywierali nacisk na młodych, narzucając im ideologie, przyprawiając im »gębę« rewolucjonistów. Był to niezwykle zmyślny sposób, w jaki starzy zawładnęli umysłami młodych i manipulowali nimi – tak samo jak w *Pornografii*”⁶³¹. Ucisk, co już wiemy, jest wyraźnie wpisany w dynamikę procesów zachodzących w „międzyludzkim”. Jak jednak widzimy, Gombrowicz nie podchodzi do niego w sposób cyniczny, czy sztucznie zdystansowany: „W wywiadzie, jakiego mi udzielił, mówi o intelektualistach, którzy gonili za młodzieżowymi ruchami w maju 1968 roku. Tutaj także nie miał nawet chwili wahania. I jeżeli oburzał się na postawę intelektualistów, którzy głosili rewolucję siedząc w bezpiecznym ukryciu, to nie z pozycji moralizatora, gdyż słowo to nie jest w przypadku Gombrowicza na miejscu, lecz z odrazy, jaką napełniała go retoryka, hipokryzja i okłamywanie samego siebie: »Jestem tym, który protestuje, i jestem tym, który mówi prawdę«. Można by rzec, iż jego moralizm jest moralizmem artysty, który czuje, co jest fałszem, a co prawdą, niezależnie od pojęcia szczęścia”⁶³². I tu wkrada się kolejny pesymistyczny wątek Gombrowiczowskiej myśli: „Pojęcie to [szczęścia – D.Ś.] nie istnieje u Gombrowicza, a w każdym razie ja go nie dostrzegam. Nie widać żadnego wyjścia. Miłosz w swojej ostatniej książce *Ziemia Ulro* zarzuca Gombrowiczowi, iż ten trwa ustawicznie w świecie konfliktów. Tak, Gombrowicz był na tym punkcie niezwykle wyczulony. Wierzył w postęp w tym sensie, iż wszystko, co jest w załączku – intuicja, sprzeczność, skurcz – musi rozrastać się w napięciu aż do osiągnięcia paroksyzmu, dochodząc aż do wybuchu. Nie wykorzystywał literatury

⁶³⁰Tamże.

⁶³¹Tamże.

⁶³²Tamże, s. 83-84.

po to, ażeby stworzyć pozory harmonii i pojednania, które w rzeczywistości nie istnieją. **To poczucie realizmu, sądzę, sprawiało, iż nie byłby zaskoczony wszystkimi tymi okrucieństwami, które wydarzyły się w polityce międzynarodowej ostatnimi czasy** [podkr. D.Ś.]. Nie wierzył w żadne harmonijne rozwiązania z wyjątkiem tych, które zaistnieć mogą w dziele sztuki”⁶³³. Mogę jedynie dopowiedzieć, że dziś słowa Bondy’ego zyskują tylko na aktualności.

Cały przeprowadzony na kartach niniejszej rozprawy wywód miał doprowadzić do tego momentu: stwierdzenia o głębokim sensie tłumaczenia literackiej fikcji pióra Gombrowicza na język politologii. Jak starałam się udowodnić, jego spostrzeżenia sięgają znacznie dalej, niż bywa w stanie zapędzić się klasycznie rozumiana myśl polityczna. Beztraskie (choć czy na pewno?) odrzucenie autorytetów, podważenie poglądów noszących znamiona aksjomatów, igranie z formą, logiką i powagą tematu otwiera przed nami przestrzeń, w której refleksję nad szeroko rozumianą politycznością budować możemy na nowo, odważniej i z intencją demaskacji oczywistych przekłamań. Mam pełną świadomość, iż moja dysertacja w żadnym razie nie wyczerpuje tematu, a jedynie inicjuje dyskusję, w której wiele można by jeszcze powiedzieć. Sądzę jednak, iż tak podstawowy zarys myśli politycznej Gombrowicza, jaki udało mi się tu nakreślić, uznać można za bazę do prowadzenia bardziej wyrafinowanych interpretacji.

Jeżeli zaś chodzi o podstawowy problem rozprawy, to we wstępie przedstawiłam dwa możliwe wykluczające się rozwiązania: albo „kościół międzyludzki” jest dziełem natury, albo kultury rozumianej jako wychowanie. W toku badań szybko okazało się jednak, że te alternatywy są dla „myśli politycznej” Gombrowicza zdecydowanie za ciasne i dopiero synteza i deformacja poszczególnych elementów obu stanowisk pozwala na możliwie wierne zrekonstruowanie przesłania Gombrowicza.

Mój ostateczny werdykt brzmi następująco: mamy do czynienia ze zmutowanym *zoon politikon*⁶³⁴. Osobnik ten żyje w całkowicie sztucznym środowisku, lecz w swej sztuczności dla niego naturalnym, bowiem i sam człowiek jest w swej naturze całkowicie sztuczny. Jest sztuczny, bo tworzy go ktoś inny. Ale owa kreacja wynika bezpośrednio z jego natury, formującej się pod

⁶³³Tamże, s. 84.

⁶³⁴Na marginesie warto zauważyć, że takie podejście może w pewnym stopniu nawiązywać do myśli politycznej Immanuela Kanta. Choć pod względem stylu trudno wyobrazić sobie filozofa mniej podobnego do Gombrowicza, sama koncepcja „nietowarzystkiej towarzyskości” wydaje się być zaskakująco bliską krewną wizji polskiego literata. Sam ten oksymoron/paradoks zwięźle objaśnia Francis Fukuyama w swym największym dziele. W rozdziale poświęconym idei historii powszechnej, politolog referuje: „Myśliciel z Królewca ogólnie naszkicował także mechanizm popychający ludzkość ku wyższej formie racjonalności reprezentowanej przez instytucje liberalne. Nie jest tym mechanizmem rozum, ale jego przeciwieństwo: egoistyczne konflikty wywoływane przez »nietowarzystką towarzyskość człowieka«. Nakazuje ona ludziom, by porzucili stan wojny wszystkich ze wszystkimi i połączyli się w społeczeństwach obywatelskich, po czym rozwijali sztuki i nauki tak, by społeczeństwa owe współzawodniczyły ze sobą. Właśnie współzawodnictwo, pycha, pragnienie dominacji i władzy są odpowiedzialne za postęp społeczny i zapewniają aktualizację potencjalności »nieobecnych w życiu arkadyjskiego pasterza«. F. Fukuyama, *Koniec historii i ostatni człowiek*, przekł. T. Bieroń, M. Wichrowski, Kraków 2017, s. 116.

wpływem projekcji zastosowanej przez drugiego człowieka. Jednostka daje się u-formować, ponieważ sama dysponuje potencjałem do nieograniczonego formowania innych. A skoro zderza się z owymi „innymi” (a żyjąc we wspólnocie robi to właściwie nieustannie), to sama musi poddać się tym nieokiełznanym siłom, które sama również wytwarza. Czy możliwa jest opcja całkowitego oderwania się Gombrowiczowskiego *zoon politikon* od jego stada, po to – by na przykład – mogło zachować ono swoją autentyczność? Sądzę, że jest to absolutnie wykluczone, bo bez drugiego człowieka tak prospołeczna istota przestaje istnieć. Miejmy jednak na uwadze, że prospołeczność nie czyni ludzi poczciwymi stworzeniami odczuwającymi przyjemność z interakcji z innym Ja. Jest odwrotnie: każde spotkanie z człowiekiem rodzi konflikty, ból i cierpienie. A rezygnacja z owego spotkania prowadzi do całkowitego unicestwienia. Jesteśmy bowiem jedynie tym, czym uczyni nas druga osoba. Bez niej stajemy się n i k i m zawieszonym w budzącej grozę kosmicznej pustce.

Ta niepokojąca wizja stawia nas niemal w obowiązku konfrontacji z dotychczasowym dorobkiem myśli politycznej. Gombrowicz, korzystając zachłannie i bez grama uniżoności z dorobku europejskiej refleksji nad człowiekiem, tworzy coś wysoce oryginalnego, wyrażonego ponadto w formie silniej oddziałującej na wyobraźnię odbiorcy od niejednego politologicznego traktatu, zarazem wskrzeszając myśl klasyków. Zadajmy sobie jednak kluczowe w tym momencie pytanie: czy dzieło autora żyjącego głównie w pierwszej połowie ubiegłego wieku i nieświadomego gwałtownych społecznych i technologicznych przemian, których jesteśmy dziś świadkami, faktycznie może wnieść cokolwiek do dyskusji nad współczesną polityką? Z perspektywy historii myśli politycznej nie mam właściwie żadnych wątpliwości co do doniosłości koncepcji „międzyludzkiego”. Czy jednak Gombrowicz się zbyt nie zdezaktualizował, by przykładać jego twórczość do tego, co d z i s najbardziej dla politologii palące?

Sądzę, że do tak postawionego problemu winniśmy podejść z większą dozą sceptycyzmu. Bo Gombrowicz – czas na okrutny osąd – w niektórych aspektach się już zestarzał. Dla przykładu, jego komentarze odnoszące się do intelektualnej słabości polskiego środowiska emigracyjnego do współczesnej emigracji w żadnym razie nie przystają. Nie dlatego, że jego jakość uległa diametralnej poprawie, ale dlatego że w dobie globalizacji mamy do czynienia z zupełnie innym kontekstem opuszczania ojczyzny. Mówię tu o kwestii oczywistej, jednak dobitnie wskazującej, że część problemów Gombrowicza, siłą rzeczy, przestała być naszymi problemami. Ale gdy już przyjrzymy się temu, co autor *Ferdydurke* pisał, na przykład, na temat wojny toczącej się w Europie, możemy poczuć pewną dozę niepokoju, gdyż jego słowa zdają się być zatrważająco aktualne... Mówimy jednak cały czas o szczegółach.

Dzieło Gombrowicza w swym zamierzeniu miało być dziełem uniwersalnym, a to wymusza na nas możliwie szerokie jego odczytanie. Z tej perspektywy, wizja Formy wymuszającej na nas

określone zachowania i postawy, „międzyludzkiego kościoła”, w którym skazani jesteśmy na sztuczność i nieraz tortury serwowane nam przez drugiego człowieka, czy wreszcie doświadczanie naprzemiennego i dezorientującego nas wywyższania i poniżania, są czymś całkowicie aktualnym i wartym namysłu w dwudziestym pierwszym stuleciu. Zatem, Gombrowicz się w jakimś stopniu zestarzał, ale znacznie subtelniej od wielu jego kolegów po piórze⁶³⁵. Myślę, że wynika to z dwóch podstawowych kwestii: 1) wielokrotnie wyrażanego przez samego pisarza dążenia do stwarzania dzieł nieodnoszących się jedynie do wąskiego kontekstu oraz 2) języka utworów: bardzo eleganckiego choć niestroniącego od potocyzmów, klarownego, pozbawionego zbędnych ozdobników (z wyjątkiem celowych pastiszy) i dziś zupełnie nieanachronicznego.

Na moment uwagi zasługuje również specyficzne Gombrowiczowskie światotwórstwo. Pojęcie to, przystające chyba najlepiej do dzieł gatunkowo fantastycznych⁶³⁶ (gdyż co do zasady kreujących szeroko pojęte *n o w e*), w przypadku omawianego przeze mnie uniwersum również odgrywa nie lada znaczenie. Polski pisarz tworzy bowiem przestrzenie zatrważające, odzwierciedlające realny świat, a jednocześnie radykalnie uproszczone i uwypuklające sedno: głupotę, brzydotę i okrucieństwo, z którym nie mamy ochoty się realnie konfrontować. Świat wykreowany przez Gombrowicza jest więc bezpieczną przestrzenią, w której możemy zmierzyć się z naszymi demonami, przepracować je i wykorzystać w praktyce realnego życia – o ile oczywiście odważymy się na ten wysiłek. Jak wspominałam w pierwszym rozdziale rozprawy, imersja w twórczości Gombrowicza nie służy bowiem eskapistycznemu relaksowi, lecz ma podrażnić intelektualnie czytelnika, zwrócić jego uwagę na pewne problemy i zaszczerpić w nim istotne dla pisarza idee. I – tu powinnam poczynić kolejne zastrzeżenie – nie chodzi tu o przelewanie poglądów Gombrowicza do głów jego odbiorców, bo i nie sposób posądzać tego autora o moralizatorskie zapędy. Celem jest raczej sprowokowanie do samodzielnych poszukiwań i, być może, zmiany schematów myślenia na te, które wymykają się choć odrobinę najczęściej obieranym konwencjom. Gombrowiczowskie światotwórstwo, to więc raczej swoiste *ś w i a t o - o d - t w ó r s t w o*, czyli pełne artyzmu przepisywanie realiów w sposób upraszczająco-wyolbrzymiający i prowokacyjny dla czytelnika.

Zanurzenie w uniwersum Gombrowicza wyprowadza nas na tereny trudno dostępne dla politologów. To, że dany pogląd został uznany kiedykolwiek za klasyczny i istotny, nie odgrywa tu żadnego znaczenia, a może co najwyżej prowokować do złośliwej dekonstrukcji. Kartezjańskie *Cogito* ulega poszatkowaniu, a jego poszczególne elementy zostają przez pisarza poddane selekcji, przekształceniom i ponownemu złożeniu, w podobną tylko z pozoru formę. „Myślę, więc jestem”;

⁶³⁵Jako pierwszy przychodzi mi na myśl Stanisław Lem, którego futurologia okazuje się już nieraz niewystarczająco futurystyczna.

⁶³⁶Zainteresowanych tym zagadnieniem odsyłam do publikacji Krzysztofa M. Maja: *Światotwórstwo w fantastyce. Od przedstawienia do zamieszkania*, Kraków 2019.

przekształca się raczej w dwa warianty: „myślę, więc jesteś” i „myślisz, więc jestem”. W ostatecznym rozrachunku myślenie prowadzi – tak jak, upraszczając mocno, u Kartezjusza – do istnienia. Gombrowiczowska jednostka stwarza więc swój świat poprzez myślenie. I to myślenie dość krzywdzące, bo bezczelnie projektujące różne, czasem dalece szkodliwe, treści na innych. Myśląc, powołujemy do życia pewne przedmioty, które – w tym ujęciu – są *de facto* podmiotami, tylko że psychiczną przemocą przez nas uprzedmiotowionymi. Jesteśmy w tym wszystkim okrutni, egoistyczni, lecz zarazem całkowicie zależni od drugiego człowieka. Nie mamy bowiem zdolności do stwarzania siebie samych. To sugeruje postrzeganie *homo sapiens* jako istot społecznych, stworzonych wręcz do życia we wspólnocie i – co dla nas ważne – uczestniczenia w polityce. Forma zaś jawi się tu jako siła prowokująca wszystkie społeczno-polityczne procesy. Jest zjawiskiem nieuniknionym, wpisanym w nasze życie, ale świadome przyznanie się do jej potęgi oraz podjęcie (skazanego na porażkę) wysiłku wymknięcia się jej bezgranicznemu panowaniu świadczy o człowieczej godności. W świetle niniejszych rozważań, Forma jest kategorią tłumaczącą groźbę politycznych mechanik. Sama zaś polityka jawi się w myśli Gombrowicza jako przestrzeń wręcz doskonała do wzajemnych tortur, jakim poddajemy się jako wierni „międzyludzkiego kościoła”. Tak w telegraficznym skrócie przedstawia się „myśl polityczna” literata.

Zauważmy jeszcze, że męczarnie, na jakie siebie nawzajem skazują bohaterowie snuty przez Gombrowicza historii, odbywają się w ramach pewnej puli określonych instytucji. Pierwszą z nich jest *p a ń s t w o*. W *Trans-Atlantyku* Polska to przecież Przeklęty Naród, Szaleniec, Wariat i Ślamazara zarazem⁶³⁷. Więcej: Polacy przebywający na emigracji w Argentynie, w imię swej ojczyzny poddają się nawzajem mniej lub bardziej wyrafinowanym formom poniżania. Oczywiście, warto mieć na uwadze, że powieść nie odnosi się wyłącznie do kulejącej polskiej kultury politycznej, ani też do absurdów zniewalających polskie środowisko emigracyjne, ale przede wszystkim poddaje rozwadze relacje zachodzące między jednostką a zbiorowością⁶³⁸. W świetle naszych rozważań, jest to całkowicie jasne. Niezmiennie jednak państwo odgrywa tu rolę rekwizytu uświadamiającego ograniczenia, jakim poddawane jest Ja w starciu z mrowiem podobnych mu istot. Drugą budzącą niewątpliwą groźbę instytucją jest w świecie Gombrowicza *s z k o ł a*. *Ferdydurke* przedstawia ją jako miejsce przemocowego wpędzania człowieka w destrukcyjną już niedojrzałość. Szkoła jawi się tu jako miejsce opresji, odbierające jednostce resztę jakiegokolwiek indywidualizmu i wpędzające ją w najbardziej toksyczne dla polskiej Formy schematy. Romantyczna indoktrynacja wpajająca uczniom, iż „Słowacki wielkim poetą był” to zaledwie wierzchołek góry lodowej. Trzecią wreszcie instytucją, szczególnie często przez Gombrowicza

⁶³⁷Zob. T-A., s. 12-13.

⁶³⁸Zob. W. Gombrowicz, *Przedmowa do „Trans-Atlantyku”* [w:] T-A, s. 5-8.

przywoływaną, jest rodzina. To, podobnie jak szkoła i państwo, przestrzeń przesycona przemocą symboliczną, w której za fasadą poprawnych, pełnych szacunku relacji, kryją się największe demony. Również na tym polu rozgrywa się festiwal wzajemnego wywyższania i poniżania, wywołującego w bohaterach szczególny rodzaj cierpienia.

Z tej perspektywy Gombrowiczowski polityczny realizm wygląda raczej na czystą dekadencję. Do tej pory nie zaakcentowałam bowiem ani specyficznego humoru pisarza, ani roli, jaką śmiech odgrywa w jego sztuce. *Iwona...* jest przecież typową czarną komedią, a niektóre wpisy do *Dziennika*, zwłaszcza te najbardziej zjadliwe, i zwłaszcza u czytelników zaznajomionych z biografią pisarza, potrafią wywołać uśmiech. Ironiczne, ale czasem po prostu ujmujące poczucie humoru pisarza, zdejmuje z jego dzieł nadwyżkę ciężaru i sprawia, że zapoznanie się z jego niełatwą twórczością nie stanowi wyszukanej formy samoumartwienia. Sam Gombrowicz mówi zresztą o swoim *Pamiętniku z okresu dojrzewania* w sposób następujący:

„Dziełko aspirujące do błyskotliwości, takie iskrzące świecidełko fantazji, pomysłowości, humoru, ironii. Dziś odczytując te dalekie opowiadania mówię sobie: hm, to jednak bogate, jak to wibruje od spięć niesamowitych, wizji zaskakujących, jak tryska zabawą, humorem, igraszką”⁶³⁹.

Choć nie należy zapominać, iż zarazem:

„strony te są też ciemne, odpychające nieraz, obrzydliwe”⁶⁴⁰.

W mojej ocenie, ten komentarz pasuje nie tylko do debiutanckiego zbioru opowiadań Gombrowicza, ale właściwie do całej jego twórczości. Drugim aspektem rozświetlającym dzieła pisarza jest, jak już wspomniałam, śmiech. I, co ciekawe, śmiech ten z reguły zwiastuje chaos i czyjąś krzywdę. Podszyty jest niemałą grozą, podobnie jak wszystkie wystawne uroczystości, w których biorą udział Gombrowiczowskie postacie. Kiedy ktoś się śmieje, mamy wszelkie prawo podejrzewać, iż stary ład ulegnie zburzeniu. Tylko zadajmy sobie w tym miejscu zasadnicze pytanie: czyż demontaż starego porządku nie jest w tym uniwersum zjawiskiem całkowicie pozytywnym? Śmiech zwiastuje gwałtowne zmiany, ale zmiany, które przynieść mogą wymierne korzyści, takie na przykład jak przeniesienie rodu Dragów ze sfery publicznej do prywatnej. Śmiech załamuje bowiem Formę, a wyśmianie tego co słabe i do tej pory skrywane działa wyzwalająco, choć z początku korzyść ta bywa trudna do wychwycenia. I może to właśnie śmiechu najbardziej dziś brakuje w refleksji nad polityką?

⁶³⁹Test., s. 20.

⁶⁴⁰Tamże.

Bibliografia

Twórczość Witolda Gombrowicza

Iwona, księżniczka Burgunda [w:] *Dramaty*, Kraków 2015. (1938)

Ferdydurke, Kraków 2017. (1938*)

Opętani, Kraków 2014. (1939*)

Ślub [w:] *Dramaty*, Kraków 2015. (1953)

Trans-Atlantyk, Kraków 2017. (1953)

Historia [w:] *Dramaty*, Kraków 2015. (1975*)

Dziennik, Kraków 2018. (1957-1966)

Bakakaj i inne opowiadania, Kraków 2018. [zawiera debiutanckie opowiadania z *Pamiętnika z okresu dojrzewania* z 1933 r.] (1957)

Pornografia, Kraków 2017. (1960)

Kosmos, Kraków 2018. (1965)

Operetka, Kraków 2015. (1966)

Testament. Rozmowy z Dominikiem de Roux, Kraków 2012. (1967*)

Kurs filozofii w sześć godzin i kwadrans, przekł. I. Kania, Kraków 2018. (1971*)

Wspomnienia polskie. Wędrowki po Argentynie, Warszawa 1990. (1977)

Kronos, Kraków 2013. (2013)

* druk czasopiśmienny

Inne: korespondencja, publicystyka

Jerzy Giedroyc Witold Gombrowicz. Listy 1950-1969, wybór i oprac.: A. Kowalczyk, Warszawa 1993.

W. Gombrowicz, Pisma zebrane. Ferdydurke, red. W. Bolecki, J. Jarzębski, Z. Łapiński, oprac. W. Bolecki, Kraków 2007.

Witold Gombrowicz / Czesław Miłosz, Konfrontacje, wyb. i red. M. Szymański, B. Toruńczyk, Warszawa 2015.

Witold Gombrowicz. Varia 3, Kraków 2021.

Literatura sekundarna, inne materiały

Gombrowicz filozof, wybór i oprac. F. M. Cataluccio, J. Illg, Kraków 1991.

Gombrowicz i krytycy, wyb. i oprac. Z. Łapiński, Kraków–Wrocław 1984.

Gombrowicz in Transnational Context: Translation, Affect, and Politics, red. Sylvia G. Dapia, New York 2019.

Gombrowicz na językach. Lekcje tłumaczy, red. A. Spólna, Kraków 2022.

Grymasy Gombrowicza. W kręgu problemów modernizmu, społeczno-kulturowej roli płci i tożsamości narodowej, red. E. Płonowska-Ziarek, przekł. J. Margański, Kraków 2001.

Literatura a religia – wyzwania epoki świeckiej. Tom 2. Literatura polska po 1945 r. – kierunki, idiomy, paradygmaty, red. Ł. Tischner, A. Bielak, Kraków 2020.

Literatura i władza, red. B. Wojnowska, Warszawa 1996.

Natura ludzka w filozofii nowożytnej i współczesnej, red. J. Miklaszewska, P. Spryszak, Kraków 2010.

Philosophy in Neuroscience, red. Jerzy Stelmach, Bartosz Brożek, Łukasz Kurek, Copernicus Center Press 2012, s. 113-147.

Przed i po. Witold Gombrowicz, red. J. Olejniczak, Kraków 2019, t 1 i 2.

Rita Gombrowicz: I tak poświęciłabym się pisarzom [wywiad], <https://culture.pl/pl/artykul/rita-gombrowicz-i-tak-poswiecilabym-sie-pisarzom-wywiad>, dostęp: 26.09.2022.

Witold Gombrowicz nasz współczesny, red. J. Jarzębski, Kraków 2012.

Witold Gombrowicz pisarz argentyński. Antologia, red. Ewa Kobylecka-Piwońska, Łódź-Kraków 2018.

Arystoteles, *Polityka*, przekł. L. Piotrowicz, Warszawa 2012.

Bañková M., *Drobiazg*, przekł. D. Dobrew, Warszawa 2019.

- Bartoszyński K., Antynomie Gombrowicza a problemy interpretacji literackiej, „Pamiętnik Literacki” 1978, nr 69/2, s. 57-67.
- Bhambry T. K., *Czytając Gombrowicza z Deleuze’em*, przekł. A. Kluba, „Teksty Drugie” 2011, nr 3 (129), s. 118-121.
- Bielecki M., *Lewackie dyskursje: o trzeciej części „Ferdydurki” Gombrowicza*, „Literaturoznawstwo: historia, teoria, metodologia, krytyka” 2012-2013, nr 1(6)-2(7), 95-110, s. 95-11.
- Bielecki M., „*Iwona, księżniczka Burgunda*” i „*Historia*”, czyli o arogancji kulturowego dyskursu, „Pamiętnik Literacki” 2010, nr 101/3, s. 55-71.
- Błochowiak J., *Między ekstazą a zakazem: homoerotyzm w „Ferdydurke” Gombrowicza*, „Pamiętnik Literacki” 2008, nr 99/4, s. 79-95.
- Błoński J., *Forma, śmiech i rzeczy ostateczne. Studia o Gombrowiczu*, Kraków 1994.
- Bolach M., *Płeć jako agrafka. O twórczości Witolda Gombrowicza*, Toruń 2009.
- Bolecki W., *Słowacki Gombrowicza*, „Teksty Drugie” 2010, nr 1/2 (121-122), s. 171-192.
- Boyers R., *Formy perwersji w „Pornografii” Gombrowicza*, przekł. I. Sieradzki, „Pamiętnik Literacki” 1973, nr 64/4, s. 285-310.
- Bremer J. *Problem umysł-ciało. Wprowadzenie*, Kraków 2001.
- Buczyńska-Garewicz H., *Gombrowiczowskie żarty z Heideggera*, „Teksty Drugie” 2011, nr 1/2 (127-128), s. 345-353.
- Copleston F., *Historia filozofii*, t. 1, Warszawa 2010.
- Copleston F., *Historia filozofii*, t. 5, Warszawa 2009.
- Cieński M., *Grzeczność (staropolska) Gombrowicza*, „Napis. Pismo poświęcone literaturze okolicznościowej i użytkowej” 2004, nr 10, s. 223-233.
- Cunningham M., *Godziny*, przekł. M. Charkiewicz, B. Gontar, Poznań 2018.
- Czabanowska-Wróbel A., *Kosmos powtórzeń Witolda Gombrowicza*, „Teksty Drugie” 2005, nr 3, s. 79-90.
- Damasio A., *Błąd Kartezjusza*, przekł. M. Karpiński, Kraków 2022.

- Dawkins R., *Samolubny gen*, przekł. M. Skoneczny, Warszawa 2012.
- Dawkins R., *Najwspanialsze widowisko świata. Świadczenia ewolucji*, przekł. P. J. Szwajcer, Stare Groszki 2017.
- Delaperrière M., *Kościół międzyludzki i absurd totalitarny w teatrze Gombrowicza*, „Teksty Drugie” 2002, nr 3 (75), s. 22-34.
- Descartes R., *Rozprawa o metodzie dobrego powodowania swoim rozumem i szukania prawdy w naukach*, przekł. T. Boy-Żeleński, <https://wolnelektury.pl/media/book/pdf/rozprawa-o-metodzie.pdf>, dostęp 26.10.2022.
- Descartes R., *Medytacje o pierwszej filozofii*, przekł. M. i K. Ajdukiewiczowie, Warszawa 2010.
- De Waal, F., *Małpy i filozofowie. Skąd pochodzi moralność?*, Kraków 2019.
- Dunbar R., *Anatomia miłości i zdrady*, przekł. Z. Lamża, Kraków 2016.
- Eco U., Rorty R., Culler J., Brooke-Rose Ch., *Interpretacja i nadinterpretacja*, red. S. Collini, przekł. T. Bieroń, Kraków 1996.
- Eco U., *Sześć przechadzek po lesie fikcji*, przekł. J. Jarniewicz, Kraków 2007.
- Everett D.L., *Język. Narzędzie kultury*, przekł. Z. Wąchocka, P. Paszkowski, Kraków 2021.
- Fiała E., *Wokół zła ontycznego w prozie Gombrowicza*, „Pamiętnik Literacki” 2012, nr 103/2, s. 41-58.
- Fiszbak Z., *Gombrowicz wobec „wielkości”*, „Acta Universitatis Lodzianensis. Folia Litteraria Polonica” 2001, nr 4, s. 111-120.
- Fukuyama F., *Koniec historii i ostatni człowiek*, przekł. T. Bieroń, M. Wichrowski, Kraków 2017.
- Gaiman N., *Rzeczy ulotne*, przekł. P. Braiter, Warszawa 2018.
- Gall A., *Humanizm performatywny. Polemika z filozofią w praktyce literackiej Witolda Gombrowicza*, Kraków 2011.
- Gazzaniga M.S., *Instykt świadomości. Jak z mózgu wylania się umysł?*, przekł. A. Nowak-Młynikowska, Sopot 2020.
- Gombrowicz R., *Gombrowicz w Argentynie 1939-1963*, przekł. Z. Chądzyńska, A. Husarska, Kraków 2005.

- Gombrowicz R., *Gombrowicz w Europie 1962-1969*, przekł. O. Hedemann i in., Kraków 2008.
- Grimstad K.A., *Co zdarzyło się na brygu Banbury?: Gombrowicz, erotyka i prowokacja kultury*, przekł. O. Kubińska, „Teksty Drugie” 2002, nr 3(75), s. 57-69.
- Harris I., *Edmund Burke* [w:] *The Stanford Encyclopedia of Philosophy* (Summer 2020 Edition), red. E. N. Zalta, <https://plato.stanford.edu/archives/sum2020/entries/burke/>, dostęp: 13.11.2022.
- Hobbes T., *Lewiatan*, przekł. Cz. Znamierowski, Warszawa 2009.
- Inglot M., *Romantyczne aspekty "Operetki" Witolda Gombrowicza*, „Pamiętnik Literacki” 1999, nr 90/3, s. 47-58.
- Jarzębski J., *Gra w Gombrowicza*, Warszawa 1982.
- Jarzębski J., *Science fiction a polityka – wersja Stanisława Lema*, „Pamiętnik Literacki” 1983, nr 74/2, s. 83-113.
- Jarzębski J., *Powieść jako autokreacja*, Kraków-Wrocław 1984.
- Jarzębski J., *Kicz jest w nas: Gombrowicza romans z kiczem*, „Teksty Drugie” 1996, nr 4(40), s. 52-70.
- Jarzębski J., *Trudno być Bogiem*, „Teksty Drugie” 2000, nr 5 (64), s. 68-77.
- Jarzębski J., *Gombrowicz i natura*, „Teksty Drugie” 2005, nr 3, s. 17-26.
- Jarzębski J., *Gombrowicz i Szekspir*, „Pamiętnik Literacki” 2014, 105/3, s. 79-91.
- Kacik M., *Mit faustyczny w „Pornografii” Witolda Gombrowicza*, „Pamiętnik Literacki” 2003, nr 94/4, s. 99-115.
- Kaute W., *W poszukiwaniu dobrego życia. U filozoficznych podstaw głównych orientacji politycznego myślenia*, Katowice 2012.
- Kaute W., *Polska i Polacy a „duch” nowożytności w Dzienniku Witolda Gombrowicza*, „Studia humanistyczno-społeczne”, nr 12, s. 53–90. ROK
- Kaute W., *„Uśmiezek cudny”, czyli Polak a władza w publicystyce Witkacego*, „Horyzonty Polityki” 2019, nr 10(30), s. 65-82.
- Kaute W., *Europa, kultura, Polska w świecie „śmierci Boga”*, „Polonia Journal” 2020, nr 11, s. 123-149.

- Kępiński M., *Gombrowicza gry z Kulturą. Mit, symbol, historia, tradycja*, Warszawa 2006.
- Kępiński T., *Witold Gombrowicz studium portretowe drugie*, Warszawa 1992.
- Korwin-Piotrowska D., *Pęta „Opętanych”*, „Teksty Drugie” 1996, nr 4(40), s. 135-153.
- Kowalska A., *Gombrowiczowskie „Wywodzę się z Montaigne’a”*, „Prace Polonistyczne” 1982, nr 38, s. 201-209.
- Król M., *Filozofia polityczna*, Kraków 2008.
- Kubiński P., *Gry wideo. Zarys poetyki*, Kraków 2016.
- Kulas P., *Gombrowicz i problem teologiczno-polityczny*, „Przegląd Polityczny” 2012, nr 114, s. 147-152.
- Kundera M., *Zdradzone testamenty*, przekł. M. Bieńczyk, Warszawa 2015.
- Kunz T., *Witold Gombrowicz: autobiografizm w trzech odsłonach*, „Autobiografia. Literatura. Kultura. Media” 2014, nr 2(3), s. 15-32.
- Maj K.M., *Czas światoodczucia. Imersja jako nowa poetyka odbioru*, „Teksty Drugie” 2015, nr 3, s. 368-394.
- Maj K.M., *Światotwórstwo w fantastyce. Od przedstawienia do zamieszkania*, Kraków 2019.
- Marcela M., *Patoposłuszeństwo. Jak szkoła, rodzina i państwo uczą nas bezradności i co z tym zrobić*, Kraków 2022.
- Margański J., *Filozof Gombrowicz*, „Teksty Drugie” 1991, nr 5(11), s. 106-118.
- Margański J., *Co robić z cytatami u Gombrowicza?*, „Pamiętnik Literacki” 1995, nr 86/1, s. 85-109.
- Margański J., *Gombrowicz wieczny debiutant*, Kraków 2001.
- Markowski M.P., *Czarny nurt. Gombrowicz, świat, literatura*, Kraków 2004.
- Masłowski M., *„Kościół międzyludzki” w „Ślubie” Witolda Gombrowicza*, „Teksty Drugie” 1999, nr 1/2 (54/55), s. 175-187.
- Mitosek Z., *Teorie badań literackich*, Warszawa 2012.

Newman L., *Descartes' Epistemology* [w:] *The Stanford Encyclopedia of Philosophy* (Spring 2019 Edition), red. E. N. Zalta, <https://plato.stanford.edu/archives/spr2019/entries/descartes-epistemology>, dostęp: 24.07.2022.

Nietzsche F., *Wola mocy*, przekł. K. Drzewiecki, S. Frycz, <https://wolnelektury.pl/media/book/pdf/nietzsche-wola-mocy.pdf>, dostęp: 13.11.2022.

Nowak L., *Gombrowicz. Człowiek wobec ludzi*, Warszawa 2000.

Ogawa Y., *Grobowa cisza, żałobny zgiełk*, przekł. A. Karpiuk, Warszawa 2020.

Olejniczak J., *Gombrowicz. Ja!*, Łódź 2021.

Olejniczak J., *Gombrowicz na niewiele się przydał...*, „Rana. Literatura – Doświadczenie – Tożsamość” 2021, nr 1(3), s. 1-19.

Poe E. A., *Zagłada domu Usherów*, przekł. B. Leśmian, <https://wolnelektury.pl/media/book/pdf/zaglada-domu-usherow.pdf>, dostęp 03.06.2025.

Polanowski E., *Polska i Polacy w "Dzienniku" Witolda Gombrowicza*, „Prace Naukowe. Filologia Polska. Historia i Teoria Literatury” 1994, nr 4, s. 7-14.

Pratchett T., *Kolor magii*, przekł. P.W. Cholewa, Warszawa 2012.

Pratchett T., *Blask fantastyczny*, przekł. P.W. Cholewa, Warszawa 2013.

Pratchett T., *Równoumagicznienie*, przekł. P.W. Cholewa, Warszawa 2012.

Pratchett T., *Mort*, przekł. P.W. Cholewa, Warszawa 2012.

Reykowski J., *Natura ludzka a potrzeby*, „Etyka” 1970, nr 6, 31-49.

Rojek P., *Wyszyński i Gombrowicz*, „Pressje” 2013, teka 34, s. 8-14.

Roughley, N., *Human Nature* [w:] *The Stanford Encyclopedia of Philosophy* (Spring 2021 Edition), red. E. N. Zalta, <https://plato.stanford.edu/archives/spr2021/entries/human-nature>, dostęp: 06.09.2022.

Sapolsky R.M., *Zachowuj się. Jak biologia wydobywa z nas to, co najgorsze, i to, co najlepsze*, przekł. P. Szymczak, Poznań 2021.

Setterfield D., *Trzynasta opowieść*, przekł. M. Słysz, Warszawa 2021.

Siedlecka J., *Jaśnie Panicz. O Witoldzie Gombrowiczu*, Warszawa 2003.

- Smith D. L., *Najbardziej niebezpieczne ze zwierząt. Natura ludzka i przyczyny wojen*, przekł. A. E. Eichler, Warszawa – Stare Groszki 2011.
- Snicket L., *Przykry początek*, przekł. J. Kozak, Warszawa 2022.
- Stawierska A., *Gombrowicz w przedwojennej Polsce*, Kraków 2001.
- Suchanow K., *Gombrowicz. Ja, geniusz*, t. 1 i 2, Wołowiec 2017.
- Szacki J., *Historia myśli socjologicznej. Wydanie nowe*, Warszawa 2012.
- Szapkowska M., *Gombrowicz – teoretyk sztuki*, „Teksty” 1972, nr 2, s. 75-96.
- Śniowska D., *Gombrowicz Hobbesem podszyty. Iwona, księżniczka Burgunda w świetle filozofii politycznej*, „Horyzonty Polityki” 2019, 10(32), s. 73-86.
- Śniowska D., *Szczur Witolda Gombrowicza jako przypowieść o władzy politycznej*, „Koło Historii” 2020, nr 25, s. 247-258.
- Śniowska D., *Ślub: szaleństwo czy powrót do stanu natury [w:] W kręgu szaleństwa*, red. A. Dolecka, P. Znojek, Kielce 2020, s. 199-207.
- Śniowska D., *Gombrowicz w starciu z „najgorszą z dzikich małp” – o granicach w interpretowaniu literatury z perspektywy nauk społecznych*, „Horyzonty Polityki” 2022, nr 13(42), s. 203-214.
- Świercz P., *Znaczenie pojęcia „natura” w doktrynie politycznej Thomasa Hobbesa na tle koncepcji zoon politikon*, „Horyzonty Polityki” 2010, nr 1(1), s. 111-130.
- Świercz P., *The Marriage from the Perspective of Political Philosophy*, „Horyzonty Polityki” 2019, nr 10(30), s. 39-64.
- Świercz P., *Between Realism and Nominalism. Gombrowicz and the Debate on Polish and European Archetypes of Political Culture*, „Horyzonty Polityki” 2019, nr 10(33), s. 61-79.
- Tischner Ł., *Gombrowicza milczenie o Bogu*, Kraków 2013.
- Tischner Ł., *Gombrowicz poprawia Nietzschego. Kilka uwag o „Szczurze”*, „Teksty Drugie” 2013, nr 1-2, s. 201-206.
- Tischner Ł., *„Czy warto być czystym sceptykiem, bez domieszki?” Tajemnice Opętanych Witolda Gombrowicza*, „WIELOGŁOS” 2017, nr 4(34), s. 63-81.

Warkocki B., *Pamiętnik afektów z okresu dojrzewania. Gombrowicz – queer – Sedgwick*, Warszawa 2018.

Waśko A., *Literatura i polityczność*, Kraków 2020.

Watson R., *Cogito, Ergo Sum. The Life Of René Descartes*, Boston 2007.

Wenar L., *John Rawls* [w:] *The Stanford Encyclopedia of Philosophy* (Summer 2021 Edition), red. E. N. Zalta, <https://plato.stanford.edu/archives/sum2021/entries/rawls/>, dostęp: 13.11.2022.

Werner M., *Wobec nihilizmu. Gombrowicz. Witkacy*, Warszawa 2009.

Wilson E.O., *Spoleczeństwa owadów*, przekł. D.H. Tymowska, Warszawa 1979.

Wilson E.O., *O naturze ludzkiej*, przekł. B. Szacka, Poznań 1998.

Wolff J., *D. Leopold, Karl Marx* [w:] *The Stanford Encyclopedia of Philosophy* (Summer 2021 Edition), red. E. N. Zalta, <https://plato.stanford.edu/archives/spr2021/entries/marx/>, dostęp: 13.11.2022.